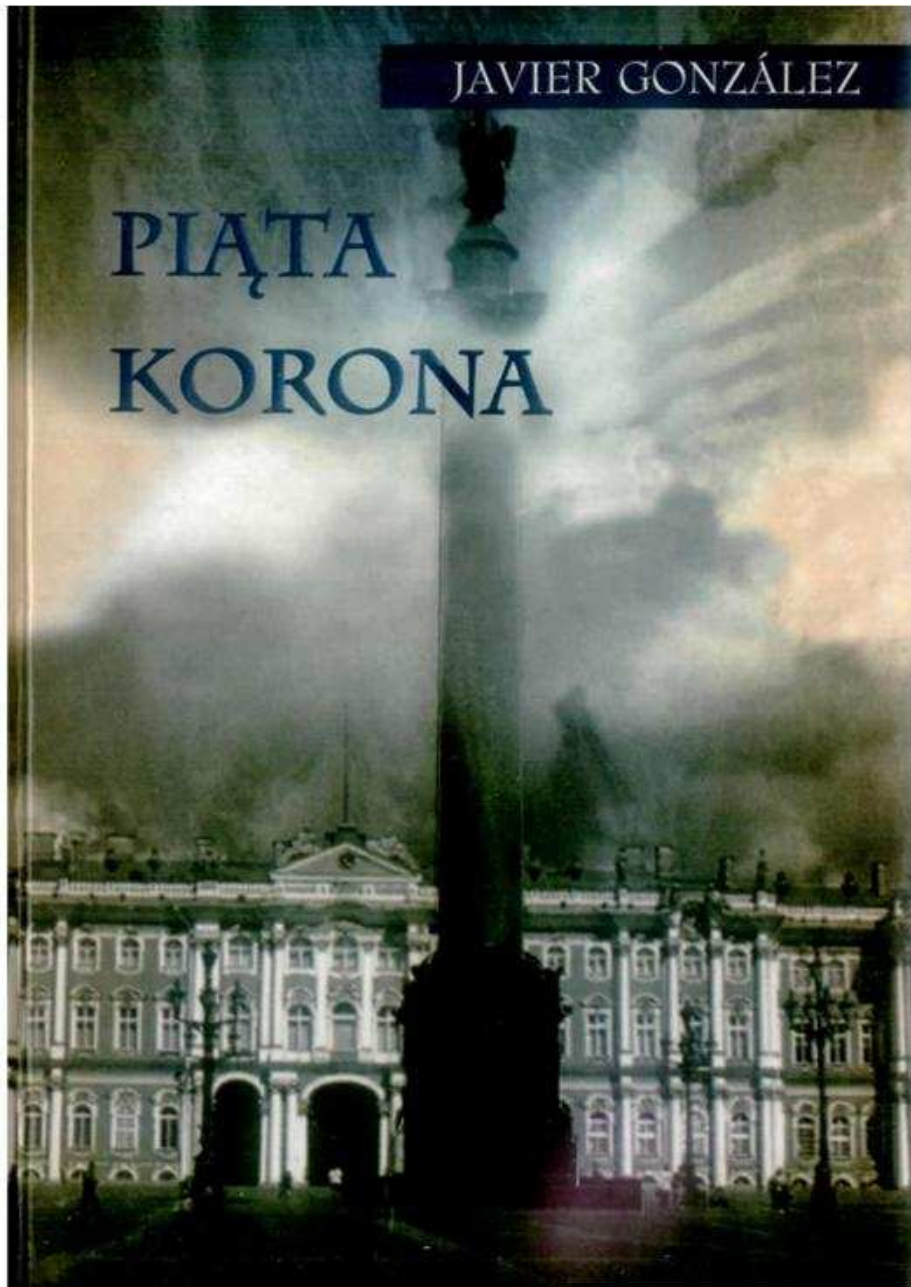


JAVIER GONZÁLEZ

PIAȚA
KORONA





Tajemnicze zaginięcie obrazów Goi i van Dycka,
śmierć hiszpańskiego żołnierza pod Leningradem
jesienią 1941 roku, to elementy niezwyklej
zagadki, która połączy dwoje młodych ludzi.
Czy liczący kilkadziesiąt lat portret pięknej
kobiety skrywa do niej klucz?



JAVIER GONZALEZ

PIĄTA
KORONA

Z hiszpańskiego przełożyła
MAGDALENA BIEJAT



WARSZAWA 2007

Tytuł oryginału:
LA QUINTA CORONA

Copyright © Javier Gonzalez Rodriguez 2006
Copyright © Random House Mondadori S.A. 2006
All rights reserved

Copyright © for the Polish edition by Wy-
dawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2007
Copyright © for the Polish translation by Magdalena Bieja 2007

Redakcja: Ewa Biernacka
Zdjęcie na okładce: Steve Raymer/Corbis
Cyfrowa obróbka zdjęcia okładkowego: Alejandro Colucci
Zdjęcie autora: Federico Fernandez
Projekt graficzny okładki i serii: Andrzej Kuryłowicz

ISBN 978-83-7359-547-7

Dystrybucja

Firma Księgarska Jacek Olesiejuk
Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.
t./f. 022-535-0557, 022-721-3011/7007/7009
www.olesiejuk.pl



Sprzedaż wysyłkowa - księgarnie internetowe
www.merlin.pl
www.empik.com
www.ksiazki.wp.pl

WYDAWNICTWO ALBATROS
ANDRZEJ KURYŁOWICZ
Wiktorii Wiedeńskiej 7/24, 02-954 Warszawa

Wydanie I
Skład: Laguna
Druk: WZDZ - Drukarnia Lega, Opole

Dla Alodii, mojej żony

Podziękowania

Mojemu dobremu przyjacielowi Monchowi Resie, który przyczynił się do tego, że ta książka mogła wreszcie ujrzeć światło dzienne. Cristóbalowi Perze, pierwszemu wydawcy Random House Mondadori, który zobaczył w mojej książce coś, czego nie dojrzały poprzednie dwadzieścia trzy wydawnictwa. Davidowi Triasowi, który również to widział i przekazał moją górę papierów Raquel Gisbert, bo był pewien, że można z nich stworzyć powieść.

Raquel Gisbert, mojemu aniołowi stróżowi, mojej obrończyni, mojemu dominikańskiemu zakonnikowi, mojemu wydawcy. Jeśli będziecie się dobrze bawili, jeśli się wzruszycie, stracie trochę czasu lub parę godzin snu dla tej książki, będzie to w dużej mierze z jej powodu, dzięki jej wytrwałej pracy. Mojej żonie Alodii, która pomogła mi przy przepisywaniu i poprawianiu pierwszego rękopisu. Jestem dziś pewien, że ta historia stała się

lepsza dzięki jej wskazówkom i uwagom. Tworzyliśmy zgrany zespół i z przyjemnością wspominam godziny spędzone na wspólnej pracy. Bez dzieci. Mam nadzieję, że kiedyś to powtórzymy.

Wszystkim przyjaciołom, którzy przeczytali pierwszą wersję książki, zwłaszcza Montse de Paul, mojej przewodniczącej po świecie malarstwa i szczególnej „bibliotekarce” świata sztuki. Bercie Gimenez-Arnau, która dostarczyła mi materiałów na temat perypetii zbiorów Prado w czasie wojny.

Mojemu dobremu przyjacielowi Rafaelowi Mate, który dokonał wivisekcji książki podczas pamiętnego lunchu, wziął mnie w krzyżowy ogień pytań i pomógł poprawić nieścisłości i usunąć słabości pierwotnego tekstu.

Miguelowi Zuricie za ten sam lunch, w czasie którego udzielił mi lekcji o gatunkach win pojawiających się w powieści.

I Juliowi Mendezowi, dzięki któremu ten wspólny posiłek doszedł do skutku.

Internautom, na których się natknąłem, szukając informacji w sieci, i którzy bardzo mi pomogli. Dziękuję zwłaszcza Aleksiejowi Iliowowi z Sankt Petersburga, który naprowadził mnie na ślad zaginionego van Dycka. Włochowi Alessandrowi Giua — dzięki jego wspaniałej kolekcji van Dycka umieszczonej w Internecie mogłem się dowiedzieć, jak wyglądało lub nadal wygląda *Męczeństwo świętego Sebastiana*. Josepowi Muedrze Alberichowi, który pomógł mi w rekonstrukcji ataku czołgów na Manzanares.

Mojemu przyjacielowi pułkownikowi Luisowi San-gilowi, który umożliwił mi zwiedzenie muzeum powozów w El Goloso.

Generałowi Rosaleny, który był dywizjonistą i jeńcem wojennym w Rosji. Dzięki dwóm zajmującym, intensywnym i wzruszającym rozmowom, jakie z nim przeprowadziłem, poznałem nieco lepiej niezwykłą odwagę tamtych ochotników, aktorów i świadków części naszej historii, zwykle niewygodnych i do dziś niesłusznie skazanych na zapomnienie.

Nie mogę pominąć pewnego kartagińczyka, dobrego przyjaciela i jeszcze lepszego adwokata, Fulgencia Paga-na, bliskiego krewnego jednego z trzech marynarzy ocalałych z zatopionej łodzi podwodnej republikanów C-3, która dotąd spoczywa na dnie zatoki Malaga. Jemu zawdzięczam większość informacji, które zainspirowały mnie do napisania tego rozdziału.

Osobne podziękowania należą się też Albertowi Ayu-sowi, prawdziwemu badaczowi hiszpańskiej wojny domowej, który naniósł na rękopis ostatnie poprawki.

Wspominam też z wdzięcznością wszystkich anonimowych pracowników Biblioteki Narodowej w Madrycie. Dzieliłem z nimi wiele sobotnich godzin w latach 2002 i 2005, szukając materiałów, pisząc i poprawiając powieść na polecenie wydawcy. Mam nadzieję, że udało mi się przekazać na stronach tej książki choć część magii, jaką tchnie biblioteka. Możecie być pewni, że miejsca, w których przechowuje się książki, a w Bibliotece Narodowej jest ich wiele, są miejscami magicznymi.

Wszystkim składam serdeczne podziękowania.

Wszystkie występujące w książce postacie są fikcyjne, a wszystkie opisane wydarzenia są owocem wyobraźni autora.

Nota od autora

Dwudziestego trzeciego lipca 1936 roku rząd republiki stworzył Radę Konfiskaty i Ochrony Dóbr Dziedzictwa Artystycznego w celu zminimalizowania niszczycielskiego wpływu wojny na hiszpańskie dziedzictwo artystyczne.

Jednym z dzieł zarekwirowanych przez radę była *Hrabina de Chinchón* Goi. Obraz został złożony razem z innymi w podziemiach Prado.

Następnie *Hrabina de Chinchón* oraz wszystkie zbiory muzeum rozpoczęły długą i niebezpieczną podróż i trafiły ostatecznie do Genewy.

W 1939 roku, po zakończeniu konfliktu, powołano Międzynarodowy Komitet Ocalenia Hiszpańskich Dzieł Sztuki. Jego głównym zadaniem było odzyskanie dzieł sztuki, którymi zarządzała Rada Konfiskaty.

W tym czasie malarz Jose Maria Sert, członek wspomnianego komitetu, złożył w mediach zaskakujące oświadczenie: „Kiedy w grudniu 1936 roku byłem w No-

wym Jorku, otrzymałem wiadomość od mojego przyjaciela, lorda Josepha Duveena, który donosił, że zaproponowano mu kupno portretu *Hrabiny de Chinchón Goi*, ale przez ostrożność nie kupił go, nie będąc pewnym wiarygodności »oferty«.,,

Nigdy nie zbadano tej sprawy.

Historia powtórzyła się kilka lat później. W trakcie ewakuacji dzieł sztuki z Ermitażu podczas niemieckiej inwazji w 1941 roku, zaginęło *Męczeństwo świętego Sebastiana* van Dycka. W skrzyni, w której dzieło miało być transportowane, znaleziono inne płótno niewielkiej wartości.

Obrazu nigdy nie odzyskano.

— Powiedz, mistrzu, jaki jest najwspanialszy zawód świata?

— Ten, którego owoce wzruszą każdego, kto je zobaczy — odpowiedział starzec bez wahania.

Z Księgi Mędrców

Nic nie jest tym, na co wygląda, drogi Watsonie.

SHERLOCK HOLMES

Prolog

To było w Madrycie pewnego słonecznego czerwcowego popołudnia. „Jeden z takich dni, które pozwoliły Renoirowi nauczyć się malować światło”, zauważył Jose Manuel Wundermann, spacerując u boku Carmen. Promienie słońca przeświecały przez gałęzie i liście jaworów rosnących wzdłuż deptaka wiodącego do Prado, tworząc mozaikę światła i cieni.

Carmen i Jose Manuel jak co roku weszli do Prado przez Bramę Goi. Zwiedzili sale z hiszpańskim malarstwem i zatrzymali się na piętnaście długich i szczęśliwych minut przed „swoim” obrazem. Kontynuowali ten rytuał, wychodząc z budynku Bramą Południową, naprzeciwko ogrodu botanicznego. Przeszli kilka metrów ulicą Espalter do Cafe del Sol, gdzie zwykle kończyli doroczną wizytę w muzeum.

— Prado jak zawsze wspaniałe — stwierdził Wundermann z satysfakcją.

Kelner właśnie przyniósł herbatę dla niej i czerwone wino dla niego.

— Twój obraz jak zwykle wspaniały — dodała Carmen.

Jose Manuel w odpowiedzi na tę uwagę posłał jej ciepły uśmiech. Przyjrzał się swojej towarzyszce, upijając pierwszy łyk wina. To ona była jak zwykle wspaniała. I bardzo atrakcyjna pomimo wieku.

— No dobrze. Wyrzuć to z siebie — Carmen przerwała jego rozmyślenia.

Może dlatego, że zawsze wiedziała, o czym myślą mężczyźni, zanim otworzą usta, żeby powiedzieć coś dokładnie przeciwnego. Patrzyła na niego uważnie, mieszając herbatę, do której nie wrzuciła cukru.

— To była nasza ostatnia wspólna wizyta w Prado.

— No proszę. Zmieniasz towarzystwo? Stracisz na tym. Wszyscy mówią, że wciąż jesteśmy świetną parą — padła szybka odpowiedź.

— Nie próbuj mnie uwodzić, Carmen. Gdyby żył Hotz, wcale by mu się to nie spodobało.

— Gdyby Hotz żył, byłby „tym” zachwycony — odrzekła z jednym ze swych zniewalających uśmiechów.

Tak. Musiał przyznać, że gdyby Hotz żył, bawiłaby go taka sytuacja. On i Carmen zawsze byli szaloną parą.

— Wczoraj odebrałem ostatnie wyniki badań. — Powiedzenie tego wymagało ogromnego wysiłku. — Ich zdaniem nie dożyję do Bożego Narodzenia. — Opróżnił duszkiem kieliszek.

— Och! Daj spokój. Chyba nie wierzysz we wszystko, co mówią lekarze. — Carmen zbagatelizowała sprawę, nie pozwalając, by zapadło milczenie.

— Carmen, to koniec — powiedział z powagą, łapiąc ją za rękę. — I nie obchodzi mnie to. — Nie kłamał. — Mam więcej lat, niż kiedykolwiek spodziewałem się dożyć. Żyłem pełnią życia. Poznałem wspaniałych ludzi, takich jak ty. Robiłem rzeczy, których nigdy nie spodziewałem się robić. I kilka takich, których nie powinienem był robić. — Nadal patrzyli sobie w oczy. — Żyłem, Carmen. I dobry Bóg pozwolił mi poznać dzień, w którym będzie mnie oczekiwał. Dał mi szansę, bym załatwił pewne sprawy, zanim odejdę. Niczego nie żałuję. I nie boję się, Carmen.

— My nigdy się nie baliśmy — odparła z dumą. Po jej policzku spływała łza. — Chcesz, żebym coś dla ciebie zrobiła, stary, najdroższy przyjacielu?

— Tak. Chcę, żebyś coś dla mnie zrobiła. Ale dopiero gdy mnie już nie będzie. Chcę, żebyś mi pomogła połączyć na nowo pięć koron — odpowiedział.

— Pięć koron? — Spojrzała na niego zdziwiona, z rozbawieniem. — Żeby to zrobić, trzeba zacząć od odzyskania piątej. Chcesz, żebyśmy tam wrócili?

— Nie. Chcę, żebyś zorganizowała wszystko tak, by ktoś zrobił to za nas. Pięć koron musi wrócić na miejsce, którego nigdy nie powinny były opuścić.

— Zawsze byłeś romantykiem. — Uśmiechnęła się do niego, podnosząc do ust filiżankę z herbatą. — Niemiec mi powtarzał, że brakowało ci wyrachowania do tego interesu. — Spojrzała na niego uważnie ciemnymi oczami. — Cieszę się, że się nie zmieniłeś przez te wszystkie lata.



Mercedes 500 zatrzymał się przed domem Carmen. Kiedy szofer wysiadał, żeby otworzyć jej drzwi, Jose Manuel zwrócił się do niej po raz ostatni:

— Tak więc mogę na ciebie liczyć?

— Czy kiedyś cię zawiodłam? — odpowiedziała niemal wyzywająco.

— Kiedy to zrobisz?

— Trzeba będzie poczekać na okazję. „Cierpliwość to majątek inteligencji”, jak zwykł mawiać Hotz. Zrobimy to jak trzeba. Zawsze załatwialiśmy sprawy jak trzeba. Nie martw się, odzyskam dla ciebie piątą koronę — obiecała, puszczając do niego oko.

— Dziękuję. — W jego głosie brzmiało wzruszenie.

Carmen spojrzała na niego uważnie, z czułością. Pochyliła się i pocałowała go w usta.

— Bylibyśmy doskonałą parą, gdybyś nie spotkał tego rosyjskiego dzieciaka — powiedziała, nie odsuwając twarzy od jego twarzy i uśmiechając się tak, jak tylko ona potrafiła.

— Daj spokój, Carmen — próbował wziąć się w garść, chociaż musiał przyznać, że ten „atak” odmłodził go o czterdzieści lat. — Trzy pary naraz to by było za dużo. Nawet dla takiej kobiety jak ty.

— Ba! — odparła, wysiadając z samochodu, starając się mieć nonszalancką minę. — Nie wolno ci mnie nie doceniać, chłopcze. Pozdrów Tanię i powiedz jej, że ją kocham prawie tak samo jak ciebie.

Posłała mu pocałunek i odwróciła się.

Wündermann odprowadził ją wzrokiem aż do drzwi domu.

— Proszę pana... — odezwał się szofer, znów siedzący za kierownicą.

— Tak. Proszę do domu.

Mercedes powoli torował sobie drogę w gęstym ruchu ulicznym Madrytu. Jose Manuel wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki brudnopis listu, który napisał tego ranka. Założył okulary i zaczął przeglądać dokument: „Kochana dziewczyno, jeśli czytasz ten list, to znaczy, że mnie już nie ma, a twoja babcia poinformowała cię właśnie o rzeczach, o których nigdy nie miałem odwagi ci opowiedzieć...”.

1

*Uritsk, przedmieścia Sankt Petersburga, 22
lipca 2005*

Jaime Aguirre Tamayo spojrział w niebo. Fascynował go jego kolor, błękit o zielonkawym odcieniu wody, i światło opływające wszystko, jakby przesiane przez niewidzialny filtr.

Oślonił oczy prawą ręką, żeby chronić się przed blaskiem i cieszyć nieznanym pejzażem.

Głos pułkownika Bazylego Wasyliewa brzmiał jakby z oddali. Ton plasował się między przemową na wiecu a „wygaworem” do oddziału rekrutów: „Rankiem dwudziestego drugiego lipca tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego nazistowskie Niemcy zaatakowały bez uprzedzenia Związek Radziecki. Sto pięćdziesiąt dwie dywizje, w skład których wchodziło ponad trzy miliony ludzi, wdarły się w nasze granice. Ale naród rosyjski...”.

Aguirre skupił na chwilę uwagę na malowniczej grupie. Pułkownik rezerwy dawnego wojska radzieckiego, stojąc na

prowizorycznym drewnianym podium, opisywał płynnym hiszpańskim z karaibskim akcentem szczegóły Wielkiej Wojny Ojczyźnianej grupie czterdziestu Hiszpanów, słuchających opowieści w pełnym szacunku milczeniu. Obowiązkowa ceremonia stawiająca kropkę nad „i” w jego dziwnej podróży. Za kilka minut pułkownik Wasyliw przekaże im szczątki ochotników, którzy polegli w szeregach Błękitnej Dywizji*, i wszystko się skończy. Znowu czuł pustkę. Straszliwą pustkę.

Co on robi, u diabła, ponad trzy tysiące kilometrów od domu, pośrodku rosyjskiego stepu, słuchając z roztargnieniem o przygodach emerytowanego pułkownika rosyjskiej armii, który mówi po hiszpańsku ze słowiańsko-kubańskim akcentem?

Powody pojawiły się w jego umyśle w postaci wspomnień, łatwo, boleśnie.

Życie Jaimego zmieniło się nagle zaledwie kilka miesięcy

* Błękitna Dywizja hiszpańskich ochotników została sformowana po ataku Niemiec na Związek Radziecki (22 IV 1941). Działacze Falangi hiszpańskiej rzucili pomysł stworzenia formacji wojskowej do walki u boku armii niemieckiej, jako rewanż za pomoc Niemiec gen. Franco podczas wojny domowej, wysyłając legion „Condor”. Rekrutacja rozpoczęła się 27 czerwca. Wchodzące w skład pułków bataliony formowano we wszystkich miastach Hiszpanii. Dowódcą został generał Augustin Munoz Geandes. Żołnierze nosili błękitną bluzę mundurową Falangi, czerwony beret hiszpańskich monarchistów (karlistów). Niemcy wyposażyli dywizję w sprzęt Wehrmachtu, łącznie z mundurem, i przemianowali na 250. dywizję piechoty, włączając w skład 16. armii. Standardowe uzbrojenie i sprzęt Wehrmachtu różniły się emblematem z flagą hiszpańską i oznaką España. Drogę na front w rejon Nowogrodu Wielkiego żołnierze przebyli pociągami do Suwałk, potem 1300 km pieszo. Błękitna Dywizja walczyła w rejonie Nowogrodu, gdzie skierowano ją na południowy odcinek oblężenia Leningradu. Rozłokowana w rejonie Krasnego Boru, musiała stawić czoło ofensywie czterokrotnie silniejszych sił radzieckich.

wcześniej. Wszystko zaczęło się lub skończyło, w zależności od punktu widzenia, 21 listopada 2004 roku. Siedem miesięcy i jeden dzień. Ta data i tamta kolacja z żoną zapisały się na zawsze w jego pamięci. Chciał opowiedzieć Manueli o swoim ostatnim sukcesie w firmie. „To niespodzianka, kochanie”. Został właśnie współnikiem w Asesores de Bolsa, jego roczna premia do końca roku miała wzrosnąć dziesięciokrotnie, a to miał być wielki rok. „Poza tym wiesz, że negocjujemy z Amerykanami — powiedział mu Rafa Guerrero, jego szef, obecnie współnik. — Sprawa rozwija się powoli, ale myślę, że podpiszemy. Będziesz opływał w pieniądze, Jaimito”. Nie mogło mu iść lepiej. Teraz wreszcie kupią ten dom na Minorce, który tak się spodobał Manueli zeszłego lata. A może to było w Benicasim?

— Nie cieszysz się? — zapytał uszczęśliwiony Jaime, z rumieńcem na policzkach i błyskiem w oku, który zawdzięczał transfuzji z brunatnej butelki pesquera, drugiej, którą otworzył z namaszczeniem kelner w Zalacain. Jej kieliszek, pierwszy, pozostawał nietknięty.

Manuela przestała się bawić zegarkiem od Bulgariego za dziewięć tysięcy euro, prezentem z okazji narodzin Laury. Zapięła go znowu na nadgarstku, opadła na oparcie krzesła i powiedziała, patrząc mu w oczy:

— Jaime, chcę rozwodu.

Zatrzymał się świat, zatrzymało się powietrze, zatrzymało się jego serce. Niewiele pamiętał z tamtej kolacji. Później wszystko potoczyło się bardzo szybko, jak na przyspieszonym filmie. Były laguny, chwile, nawet rzeczywiste przestrzenie, których nie pamiętał i których już nie odzyska. Jakby z filmu wycięto niektóre klatki.

— Co, Jaime, twoja żona jest pewnie szczęśliwa, hę? — powiedział mu Rafa, nie mogąc powstrzymać się od puszczenia oka, w ramach pożegnania na przyjęciu w sali konferencyjnej, w towarzystwie pozostałych czterech uśmiechniętych współników. — Kobiety lubią takie rzeczy, sam zobaczysz.

Dobry Rafa, przyjaciel z czasów, kiedy nosili krótkie spodnie jako koledzy ze szkolnej ławy w liceum Pilar. Dobry Rafa został magiem giełdy, ale w wieku czterdziestu trzech lat był nadal kawalerem. Rafa nie miał pojęcia o kobietach. Albo wręcz przeciwnie, wiedział o nich zbyt dużo i dlatego się nie ożenił.

— Jaime, chcę rozwodu.

Widział ją jeszcze rozpartą na krześle w Zalacain, kiedy powtarzała dobitnie te trzy słowa, niespiesznie, z idealnym naciskiem na każde z nich, żeby nie było żadnych wątpliwości.

Jest zmęczona życiem z nim. Nie spełnia się. Jest bardzo młodą kobietą. Zaakcentowała „bardzo”. Chce się bawić, wychodzić wieczorami.

— Jaime, całkiem zgrzybiałeś — mówiła mu wiele razy.

— Zmienię się.

— Grzyby się nie zmieniają, Jaime. Najwyżej zasuszają.

Nie był grzybem, pracował średnio dwanaście godzin dziennie. Otwierał codziennie Asesores de Bolsa o siódmej trzydzieści rano. Godzina wyjścia z pracy zależała od dwóch rzeczy: wychodził o dziewiątej wieczorem, jeśli zjadł kanapkę w gabinecie w porze lunchu, lub o jedenastej, jeśli jadł z klientami. Wracał do domu zupełnie wykończony.

Żona lubiła chodzić na kolacje, chodzić do kina, chodzić na drinka, chodzić na tańce, chodzić, żeby chodzić... Poza

tym weekend był dla niej tym samym co dni powszednie. „W tej kwestii jestem daltonistką, Jaime. Nie odróżniam ich”, mówiła mu nieraz w Pacha. Jaime zasypiał w restauracjach, na seansach, w dyskotekach i na kolacjach u znajomych. Ostatnio zaczął nawet chrapać.

Pracował dwanaście godzin dziennie, żeby mieć lepszy dom, lepszy samochód, lepszą szkołę dla dzieci. Lepsze życie.

— Czy miał pan dobry kontakt z żoną? — zapytał go psychoanalityk, który wyciągał go z depresji po rozwodzie.

— Niech pan zdefiniuje określenie „dobry” — odparł Jaime, próbując zyskać na czasie, wodząc oczami między sufitem a dywanem.

W odpowiedzi lekarz westchnął ciężko.

W rzeczywistości Manuela stała mu się zupełnie obca. Dwanaście lat małżeństwa jak dwanaście pustych pokoi. Kiedy ostatnio rozmawiał z żoną dłużej niż dwie minuty? Nie mógł sobie przypomnieć.

— Ale ja cię kocham. — Pamiętał, że powiedział to przez telefon, nim poszedł do sądu podpisać papiery rozwodowe.

— Jaime, czasem to nie wystarcza. — I odłożyła słuchawkę.

Teraz Manuela żyła tak, jak chciała, wychodziła z domu co wieczór jak piętnastolatka i wyglądało na to, że dobrze się bawi. Miała chłopaka, kolegę z banku. Zostawiła Jaimemu wszystko: dom, samochody, karty kredytowe. „Nigdy nie interesowały mnie twoje pieniądze”, powiedziała, kiedy negocjowali warunki w towarzystwie jej adwokata. Pięciominutowe negocjacje.

Dzieci też jej najwyraźniej nie interesowały, bo także mu je zostawiła. Oboje. „Byłeś lepszym ojcem i matką niż ja. Poza tym masz więcej cierpliwości”.

„Niech pan zawsze szuka pozytywnej strony każdej sytuacji”, poradził mu drugi psycholog. A może to już był psychiatra? Pozytywne było to, że zaczął poznawać swoje dzieci, Jorgego i Laurę, jedno jedenasto-, drugie dwunasto-

Narzucił sobie dyscyplinę, w ramach której nie wracał do domu później niż o ósmej, jadł z nimi kolację i wysyłał do mycia. Podobało mu się to doświadczenie. Naprawdę cieszył się ich towarzystwem. Nie można odzyskać czasu, ale można przestać go tracić, myślał. Czy to właśnie było szukanie pozytywnych stron? Nieświadome tego dzieci pomagały mu wyleczyć się z ran. Od dwóch miesięcy nie był u lekarza i przestał łykać tabletki. Sprawy zaczynały iść lepiej, albo przynajmniej zaczynały iść. Pewnie popadłby w rutynę, gdyby nie to, co wydarzyło się w czasie bożonarodzeniowej kolacji. Pięcioro rodzeństwa, piętnaścioro stryjecznych wnucząt, mama, tata i ciotka Maria Luisa Tamayo — właśnie skończone siedemdziesiąt dziewięć lat, odgrywająca rolę starej panny, jak w każdej szanującej się rodzinie. Wszyscy razem u rodziców, w starym domu w El Viso. Pod koniec kolacji, przy ciastach, marcepanach, drinkach, ciotka Maria Luisa, jak co roku, zagrała na pianinie i zaśpiewała *Cicha noc*. Po angielsku, jak lubiła, była w końcu dwujęzyczna. I bardzo snobistyczna. Później ciotka, już rozparta na sofie, zaczęła wspominać, jak co roku, „wuja” Alvara.

— Gdyby był tutaj wasz wuj Alvaro...

Niemożliwe. Wuj Alvaro nie miał szans dotrzeć nawet na desery. Bo biedny wuj Alvaro, który nie był wujem ani w ogóle nikim, tylko narzeczonym ciotki, z którym nie mogła się chajtnąć z winy sił wyższych, trafił pod ostrzał siedemdziesiąt lat wcześniej w Rosji, wraz z Błękitną Dywizją. Jednak ciotka Maria Luisa opowiadała w każdą Gwiazdkę tę samą historię tym, którzy chcieli, i tym, którzy nie chcieli słuchać, jakby wszystko wydarzyło się wczoraj. Z czasem rodzina zaadoptowała pechowego chorążego Alvara Arenasa de Valcarcel jako „wuja” Alvara, który tym samym zajął poczesne miejsce w rodzinnej mitologii.

— Wuj Alvaro, dwadzieścia trzy lata, skończył politechnikę, jak ty, Pablito — powiedziała ciotka, patrząc na swojego stryjecznego wnuka Pabla. — Skończonych dwadzieścia jeden lat, z czego trzy na pierwszym roku telekomunikacji.

Pablo poprawił się nerwowo na sofie i przestał drapać się w okolicach rozporka śwędzących po ostatnim piercingu, do którego zmusiła go Maika, jego dziewczyna, zajmująca się serwowaniem drinków za barem Kapita.

— Dwadzieścia trzy lata i zabili mi go w Rosji... — Siostra wzięła ją za rękę i uśmiechnęła się do niej z czułością. Przynajmniej od kilku lat nie dodawała „Czerwoni” między „zabili mi go” a „w Rosji”. — Tak mnie kochał!

I wtedy stało się.

Jaime za jej plecami nalewał sobie kolejny kieliszek szampana. Miał serdecznie dość słuchania tej samej historii w każdą Gwiazdkę, ale kiedy się odwrócił, jego spojrzenie zatrzymało się niechcący na twarzy ciotki w chwili, kiedy mówiła „tak mnie kochał”. Poczł gule w gardle, bo zobaczył na jej twarzy wyraz nieskończonego smutku, ten ulotny

błysk, którego nigdy dotąd nie widział w jej zawsze wilgotnych oczach. W tamtej chwili zrozumiał historię miłości kobiety, która czekała, nadal czekała na powrót swojego mężczyzny. Wiedząc, że nigdy nie wróci.

Przypomniał sobie swój wir uczuć do Manueli, jej niekończące się zdrady i przez chwilę zazdrościł Alvarowi Arenasowi de Valcarcel kobiety, która potrafiła go kochać zawsze, poza czasem.

— Przywiozę ci wuja Alvara — usłyszał swój głos dobiegający z oddali, jakby mówił to ktoś inny, jakby tam nie stał, z wysokim kieliszkiem w ręce, z butelką veuve cliquot, z której do kubelka nadal spływała woda.

Jego matka wstała powoli, pocałowała go w policzek i wyszeptała mu do ucha: „Za dużo dziś wypieś, kochanie”, ścierając delikatnie, jak potrafią to tylko matki, wielką łzę spływającą po jego policzku.



Nawet samego Jaimego zdziwiło, jak był niewzruszony, dając słowo, kiedy następnego dnia poszedł odwiedzić ciotkę Marię Luisę w jej mieszkaniu na słonecznym poddaszu w dzielnicy Salamanca. Służąca Adela kazała mu przejść do salonu.

— Nie do wiary, jak pan świetnie wygląda, paniczku Jaime. Ma pan pewnie dziewczyn na pęczki.

Sześćdziesięciodwuletnia Adela zaczęła pracować w domu Jaimego tuż przed narodzinami Jaimego i służyła w domu rodziców, dopóki pięciu „urwipołciów”, jak nazywała czule pięciu braci, nie opuściło starego domu, żeby się ożenić. Matka zdecydowała wtedy słusznie o przekazaniu dobrej

Adeli ciotce Marii Luisie, swojej starszej siostrze, która zaczynała mieć problemy z poruszaniem się i która zawsze chciała mieszkać sama.

— To ty wyglądasz świetnie, Adelo, niedługo nam uciekniesz z którymś z twoich narzeczonych — powiedział Jaime, uśmiechając się najpiękniejszym ze swoich uśmiechów w odpowiedzi na komplement.

— Oj nie, ja już na zawsze zostanę panną, jak pana ciotka, tak mi najlepiej. Mężczyźni zawsze na początku się czują i schlebiają, a jak tylko przestaniesz się pilnować, zostaniesz albo bez pieniędzy, albo bez zębów.

Jaime uśmieł się serdecznie z tej uwagi. Jednak jego śmiech zabrzmiał zbyt głośno, prawie histerycznie. Był spięty i zdenerwowany. W jaką aferę właśnie się pakował?

— Jedziesz do Rosji? Na dwa miesiące? Szukać poległego krewnego z Błękitnej Dywizji? — Pamiętał serię pytań, jakie zadał mu Rafa Guerrero, usłyszawszy jego niezwykłą prośbę.

— Rafa, muszę wyjechać z Madrytu. Odsunąć się od tego na jakiś czas. Wszystko przypomina mi żonę. Była żoną — poprawił się. — Nieważne, czy pojedę do Rosji szukać kości dywizjonisty, czy zapiszę się na kurs surfingu w Australii. Po prostu muszę się stąd wyrwać — odpowiedział mu prawie z bólem.

Nie było moralnych osądów ani wyrzutów. Żadnego „musisz zdobyć się na odwagę, żeby stawić temu czoło” albo „nie uciekaj od samego siebie”. Ani morałów, ani pogawędek. Rafa nie oceniał przyjaciół. „Jestem tutaj, żeby cię wysłuchać — powiedział — żeby się z tobą upić albo pójść na dziwki. Przywieź mi kawior, tam nie jest taki

drogi”. Dobry Rafa. Pogadał z pozostałymi współnikami i wszystko załatwił. „Nie chciał jechać, ale musiałem go przekonać, żeby wziął ze dwa miesiące urlopu. Nie może dojść do siebie po rozwodzie, potrzebuje relaksu. Za parę miesięcy będziemy go mieli z powrotem w szczytowej formie, zobaczycie”. Rafa, zaklinacz węży. Jego przyjaciel.

Klamka zapadła. Miał jechać do Rosji. Szukać szczątków swojego wuja, który nie był wujem ani w ogóle nikim. Wszystko z powodu słów i spojrzenia kobiety. Albo z powodu szampana. Albo zawiniło wszystko razem. Co za różnica.

Musiał jednak przyznać, że trwanie między podróżą, przygodą i nonsensem wywoływało w jego żołądku niepokojące łaskotanie. Miał przeczucie. Nie potrafił wyrazić go słowami, ale w tym zwariowanym planie było coś, co zbijało go z tropu. Czuł, że wchodzi do gry, w której jest na razie bezwolnym pionkiem. Absurd. Powinien przeczytać jeszcze raz ulotkę dołączoną do przepisanych tabletek. Za dużo chemii w ciągu ostatnich tygodni. A jednak był zdecydowany to zrobić. Musiał to zrobić. Nie rozumiejąc jeszcze dlaczego.

— Pańska ciotka zaraz przyjdzie, właśnie się ubiera. — Adela wyrwała go z niespokojnych rozmyślań. — Podać vichy z plasterkiem cytryny?

— Niech będzie vichy, Adelo — odpowiedział, opadając na miękką kanapę.

Woda mineralna Vichy z lodem i plasterkiem cytryny, jeden z jego małych, niegroźnych nałogów. A do tego ikona z dzieciństwa. Po raz pierwszy ją zobaczył, gdy pił ją Bogart w jakimś filmie obejrzanym w czasie jednego z tych fantastycznych seansów w sobotnie wieczory, na które zabierała go matka. „Chcesz iść ze mną na targ, Jaimito?”. Było coś

tajemnego w tych wyprawach. „Co pije ten pan, mamó?”. „Vichy z plasterkiem cytryny, synku, to bardzo elegancka rzecz”.

Poza tym że była elegancka, vichy catalan musiała nieźle rozgrzewać krew, bo po wypiciu dużego łyka ze szklanki Bogart wpakował trzy kulki panu, którego właśnie mu przedstawiono i który w dodatku przed chwilą zaproponował mu papierosa bez filtra. Z czasem Jaime doszedł do wniosku, że Bogart w filmie udawał, że pije gin z tonikiem. Chociaż znając Bogarta, pewnie naprawdę pił gin z tonikiem. Albo kilka, bo przecież zawsze powtarzali ujęcia, te z piciem i wszystkie pozostałe.

Jednak jemu wbiła się w pamięć woda Vichy i plasterek cytryny. Manuela uważała oczywiście, że to bzdura, i denerwowała się zawsze, kiedy o nią prosił.

— Ale dlaczego, do jasnej cholery, nie wypijesz drinka, jak wszyscy?

Ani on, ani Bogart nie byli jak wszyscy.

Jaime obiegł wzrokiem obszerny i zatłoczony salon. Jak zwykle jego uwagę przykuł duży czarny fortepian. Ciotka grała na nim po mistrzowsku: pięć lat konserwatorium. Klapa była opuszczona, stał na niej tuzin zdjęć w ramkach ze srebra i kryształu z Duran. Wspomnienia całego życia.

Podniósł się, żeby lepiej im się przyjrzeć. Od razu znalazł to, którego szukał, trochę na prawo, w pierwszym rzędzie, na swoim miejscu. Stare czarno-białe zdjęcie, które czas zabarwił na kolor sepii. Oto wuj Alvaro pozujący w mundurze piechoty Wehrmachtu, na prawym ramieniu naszywka z hiszpańską flagą, znak rozpoznawczy Błękitnej Dywizji. Towarzyszy mu trzech wojskowych, jeden porucznik i dwóch chorążych. Oglądał to zdjęcie wiele razy, ale teraz zastanowił

go młody wiek żołnierzy, musieli mieć niewiele ponad dwadzieścia lat. Uśmiechali się beztrudnie; wuj Alvaro, z włosami wypomadowanymi brylantyną i zaczesanymi do tyłu, z cienkim wymuskany wąsikiem, wyglądał jak amant filmowy z lat pięćdziesiątych, z papierosem wetkniętym w usta z wystudiowaną nonszalancją. Uśmiechali się wszyscy poza jednym, najwyższym, z jasnymi włosami i o jasnych oczach. Jego głębokie spojrzenie zdawało się mówić, że jako jedyny z całej grupy wiedział, dlaczego tam jest.

— Przystojny, prawda?

Jaime podskoczył i odwrócił się, żeby zobaczyć stojącą za jego plecami ciotkę Marię Luisę.

— Przestraszyłam cię — powiedziała, śmiejąc się. — Przepraszam, chłopcze, te dywany... — Uderzyła lekko końcem laski w gruby perski dywan. — Są tak gęste, że nie słychać kroków.

— Nic nie szkodzi, ciociu — odpowiedział. — Oglądałem zdjęcie wuja Alvara.

— To jest ostatnie, jakie mi po nim zostało. Jest datowane.

— Tak. „Krasny Bór, front leningradzki, dwunastego października tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego”.

— Tego dnia dotarli na front. Ale usiądźmy. Nie wytrzymuję długo na stojąco.

Do salonu weszła Adela. Niosła srebrną tacę z wodą Vichy z lodem i plasterkiem cytryny oraz serwis do herbaty.

— Bardzo dziękuję, Adelo — powiedziała ciotka Maria Luisa, rozsiadając się wygodnie w skórzanym fotelu. Jaime usiadł obok niej, na długiej kanapie. Nalała sobie herbaty bez cukru i spróbowała jej, upijając mały łyk. Odstawiła filiżankę na stolik z wyrazem aprobaty. Spojrzała mu w oczy.

— Naprawdę pojedziesz po niego?

Odchrząknął lekko, zanim odpowiedział.

— Tak. Pojadę po niego. Teraz mam dużo czasu, poza tym należy mi się sporo urlopu. — Nie przypominał sobie, żeby wziął więcej niż piętnaście dni wolnego w ciągu ostatnich sześciu lat. — I teraz z niego skorzystam — dodał z uśmiechem.

— Ale będziesz musiał podróżować. Będziesz musiał tam pojechać, do Rosji. — Ostatnie zdanie wymówiła bardzo powoli.

— Tak, trzeba będzie jechać do Rosji. Nie martw się dziećmi, rozmawiałem już z mamą. Chętnie się nimi zajmie.

— To dobrze. — Wyglądała na uspokojoną.

— Tak, to dobrze. — Urwał, próbując zyskać na czasie. Prawdę mówiąc, nie wiedział, jak kontynuować, albo raczej jak zacząć. — Będę potrzebował twojej pomocy — powiedział wreszcie.

— Jestem do twojej dyspozycji, młodzieńcze. — Posłała mu uroczy uśmiech. Jaime pomyślał, że ciotka musiała być kiedyś bardzo piękną kobietą.

— Na przykład kim są wojskowi na zdjęciu? — można było równie dobrze od tego zacząć. — Może któryś z nich jeszcze żyje i mógłby mnie naprowadzić na jakiś ślad.

— A tak! Pozwól, że spojrzę.

Jaime podał jej zdjęcie, siadając bliżej.

— Spójrz, ten z prawej, brunet, to Gaspar Gonzalez Palenzuela. Nazywaliśmy go „Sele”. Ten stojący po jego lewej stronie, którego obejmuje ramieniem, to generał Cabrera. To znaczy, wtedy był porucznikiem, ale dochrapał się generała, zostając w wojsku.

- A ten czwarty?
- Nie wiem. Nie wiem, kim był ten chłopak. Pewnie zaprzyjaźnili się z nim w czasie marszu na front. Wysłali ich do Leningradu z Polski na piechotę. W czasie ponad tysiąc-kilometrowego spaceru jest czas na wiele rzeczy, nawet na przyjaźń, prawda?
- Pewnie tak.
- Twój wujek w listach bardzo się skarżył na te marsze. Pisał, że były straszne. — Wykonała ręką gest dezaprobaty.
- Opowiedz mi coś więcej o Selem i Cabrerze.
- Znali się ze studiów. Poszli razem na wojnę, skłamali na temat swojego wieku, żeby się zaciągnąć. Byli przyjaciółmi od zawsze, należeli do jednej paczki chłopaków. Dzisiejsza młodzież tego nie zrozumie... Dawniej młodzi ludzie byli zdolni do wszystkiego dla ideałów, dla przyjaźni. Właśnie dlatego pojechali do Rosji. Tak postanowili pewnej nocy w Chicote, byłam wtedy z nimi.
- A ja myślałam, że wszyscy ochotnicy byli falangistami...
- Jasne, że byli z Falangi. W trzydziestym dziewiątym w Hiszpanii wszyscy byli falangistami, w Niemczech nazistami, we Włoszech faszystami, a w Rosji komunistami. Kto nie należał do partii, siedział w więzieniu albo jeszcze gorzej. Wtedy wszystko na świecie było proste — westchnęła, nalewając sobie drugą filiżankę herbaty.
- Wiesz, czy któryś z nich jeszcze żyje? — zapytał bez większych nadziei.
- Cabrera i Sele żyli jeszcze w czerwcu dziewięćdziesiątego pierwszego. Wtedy widziałam ich ostatni raz.
- Widziałas obu?

— Obu. Dostałam zaproszenie ze Stowarzyszenia Kom-
batantów Błękitnej Dywizji. Próbowali zlokalizować wszyst-
kich dywizjonistów. — Uśmiechnęła się na to wspomnienie.
— Chcieli też odnaleźć ich żony, narzeczone i matki
chrzestne, nieznajome dziewczyny, które pisały do nich
listy... i cóż, najwyraźniej trafili na mnie. — Zamieszała
herbatę bez cukru. — Na początku nie chciałam iść, ale w
końcu dałam się przekonać. — Posmutniała. — Chyba w
głębi duszy pomyślałam: a jeśli nie umarł? A jeśli zaszła
pomyłka i spotkam go tam? — Następna pauza, jej oczy
znów zwilgotniały. — Co za głupota, nieprawdaż?

— A więc Sele i Cabrera byli na tym spotkaniu wetera-
nów? — Jaime nie chciał stracić wątku.

— Tak, tak. Byli tam. Rozpoznałam ich od razu. A oni
mnie — zaznaczyła kokieteryjnie. — To był bardzo miły
wieczór, wspominaliśmy stare czasy... A Alvaro nie, nie
przyszedł.

— I wzięłaś od nich adresy, telefony?

— Tak, naturalnie. Obaj dali mi swoje wizytówki. Powi-
nienesz się z nimi skontaktować. Dżentelmeni w każdym calu,
pomogą ci we wszystkim, o ile to będzie w ich mocy. Jeśli
nie umarli.

Jaime policzył szybko w myśli. Wszyscy byli mniej więcej
w tym samym wieku, blisko dwudziestki. Teraz mają pewnie
koło osiemdziesiątki.

— Jest jedna rzecz, co do której chciałbym być pewny. —
Jaime nie wiedział, jak to ująć. — Bardzo by mi pomogło,
gdybym wiedział dokładnie, gdzie mógł zginąć wuj Alvaro.

Maria Luisa uśmiechnęła się lekko i spojrzała na niego z
głęboką wdzięcznością, biorąc filiżankę w obie ręce, jakby

szukała w kawałku porcelany ciepła jakiegoś utraconego wspomnienia. To była najważniejsza rzecz w jej życiu, a nigdy nikt się tym nie przejął.

— Nie wiem dokładnie — upiła łyk herbaty. — Nie wiem jak ani gdzie. Uznali go za zaginionego ósmego listopada czterdziestego pierwszego, na froncie leningradzkim. — Znow umilkła. — Ale Sele, podczas tamtego spotkania kilka lat temu, opowiedział mi inną historię. Powiedział, że zginął miesiąc później, pod koniec grudnia, w czasie wielkiej ofensywy sowieckiej, która przerwała oblężenie miasta. Poległ razem z tymi z linii środkowej, pięćdziesięciu ludzi broniących pozycji, odznaczyli ich potem zbiorowo — westchnęła. — Myślę, że Sele mnie okłamał: „Możesz być z niego dumna, padł jak prawdziwy bohater, jak najlepsy...”, powtarzał mi. — Po jej policzku zaczęła płynąć łza.

— Ale zginął przecież w listopadzie.

— Tak — powiedziała, wydmuchując bezgłośnie nos w małą chusteczkę z lnu, która pojawiła się nie wiadomo skąd — ale Sele pokazał mi listę poległych na linii środkowej; rzeczywiście był tam jeden Valcarcel. Powiedział, że to było normalne, że na froncie panował chaos, że jeśli nie wróciłeś ze zwiadu albo z warty w ciągu czterdziestu ośmiu godzin, uznawali cię za zaginionego. A jeśli pojawiałeś się później, wracałeś na listę żywych albo nie. Bo mogło się zdarzyć, że w dniu, w którym się pojawiłeś, ginął koszarowy skryba.



— Mister Aguirre, mister Aguirre!

Ciotka i jej salon zniknęły. Krzyki porucznika saperów wyrwały go brutalnie ze wspomnień i przywróciły do rze-

czywistości. Podbiegł do niego młody rosyjski oficer. Nie zdając sobie z tego sprawy, Jaime odszedł daleko od grupy. Przyjrzał się żołnierzowi. Jego moro było całe pokryte błotem, kompania pracowała ciężko przy fosach, wydobywając szczątki trzystu ciał. *W rezultacie ekshumacji dokonanych na linii dawnego frontu leningradzkiego znaleźliśmy w sumie trzysta dwa ciała obcokrajowców. Jestem pewien, że będzie wśród nich sporo Hiszpanów*, informował triumfalnie faks, który otrzymał prawie miesiąc wcześniej w hotelu. Był podpisany przez pułkownika Bazylego Wasyliewa, stojącego na czele tej ekshumacyjnej akcji na wielką skalę.

— Pułkownik chce się z panem widzieć — powiedział porucznik poprawną angielszczyzną, głosem urywanym z powodu zadyszki wywołanej biegiem.

Rosja była dziwnym krajem. Pod koniec miesiąca żołnierze musieli szukać wiktury na śmietnikach, ale za to o jałmużnę potrafili prosić po angielsku. Ponad pół wieku komunizmu zrobiło z Rosjan jeden z najlepiej wykształconych ludów Europy, ale nie przygotowało ich do bankructwa. Poczuł ukłucie żalu. Ten kraj zasługuje na lepszy los.

— Jestem do dyspozycji, poruczniku — odparł Aguirre niemal idealną angielszczyzną. Rok kelnerowania w Cambridge po skończeniu studiów i trzy lata w pracy w City w filii Asesores de Bolsa (doradców giełdowych) pozwoliły mu na opanowanie angielskiego niemal perfekcyjnie.

Wasyliew przyjął go w centralnie położonym biurze kompleksu sportowego składającego się z szeregu granitowych brył w stylu dojrzałego sowieckiego konstruktywizmu. Tak jak cały kraj, kompleks popadał w ruinę.

— Doktorze Aguirre... — Uśmiechnął się wesoło, bardzo

wesoło. Jaime obliczał, ile musiał kosztować każdy uśmiech. Według czasu trwania między jednym a półtora tysiąca dolarów. Tysiąc pięćset, jeśli uśmiechał się, pokazując kły i złotą koronkę na trzonowcu. — Pańska podróż nie była bezcelowa. — Uścisnął mu serdecznie dłoń, wykonując gest, coś między salutowaniem a gratulacjami. — Jak pana uprzedziłem kilka tygodni temu, znaleźliśmy sporo szczątków Hiszpanów. — Zrobił teatralną przerwę. — W sumie sześćdziesięciu siedmiu. Mam już zaświadczenia od Wasyliew zawsze zwracał się do niego po hiszpańsku. Od momentu, gdy przedstawił mu go hiszpański konsul w hotelowym holu, niecałe czterdzieści osiem godzin temu. „Nauczyłem się na Kubie. Wysłali mnie tam na osiem lat do bazy radarowej Pino Alto w Varadero. Raj, przyjacielu — opowiedział mu nieproszony. — Moja stacja miała wystrzelić pociski na Stany Zjednoczone, wie pan — opowiadał później po wypiciu sporej ilości wódki, puszczając do niego oko. — I zrobilibyśmy to, wsadzilibyśmy raketę w dupę temu dzieciakowi Kennedy'emu... przepraszam... może...”.

— Spokojnie — powiedział Aguirre. — Zawsze głosowałem na republikanów.

Wasyliew był typem rubasznym i otwartym, pułkownikiem rezerwy, w tym ciekawym stopniu rosyjskiej rezerwy, który dawał mu prawo do noszenia munduru, kiedy mu przychodziła ochota, do jeżdżenia służbowym samochodem, a w niektórych obozach, jak w tym w Sankt Petersburgu, do rządzenia bardziej i lepiej niż sam prezydent Federacji Rosyjskiej.

— Niech mi pan powie, podoba się panu nasze miasto? Lenin... ee, Sankt Petersburg to piękne miasto. — Wasyliew

był już dobrze po siedemdziesiątce. — Za stary ze mnie pies na uczenie się nowych sztuczek — wyznał mu tej samej nocy, o trzeciej nad ranem, po historii o pociskach i gdy wypili we dwóch cały zapas stolicznej z hotelowego baru. Leningrad. Zawsze kiedy wspominał o tym mieście, zaczynał od „Lenin” i kończył na poprawnym politycznie Sankt Petersburgu. Co ciekawe, wszyscy Hiszpanie, którzy przyjechali tam w poszukiwaniu szczątków swoich krewnych poległych w Rosji, używali na określenie miasta jego dawnej, rewolucyjnej nazwy: Leningrad. Między sobą, w żartach, nazywali swoją wyprawę „ekspedycją”. Aguirre miał wrażenie, że wszyscy, wracając do Leningradu, przeszli przez okno czasu. Przyjechali tam przed miesiącem, kiedy Wasyliw potwierdził znalezienie pierwszych szczątków „zagranicznych żołnierzy”. Byli tam, bo ich zeznania mogły pomóc w identyfikacji ciał. Pamiętał dobrze długie spotkania z nimi i z ekipą Wasyliewa. Czytanie listów żołnierzy, stare fotografie przechowywane jak relikwie. Pełne szacunku milczenie, z jakim młodzi rosyjscy oficerowie słuchali opowieści krewnych żołnierzy, którzy walczyli przeciwko ich ojcom, wujom lub dziadkom. Jaime pamiętał też wiele wilgotnych oczu, wiele zachrypłych nagle głosów i kilka ukradkowych łez. Teraz był jednak pewien, że jego towarzysze przyjechali tam po coś więcej niż po górę kości ludzi, których w większości przypadków nawet nie znali. Byli tam, żeby odnaleźć część swojej przeszłości, wypełnić białą kartę niepełnej historii, podobnej do okładki przeczytanej książki, która nie chce się zamknąć. Dla nich wszystkich, tak jak dla Wasyliewa, to miasto było Leningradem i nie mogło być Sankt Petersburgiem.

Negocjacje z pułkownikiem były łatwe, pod warunkiem że nie kłóciło się o cenę, zawsze czterdzieści trzy procent więcej, które obliczał od sumy figurującej na oficjalnych rachunkach rosyjskiego wojska. Jeśli przestrzegało się tych prostych reguł operacyjnych, na Bazylim Wasyliwie można było polegać. Poza tym stary pułkownik sam w sobie był cennym dodatkiem: walczył pod Leningradem.

— Miałem niespełna osiemnaście lat. — Wasyliw wypił już sam pół butelki wódki, ale nadal mówił niezwykle jasno i trzeźwo. — Mieszkałem z rodziną, skromnymi chłopami, w Mogorowie, kilka kilometrów stąd, na południe. Pod koniec czerwca albo na początku lipca czterdziestego pierwszego czoło naszego wojska weszło do wsi, uciekając w rozsypce przed nazistami. Do naszej chaty przyszedł komisarz polityczny z plutonem. Kazał moim braciom wsiąść do ciężarówki i zapytał ojca, ile mam lat.

— Szesnaście — skłamał przerażony ojciec.

— Jest bardzo wysoki jak na szesnaście lat — zauważył sucho komisarz, oglądając skromną chatę i sąsiadujące z nią pola obsiane żytem, prawie już dojrzałym.

— Jeśli zabierzecie i jego, kto mi pomoże zebrać plony? — powiedział ojciec, korzystając z ostatnich pokładów odwagi, jakie mu zostały.

Komisarz myślał przez chwilę. Odwrócił się do ciężarówki, w której siedzieli młodzi chłopci i żołnierze.

— Towarzyszu sierżancie! — krzyknął, uderzając trzcinką w swoje buty z cholewami.

— Tak, towarzyszu komisarzu!

— Weźcie trzech nowych rekrutów, niech natychmiast spalą dom i pole! — Odwrócił się do pary chłopów, nie

czekając, aż jego rozkaz zostanie wykonany, z pewnością kogoś, kto wie, że nie podaje się w wątpliwość jego rozkazów. — Już się nie musicie martwić o plony. Zabieram chłopaka.

— Stalin nazywał to „spaloną ziemią” — kontynuował Wasyliew spokojnie, bez śladu żalu czy goryczy. — Trzeba było spalić wszystko, co zostawialiśmy za sobą, żeby wróg nie znalazł niczego nadającego się do użytku. Ani domów, ani fabryk, ani plonów, którymi można by się wyżywić. Było ciężko, przyjacielu, ale dzięki temu z nadejściem pierwszej zimy zaczęliśmy wygrywać wojnę.

— A pana bracia byli z panem w czasie oblężenia Leningu?

— Nie, wysłali ich pod Stalingrad. Już ich więcej nie zobaczyłem, moich rodziców zresztą też nie. — Jego twarz posmutniała. — Smutne, co? Rosja to kraj pełen przegnąbiających historii. — Osuszył następną oszronioną szklankę wódki. Jego wodniste spojrzenie zagubiło się na chwilę w jakimś nieokreślonym punkcie baru. Nagle uśmiechnął się i spojrzał na Jaimego. — Ale pan nie musi się martwić. Pułkownik Wasyliew znajdzie pańskiego wuja! — powiedział, zamieniając smutek na nagły wybuch euforii, i stuknął szklanką wódki o szklankę swojego hiszpańskiego klienta.



Musi go znaleźć. Wydał już na całą operację ćwierć miliona dolarów. „Pieniądze nie grają roli — pamiętał, jak mu powiedział Gaspar Gonzalez Palenzuela — ale niech pan przywiezie tych chłopców do domu, za długo

siedzą w Rosji, to wszystko już się dawno skończyło”. Tak dokładnie powiedział kapitan Sele. Poznał go miesiąc po spotkaniu z ciotką Marią Luisą, w styczniu tego samego roku. Palenzuela umówił się z nim w hotelu Palace w Madrycie, po krótkiej rozmowie telefonicznej.

— Jeśli przysyła pana Maria Luisa Tamayo, mam do pana zaufanie — powiedział mu.

Spotkał się z weteranem dywizji w imponującym holu hotelu, skąpanym w świetle południowego słońca o delikatnych odcieniach, sączącym się przez ogromny witraż w dachu. Był tam, wygodnie rozparty na jednej z miękkich kanap, czytał „Financial Times”, obok niego leżała „Marca”*, a na stoliku stała szklanka wody Vichy z lodem i plasterkiem cytryny. Miał siedemdziesiąt cztery lata i nadal wyglądał imponująco. Nie był wysoki, około metra sześćdziesięciu pięciu, miał bardzo białe, krótko obcięte włosy. Obnosił idealną opaleniznę i zmarszczki świadczące o życiu pod gołym niebem: nieomylny znak rozpoznawczy żołnierza, którego los dobrze traktował po zakończeniu służby.

— A więc to pan jest siostrzeńcem Alvara. — Zlustrował go od stóp do głów znad okularów. — Proszę usiąść, młodzieńcze. Na stojąco jest pan idealnym celem, a ja nie mam zamiaru się podnosić.

Palenzuela miał specyficzne poczucie humoru. Uścisnął rękę Aguirrego, sprawdzając odporność jego ścięgien i kości. Jaime powstrzymał rosnące pod wpływem jego oczu uczucie skrępowania. Wiedział, że Palenzuela przeświecił go wzrokiem. Znał to wrażenie, znał ten rodzaj ludzi. Należał do

* Hiszpańska gazeta sportowa.

tych, którzy w kilka sekund wyrabiają sobie ostateczną opinią na temat rozmówcy. Nadaje się albo się nie nadaje. Zdarzyło mu się to już przy okazji zebrań z inwestorami. Wiedział, nikt nie musiał go o tym uprzedzać, że był kapitan Gaspar Gonzalez Palenzuela jest bogaty, bardzo bogaty. Wystawili sobie nawzajem ocenę „nadaje się”.

— Chce się pan czegoś napić? Ja muszę się zadowolić tą pedalską vichy. — Jaime spojrział na niego z sympatią. — Moja żona jest jeszcze w pokoju, jak wyczuje alkohol...

— Nie, wystarczy vichy.

Rozmawiali, rozmawiali i rozmawiali, od dwunastej w południe do pory podwieczorku. Czas minął w mgnieniu oka. Palenzuela spojrział bez skrępowania na swojego złotego roleksa.

— Zrobiło się późno. Może jajka sadzone w Lucio?

— Ale pana żona...

— Niech skończy plądrować Serrano czy Corte Ingles. Uwielbia zakupy. Jest pan żonaty, młodzieńcze?

Gaspar Gonzalez Palenzuela brał udział w rosyjskiej kampanii razem z Alvarem Arenasem de Valcarcel.

— Alvarito, niezły ananas. Nazywali go w kompanii Alvarito Przystojniak. Nie mów ciotce, ale myślę, że przeleciał w Rosji przynajmniej kilka pańienek — powiedział poufałym tonem.

Sele również był tamtej nocy w Chicote. Sele, generał Cabrera i Alvaro, trzej muszkietierowie.

— Trzeba odwdziżyć się Roskim za wizytę! — wykrzyknął uroczyście Cabrera przy zastawionym barze wśród oklasków wszystkich klientów, i trzej przyjaciele przypieczętowali tej samej nocy pakt honoru i krwi.

Palenzuela zaliczył całą rosyjską kampanię, najpierw z Błękitną Dywizją na froncie leningradzkim. Kiedy ich zdemobilizowali w 1943, zaciągnął się jako ochotnik do Błękitnego Legionu* i nadal walczył z Rosjanami na froncie wschodnim. W 1944, kiedy repatriowano ostatnich żołnierzy, przyłączył się do SS.

— Ja nigdy nie zostawiam spraw w pół drogi, chłopcze. Jak coś raz zacząłem, muszę to skończyć — powiedział w ramach zwięzłego wyjaśnienia. — Służyłem w sto pierwszej kompanii hiszpańskich ochotników SS — ciągnął. — Broniłem Berlina. To była ciężka przeprawa, wiele razy o mało nie wysłali mnie na tamten świat. „Tym razem się nie wywiniesz, Palenzuela”, powtarzałem sobie codziennie. Wywinałem się oczywiście, jak wtedy z linii środkowej, cudem, ale się wywinałem. Moja żona zawsze mi mówi, że mam masę szczęścia. Świetne jajka, co? — Uformował stateczek z resztki błyszczącego pomarańczowego żółtka.

Lucio, który właśnie pozdrawiał siedzącego przy stoliku obok młodego toreadora, odwrócił się, słysząc głos weterana. Dawny dywizjonista wstał i uściskali się, jak to potrafią tylko starzy przyjaciele.

— Ale masz jaja, Lucio! Dobrze, że nie musiałeś umierać!

Tym, który miał umrzeć, gdyby wbrew wszelkim rachunkom prawdopodobieństwa nie wyniknął się przeznaczeniu, był Gonzalez Palenzuela w Berlinie. Dla ścisłości dokładnie

* 17 listopada 1943 roku utworzono Błękitny Legion, którym dowodził Antonio Garcia Navarro. Niedobitki ochotników hiszpańskich weszły następnie w skład hiszpańskiego batalionu SS — jako część flamandzkiej ochotniczej dywizji grenadierów SS „Charlemagne” — z którym przeszli szlak bojowy aż do Berlina.

30 kwietnia 1945 roku, tego akurat dnia, w którym Hitler palnął sobie w łeb w swoim schronie. Tego samego dnia Palenzuela bronił barykady na moście Kronprinzen, około siedmiu kilometrów od bunkra kanclerza Rzeszy. Powiedziano mu, że przybył pułkownik Hesse z Volkssturmu, milicji ludowej, siedemdziesięciosześcioletni staruszek, który walczył w czternastym roku.

— Berlina — Sele ciągnął opowieść o oblężeniu i upadku miasta — w końcu bronili starcy i dzieci. Nie było już młodych, byli martwi albo wzięci do niewoli. Niemcy były już matką o wyschniętych cyckach — zaznaczył, osuszając kieliszek doskonałego bagordi gran reserva, którym podlewali podwieczorek.

— Jeszcze jedna butelka, panie Palenzuela? — przerwał im kelner.

— Pewnie, niech pan przyniesie jeszcze jedną. — Kelner zabrał ze stołu pustą butelkę. — No i proszę, zgubiłem się, o czym to opowiadałem?

— Pana barykada w Berlinie, wizyta tego oficera...
Zamknął oczy, próbując sobie przypomnieć...



Podniszczony kübelwagen bez budy pułkownika Hessego, ominął ostatnie ruiny i zatrzymał się na jednej z ulic dzielnicy dyplomatycznej, niedaleko mostu. Jego asystent i kierowca, emerytowany bankier, przyjrzał się pogniecionej mapie, którą dostał w kwaterze głównej, próbując zorientować się w tym dymiącym oceanie poczerniałych szkieletów budynków. Wysiadł z pojazdu i pomógł zejść pułkownikowi.

— Barykada Kronprinzen musi być tu, za rogiem, puł-

kowniku! — wrzasnął kierowca. W ciągu ostatnich tygodni wszyscy porozumiewali się w Berlinie krzykiem, tylko tak można się było usłyszeć wśród huku nieustających eksplozji. Sele zobaczył ich u wylotu ulicy, szli skuleni i przyklejeni do ściany. Zmełł w ustach przekleństwo.

— Ej, wy dwaj, odsuńcie się od ściany i idźcie środkiem, jeśli chcecie gdzieś dotrzeć żywi!

Dwaj mężczyźni posłuchali polecenia. Palenzuela pomyślał, że przysłali mu następnych ochotników żółtodziobów, z tych, co to przyklejają się jak pleśń do ścian na odgłos pierwszych strzałów, sądząc, że w ten sposób nic im się nie stanie. Nikt nie zawracał sobie głowy wyjaśnieniem im, że ściany domów pod intensywnym ostrzałem tworzą efekt tunelu, w którym zabłąkane kule przelatują bokami, wymiatając wszystko na swej drodze. Kiedy dotarli do barykady, pułkownik Hesse zażądał widzenia z oficerem dowodzącym.

— To ja, pułkowniku. — Palenzuela stanął na baczność.

— Pan nie jest Niemcem, prawda? — zapytał Hesse, natychmiast rozpoznając obcy akcent.

— Nie, pułkowniku, jestem Hiszpanem.

— Proszę, proszę, Hiszpan... Przyjechałem z barykady na Königsplatz. Tam większość to Francuzi. Ciekawe, coraz trudniej znaleźć Niemców w Berlinie... — Wybuch bliskiej eksplozji zmusił ich do pochylecia się, a z budynku obok osunęła się fasada.

— Chociaż, jeśli to jeszcze trochę potrwa, będzie ciężko znaleźć w Berlinie nawet karaluchy. Żywe karaluchy, oczywiście.

— Nie jest tak źle — skłamał świadomy, że pułkownik wie, że mówi nieprawdę. — Wytrzymamy.

— Jasne. Może pan zwołać ludzi, kapitanie? Chciałbym im powiedzieć parę słów.

— Oczywiście, pułkowniku. — Zasalutował, stukając obcasami, i odwrócił się, szukając spojrzenia sierżanta Lasienki. Dymitr Lasienko był Ukraińcem, własowcem, jak nazywano renegatów wchodzących w skład pierwszej dywizji rosyjskiej armii wyzwolenczej pod dowództwem generała Andrieja Własowa.

Po przejściu na stronę Niemców Własow zachował ten sam stopień, jaki miał w Armii Czerwonej. Zdrada sowieckiego generała, który zmienił barwy po tym, jak dostał się do niewoli, i rzetelna praca niemieckiego wywiadu, były w swoim czasie podstawą hitlerowskiej propagandy. Niemcy chciały pokazać światu, że wojna miała na celu uwolnienie słowiańskich narodów spod tyranii komunizmu. Własow i jego wojsko sowieckich renegatów byli tego najlepszym przykładem.

Jednak wiele miesięcy po tym zamachu o propagandowej wymowie sen Własowa i jego ludzi rozwiął się. Jego jednostka była od wrót Moskwy w ciągłej defensywie.

Sele poznał sierżanta Lasienkę kilka godzin po tym, jak Rosjanie przerwali front nad Odrą, ostatnią nadzieję Berlina. Poznali się na skrzyżowaniu dróg, gdzie zbierały się niedobitki ze wszystkich ocalałych jednostek, podczas odpoczynku w chaotycznym odwrocie.

— Mam dość uciekania i bycia pokonanym — wyznał mu, kiedy obaj wyjadali wędzonego śledzia z jednej puszki znalezionej w opuszczonym gospodarstwie. Siedzieli w leju po bombie, ufając głupiej żołnierskiej logice, według której „gdzie spadła jedna bomba, nie spadnie następna”.

Sele słuchał urywanych zdań Lasienki, czując jeszcze to łaskotanie na pośladkach i wzdłuż kręgosłupa wywołane drżeniem ziemi. Ten nieznaczny, ale nieprzerwany ruch sejsmiczny wywoływał ogień radzieckich baterii. Ile dział mieli Rosjanie? Ile ton materiałów wybuchowych zrzucali na nich niezmordowanie w ciągu ostatnich dni? W tym momencie ostrzeliwali nieubłagane pozycje, które wojsko niemieckie już opuściło. A ziemia drżała, przypominając im złowieszczą moc wrogów, ogłaszając ostateczną i nieodwo-

— Berlin to dobry pomysł — uznał Lasienko, kiedy Sele powiedział mu, dokąd się kieruje wraz z resztkami swojej zdziesiątkowanej jednostki. — Nie będziemy już mogli się cofnąć z Berlina, prawda, kapitanie? Berlin to w takim razie dobry pomysł — powiedział z typowo słowiańskim fatalizmem.

Kiedy Sele szukał na barykadzie podoficera, myślał o przemówieniu, którym z pewnością uraczy ich starych pułkownik: Ani kroku w tył, trzeba bronić Berlina krwią i ogniem, Berlin stanie się grobem komunizmu... Zastanawiał się, czy chociaż jeden obrońca oblężonego miasta wierzy jeszcze w te bajki.

Zdziwił się, słysząc swój śmiech. Nikt już w nic nie wierzył. Pewnie nawet Hitler, pogrzebany w swoim bunkrze, nie wierzył we własne kłamstwa.

Wszyscy walczyli wtedy o to samo, o co walczył Lasienko.

Dotarli do ostatniej stacji, *non plus ultra*, koniec.

Walczyli z siłą i determinacją kogoś, kto nie ma już nic do stracenia, z czystej ochoty dożycia do następnego dnia, nie mając żadnego planu na wypadek, gdyby się to udało.

Wyglądali końca ze stoickim spokojem, ale też z niecierpliwością aktora czekającego, aż opadnie kurtyna w sztuce, do której jego rola nie bardzo pasuje.

Palenzuela chciał odpocząć, zamknąć oczy, spać. Zapomnieć.

Pojawił się Lasienko.

— Sierzancie, proszę zebrać całą jednostkę poza strażami. Przedstawiają nas wszystkich do odznaczenia Krzyżem Żelaznym — powiedział z ironią.

Ukraińiec uśmiechnął się półgębkiem i zasalutował po żołniersku — nigdy nie widział, żeby salutował jak faszysta — i odwrócił się na pięcie, żeby zacząć zbierać ludzi. W tym momencie Sele usłyszał krótki gwizd pocisku. Idealna parabola. Wiedział, że leci prosto na nich, ale się nie bał. Później wszystko potoczyło się bardzo szybko, krótki błysk światła, suchy huk, dziwne oddalenie. To tak wygląda śmierć? Pamiętał ciemność. Bez uczucia bólu, bez żadnych fizycznych odczuć, bez czasu.

Kiedy Palenzuela podniósł się wreszcie z gruzów, przeszedł oszołomiony kilka kroków w chmurze pyłu i kwaśnego dymu wzbitego przez eksplozję. Szumiało mu w uszach. Potknął się o coś. Był to pułkownik Hesse, który bezskutecznie próbował się podnieść. Kawał szrapnela wyrwał mu ramię tuż pod barkiem.

— Trzeba go ewakuować, szybko! — krzyknął do niego młody kapral.

Palenzuela opatrzył ranę byle czym i zarzucił sobie pułkownika na plecy jak tobół. Hesse rozglądał się na wszystkie strony szeroko otwartymi oczami, bez słowa. Był w szoku.

— Ordynans pułkownika nie żyje. Musi go pan zawieźć, kapitanie. Na wschodzie w Zehlendorfie jest szpital. — Wyglądało na to, że młody kapral szybko zapanował nad sytuacją.

— Jestem oficerem dowodzącym na tej pozycji. Gdzie jest Lasienko? — Palenzuela poczuł nagłe zmęczenie.

— Lasienko też zginął, kapitanie. Ja pana zastąpię. Ale trzeba stąd wywieźć pułkownika, bo umrze. Poza tym tylko pan potrafi prowadzić.

Spojrzał w zaczerwienione oczy chłopaka; nie mógł mieć więcej niż szesnaście lat. Popatrzył na pozostałych żołnierzy, ledwie dwunastu, którzy zebrali się wokół niego. Na ich uczernione twarze, brudne i poszarpane mundury Hitlerjugend. Stali tam wszyscy, którzy od czterech dni i czterech nocy bronili barykady przed dzikimi atakami piechoty sowieckiej i jej straszliwych T-34, których silniki Diesla warczały już u wylotu ulicy. Nie chciał liczyć granatów wiszących przy ich paskach. Żaden z nich nie miał więcej niż szesnaście lat i wszyscy mieli umrzeć tego dnia. Sele przełknął ślinę, która czepiała się gardła, pomieszana z pyłem cegieł. Był do niej przyzwyczajony już od zbyt dawna.

— Gdzie jest samochód pułkownika?

Kapral wskazał ponad kupą gruzów.

Jechał wozem terenowym przez płonący Berlin, a wielkie słupy czarnego dymu unosiły się prawie pionowo ku ołowianemu niebu bez słońca. Jechał, zostawiając po obu stronach opuszczone barykady albo bezsilnych walczących, którzy patrzyli na niego niewidzącymi oczyma. Jechał, omijając kratery, rumowiska i podwozia płonących samochodów. Widział dziesiątki cywilów błądzących bez celu,

zagubionych w zgubionym mieście. Widział żołnierzy, którzy zrzucali mundury i rozbierali trupy mieszkańców Berlina... Dojechał do dystryktu Zehlendorf. To, co powinno być budynkiem mieszczącym szpital kompanii, zniknęło pod bombami aliantów tego samego ranka. Przynajmniej tak mu powiedziała jakaś kobieta, która wydawała się spacerować w pobliżu z pustym wózkiem dziecięcym. Okolica była otoczona przez żandarmerię polową. Palenzuela spojrzął kątem oka na tylne siedzenie. Pułkownik wyglądał, jakby

— Niech pan stąd odjedzie, kapitanie. Tu się nie można zatrzymywać — powiedział mu oficer policji.

— Wiozę rannego.

Żandarm spojrział najpierw na trupa oficera, a potem na niego. Było to spojrzenie człowieka śmiertelnie zmęczonego. Gdyby Niemcy mogły w tej chwili patrzeć, miałyby spojrzenie tego policjanta z berlińskiej ulicy.

— Niech pan jedzie na zachód, tamtędy wejdą Amerykanie. I niech pan zdejmie ten mundur — poradził, wbijając wzrok w symbol czaszki z puszczelami na jego kołnierzu.

Jakimś cudem udało mu się wyjechać z Berlina i kierował się, jak przykazał mu oficer policji, wciąż na zachód. W końcu w tej samotnej podróży zabrakło mu benzyny. Opuścił głowę na kierownicę i zamknął oczy, tylko na kilka sekund, żeby pomyśleć, zastanowić się. Zapadł w głęboki sen.

Poczuł uderzenie w ramię. Natychmiast rozpoznał przedmiot, którym go szturchano, jako lufę broni. Podniósł więc bardzo powoli głowę i zobaczył przestraszoną twarz piegowatego chłopaka.

— Esesman, mam esesmana! — zaczął krzyczeć po angielsku, oddalając się od samochodu i nie przestając celować do niego ze swojego thompsona.

Chłopak, idąc tyłem, potknął się i klapnął na pośladki.

Palenzuela podniósł powoli ręce. Spomiędzy otaczających szosę drzew zaczęli wychodzić amerykańscy skoczkowie. Wszyscy mieli broń wycelowaną prosto w niego. Sklął samego siebie za to, że nie posłuchał żandarma.

— *Don 't shoot, don 't shoot!* — zaczął krzyczeć po angielsku, stojąc na kübelwagenie z podniesionymi rękami. — *I'm Spaniard! Bullfighter, do cholery, bullfighter! Don 't shoot!*

Amerykanie, którzy zdążyli go już otoczyć, pokrzykiwali na niego niczym sfora ogarów, szczęśliwych i podnieconych osaczeniem zwierzyny. „Usmażymy cię, sukinsynu”. „Popatrz na mnie, jestem Żydem, łajdaku”. „Ręce do góry, nazistowska świnió”, albo po prostu patrzyli na niego z otwartymi ustami. Nowicjusze, pomyślał, widząc otaczające go zamknięte koło ze wszystkimi karabinami mierzącymi prosto w niego. Jeśli rzucę się na ziemię, wystrzelają się nawzajem. Rozważył ten pomysł i już miał wprowadzić go w życie, kiedy rozbrzmiała wystrzelona w powietrze krótka seria z karabinu maszynowego. Zapadła cisza. Młody, dwudziestokilkuletni porucznik, świeżo po akademii, zrobił sobie przejście między podnieconymi amerykańskimi żołnierzami i podszedł do Palenzueli z surową miną.

— *Por la concha de Eve Braun!* — krzyknął po hiszpańsku. Jego czarny gęsty wąs podnosił się i opadał, mówił z niedającym się z niczym pomylić meksykańskim akcentem. — Co ty tu robisz, galicyjski draniu, bijąc się razem z

Sele przyjrzał się naszywce na napierśniku sierżanta, na której wyszyto nad lewą kieszenią jego nazwisko: Ramirez.

— Też coś! I ty mnie o to pytasz, cholerny Meksykańcu, pałętając się z Jankesami?

Na skutek jakiegoś niewytłumaczalnego paradoksu, do którego mogło dojść tylko w tak niezwykłych okolicznościach, latynoski sierżant polubił Palenzuelę. Tamtego dnia „nie rozwalili mu łba, bo nie wybiła jego godzina”, jak wielokrotnie potem przypominał. Później Palenzuelę czekała deportacja do Stanów Zjednoczonych i obóz internowanych w San Antonio w Teksasie.



— Nazywali to obozami dla internowanych — ciągnął Palenzuela, obcinając drugiego Churchilla i zamawiając następną kolejkę burbona „w niskiej szklance, dużo lodu, dużo whisky”.

— Ale były raczej obozami koncentracyjnymi.

— Jak długo był pan w Stanach? — zapytał Jaime.

— Półtora roku w obozie i trzy pracowałem przy wydobywaniu ropy w Teksasie.

— Pracował pan tam?

— Tak. Po półtora roku obóz zamknęli. Było nas pięć tysięcy mężczyzn żyjących na koszt państwa, a amerykańscy podatnicy bardzo nie lubią takich numerów. — Wydmuchnął kilka idealnych kótek z dymu. — Więc po półtora roku zamknęli. Zaczęli nas ładować na statki i wysyłać do Europy. Ja zostałem.

— Dlaczego? — zapytał Jaime.

— Zaprzyjaźniłem się z amerykańskim kapitanem nadzorującym nasze baraki, Johnem Ulissesem Benedictem

Trzecim, synem teksaskiego milionera naftowego. Moim równolatkiem. Poprosił o jakiegoś ochotnika, który udzielałby mu lekcji hiszpańskiego. Był mądrym facetem, chciał się poświęcić polityce. „Widzisz tych wszystkich Meksykanów pracujących przy odwiertach mojego ojca? — mówił. — Żyją tutaj, będą mieli tu dzieci, a oni mnożą się jak króliki i któregoś dnia ich dzieci będą głosować i zawsze będą mówić po hiszpańsku. Chcę ich rozumieć i żeby oni mnie rozumieli”. Brakowało tylko, żeby mi powiedział: „Chcę mieć ich głosy”.

— Pracował pan dla niego?

— Tak. Facet mnie polubił. Kiedy zaniknęli obóz, skończył studia. „Wystarczy tego khaki do CV”, powiedział i zaproponował mi pracę. Nie wahałem się. Szczerze mówiąc, chłopcze, Hiszpania w czterdziestym siódmym nie była dla mnie zbyt atrakcyjnym miejscem. Kobiety w żałobie, głód i muchy. A Ameryka była gigantem, który właśnie się budził, krajem nowych szans.

— I wiedział pan, że przyjdzie czas i na pana szansę.

— I przyszedł. Co dziwne, moja szansa przyszła z Hiszpanii. Było to dokładnie w czterdziestym dziewiątym. Od trzech lat wierciłem, wyczuwałem ropę nosem, byłem prawdziwym geniuszem, ale chciałem się uniezależnić, mieć własną firmę. Poszedłem więc do mojego Pigmaliona, żeby poręczył za mnie kredyt. — Pociągnął duży łyk whisky.

— I...?

— John zaprosił mnie na obiad. Był już senatorem stanu i przygotowywał się do pierwszego ataku, który miał zrealizować jego wielki sen, zostanie gubernatorem. „Wyobraź sobie, że za ciebie poręcę, drogi Sele, albo że ponaciskam

gdzie trzeba, żeby jakiś bank przyznał ci kredyt. Nic łatwiejszego i byłbym szczęśliwy, mogąc to zrobić. Ale wiesz, co będzie ulubioną rozrywką dziennikarzy tego stanu w ciągu najbliższych miesięcy? Sprawdzanie mnie — urwał, żeby zjeść następny kęs wyśmienitej langusty, którą dzieliliśmy się w Giorgio's, najlepszej restauracji w Houston. — Wyobraź sobie te nagłówki, Sele. »Senator Benedict Trzeci robi interesy z dawnym oficerem SS«. Dlaczego nie zdjęłeś tego pieprzonego munduru? Setki Niemców poddało się nam w gaciach”.

I wtedy przyszedł list z Hiszpanii. Matka, z którą Sele korespondował regularnie, oznajmiła mu nowinę jego życia. Ktoś wpłacił na jego książeczkę oszczędnościową w Madrycie sto tysięcy dolarów amerykańskich. Sto tysięcy dolarów! Prawdziwa fortuna na tamte czasy. Jego firma miała zielone światło.

— Zawsze myślałem, że to sprawka starego Benedicta — Palenzuela w zamyśleniu podniósł do ust cygaro. — Ale nie, to nie był on. Powiedział mi o tym pięć lat temu. Świątował sześćdziesiąte piąte urodziny i drugą reelekcję na stanowisko gubernatora stanu na wspaniałym przyjęciu w jego posiadłości w Palo Verde. „Cieszę się, że przez te wszystkie lata pamiętałeś o mnie, Sele — powiedział, kiedy wznosiliśmy toast szampanem Crystal. — Szczerze mówiąc, czuję teraz, że jestem małoduszny, widzisz, nigdy nie wpłaciłem ci tych pieniędzy w Hiszpanii. Ani w Hiszpanii, ani w żadnym innym miejscu. Ktoś cię bardzo ceni, Sele, ale tym razem to nie ja”.

— Więc kto to był? — zainteresował się Jaime.

— Nigdy się tego nie dowiedziałem, młodzieńcze, nigdy

się tego nie dowiedziałem. — Zapadła cisza, jakby po raz kolejny Sele szukał w jakimś odległym zakamarku umysłu poszlaki, pominiętego wspomnienia, które naprowadziłoby go na ślad anonimowego darczyńcy. — Ktokolwiek to był — kontynuował, zaciągawszy się cygarem — te sto tysięcy dolarów zmieniło moje życie. Mogłem założyć firmę wydobywającą ropę, Jose Antonio Prospections Oil Service. Jose Antonio to ten od założyciela Falangi — wyjaśnił, by nie było żadnych wątpliwości. — Zawsze byłem

Jaime wysłuchał z pełną szacunku uwagą opowieści o latach, w czasie których Sele dosłownie opływał w dostatki.

— Potrafiłem wyczuć zapach ropy na piętnaście kilometrów w głąb ziemi, wspomniałem już panu o tym? — Palenzuelę zatrudniali do przewiercenia połowy globu. W Emiratach Arabskich, na Morzu Północnym, w Malezji, Zatoce

Meksykańskiej, Wenezueli... I stał się bogaty, nieskończenie bogaty. — Wreszcie, kiedy skończyłem sześćdziesiąt pięć lat, Exxon kupił ode mnie firmę za nieprzyzwoite miliony. Jestem prezesem honorowym spółki, cóż, bzdura, w rzeczy-

Jaime pomyślał, że Palenzuela rzeczywiście żył pełnią życia. Spróbował wszystkiego, miał nawet czas, żeby się ożenić i mieć pięcioro dzieci z Carmen Garcią. Kiedy się poznali, była szefem kuchni w Waldorf Astoria w Nowym

— Na to mnie złapała — powiedział weteran, głaszcząc się po żołądku. — Poszedłem do Waldorfa na kolację z klientami z British Petroleum, wyjątkowo nadęci Angole, wie pan, restauracje w City, może Paryż... — Znów zaciągnął

się cygarem. — Więc zabrałem ich do Waldorfa, żeby spróbowali najlepszego steku z kością w Nowym Jorku. I odniosłem sukces. Tej nocy podpisałem jeden z najlepszych kontraktów w życiu. Przy deserach kelner zaproponował nam nowość Waldorfa. I wie pan, co to była za nowość? — Zrobił efektowną przerwę. — *Filloas**, najlepsze, jakie w życiu jadłem. Chciałem pogratulować kucharzowi i wtedy przedstawili mi moją Carmen. Imponująca Galicyjka, mająca niewiele ponad dwadzieścia lat, olśniewająca brunetka w kraju blondynów, może pan sobie wyobrazić. Więc ją zobaczyłem i runąłem na kolana, na niebieską wykładzinę z małymi złotymi liliami w restauracji Waldorf, i poprosiłem ją o rękę.

— A ona pana przyjęła? — Jaime był ubawiony historią.

— Nie, tamtego dnia nie. Ale wróciłem następnego dnia i następnego, i następnego. W końcu powiedziała „tak”. Powiedziała, że woli wyjść za mnie za męża, bo wyjdzie mi taniej ślub niż rujnowanie się w Waldorfie. Tak naprawdę to był najlepszy kontrakt w moim życiu.

Stuknęli się szklankami z burbonem. Wyszli od Lucia o szóstej po południu. Jaime był już pewien kilku rzeczy: między innymi tego, że wuj Alvaro nie poległ w czasie ataku na linię środkową.

— Nie, nie. Powiedziałem tak twojej ciotce, żeby mogła być z niego dumna, bo chłopak na to zasługiwał. Ci z linii środkowej zachowali się jak trzeba. Byłem z nimi. Było nas sześćdziesięciu pięciu. Przez tydzień wytrzymaliśmy natarcie pięciu tysięcy Rosjan i ustrzeliliśmy ponad półtora tysiąca. Bardzo chcieli nas dorwać. Mimo to Cabrera, który miał jaja

* Ciasto z mąki, żółtka, soli i mleka. Deser typowy dla regionu Galicji.

jak koń Espartera*, walczył z pięcioma naraz „pierś w pierś”... — Na twarzy Aguirrego pojawił się wyraz zdziwienia, nie znał dobrze wojennego żargonu. — No tak, jak skaczesz do okopów wroga albo wskakują do twoich, to musisz się naparzać na bagnety, kolby, zęby, co się da, aż zdajesz sobie sprawę, że tylko ty się jeszcze trzymasz na nogach i że zostałeś sam.

— A, rozumiem.

— Więc Cabrera, jak już mówiłem, miał wystarczająco wielkie jaja, żeby zrobić wycieczkę z czternastoma ludźmi i uwolnić bandę Niemców trzymanyh przez Rosjan dwanaście kilometrów od naszej pozycji. Straciłem go z oczu aż do przyjęcia, o którym mówiła pana ciotka Maria Luisa. Opowiedział mi, że dostał się do niewoli, z kulą w płucu, szczęką złamaną od uderzenia kolbą i dziurą od bagnetu w udzie. Jedenaście lat więzienia w Rosji, z wizytami na Łubiance włącznie. Wrócił do Hiszpanii na „Semiramis”.

— A pan?

— Ja zostałem, broniąc pozycji z chorążym Jose Rubiem Moscosem z drugiego batalionu dwieście sześćdziesiątego drugiego pułku. — Palenzuela był poważny, skoncentrowany, próbował przypomnieć sobie szczegóły. — W czasie ostatniego natarcia zabiliśmy dwustu Rosjan, mogliśmy liczyć trupy na śniegu. Rosjanie przegrupowywali się, żeby zaatakować nas od frontu całą swoją siłą. Wtedy zawołał mnie Rubio. „Weź ten list”, powiedział, dając mi zaklejoną kopertę, nawet nie patrząc mi w twarz, by nie tracić ani na

* Baldomero Espartero, generał żyjący w XVII wieku, ma konny pomnik w Madrycie.

chwile z oczu pozycji Rosjan nie przestających się przemieszczać. „To ostatni raport, zanieś go natychmiast do kwatery głównej”. „Ej, Rubio, mamy ten sam stopień...”, zaprotestowałem. „Ale ja dostałem biurko tydzień wcześniej”, przerwał mi. „Więc całujesz się w dupę i idziesz”. Myślę, że mu było mnie żal. Byłem od niego dużo młodszy i było mu żal — myślał głośno. — W każdym razie wziąłem list i z nastaniem nocy oddaliłem się od pozycji. Kiedy dotarłem do kwatery o świcie następnego dnia, wartownik powiedział mi, że linia środkowa padła. Zdjęli z nich ubrania i wbili ciała w śnieg, na ich własnych bagnetach i saperskich sztycach. Mówiłem już panu, że Rusczy bardzo chcieli nas dorwać. — Błyszczały mu oczy, powoli, mechanicznie poruszał lodem w szklance.

— A list? — Aguirre chciał przerwać krępujące milczenie.

— List — mruknął z roztargnieniem, urwał, znów zapatrzył się w przestrzeń. — Otworzyłem kopertę z raportem, nie powinienem tego robić, ale ją otworzyłem. — Głos Selego zachrypnął nagle. — Nie było żadnego sprawozdania. To był list pożegnalny Rubia do jego matki. Tego dnia płakałem jak dziecko. — Otarł nos i wypił duży łyk burbona, najwyraźniej dochodził do siebie. — Wojna to niezłe gównno, wie pan?

— W takim razie wuj Alvaro... — Jaime nie chciał zgubić wątku opowieści o śmierci chorążego Arenasa de Valcarcel.

— Pańskiego wuja zabili w listopadzie, w Uritsku, malutkiej wiosce leżącej na zachód, tuż pod Leningradem. Dziwna i pechowa historia. Wuja i mnie oszukał chorąży Jose Manuel Wundermann. Ten, pierwszy od lewej — powiedział, wska-

zując na tajemniczego chłopaka z odbitki zdjęcia ciotki Marii Luisy. — Chciał też naciągnąć Cabrerę, ale chłopak miał wartość. Teraz wszystko mi się przypomniało. Cholera, whisky jest niezawodna. Jasne, w końcu rozszerza naczynia krwionośne, musi otwierać połączenia w mózgu, nie?

— Proszę kontynuować — ponaglił go Aguirre, który poprosił usłużnego kelnera z Palace o „następną vichy, dziękuję”. Tymczasem Palenzuela, gdy tylko kątem oka zobaczył swą żonę wychodzącą z hotelu w towarzystwie młodszej kobiety, ich córki, zamówił pierwszego tego ranka jacka daniesa.

— Wundermann powiedział nam, że mają zrobić wypad, rekonosans na zachodnich przedmieściach Leningradu. „Musimy zrobić zdjęcia kilku punktów w mieście do drugiej ofensywy”, tłumaczył Wundermann. „Nasze samoloty codziennie robią zdjęcia Leningradowi”, odparował Cabrera. „Do niczego, dym z pożarów uniemożliwia robienie porządných zdjęć lotniczych”. „I kto idzie?” — zapytałem. „Tania, Jaszczurka, Manolo, Sanchez, Hotz i ja”.

„Hotz idzie z wami? — zapytał zdumiony Cabrera. — A co niby robi gauleiter na sesji zdjęciowej ruin Leningradu?”.

„Nie wiem”. Wyglądało na to, że Wundermann jest szczerzy. „Dlatego chcę, żebyście mnie ubezpieczali. Mnie też się to wydaje bardzo dziwne...”.

— Wundermann nie ufał Hotzowi — ciągnął Palenzuela. — Tego jestem pewien. Chyba wiedział więcej, niż nam zdradził. Nie uwierzyliśmy w historyjkę o tej dziwnej misji zwiadowczej. Chociaż wszystko było możliwe, to były bardzo niespokojne dni. — Pociągnął łyk przywracającego

pamięć eliksiru. — Tak... to musiało być... Nie, to było dokładnie ósmego listopada tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego. Tak, tego dnia pierwszy korpus wojsk niemieckich zaczął ofensywę na całego, planując zajęcie Tychwina, węzła kolejowego, który odgrywał kluczową rolę w zaopatrzeniu Leningradu. Tego samego dnia zdobyto stację, a dziewiątego dotarliśmy aż do peronów Wikołowa. Ale tam już oberwaliśmy od Ruskich, ledwo czternaście kilometrów od placu Pałacowego... — Zamilkł na kilka chwil, w czasie których przewracał karty pamięci. — Niewiele brakowało.

— Poza Hotzem, kacykiem SS, wspomniął pan o kobiecie, Tani. W grupie była Rosjanka?

— Powiedzmy, że tłumaczka. — Uśmiechnął się szelmowsko.

— I co się stało z misją Wundermanna?

— Weszli do Leningradu od zachodu, przez sektor Uritska, ósmego listopada, jak już panu mówiłem, kiedy zaczęła się jatka od wschodu. Rosjanie skoncentrowali masę żołnierzy od strony Tychwina, skąd na nich uderzaliśmy. Sektor Uritska wyglądał jak sito. Hotz nie był głupi. Cokolwiek chciał zrobić, jego plan był dobry...

— A wy?

— Byliśmy coś winni Wundermannowi. Uratował nam życie w drodze na front, w potyczce z partyzantami i ich pieprzonymi psami. Opowiedziałem już panu o psach? To później panu opowiem, bo znów się pogubię... Na czym stanęliśmy?

— Byliście mu coś winni...

— A tak... Więc zwróciliśmy dług, Alvarito i ja. Cabrera nie mógł iść...

— Tak, miał wartość.

— Tak, bo gdyby nie to, byłby tam z nami. Cabrera był słownym facetem, ale nie mógł... Biedny Alvaro, gdyby generał z nami poszedł, może by jeszcze żył. Ba, miał strasznego pecha.

Wypił kolejny duży łyk burbona, powodując, że lód zachrzęścił w zetknięciu ze ścianami szklanki.

— Co się dokładnie wydarzyło? — Jaime starał się opanować zniecierpliwienie, ale Palenzuela najwyraźniej dobrze się bawił, odgrzebując wspomnienia kawałek po kawałku.

— Jak już panu mówiłem, grupa weszła do Leningradu o świcie ósmego listopada. Wundermann pokazał nam na mapie, którędy mieli się ewakuować, wzdłuż wybrzeża Zatoki Fińskiej, między Uritskiem a Peterhofem. Mieliśmy tam na nich czekać albo ich zabić.

— Zabić?

— Hotza albo Sancheza, albo obydwu, gdyby wrócili sami. Mówiłem już, że Wundermann nie ufał swojemu niemieckiemu kuzynowi. Bo Jose Manuel był pół-Niemcem, stąd to nazwisko.

Jaime pomyślał, że historia robi się z każdą chwilą coraz dziwniejsza i bardziej zawikłana.

— Tak, w każdym razie wyświadczyliśmy przysługę naszemu przyjacielowi i siedzieliśmy tam, dobry Alvaro i ja, biwakując cały dzień i czekając, aż wrócą. Wszystko szło całkiem nieźle, nudno, ale do zniesienia, jak to na warcie. Aż w pewnym momencie poczułem potrzebę oddania moczu i zostawiłem Alvara samego. Pewnie minęło z dziesięć minut, zanim znalazłem jakieś drzewo. Wie pan, my Hiszpanie tacy już jesteśmy, możemy zaliczać panienki we

trzech w jednym pokoju, ale żeby się odlać, musimy się schować za drzewem. — Zmarszczył czoło. — Może zajęło mi to więcej niż dziesięć minut, na przedmieściach Leningu nie było za dużo drzew, zniszczyliśmy je wszystkie za pomocą artylerii albo przy okazji bombardowań z powietrza. Prawdę mówiąc — zamyślił się na chwilę — zostawiliśmy im wszystko w żalonym stanie. Ma pan papierosa? Żona nie pozwala mi palić.

Jaime zaproponował mu marlboro lighta; wrócił do nałogu z powodu swej byłej żony.

— Dzięki — powiedział Palenzuela, zaciągając się głęboko z wyrazem przyjemności malującym się na twarzy. — Na czym to stanęliśmy?

— Na sikaniu.

— A tak, więc zapinałem kozuch, cudowny, taki długi do kostek, barania wełna od spodu i skóra na wierzchu. Używaliśmy takich na długich wartach, to był jedyny sposób, żeby je przetrzymać przy trzydziestu, czterdziestu czy nawet pięćdziesięciu stopniach mrozu. — Znów się zaciągnął. — Wtedy usłyszałem strzał. Wyleciałem pędem z zagajnika. Zostawiłem kolegę za małym pagórkiem, więc nie wiem dokładnie, co się wydarzyło. Podbiegłem do naszej pozycji i ujrzałem Alvara wchodzącego spokojnie na górkę i ładującego karabin. Kiedy mnie zobaczył, zatrzymał się i podniósł broń, jakby chciał z niej wymierzyć. — Poruszył w zamyśleniu lodem w szklance. — Nigdy nie zrozumiałem tego gestu, może usłyszał coś z tyłu... Wszystko stało się bardzo szybko, zabrzmiały trzy wystrzały, jeden za drugim. Wtedy Alvaro padł na kolana, z szeroko otwartymi oczami i tym głupkowatym wyrazem, który ci zostaje na twarzy, niech mi

wybaczy świętej pamięci Alvaro, jak Parka zaskakuje cię bez uprzedzenia. Upadł twarzą w śnieg. Strzały dobiegały zza pagórka. Rzuciłem się na ziemię i szybko podczołgałem do ciała przyjaciela. Próbowałem wyczuć puls na szyi, ale musiał być martwy, zanim oczy zalepił mu śnieg, cały czas miał je otwarte. Wtedy zabrzmiało więcej strzałów zza wzgórza. Wyrząłem i zobaczyłem z tuzin żołnierzy rosyjskiej piechoty wychodzących z lasu naprzeciwko. Biegli w naszą stronę, do celu, którego nie widziałem, bo zasłaniało mi go zbocze wzgórza. Podniosłem się i spróbowałem podnieść ciało Alvarita, żeby zarzucić go sobie na plecy i zabrać. Nie chciałem go tam zostawiać, na śniegu, na odludziu, porzuconego jak psa. — Jego twarz posmutniała pod wpływem tego wspomnienia.—Ale nie mogłem, ciężko było go ruszyć z tym kozuchem, plecakiem, a ja zapadałem się w świeży śnieg. Nie dało się. — Zgasił niedopałek, powoli, ale mocno, aż czubki palców zabarwiły mu się na białą od zawartości popielniczki z grawerowanego kryształu, z emblematem hotelu Palace.

— Kule zaczęły mi gwizdać nad głową, Rosjanie już mnie zobaczyli, więc uciekłem, nigdy dotąd tak nie biegłem, nie oglądając się za siebie ani razu, aż dotarłem do naszych linii. — Westchnął głęboko. — I oto cała historia pana wuja Alvara. Chciałbym teraz poznać pańską, młodzieńcze.

Spojrzał bez skrępowania na złotego roleksa.

— Zrobiło się późno. Może jajka sadzone w Lucio?

Jaime rozszyfrowywał niewiadome. Wiedział już, gdzie zginął wuj Alvaro, i zaczął myśleć, jak go stamtąd wydostać.

— Niech pan nie traci czasu na administrację. Nikt panu nie da ani grosza na przywiezienie góry faszystowskich mumii z Rosji — powiedział mu ostro Palenzuela.

Aguirre milczał. Stary żołnierz miał rację. Myszkował w niedawnej i niewygodnej przeszłości. Dla jego projektu podstawowe znaczenie miały pieniądze, ale nie wiedział, skąd je wziąć.

— Na pewno jest jakieś stowarzyszenie byłych członków dywizji czy coś w tym rodzaju — powiedział niemal błagalnym tonem.

— No jasne. Klub zgrzybiałych starców, takich jak ja. Kompletnie splukanych. Był pan w ich muzeum? Wstyd. Epickie dzieje upchane w wilgotnej piwnicy.

Aguirre opadł na oparcie restauracyjnego krzesła, był uosobieniem porażki. Cisza, która zapadła, zdawała się przedłużać w nieskończoność. Palenzuela obserwował go zza chmury dymu z cygara.

— Naprawdę chce pan po nich jechać? — zapytał w końcu.

Jaime widział świdrujące go oczy. Były żołnierz zadał to pytanie bardzo powoli. Skaner znów działał.

— Dałem słowo — usłyszał swój głos, jakby mówił ktoś inny. Może burbon?

Kolejna przerwa. Stary kapitan nadal na niego patrzył, bawiąc się wetkniętym w usta kubańskim cygarem.

— Ja to sfinansuję. Bez względu na koszty. Pieniądze nie grają roli. — Jego głos nagle stał się ochrypły, zdawało się, że jego wilgotne oczy błyszczą. — Ale niech pan przywiezie tych chłopców do domu, za długo siedzą w Rosji, to wszystko już dawno się skończyło.

Na pożegnanie objęli się w drzwiach Lucio, obok zielonego jaguara, który przywiózł ich tam z hotelu Palace. Na fotelu kierowcy siedział szofer, nie wyłączył silnika.

Ramirez, meksykański porucznik, który uratował Selemu życie w czterdziestym piątym, ubrany w nienaganny garnitur, z uśmiechem na ustach. Otworzył przed nim prawe tylne drzwi, używając lewej ręki, prawa pozostała przy boku, gotowa w każdej chwili sięgnąć pod lewą pachę, gdzie musiał nosić coś więcej niż dezodorant.

Przypadli sobie do gustu. A takie rzeczy można poznać po uściskach.

— Cieszę się, że pana poznałem, młodzieńcze. Jutro otworzę panu konto z odpowiednimi funduszami. Pan się zajmie ich wydawaniem. Proszę informować mnie regularnie o postępach, wszystkie wydatki mają być uzasadnione i udokumentowane. Życzę szczęścia!

I zostawił go tam, chwiejącego się w drzwiach Lucio.

— Zawołać taksówkę, proszę pana? — zapytał kelner nauczony doświadczeniem.



Nazajutrz straszliwa migrena uświadomiła mu, że tamto spotkanie rzeczywiście miało miejsce. Telefon od dyrektora filii Banco Popular potwierdził, że wszystko było tak samo prawdziwe jak ból głowy.

— Posłuchaj, Jaime — powiedział dyrektor — dziś z samego rana jakiś starszy mężczyzna z latynoskim akcentem otworzył konto na swoje i twoje nazwisko. W południe otrzymaliście przelew z Kajmanów wysokości pięciuset tysięcy dolarów. Ten mężczyzna, Ramirez, powiedział, że przyjdiesz koło południa podpisać papiery.

Jaime pojawił się w banku tuż przed jego zamknięciem. Dyrektor czekał na niego z pośrednikiem i urzędnikiem

administracyjnym. Mimo późnej pory wszyscy trzej uśmiechali się szeroko. Następnego dnia spróbował się umówić z prezesem Stowarzyszenia Kombatantów Błękitnej Dywizji, generałem Chicharro.

— Chętnie bym pana przyjął, zwłaszcza z taką rekomendacją, ale nie oszukujmy się, panie Aguirre, mam bardzo słabe zdrowie, a to, o co pan mnie prosi, przerasta moje możliwości.

Chicharro poradził mu, żeby zwrócił się do pułkownika Aguado, innego członka dywizji i dyrektora muzeum Błękitnej Dywizji.

— Aguado jeszcze się trzyma. Był w łączności, spędził całą kampanię w kwaterze głównej. Mówię panu, „Aguadito, nic cię nie ruszy, bo siedzisz na kilometr zero” — zażartował Chicharro. — Będzie mógł lepiej panu pomóc niż ja. Poza tym daje sobie radę z archiwum dywizji z zamkniętymi oczami.

Tak jak go uprzedzono, pułkownik Aguado był świetnie zakonserwowanym osiemdziesięciolatkiem. Niskim, drobnym i nerwowym. Jego spojrzenie nad cienkim, nienagannie przyciętym wąsem było wciąż dociekliwe i żywe. Rzeczywiście był w doskonałej formie. Jaime opowiedział mu o swoim projekcie.

— To świetnie. Ludzie tego nie wiedzą, ale wysłaliśmy tam dziewiętnaście tysięcy mężczyzn, w rzeczywistości niemal chłopców, i pięć tysięcy zostało w Rosji na zawsze — powiedział Aguado, a przez jego słowa sączyło się niedowierzanie i niechęć kogoś, kto słyszał już wiele razy tę samą historię. — Wcześniej podjęliśmy się podobnej inicjatywy, nawet sprowadziliśmy niektóre szczątki, znaleźliśmy miejsca

pochówku, zbiorowe groby... Zawsze jest ten sam problem: pieniądze. Istnieje towarzystwo krewnych poległych w Błękitnej Dywizji, ale rzadko kiedy udaje im się zebrać dość funduszy. Nie możemy oczekiwać zbyt wiele po hiszpańskim rządzie, że nie wspomnę o Rosjanach.

— Pieniądze nie będą tym razem problemem — odparł Aguirre bez ogródek.

Aguado poprawił się na krześle, wyprostował, przybrał bardziej ożywiony i uważny wyraz twarzy. Nie przypominał już człowieka sprzed kilku sekund, wyglądającego jak dyrektor filii jakiegoś banku, który właśnie ma powiedzieć, że „bez poświadczenia nie dostaniecie pożyczki hipotecznej, moi drodzy”.

— Reprezentuje pan jakieś stowarzyszenie? Organizację pozarządową czy coś takiego? — wychrypiął, zanim prawie niezauważenie zniżył ton głosu. — Nie chcemy problemów z nazistami.

— Reprezentuję dżentelmena, który pije bagordi gran reserva, tak jak pan i ja pijemy wodę, który pali kubańskie cygara marki Churchill, jak pan palił siano w okopach, którego jaguar nie mieści mu się w garażu i który właśnie wpłacił na moje konto pół miliona dolarów, żebym, jak mówi, przywiózł z Rosji wszystkie faszystowskie mumie, jakie uda mi się odkopać.

— Cholera — mruknął Aguado w ramach konkluzji, oddzielając dokładnie wszystkie sylaby w tym eschatologicznym wyrażeniu. — A, proszę mi wybaczyć, jeśli to niedyskretnie pytanie, skąd pan się tu wziął?

— Ja jestem tutaj z winy tej kur... — powstrzymał się. — Z powodu mojej byłej żony. — Instynktownie wsunął

rękę do kieszeni marynarki w poszukiwaniu opakowania lexatinu.

— No tak, norma — przyznał pułkownik. — Dobrze, w takim razie, w czym mogę panu pomóc?

Aguirre opowiedział mu więc, czego Sele od niego oczekuje: identyfikacji zmarłych i zaginionych, dat, jednostek, do których należeli, map z miejscami bitew, pochówków potwierdzonych, możliwych i do potwierdzenia, list żyjących krewnych, którzy mogliby zidentyfikować ciała...

— A przede wszystkim interesują nas pochówki w rejonie Uritska — podkreślił.

Aguado zapisywał wszystko, starannie kaligrafując w notatniku wyjętym z szuflady starego metalowego biurka.

— To, o co mnie pan prosi, wymaga wiele pracy.

— Dostanie pan za to sowitą zapłatę.

Pułkownik podniósł wzrok znad notatnika, a jego policzki zaróżowiły się. Trafiony, pomyślał Aguirre.

— Naprawdę sądzi pan, że siedzę w tej piwnicy dla pieniędzy? — Aguado wyglądał na głęboko urażonego.

— Dobry Boże, proszę mi wybaczyć niezręczność. Chciałem tylko powiedzieć, że potrafimy docenić pańską pomoc i pracę. Chcielibyśmy się za nie odwdziaczyć datkiem na muzeum.

Spojrzał na plamę wilgoci rozlaną na ścianie za plecami pułkownika, ogromną i obramowaną pleśnią. Próbowano ją ukryć, wieszając na niej wielką fotografią generała Muñoza Grandesa. Nie udało się.

Aguado odwrócił się, szukając miejsca, na które patrzył Aguirre. Kiedy na powrót zajął pozycję naprzeciw Jaimego, jego twarz odzyskała normalny kolor.

— Tak, przydałaby nam się pomoc — przyznał już spokojniej. — Widzi pan, będę potrzebował czasu na zebranie tych wszystkich informacji, skontaktowanie się z rodzinami, nie mogę w tej chwili powiedzieć panu ile...

— Proszę się nie martwić. Czekają już ponad sześćdziesiąt lat, aż po nich pojedziemy, wytrzymają jeszcze kilka tygodni.

Aguado się uśmiechnął.

— Natychmiast zabiorę się do pracy. Chce pan obejrzeć muzeum?

Jaime przyjął zaproszenie i zaczął spacerować po maleńkich zagraconych salach piwnicy przeznaczonej na muzeum Błękitnej Dywizji. „Epickie dzieje upchane w wilgotnej piwnicy”, przypomniał sobie słowa kapitana Palenzueli. Dużo czasu, dużo uczucia, mało miejsca, mało środków. Było uzbrojenie, ekwipunek, zdjęcia, medale, listy, mundury, order, makiety i dioramy.

— Dlaczego nie przeniesiono tego wszystkiego do muzeum wojska? — zapytał Aguirre.

— Zawsze twierdzili, że brakuje miejsca. Ale nowy minister obrony narodowej obiecał nam całą salę w nowym muzeum Alkazaru — powiedział z dumą i radością weteran.

Jaime poczuł nagle, że mu go żal, żal ich wszystkich. Ci starzy żołnierze znaleźli się w nieodpowiednim miejscu i czasie, wysłani, chociaż byli ochotnikami, przez rząd, który musiał grać wieloma kartami, żeby przetrwać. Później historia ukryła ich jako niewygodnych świadków. Im szybciej się o tym zapomni, tym lepiej. Jednak Jaime był cały czas pod wrażeniem nieugiętej postawy członków Błękitnej Dywizji. Ich stoickiej akceptacji losu. Żaden z nich nie miał żalu do nikogo ani do niczego. Nie było rachunków do wyrównania.

— Byliśmy żołnierzami. Pojechaliśmy wykonywać naszą pracę, zrobiliśmy, co do nas należało, a ci, co mogli, wrócili. Nie oczekiwaliśmy, że powitają nas z orkiestrą i konfetti, byliśmy żołnierzami, nie gwiazdami kina — wyjaśnił sucho Palenzuela.

Dumni starzy żołnierze. Nie chcieli wzbudzać litości, nie chcieli hołdów, chcieli tylko, żeby przetrwała pamięć o nich. Spojrzał kątem oka na Aguada, który właśnie opisywał najwyższą jak na tamte czasy technologię mieszczącą się w czymś w rodzaju lodówki. Według jego zapewnień należała do wyposażenia łączności. Dobry Aguado. Musi minąć jeszcze parę pokoleń, zanim ten kawał historii Hiszpanii zostanie wystawiony w salach jakiegoś publicznego muzeum.

Jego spojrzenie pobiegło ku szklanej witrynie, za którą manekin z wyprzedazy w wielkich centrach handlowych pysznił się ciężkim kozuchem z baraniej skóry. Ten obraz przypominał mu natychmiast opowiadanie kapitana Palenzueli. Począł, aż Aguado skończy swój wywód na temat fal Hertza, i podszedł do manekina.

— Regulaminowy kozuch dla wartowników. Tylko z tym na grzbiecie można było wytrzymać długie warty w tamtej temperaturze — wyjaśnił pułkownik.

Jaime pokiwał głową. Obejrzał dobrze zachowany kozuch, od kołnierza z szerokimi i wysokimi wyłogami chroniącymi przed zamiecią, przez guziki z jeleniego poroża, w czystym niemieckim stylu, po obszerne poły, które musiały okrywać buty aż do kostek. I tam, na wysokości butów, jego uwagę zwróciły dwa metalowe cylindry pomalowane na żółto-pomarańczowo, leżące u stóp manekina. Pochylił się, zginając kolana, i przykucnął, przyglądając im się z bliska.

Przeczytał napis: „GAS ZYKLON-B”, wypisany drukowanymi czarnymi literami. Obok, w tym samym kolorze czaszka ze skrzyżowanymi puszczelami. Pod spodem znalazł jeszcze coś, co wyglądało na seryjne numery cylindrów: 00101 i 00103. Na obu ta sama nazwa producenta, Tesch & Stabenow.

— Przekazane przez... nie pamiętam w tej chwili nazwiska tego żołnierza. Musiałbym sprawdzić na fiszce. W każdym razie to bardzo ciekawa darowizna—wyjaśnił zza jego pleców Aguado. — To pojemniki na gaz cyklon B, puste, naturalnie.

— Tym...

— Tak, tym naziści zagazowywali Żydów. Potworność. My dowiedzieliśmy się o tym później — powiedział, prawie się tłumacząc. — Proszę spojrzeć tutaj, inny bardzo ciekawy eksponat. To kompletny MG-czterdzieści dwa z trójnogiem. Najlepszy karabin maszynowy na świecie, nawet Amerykanie dotąd nie zrobili lepszego...



Po piętnastu dniach zadzwonił do niego pułkownik Aguado. Pracował szybko, zebrał wszystkie wymagane dokumenty i skontaktował się z siedemdziesięcioma dwoma krewnymi dywizjonistów, którzy mogli wnieść więcej informacji. Jaime uśmiechnął się, wysłuchując tego deszczu dobrych nowin. Jego przygoda właśnie się rozpoczęła.



— Siedemdziesięciu siedmiu Hiszpanów! — powtórzył Wasyliw, przerywając brutalnie jego wspomnienia. — Nie źle, co, przyjacielu?

— Siedemdziesięciu siedmiu? A co się stało z pozostałymi dwustu trzydziestoma pięcioma? — zapytał Aguirre, licząc szybko w myśli.

— W większości to Niemcy, chociaż jest też trochę Włochów i Holendrów, kilku Finów i Rumunów. Gdyby Hitler był muzykiem rockowym, można by powiedzieć, że miał fanów w całej Europie.

Aguirre posłał mu lodowate spojrzenie.

— No dobra, głupi żart — przyznał Rosjanin.

— Co się z nimi stanie?

— Cóż, skontaktujemy się z ambasadami. Ich identyfikacja będzie kosztowna, sam pan wie, przypuszczam, że roześliśmy ich wszystkich w ciągu sześciu miesięcy. Oprócz Rumunów. — Zrobił uniwersalny gest oznaczający pieniądze, pocierając środkowy palec o kciuk prawej ręki. — Ci wrócą do rowu.

— Jasne.

— Proszę spojrzeć, mam tutaj informacje na temat Hiszpanów. — Rosjanin znów był bliski euforii.

Kazał Aguirremu usiąść na chwiejącym się krześle przed zniszczonym drewnianym stołem, który spokojnie mógł należeć do wyposażenia gabinetu Berii. Otworzył szufladę bez uchwytu i wyjął z niej opasłą teczkę. Zaczął przeglądać znajdujące się w niej dokumenty, aż odnalazł ten, którego szukał, i zaczął go czytać wystudiowanym tonem biurokraty.

— Pięć ciał na zboczach przy zamkniętej linii kolejowej na stacji Nowogród, trzy we wspólnym grobie na brzegu jeziora Iman, na północy. Siedem w grobie w dawnym miejscu dowodzenia dwieście sześćdziesiątego drugiego regimentu w rejonie Krasnego Boru...

Wasyliw odczytywał liczby określające ilość znalezionych ciał i lokalizacje wykonanych ekshumacji. Następnie przeszedł do listy nazwisk zidentyfikowanych żołnierzy: porucznik Alfonso Rubial, komendant lotnictwa Jose Munoz, kapitan Aristides Garcia... Dla wielu krewnych dzisiaj skończyła się poszukiwania. Cieszył się ze względu na nich. Wasyliw skończył. Nie wspomniał chorążego Alvara Arenasa de Valcarcel. Pułkownik podniósł wzrok znad kartki. Uśmiechał się szeroko.

— I? — zapytał rozdrażniony Aguirre.

— A teraz nagroda główna, mój przyjacielu — spuścił wzrok na kartkę. — Cztery ciała znalezione w lesie koło Uritska, trzy niezidentyfikowane, czwarte z blaszką z nazwiskiem A. Arenas Valcarcel, z dwieście sześćdziesiątego trzeciego regimentu Błękitnej Dywizji.

Urwał, żeby przyjrzeć się reakcji Jaimego.

— Mamy pańskiego człowieka, doktorze Aguirre!

Jaime poczuł uderzenie krążącej w jego ciele adrenaliny. To musi być on. Wszystko się zgadza, miejsce opisane przez Palenzuelę, regiment, numer na blaszce...

— Nie było łatwo — ciągnął były sowiecki pułkownik. W rzeczywistości mówił: „Wydaliśmy sporo pieniędzy, ale wykonaliśmy dobrą robotę i mamy rezultat”. — Znalezienie tego grobu było czystym przypadkiem. Zadzwoił do nas jakiś mężczyzna z ogłoszenia.

Wydali tysiące rubli na kampanię w prasie, radiu i telewizji, prosząc o świadectwa mogące pomóc w odnalezieniu miejsc pochówku zagranicznych żołnierzy z czasów drugiej wojny. Oferowano wysoką nagrodę za sprawdzone informacje. Odebrano tysiące telefonów, chociaż tylko jedna dzie-

siata procenta z nich pozwoliła odkryć rzeczywiście istniejące groby.

— Prawdę mówiąc — ciągnął Wasyliw — na początku facet nie wyglądał mi na godnego zaufania. Papierosa? Amerykański.

Żołnierz zdjął folię z paczki winstonów.

— Nie, dzięki, znowu próbuję rzucić.

— Jasne. Jak mówiłem, ten człowiek w pierwszej wiadomości telefonicznej — nagrywamy wszystkie rozmowy i później robimy przesiew — przedstawił się jako Aleksiej Łuknicki, kapitan przybocznej gwardii Stalina. — Zaciągnął się papierosem. — Pamiętam, że chłopcy się śmiali, gdy to usłyszeli. Nie może pan sobie wyobrazić, ilu wariatów może dzwonić na darmową linię. Byliśmy przyzwyczajeni do wysłuchiwania absurdalnych informacji w stylu, jestem synem cara”, „widmem Rasputina” albo „tu wielka księżna Anastazja”. Ale ten człowiek mówił pewnym głosem, wiedziałem, że nie kłamie, kiedy powiedział: „Wiem, gdzie są pochowani, od tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego, pod Uritskiem, trzech niemieccy szpiedzy i oficer Błękitnej Dywizji”.

— Więc dlaczego na początku mu pan nie uwierzył?

Twarz Wasyliewa rozjaśnił olśniewający uśmiech.

— Gdyby Aleksiej Łuknicki był kapitanem przybocznej gwardii Stalina, nie byłby w Leningradzie w tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym. Stalin nigdy nie przyjechał do miasta w czasie oblężenia, prawie nie ruszał się z centrum Moskwy. A jego straż przyboczna nigdy się od niego nie oddalała.

Wasyliw zrobił teatralną przerwę, przyglądając się twarzy Hiszpana.

Jaime czuł się wyjątkowo niezręcznie. Jednocześnie zro-

zumiał, że śmierć wuja Alvara była powiązana z coraz większą liczbą zagadek i faktów, które nie pasowały w żaden sposób do całej historii. I sądząc po spojrzeniu Wasyliewa, czekały go kolejne niespodzianki.

— A jednak nie zlekceważył pan zeznania tego człowieka — Aguirre chciał przerwać krępującą ciszę.

— Nie — przyznał Wasyliew. — Ton jego głosu upewnił mnie, że nie kłamie. Rozmawiałem z nim osobiście. Ponadosiemdziesięcioletni staruszek. Ubranie połatane, ale schludne. Emerytowany żołnierz, pomyślałem, z tych, co to żyją ze swojej mizernej pensji przez pierwszy tydzień miesiąca, a pozostałe trzy spędzają na żebraniu na ulicach Moskwy. — Wasyliew zgasił papierosa w powyginanej aluminiowej popielniczce z napisem Coca-Cola. — A jednak — ciągnął — w czasie tej rozmowy nasz przyjaciel Aleksiej nie przedstawił się już jako kapitan przybocznej gwardii Stalina. Nagraliśmy to na wideo...

— Proszę podać pańskie nazwisko — zapytał uprzejmie pułkownik Wasyliew.

— Aleksiej Łuknicki, kapitan Dziesiątej Dywizji Strzelców.

— O! — Pułkownik podniósł wzrok znad papierów, które zdawał się przeglądać. — Zakradł się tu chyba jakiś błąd, w rejestrze z pańskiej rozmowy telefonicznej widnieje pan jako kapitan przybocznej gwardii Stalina...

Policzki staruszka zarumieniły się, ale natychmiast odzyskał godną postawę.

— To był żart... głupstwo, chciałem zwrócić na siebie uwagę — wyjaśnił, starając się być przekonujący.

Jednak tym razem Wasyliw wiedział, że ten człowiek kłamie i robi to, żeby coś ukryć.

— Sprawdził pan te dane? — spytał Jaime.

Pułkownik wyprostował się na krześle, najwyraźniej uznał pytanie za obraźliwe.

— Naturalnie. Nie istniał żaden kapitan o tym nazwisku w Dziesiątej Dywizji Strzelców, która rzeczywiście biła się pod Leningradem, ale był kapitan Aleksiej Łuknicki w przybocznej gwardii Stalina. Łuknicki został oczyszczony w czterdziestym drugim. Co pan na to, przyjacielu?

— Ale dlaczego skłamał za drugim razem? — Jaime myślał na głos.

— Chciałem go o to zapytać, ale zniknął, gdy tylko ekshumowaliśmy ciała. Zgarnął pięć tysięcy dolarów, należność za potwierdzoną informację, pamięta pan? I zniknął bez śladu.

— Ciała znajdowały się tam, gdzie powiedział?

— Zaprowadził nas dokładnie na miejsce. Bez żadnego wahania, jakby ich pochował dzień wcześniej. I tu mamy następną zagadkę...

Ktoś zapukał do drzwi, uderzając w nie lekko dwa razy, i wszedł do pokoju. Był to porucznik saperów w nieskazitelnie czystym mundurze. Wyglądał na zaskoczonego obecnością Aguirrego. Zwrócił się do pułkownika i powiedział coś do niego po rosyjsku.

— *Spasiba* — odpowiedział zwięźle Wasyliw.

Młody oficer zasalutował i wyszedł z gabinetu.

— Przygotowaliśmy skrzynie w sali gimnastycznej — oznajmił.

— Skrzynie? — zdziwił się Aguirre.

— Ułożyliśmy szczątki Hiszpanów i ich rzeczy w odzielnych skrzyniach w sali gimnastycznej. Ich imiona i jednostki są wypisane na tabliczkach. Chcieliśmy nadać temu wydarzeniu intymny charakter — odparł pułkownik.

— Dziękuję. Dobrze pan zrobił — powiedział Aguirre.

Wasyliw starał się przynajmniej udowodnić, że mała fortuna, jaką wydał na całą operację, była dobrą inwestycją.

— Chciał mi pan coś powiedzieć o grobach. — Na tym etapie rozgrywki Jaime wolał znać całą historię, przynajmniej prawie całą.

— Tak, groby. Kolejna niespodzianka. Cztery ciała, a raczej to, co z nich zostało, były pochowane trzy metry pod ziemią i posypane palonym wapnem. — Wasyliw znów urwał. On również próbował ułożyć łamigłówkę, której nie rozumiał. Przez chwilę Jaime poczuł ulgę, przypomniawszy sobie, że ten człowiek wykonuje jego polecenia, a dobre maniery ma dlatego, że dostaje górę dolarów.

— Ponad sześćdziesiąt lat temu ktoś bardzo się postarał — ciągnął pułkownik. — Nie chcieli zostawić zbyt wielu śladów po tym, co się tam wydarzyło: zbyt głęboki grób, palone wapno, żeby rozpuścić ciała, cztery trupy bez blaszki z danymi...

— Przecież powiedział mi pan, że chorąży Arenas został zidentyfikowany — przerwał mu Aguirre.

— Blaszka pana wuja miała zerwany łańcuszek. Nie miał jej na szyi, znaleźliśmy ją w jego bucie. Ten, kto zdjął blaszki pozostałym, tej najwyraźniej nie znalazł. — Znów badawcze spojrzenie pułkownika.

— Dobrze, pułkowniku Wasyliw, wykonał pan kawał świetnej roboty. — Należało skończyć tę rozmowę, nim

zamieni się w przesłuchanie. Każdy powinien wrócić do swojej roli. — Chyba już czas, żebyśmy zeszli do sali, krewni na pewno się niecierpliwią. Ostatnie pytanie: zostało coś z mojego wuja?

— Och, tak. — Pułkownik odzyskał swój uśmiech sprzedawcy używanych samochodów. — Miał szczęście, to znaczy jego ciało. Był ostami w szeregu, wapno prawie go nie uszkodziło. Zresztą wrzucili tego wapna za mało. Wie pan, w tamtym okresie w Leningradzie wszystkiego było za mało.

— Tak, wiem — powiedział Aguirre, wstając ze skrzypiącego krzesła. — Idziemy, jak tylko uzna pan za stosowne, pułkowniku.

— Jeszcze jedna sprawa, drogi przyjacielu. — Pułkownik podniósł się i podszedł do metalowej szafy, otworzył ją i wyjął coś ze środka, coś zawiniętego w workowe płótno. Położył to na stole i wskazał obiema dłońmi, zwróconymi ku górze: w języku gestów „jest pańskie”.

Aguirre czuł, że ta gra zaczyna go męczyć.

— Mieliście wyraźny zakaz dotykania ciał i rzeczy poległych — przypomniał sucho.

Jaime pamiętał radę Aguada, dyrektora muzeum: „Niech pan pilnuje Rosjan w czasie wykopywania zwłok, mają zwyczaj przeszukiwania ciał i przywłaszczania sobie wszystkiego, co da się sprzedać. Wie pan, order, broń, sprzączki, guziki... Niech pan zrobi wszystko, co w pana mocy, żeby to się nie powtórzyło. Pieniądze to załatwią”.

— Zgadza się, zgadza się. Ale przestraszyliśmy się. Niech pan na to spojrz, sam pan zrozumie.

Aguirre wyjął przedmiot z worka. Nie był w stanie ukryć zdziwienia. Metalowy cylinder, w kolorze żółtopomarań-

czowym, z nadal czytelnym napisem „ZYKLON-B”. Nie mógł się powstrzymać, żeby nie spojrzeć na numer seryjny: 00102 producenta Tesch & Stabenow. Trzeci pojemnik. Poczul dreszcz.

— Dziwne, prawda? — zauważył Rosjanin, obserwując go z rozbawieniem.

— Jest niebezpieczny? — zapytał Aguirre, starając się zyskać na czasie, żeby uporządkować myśli, znaleźć klucz do rozwiązania zagadki.

— *Met, niet.* — Znów uśmiech kupca. — Proszę spojrzeć — powiedział, biorąc cylinder do ręki i pokazując dziurę w górnej części, przy spojeniu pod pokrywą. — Wystrzał, najpewniej z broni krótkiej. Musiałbym go wysłać do laboratorium, żeby mieć pewność. W każdym razie gaz wyleciał tędy, ponad pół wieku temu. Cyklon B był przewożony w stanie stałym, w niebieskawych kryształkach. Czasem śmierć może przyjmować piękne formy — zauważył filozoficznie. — W zetknięciu z powietrzem kryształki wchodziły w reakcję i zamieniały się w gaz.

— Dobrze. Zabiorę go ze sobą—zaczął wkładać cylinder do worka.

— Obawiam się, że to niemożliwe. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych musi najpierw oszacować jego wartość. Nigdy nie widziałem jeszcze pojemnika na Cyklon B.

Aguirre spojrział na niego. Twarz Rosjanina nie wyrażała tym razem niczego. Widział już ten grymas na twarzach krupierów przy stołach do blackjacka w kasynach. Nie spuszczać go z oczu, Jaime sięgnął prawą ręką do suwaka saszetki, którą miał przy pasku.

Położył na stole w idealnym szeregu dziesięć zwitków stu-

dolarowych banknotów spiętych gumką recepturką. W każdym zwitku po dziesięć.

Wasyliw zdjął gumki, przeliczył pieniądze, spiął je srebrnym spinaczem i schował do kieszeni.

— Mimo wszystko — powiedział — zdaje mi się, że nie robię dobrego interesu. Myślę, że wie pan więcej niż ja, a jeśli nie, będzie pan miał czas, żeby się dowiedzieć. Gdyby mój kraj nie zmienił się tak bardzo, kontynuowalibyśmy tę rozmowę.

Teraz patrzył na niego i Jaime poczuł coś w rodzaju strachu. Wasyliw uśmiechnął się, mrużąc oczy, aż w policzkach uformowały mu się dwa dołeczki. Rosjanin ze swoim wiecznym uśmiechem, Hiszpan z parcianym workiem przewieszonym przez ramię.

Czekało na nich czterdziestu krewnych hiszpańskich żołnierzy poległych w Rosji. Aguirre przebiegł wzrokiem ich twarze; błyszczące oczy, nieśmiałe uśmiechy... Nagle ktoś zaczął klaskać i cały hol wybuchł gromką owacją. Jaime nie mógł opanować wzruszenia, podniósł nieśmiało prawą rękę w niepewnym i niezręcznym geście podziękowania. Wtedy dwóch żołnierzy otworzyło metalowe skrzydła drzwi sali gimnastycznej.

Wszyscy odwrócili się w milczeniu. Przed nimi na czerwonym błyszczącym parkiecie stały skrzynie z zielonego materiału, w idealnych rzędach. W końcu wszyscy przyszli na spotkanie. Ponad sześćdziesiąt lat później.

Madryt, 26 lipca 2005

Stalin usłyszał jej kroki w drzwiach prowadzących na klatkę schodową, cztery piętra niżej. Szła szybko. Słyszał, jak zamyka żelazne drzwi starej windy. Była zła. Napędzający maszynę mechanizm poszedł w ruch: znów się zepsuje, nie pracuje dobrze. Dźwięk kluczy, drzwi mieszkania otworzyły się i zamknęły z hukiem. Nagle między dwoma skrzydłami drzwi do salonu przeleciał but, kończąc lot na ścianie korytarza. Była bardzo zła.

Stalin postanowił nie kusić losu. Zeskoczył z kanapy i wymknął się przez otwór w drzwiach kuchennych. Ukrył się w wygodnym wyściełanym koszu. Lepiej poczekać, aż go zawoła, zawsze go woła, kiedy ma kryzys emocjonalny. Wszystko lepsze niż mieć z nią do czynienia, kiedy zamienia się w furję. Wiedział dobrze, że ludzie mają dziwny zwyczaj wyładowywania złości „na tych, których najbardziej kochają”, jak zwykli powtarzać.

Berta podniosła but z podłogi. Obcas wisiał.

— Jasna cholera! — krzyknęła w samotności mieszkania.

Sandał od Manolo Blahnika kosztował mnie dwieście pięćdziesiąt dolarów na przecenie w czasie ostatniej podróży do Nowego Jorku, przypomniała sobie zmartwiona.

Zdjęła ostrożniej drugi but i pokonała na bosaka niewielką odległość dzielącą ją od kanapy w salonie, żeby rzucić się na nią twarzą w dół, wśród miękkich poduszek z pierza.

Poczuła intensywny zapach kota. Stalin, cholerny kocie, przypomnij mi, że muszę cię wykastrować.

Leżała bez ruchu przez kilka minut. Ze zwieszonym lewym ramieniem, z połamanym Manolo Blahnikiem w dłoni. Jej ciało zadrżało nagle: płakała.

Nie trwało to długo. Nie miała zwyczaju płakać. Kobiety z jej rodziny nie płakały. „Samokontrola! Nie pozbywaj się uczuć, ale nie pokazuj ich, to najintymniejsza rzecz, jaką posiadają kobiety. Przez nie stajemy się bezbronne”, powtarzała jej babcia.

Przekręciła się na plecy i zastygła bez ruchu, patrząc w sufit i wycierając łzy wierzchem dłoni.

To nie był dobry dzień.

W rzeczywistości dzień był okropny, katastrofalny.

Najgorszy dzień w jej życiu zawodowym. A dla trzydziestoosmioletniej samotnej kobiety oznaczało to właściwie najgorszy dzień w życiu w ogóle.

A wszystko musiało się wydarzyć zaledwie kilka dni po tym, jak zakończyła pomyślnie najbardziej błyskotliwą operację w swojej karierze, zapewne najważniejszą dla instytucji, w której pracowała — muzeum Prado.

Zaledwie dwa tygodnie temu sfinalizowała zakup *Hrabiny de Chinchón*, jednego z ostatnich wielkich obrazów Goi

należących do osób prywatnych. Wreszcie stał się częścią zbiorów Prado.

Dopięła swego po miesiącach skomplikowanych i delikatnych negocjacji prowadzonych na trzy fronty, między hrabiostwem Arges, właścicielami obrazu, Southbees & Spoons, domem aukcyjnym, który chciał go sprzedać, i Ministerstwem Kultury, które chciało położyć na nim łapę, na co zezwalało mu prawo, odkąd w ostatnim katalogu z 1983 roku dzieło zostało uznane za należące do „narodowego dziedzictwa historycznego”.

Berta Wundermann-Malakov jako wicedyrektorka muzeum Prado była odpowiedzialna za logistykę i w zasadzie za całą operację zakupu.

Na decyzję powierzenia jej przeprowadzenia tak trudnego projektu wpłynęło kilka okoliczności. Berta była bliską przyjaciółką Christophera Finneya, wiedzieli o tym w muzeum, wiedzieli o tym w ministerstwie.

Finney był dyrektorem Southbees & Spoons na Europę Południową, co oznaczało wszystkie kraje wybrzeża śródziemnomorskiego, „z Portugalią włącznie”, jak lubił zaznaczać.

Mieszkał, jeśli nie był akurat w Londynie, Tokio albo Nowym Jorku, na olśniewającym poddaszu na madryckiej Castellanie.

Kiedy Berta kilka lat wcześniej poznała go na szalonej imprezie Agathy Ruiz de la Prada, uznała go za najprzystojniejszego i najbardziej atrakcyjnego mężczyznę na świecie. Czterdzieści dwa lata, kawaler, metr osiemdziesiąt, idealne ciało wymodelowane na siłowni, ale bez przesady, oczy tak błękitne, że prawie bolało, kiedy na nią patrzył, uśmiech

pełen białych równych zębów, dłonie kształtne i krzepkie, męskie, bardzo krótkie ciemne włosy poprzeplatane siwizną, która czyniła go jeszcze bardziej atrakcyjnym. Na zawsze opalonej twarzy tyle zmarszczek, ile trzeba. Na dodatek miał dar prowadzenia rozmowy. Nie mówiąc o fantastycznym tyłku.

Zjedli kilka wspólnych lunchów i kolacji, zawsze w towarzystwie przyjaciół. Po miesiącu, na przyjęciu u niego w domu, Berta postarała się, żeby wszyscy goście wyszli przed nią.

— Jest czwarta nad ranem. Nie zaprosisz mnie na noc? — Siedziała na kanapie, z nogą założoną na nogę, pokazując kilka centymetrów więcej skóry przykrytej raczej skąpo prostą czarną sukienką koktajlową, z sugestywnie opadającym ramiączkiem.

— Oczywiście, kochanie — powiedział, nie przestając uśmiechać się uwodzicielsko — ale raczej będziesz się nudziła. Jestem gejem.

Depresja trwała dwadzieścia cztery godziny. Christopher był cudownym gejem. Zostali bliskimi przyjaciółmi. Berta została u niego na tę noc i na wiele następnych. Wiedzieli o rym w muzeum. Wiedzieli o tym w ministerstwie. Wiedzieli tyle, że tam spała, nie że Finney jest gejem.

Do tego Berta знаła również świeżo nominowaną minister kultury Cristinę Castano, koleżankę ze szkolnej ławy w Sagrados Corazones. „Ciotkę Cristi”, jak mówiły na nią koleżanki.

— Popatrz, Berto, zostałam ministrem. I pomyśleć, że zaczęłam jako hostessa. I tylko dlatego, że zastępowałam chorą koleżankę! — powiedziała jej z tą żartobliwą miną, którą przybierała zawsze pod nieobecność mężczyzn, kiedy

popijały kawę tydzień po nominacji w jej ministerialnym gabinecie.

Cristina Castano była zawsze najbardziej przebojowa z całej paczki. Gines Navarro, jej mąż, musiał być gwiazdą w swojej, bo od samego początku wiedział, czego chce, i zaczął z nią chodzić, kiedy miała czternaście lat. Od tego czasu zawsze byli razem, zdążyli się pobrać i dochować czwórki dzieci w idealnych odstępach czasu.

Berta zawsze uważała, że do siebie pasują.

— Kochana, mój pierwszy raz ze stanikiem i z chłopakiem musiały wypaść tego samego dnia. Mam na myśli Ginesa, naturalnie.

Zdaniem Berty dobry Bóg był dla przyjaciółki bardzo hojny, dał jej fantastyczną rodzinę i wystarczającą inteligencję, żeby, kiedy jej się to opłacało, udawać pozbawioną kompleksów blondynkę o niebieskich oczach i czerpać z tego korzyści.

Kiedy zaprosiła ją na kawę w swoim świeżo urządzonym gabinecie w ministerstwie, zadała jej pytanie, od którego wszystko się zaczęło.

— Berto, ślicznie wyglądasz w tym kostiumie... Słuchaj, zmieniając temat, co wiesz o *Hrabinie de Chinchón*?

Dwa tygodnie później Berta była z powrotem w ministerstwie. Ze skórzanej teczki marki Furia wyjęła grube dossier.

— Dobry Boże, i pomyśleć, że jako blondynka z pasemkami będę to musiała przeczytać dwa razy...

— Jest jeden problem—powiedziała Berta, nie przestając się uśmiechać. — Właściciele obrazu skontaktowali się z Southbees & Spoons i wygląda na to, że doszli do porozumienia. Wystawią go na licytację.

— Mają już kupca?

Berta wiedziała, że ten rodzaj licytacji ma zawsze ustalone z góry kupca i cenę.

— Tak. Weszli w układ ze znanym hiszpańskim multimilionerem, gotowym zapłacić za niego zupełnie nieprzyzwrotną cenę, nawet jak na Goyę. „Mamy Japończyka, który oferuje więcej, ale rodzina woli, żeby obraz został w Hiszpanii. Sprawa sentymentów, jak nam powiedziano”. — Berta pamiętała cyniczny uśmiech Christophera, kiedy to mówił.

— Popatrz, straszna szkoda, ale nic z tego nie będzie. Chcę, żeby *Hrabina de Chinchón* wisiała w Prado. — Cristina spojrzała na nią z zagadkowym uśmiechem.

Wyjęła z szuflady skórzaną teczkę i podała ją Bercie. Rozmowa zeszła na lżejsze tematy. Na mężczyzn jako prawie zbędny gatunek zwierząt, ubrania, plotki na temat wszystkich przyjaciółek. Spotkanie nieubłaganie zmierzało ku końcowi, kiedy Cristina zaczęła mówić o dzieciach, szkołach i służbie. Berta się znudziła i Cristina uznała rozmowę za zakończoną, zgodnie z

Dopiero na ulicy zwróciła uwagę na złotą pieczęć z logo Ministerstwa Finansów. „Przeczytaj ten dokument, na pewno coś ci przyjdzie do głowy. Zadzwoń do mnie i wrócimy do tej rozmowy”, powiedziała Cristina niefrasobliwie, całując ją na pożegnanie w drzwiach gabinetu.

Berta przeczytała go tej samej nocy w salonie w swoim mieszkaniu, słuchając Chopina i rozkoszując się schłodzonym białym reńskim winem. Im bardziej zagłębiała się w lekturę, tym bardziej była przekonana, że w takiej chwili lepszym tłem muzycznym byłby Wagner.

W teźce Ministerstwa Finansów znajdowały się dwie propozycje wszczęcia dochodzenia. Jednego przeciwko

Southbees & Spoons za nielegalne wywiezienie z kraju trzech obrazów Murilla: oszustwo podatkowe na milionową skalę, działanie na szkodę narodowego majątku kulturalnego, decyzje o zamknięciu hiszpańskiej filii i o wystąpieniu do Interpolu...

Drugie dochodzenie miało być przeprowadzone przeciw hrabiom Arges, właścicielom *Hrabiny de Chinchón*: podejrzenie wielomilionowego oszustwa na dopłatach z Unii Europejskiej do upraw lnu, które jakoby hrabiowie Arges posiadali w swojej posiadłości w Antequerze.

Zdjęcia lotnicze całych trzech tysięcy hektarów posiadłości, na których nie było śladu lnu. Zdjęcia magazynu, w którym teoretycznie len spłonął. Fachowy raport strażaków z Malagi: zaproszenie...

— Rozmawiałam z obiema stronami. Zgadzą się na układ. Ale chcą, żeby dokumenty Ministerstwa Finansów zniknęły — powiedziała Berta.

— Nie wiem, o jakich dokumentach mówisz, kochanie — odparła Cristina z olśniewającym uśmiechem.

Dobili targu. Obraz zawisł w Prado w czasie oficjalnej fety. Był to wielki sukces rządu w dziedzinie kultury. Hiszpania była bliska utraty dzieła Goi. Serdeczne gratulacje szefa rządu dla nowej pani minister. „Są ministrowie, którzy zaczynają z hukiem, i tacy, którzy zaczynają z Goya, jak artyści kina”, powiedział ze swoim specyficznym poczuciem humoru i wiecznym uśmiechem. „Szczерze mówiąc, mój szef sprawia, że czuję się czasem niepewnie. Popatrz na niego, pewnie uśmiecha się, nawet kiedy sra”, szepnęła Cristina do Berty. Były też słowa uznania dla Southbees & Spoons i dla hrabiów Arges, poprzednich właścicieli

obrazu. „Należy podziękować prywatnej firmie za wrażliwość moralną i rodzinie za patriotyczne nastawienie”.

Kiedy klaskali, Berta poczuła łokieć Christophera Finneya. Odwróciła się i uśmiechnęła się do siebie porozumiewawczo.

— Moglibyśmy wyjaśnić tę sprawę Murilla — powiedział jej w czasie pełnego napięcia spotkania w towarzystwie angielskich adwokatów, w sali konferencyjnej prestiżowego domu aukcyjnego — ale firma nie życzy sobie skandalu ani też najmniejszych obiekcji co do jej rzetelności.

Berta przypomniała sobie, że po zakończonym zebraniu Finney pożegnał ją pocałunkiem. Podszedł bardzo blisko, żeby ją pocałować. Siedząc w taksówce, znalazła w kieszeni jego wizytówkę; na odwrocie przeczytała odręczną notatkę Christophera: „inspekcje ministerstwa, lata 1994, 95 i 96”.

Te trzy dokumenty również zniknęły.

— A co się stało z twoim kupcem? — zapytała go przy kolacji, dzień po zakończonych negocjacjach.

— Nic. Podobała mu się *Hrabina de Chinchón*, ale wolał nadal być milionerem. Żaden multimilioner nie kłóci się z państwem. Poza tym zaproponowałem mu Cezanne'a.

Berta porzuciła wspomnienia i rozejrzała się za jeszcze jedną wielką bohaterką uroczystości: hrabiną Arges. Jej mąż wolał zostać w posiadłości w Antequerze.

Hrabina zobaczyła ją, ale natychmiast ruchem pełnym wyższości zwróciła spojrzenie przed siebie. Wzrok Berty wytrzymał za to adwokat hrabiny Ramon Navas, który z uśmiechem puścił do niej oko.

— Nazywam się Navas, Ramon, Ramon Navas — powiedział jowialnym tonem do słuchawki. Rozmawiał ze swojego gabinetu w Murcji.

Navas był adwokatem rodziny. Najwyraźniej pozostawał w ścisłej zażyłości z hrabiostwem, don Rafaelem i dożą Ursulą.

— Don Rafael i ja mamy te same upodobania — powiedział Bercie podczas pierwszego roboczego podwieczorku w Raimundo Gonzaleza. — Lubimy statek jego żony, posiadłości jego żony, pieniądze jego żony i zająca w czekoladzie, którego robi jego żona. Musi go pani kiedyś spróbować. Nie do przebiccia. To urocza para. Mam na myśli don Rafaela i dożę Ursulę, nie zająca i dożę Ursulę.

Bertę dziwiła ta zażyłość między adwokatem i jego klientem. Przystudiowała dossier dotyczące don Rafaela Arrancudiagi, udostępnione jej przez Ministerstwo Kultury.

Hrabia, zbliżający się właśnie do pięćdziesiątki, był dzieckiem z dobrej rodziny z Bilbao, a w czasach młodości wytrawnym kobieciarzem.

Przeniósł się do Madrytu, kiedy otrzymał pierwszy list od organizacji ETA, w którym zwracano się do niego z prośbą o „współpracę w dziele tworzenia Euskadii *”. W rzeczywistości przeniósł się raczej z czystej potrzeby niż ze strachu przed szantażem: nie miał gotówki na podatki. Ani te legalne, ani pozostałe. Rodzinne stocznie właśnie ogłosiły upadłość.

To dzięki tej nieprzyjemnej sprawie poznał Ramona Navasa. Początkowo Navas był adwokatem stoczniowców, ale Rafael uznał za stosowne zaprosić go na kolację do Akelarre, „żeby obie strony zaczęły się poznawać, bez uprzedzeń”, jak to ujął Arrancudiaga.

Po kolacji czy raczej po całej nocy ekscesów w prywatnej willi w Guecho Navas przeszedł na stronę firmy. Uzyskał

* Kraj Basków.

długoterminowe zamrożenie wypłat, które pozwoliło na czyste i dyskretne zlicytowanie jego dóbr, i przede wszystkim uniknął ogłoszenia upadłości z powodu oszustwa.

Na początek nowego życia w stolicy wynajął willę w Puerta de Hierro i wydał ostatnie pieniądze na kilka z najstynniejszych przyjęć w Madrycie szczęśliwych lat osiemdziesiątych. Na jednym z nich poznał hrabinę Arges, poczuł krew i nie pozwolił, żeby zwierzyzna mu się wymknęła.

W modnych kółkach plotkarskich w Bilbao szeptano jednak, że Rafael Arrancudiaga był nadal zakochany w Anie Castellanos, paniencie z dobrego domu z Las Arenas, z którą miał w młodości gorący romans.

— Słyszałem nawet, że ma z nią trójkę dzieci — Navas dorzucił jej garść informacji. — Co za bzdury! Chociaż nigdy nie wiadomo, bo don Rafael, poza robieniem za rozplodowca, zawsze był romantykiem.

Mimo woli Berta polubiła Navasa, typ *bon vivanta*, dobrze wychowanego i ujmującego, a jednocześnie sprawnego adwokata dbającego o interesy klientów.

— Wszystkie papiery z dotacji są w najlepszym porządku. A sprawa tego lnu została nieprzyjemnie wyolbrzymiona przez prasę. Jednak w tej chwili mój klient nie może sobie pozwolić na rozprawę tego rodzaju: powolną i kosztowną. Jeśli pani ma coś do sprzedania, mogę być zainteresowany kupnem — powiedział bystry adwokat.

Navas zrobił dobry interes w imieniu swojego klienta. Dwadzieścia cztery miliony euro za to, żeby państwo mogło zrealizować swoje prawa do obrazu.

Znacznie mniej, niż mogliby osiągnąć właściciele obrazu na aukcji, nawet gdyby kupiec był z góry ustalony. Jednak,

dzięki posunięciu Navasa, hrabiowie mogli oddać sprawę w jego ręce, don Rafael mógł nadal spokojnie polować w swojej posiadłości — „nie pieprz, Ramon, sadzić len, żeby mi zasłaniał jelenie, jak je wtedy ustrzelisz?” — a doña Ursula mogła cieszyć się podróżami do Paryża i Rzymu, nie martwiąc się koniecznością zniknięcia ze sceny na jakiś czas i zastawienia posiadłości i statku, żeby zapłacić przykłądną grzywnę fiskusowi. Wspaniała operacja. Aż do tego ranka.

— Antonio Perez przyjdzie obejrzeć obraz — oznajmił jej wczorajszego popołudnia dyrektor muzeum Prado.

Antonio Perez, wielki malarz hiperrealista, mistrz, geniusz. Znała go od dziecka. Czowała do niego sympatię i głęboki szacunek. Był od lat bliskim przyjacielem rodziny, zwłaszcza dziadka Jose Manuela.

Jej dziadek był dobrym znajomym wujka Antonia, również malarza, Pedra Pereza. Za swoich młodszych lat Antonio siedział godzinami w studiu wuja. Tam się poznali. „Ten chłopiec to geniusz”, powtarzał często dziadek.

Nie widziała go od zeszłego roku, od pogrzebu. Poczowała ukłucie smutku na wspomnienie dziadka, którego uwielbiała.

— To będzie prawie prywatna wizyta, nie chcę zbyt wielu dziennikarzy — zaznaczył dyrektor Luis Zuniga.

Berta wiedziała, co to oznacza. Zawiadomiła wszystkich.

Przyszeli tylko redaktor z „ABC”. Tego ranka wybuchł następny skandal w związku z trudnym triumwiratem w rządzie Katalonii.

Antonio był, jak zwykle, bardzo czuły i, jak zwykle, skąpy w słowach.

Wziął ją za rękę i uściśnął.

— Pięknie wyglądasz, zupełnie jak twoja babka.

Berta odpowiedziała mu ciepłym uśmiechem.

Zuniga zaprowadził go prawie biegiem do sali z obrazami Goi, gdzie na honorowym miejscu wisiała *Hrabina de Chinchón*.

— Jak się panu podoba, mistrzu? — zapytał dyrektor z fałszywym, lepkiem uśmiechem.

Malarz przyjrzał się obrazowi z odległości około czterech metrów, badając go z poważną miną i rękami założonymi za plecy. Berta widziała go już przedtem w takiej pozie, kiedy malując, próbował „zapamiętać światło”, jak mówił.

Zrobił kilka kroków do przodu. Stał półtora metra od obrazu. Ściągnął brwi. Podszedł jeszcze bliżej, prawie przyklejając nos do jego powierzchni. Założył wiszące na szyi okulary. Nagle uśmiechnął się, pokiwał lekko głową z jednej strony na drugą, jakby odkrył coś niespodziewanego. Spojrzał na Bertę i uśmiechnął się raz jeszcze. Wydawało jej się, że zobaczyła błysk emocji w jego oczach.

Milczenie mistrza wprawiało Zufięgę w zakłopotanie.

— Fantastyczny, prawda? — naciskał.

— Tak. To fantastyczny obraz, ale to nie Goya. Nie widzę ani jednego pociągnięcia pędzla mistrza na tym obrazie — odparł sucho.

Jego uprzejme maniery sprzed kilku sekund gdzieś zniknęły.

Berta poczuła, że stanęło jej serce.

Gdyby Luis Zuniga nie był politykiem z krwi i kości, powinien był upaść na posadzkę z polerowanego marmuru i rozlecieć się na kawałki. Wyszedł jednak z opresji obronną ręką.

— Ekspertyza nie była wcale łatwa — powiedział bez mrugnięcia okiem, patrząc na obraz. — Na początku mieli wątpliwości, ale ostatecznie wyniki były rozstrzygające. Wiedział pan, mistrzu — dodał, patrząc przelotnie w twarz Pereza — że znaleźliśmy między pęknięciami farby cząsteczki tkanin o takim samym składzie, jak habity zakonne z osiemnastego wieku? — Zrobił efektowną przerwę, patrząc na obraz z wyrazem zachwyty i miną profesjonalisty. — Ten obraz ma pasjonującą historię, niewątpliwie.

Perez milczał. Najwyraźniej czuł się niezręcznie.

— A teraz — ciągnął gładko Zuniga — chciałbym pokazać panu nowe sale z malarstwem hiszpańskim. Niedawno je przystosowaliśmy, dzięki czemu mogliśmy wystawić część naszych zbiorów, które jeszcze nie widziały światła dziennego. Naprawdę fascynujące eksponaty. — Dyrektor chwycił mistrza za lewe ramię i ruszył w kierunku nowych sal. Odwrócił się ze znanym już Bercie gestem: „Pozbądź się dziennikarza”.

— Andres, dalsza część wizyty będzie już prywatna... gdybyś był tak uprzejmy...

— Ale słyszałaś, co powiedział Antonio Perez? — spytał niepewnie redaktor, „ABC”, nie mogąc otrząsnąć się z szoku.



Berta była pewna, że nie zapomni tego do śmierci. „Nie widzę ani jednego pociągnięcia pędzla mistrza na tym obrazie”.

Jej spojrzenie błędziło po salonie. Zatrzymało się nagle na migającej lampce automatycznej sekretarki. Nowe wiadomości. Podniosła się, czując potworne znużenie i ocięża-

łość w całym ciele. Nacisnęła guzik. Pocięsała się myślą, że nie mogło się już zdarzyć nic gorszego. Kielich goryczy przepełnił się rano. Teraz maszyna zaczęła odtwarzać przyjazne głosy.

— Berto, tu Alodia. — Jej przyjaciółka Alodia Gimenez-Arnau pracowała w biurze notarialnym, czworo dzieci. — Mogłabyś odebrać małą Alodię ze szkoły we wtorek? Zmieni mi terminy w biurze i nie zdążę. Dzięki. Nigdy nie wychodź za mąż.

— Stalin, Stalin! — zawołała swojego zwierzaka. — Chodź tu, cholerny kocie.

— Berta, cześć, kochanie, tu Graciela. — Graciela Calvo, profesor na uniwersytecie, właścicielka sklepu z ubraniami, sześcioro dzieci. — Możesz przyjść do mnie jutro na obiad? Muszę porozmawiać z kimś dorosłym. W domu otaczają mnie dzieci i dorastająca młodzież. Mój mąż, jak wszyscy mężowie, nie wyszedł z okresu dojrzewania i wyłącza się, jak do niego mówię. Zgódź się, zjemy coś razem. Zadzwoń do mnie.

Stalin zwinął się w kłębek na jej kolanach i zaczął mruczeć.

— Stalin, Stalin, stary kocie. Jedyne mężczyzno, którego naprawdę kochałam...

— Berto, wiem, że jesteś w domu. Potrzebuję cię. Czekam na ciebie w warsztacie. Chcę, żebyś coś obejrzała. — Montse de Paul, jedna z najlepszych madryckich restauratorek dzieł sztuki, czwórka dzieci.

Berta pomyślała z ulgą, że przyjaciółki zrównoważyły z nawiązką jej brak wkładu w przyrost naturalny kraju.

— Dzień dobry — sekretarka wypluła nagle nieznany

męski głos. — Nazywam się Jaime Aguirre, podali mi pani nazwisko i telefon w muzeum... w muzeum Błękitnej Dywizji... pułkownik Aguado. Chciałbym porozmawiać z panią o pewnych przedmiotach, które pani rodzina ofiarowała muzeum, dwa pojemniki po gazie... Można było odnieść wrażenie, że jest onieśmielony.

— Zostawię pani mój telefon. Dziękuję.

Maszyna wydała cichy pisk i ogłosiła koniec odsłuchiwania wiadomości.

Berta czule pogłaskała kota.



— Stalynie, idę zobaczyć się z Montse. Jestem przybita, a ona mnie rozumie. Tak jak ty. Pewnie w poprzednim wcieleniu była kotką i miała cztery kociątka.

Berta jechała z maksymalną prędkością swoim potężnym porsche cayenne w kierunku La Moraleja. Lubiła duże samochody. Lubiła szybko jeździć. Dwie cechy, które zwykle nie podobały się mężczyznom. „Mężczyźni chcą, żebyś prowadziła mini i pytała ich bez przerwy o wlew oleju”, mawiała Montse.

Nacisnęła dzwonek przy drzwiach willi, wdychając powietrze czystsze niż to w centrum Madrytu. Bardzo zdrowo, bardzo ładnie, z tymi wspinałymi ogrodami, które otaczały wszystkie wille. Jednak ona nie mogłaby tu mieszkać. Miała za dużo z mieszczucha.

Drzwi otworzyła Montse. Wyglądała nienagannie, pomimo fartucha. Uczesanie od fryzjera, sweter marki Loewe, dzinsy Aninnoto, sandały od Ferragamo...

— Dokąd ty się wybierasz, taka elegancka?

— Czekaj mnie podwieczorem z klubem Harpii. Zameż-
nych Harpii, dlatego do ciebie nie dzwoniłyśmy.

— Jasne. Teraz ty otwierasz drzwi? Georginia wyszła?

Georginia była pokojówką z Polski. Pięć lat w domu.
Inżynier agronom w swoim kraju. Urocza.

— Nie. — Montse skrzywiła się. — Ale mówi, że musi
się nauczyć nowych zwrotów po hiszpańsku. Zamknęła się w
pokoju i ogląda meksykańską telenowelę, a ponieważ
podkręca głos na całego, nie słyszy dzwonka do drzwi.
Ostatnio Quino wychodzi z basenu, a ta mi mówi: „Proszę
pani, pani mąż jest jeszcze śliczniutki, całkiem w dechę”.

— Montse, mam się popłakać tutaj, czy przejdziemy do
warsztatu?

Przyjaciółka objęła ją.

— Kochanie. Co za egoistka ze mnie. Co tym razem?
Kolejny mężczyzna?

— Nie. Znacznie gorzej.

Montse wysłuchiwała z uwagą całej opowieści. Georginia w
przerwie na reklamy przygotowała fantastyczną herbatę.
Porządnie zaprawioną walerianą, jak uznała Berta, czując, jak
odpręża się jej ciało, umysł i dusza.



— Powinnaś z nim porozmawiać — oświadczyła Montse.

— Z kim?

— Z Antoniem Perezem. I zapytać go, dlaczego to po-
wiedział.

— To jest Goya, Montse. — Berta walczyła, by tym razem
powstrzymać łzy. — Dziesięciu światowych ekspertów od
Goi doszło do tego samego wniosku. Nie może być inaczej.

Berta oparła głowę o sfatygowaną kanapę i zamknęła oczy. Czy to naprawdę Goya? Znała dobrze Antonia Pereza, jego styl pracy, malarstwo. Najlepszy hiperrealista w kraju. Geniusz miary Velazqueza albo samego Goi. Uznają go po śmierci. Prawo życia. Prawo sztuki.

Antonio nie malował przedmiotów, Antonio potrafił uchwycić chwilę światła.

Jego pamięć wizualna była niezwykła. Dlatego miała teraz wątpliwości. Antonio widział zbyt wiele obrazów Goi. Goya był jednym z jego ulubionych malarzy. Przystudiował wszystkie dostępne dzieła, nauczył się ich na pamięć. Znał doskonale jego kreskę, rozwój malarstwa.

Przypomniała sobie, jak stojąc przed obrazem Arsenia Soli, jednego z uczniów Goi, powiedział jej, wskazując fragment dzieła: „Popatrz, tę poprawkę zrobił mistrz. Widzisz, kreska się zmienia w porównaniu z resztą, nacisk na pędzel jest inny...”.

Boże, musiał znać nawet grubość włókien w jego pędz-
lach! W głębi serca werdykt Antonia ją przerażał. Może to nie jest Goya? Co, do diabła! On wie, jak malował Goya, musi znać nawet czarne myśli Goi. To nie Goya.

Starła się odpędzić czarne chmury. Nie powinna tak myśleć. Nawet on mógł się mylić. Oglądał obraz przez mniej niż trzy minuty.

Odzyskała panowanie nad sobą.

— A najgorsze jest to, że zanim to powiedział, uśmiechnął się do mnie.

— Uśmiechnął się?

— Tak, jakbyśmy mieli jakiś wspólny sekret.

— Nie trać czasu. Jedź do niego. Wyjaśni ci wszystko. Myślisz, że jutro prasa coś opublikuje?

— „ABC” na pierwszej stronie.

— Daj spokój, mówimy o sztuce. Sztuka nigdy nie zajmuje w tym kraju pierwszych stron.

— Mówimy o polityce.

— Tym lepiej. W takim razie wszystko skorygują. Twojego szefa burżuja musi już piec ucho od gadania przez telefon.

— Jak zwykle optymistka. Nalej mi jeszcze herbaty. Co ty do niej wrzuciłaś? — zapytała, opróżniając filiżankę. — Czuję paraliż w całym ciele.

— Dodaję do niej sterydy, żeby mieć twarde cycki.

Berta zachlapała sobie herbatą spódnicę. Zawsze jej się to zdarzało, kiedy śmiała się z pełnymi ustami.

— Montse, jesteś nienormalna. Jak twój mąż z tobą wytrzymuje?

— Zaraz skończę czterdziestkę, kochanie, mam czwórkę dzieci i gdybym była zupełnie normalna, mój mąż już dawno by uciekł z nafaszerowaną sterydami sekretarką.

— Jest pyszna — powiedziała Berta, rozkoszując się kolejną filiżanką herbaty. — No dobrze, ja już się wypłakałam...

— Pojedziesz zobaczyć... — przerwała jej Montse.

— Jak tylko skończę herbatę — odparła Berta, nie pozwalając jej dokończyć zdania. — A teraz powiedz mi, co miałam obejrzeć w twoim warsztacie. Brzmiało tajemniczo.

— A, nic takiego. Rozczarowałam się. Restauruję kolonialną Matkę Boską z Alodii. Czyściłam ją i przez chwilę wydawało mi się, że pod spodem jest inny obraz. Czekałam na ciebie, wróciłam do pracy i okazało się, że to tylko szkic. Fałszywy alarm. Zobaczysz, któregoś dnia odkryję praw-

dziwego Goyę pod jedną z tych waz z owocami, które dają mi do konserwacji moje zwariowane przyjaciółki.

Berta objęła Montse.

Pożegnały się w drzwiach. Długie pożegnania przyjaciółek w drzwiach.

— Zadzwoń do mnie, gdy tylko się czegoś dowiesz — poprosiła Montse.

— Dobrze. — Berta przypadkiem zwróciła uwagę na czarno-białe zdjęcie stojące na komodzie w przedpokoju. — Proszę, wyjęłaś je z albumu.

Montse odwróciła się. Z uśmiechem wzięła do ręki metalową ramkę. W tym momencie w korytarzu pojawiła się Georginia. Jasne miedziane włosy, prawie metr osiemdziesiąt i wymiary zawodniczki w rzucie młotem dawnego Związku Radzieckiego. Miała zaczerwienione oczy od łzawiącego wpływu właśnie obejrzonej telenoweli.

— Dzień dobry, panienko Berto — przywitała ją, jak zwykle uprzejma i ujmująca. — Proszę pani — powiedziała, zwracając się do Montse — co znaczy „wykręcony”?

— Później ci wyjaśnię, Georginio — odparła Montse przez zaciśnięte zęby.

Georginia zniknęła niepocieszona, wydmuchując głośno nos. Przyjaciółki uśmiechnęły się do siebie.

— Zdjęcie — przypomniała Berta.

— Zdjęcie — powtórzyła Montse, patrząc na nie. — Wiedziałaś, że zakochałam się w Quinie z powodu tego

Berta przyjrzała się starej fotografii, tyle razy oglądanej, związanej z tyloma wspomnieniami.

Stali tam, mając za plecami ogon niemieckiego trzysil-

nikowego samolotu, „Ju-52, ale solidny. Mówili, że mógł latać z dwoma silnikami... podobno”, powiedział jej kiedyś dziadek.

Od lewej do prawej stali Joaquin Ayuso, dziadek Quina, wówczas pułkownik lotnictwa, który miał zostać później generałem, Rafael Gonzalez Iglesias, szef firmy budowlanej Vias, której byli współnikami, a obok Jose Manuel Wundermann Arenas, architekt, jej dziadek.

Wszyscy trzej młodzi, tak pełni życia, tak pełni marzeń. Dzień był szary i mroźny, ale oni uśmiechali się do obiektywu.

Kiedy była mała, to zdjęcie wywoływało w niej strach. Wszyscy mieli na sobie długie płaszcze, wojskowy był jaśniejszy od pozostałych. Niebieskie koszule, czarne krawaty, płaskie czapki... „Tak wyglądały mundury Falangi — wyjaśnił jej dziadek, widząc, z jakim lękiem patrzy na zdjęcie. — Lecieliśmy do Berlina. To było w czterdziestym pierwszym. Na mecz Niemcy—Hiszpania. Twój stryjeczny dziadek Rafael był nie tylko szefem Atletico Aviación, ale również wicedyrektorem Federacji Hiszpańskiej”. „I poznałeś Hitlera, dziadku?”, pamiętała, jak zadała mu to pytanie, uczesana w dwa kucyki. „Naturalnie. Był na trybunie razem z nami. Nie przestał podskakiwać przez całe dziewięćdziesiąt minut. Facet, który podskakuje przez cały mecz, nie może wygrać wojny. Franco nie podskakiwał, wiesz?”.

— To było na przyjęciu u rodziców Quina — Montse wyrwała ją ze wspomnień. — Wtedy jeszcze go nie znałam. Zresztą przyszłam z kolegą jego brata. Wtedy zobaczyłam to zdjęcie. — Znów spojrzała na nie z zachwytem. — I zakochałam się w tym lotniku, czyli w jego dziadku.

— Aż mnie ciarki przeszły...

— Co ty tam wiesz... Mężczyźni w mundurze są wspa-
niali. Popatrz na niego, wygląda zupełnie jak Quino.

Berta przyjrzała mu się. Rzeczywiście, wyglądali jak
klony.

— Wtedy Quino wszedł do salonu. Wracał z uniwersytetu,
prawie na mnie wpadł. Zobaczyłam go i serce podeszło mi do
gardła. Był moim księciem z bajki, moim lotnikiem, tym ze
zdjęcia, może bez płaszcza i czapki, ale tak samo przy-
stojnym — powiedziała w uniesieniu.

— Ależ ty to przeżywasz! Strasznie się robisz uczuciowa.

— Tak. Wiesz, że jestem dość namiętna. Na czym skoń-
czyliśmy?

— Na Quinie.

— No właśnie, prawie zemdlałam.

— I aż do dziś.

— I aż do dziś. I oby jak najdłużej.



Berta zadzwoniła do Antonia Pereza z telefonu w samo-
chodzie, z zestawem głośnomówiącym ostatniej generacji,
który włączała za pomocą małego guzika na kierownicy
pojazdu.

— Tak? — odebrał Antonio we własnej osobie.

— Antonio, tu Berta.

— Berto, bardzo cię przepraszam. — Najwyraźniej czuł
się niezręcznie. — Mam nadzieję, że nie popadłaś przeze
mnie w tarapaty.

— Chciałabym się z tobą zobaczyć — jej głos wydał się
jej samej niespodziewanie wrogi.

— To nie najlepszy pomysł. Skomplikowałby wszystko. Porozmawiaj z twoją babcią.

— Z moją babcią? Co ona ma z tym wspólnego? — Rozmowa przyjęła niespodziewany obrót.

— Już palnąłem głupstwo dziś rano... nie chcę tego powtórzyć. To stare dzieje, ale nie ja powinienem ci je opowiedzieć. Zapytaj babcię... Zapytaj o to, czego dziadek nigdy ci nie opowiedział.

— Ale o co...

— Później do mnie zadzwoń — przerwał jej malarz. — Później możemy porozmawiać, jeśli zechcesz. — I odwiesił słuchawkę.



Zostawiła samochód na parkingu pod domem babci, na miejscu przeznaczonym dla gości, obok mercedesa 500 dziadków. Teraz tylko babci. Wsiadła do windy, która zawiozła ją na pierwsze piętro budynku, do olśniewająco pięknego mieszkania ze wspaniałym widokiem na plac

Zadzwoiła do babci z samochodu, po tak nagle skończonej rozmowie z Antoniem Perezem. „Naturalnie, możesz mnie odwiedzić, kochanie. Zjemy razem podwieczorek, zrobiło się późno”. Spojrzała na swojego stalowego cartiera. Trzecia. Zwariowany dzień. Pełen niespodzianek.

Wyszła z windy i zadzwoiła do masywnych drzwi z czerwonego kakaowca, zawsze błyszczących, jakby świeżo wypolerowanych i polakierowanych. Wiedziała, że musi poczekać. Nico, lokaj babci, nie był głuchy, ale nigdy się nie spieszył. Oparła ramię o framugę drzwi, a głowę o ścianę.

Uśmiechnęła się bezwiednie. Cieszyła się na myśl o zobaczeniu babci Tani i zjedzeniu z nią podwieczorku. Bez pośpiechu jak dawniej, kiedy studiowała historię sztuki i w czasie sesji spędzała długie chwile na nauce w domu

Babcia Tania, zawsze urocza, zawsze czuła, zawsze tak bliska i pełna ciepła. Berta wiedziała od zawsze, że jest jej ulubioną wnuczką. „W tak wielu rzeczach przypominasz mi mnie samą...”, powtarzała nieraz.

To prawda, były nawet do siebie podobne. Odziedziczyła po niej wspaniałą figurę, arystokratyczny styl bycia, jasną skórę, niebieskie oczy o głębokim spojrzeniu, włosy o intensywnym kasztanowym kolorze i miedzianym połysku. „Mamy takie same włosy — zwykła mówić, kiedy ją czesała — chociaż teraz tego nie widać”, dodawała, dotykając swoich włosów, koloru śniegu.

Odziedziczyła też jej charakter. Dumna, niezależna, uparta i ze szczyptą szaleństwa. „Ja też byłam taka, może nadal jestem”, powiedziała kiedyś babcia.

Masywne drzwi z kakaowca otworzyły się. W progu stał dobry Nikołaj, wołany z hiszpańska Nicolas, dla rodziny Nico.

— Cześć, Nico! — wykrzyknęła wesoło Berta. Ucałowała go, zanim zdążył zareagować. — Wyglądasz świetnie. — Złapała go za ramiona. — Jest babcia?

Nico kiwnął głową trochę przestraszony, ale nie odpowiedział. Był niemy od urodzenia.

Wyjął z kieszeni fartucha plastikową tabliczkę z logo sklepu cukierniczego „Majorka”, taką samą, jakiej używały sprzedawczynie do zapisywania listy zakupów, którą od-

dawały później do kasy. „Kradnie je z »Majoroki«, Nico to niezły numer”, przypomniała sobie słowa babci, kiedy lokaj zapisywał coś mazakiem na tabliczce. Pokazał ją Bercie: „Ubiera się”.

— Dobrze, dobrze, Nico. — Berta uśmiechnęła się. Babcia, wieczna kokietka. — Poczekam w saloniku kominkowym, dobrze? — W domu były trzy salony, z których najbardziej lubiła ten z kominkiem, o niebieskich ścianach i grubych zasłonach z kretonu i jedwabiu w oknach. Ten, w którym wisiły obrazy dziadka.

Nico z uśmiechem pokiwał głową. Potrafił ją wzruszyć. Musiał być mniej więcej w wieku babci, siedemdziesiąt z hakiem. Zawsze przy niej, zawsze nierozłączni, odkąd dziadek znalazł ich w Hendaye.

To był rok 1941. Dziadek opowiadał jej tę historię setki razy, kiedy była mała i miała zwyczaj wspinać się na jego kolana, żeby oglądać fascynujący portret babci. „Jak poznałeś babcię?”. „Znalazłem oboje na stacji kolejowej w Hendaye. Twoją babcię i Nica. Dwoje białych Rosjan uciekających przed rewolucją. Zakochałem się w twojej babci od pierwszego wejrzenia. Jechałem z frontu rosyjskiego i postarałem się, żeby dostali papiery i pojechali ze mną do Hiszpanii. Odtąd zawsze byliśmy razem”.

Fascynowała ją ta historia. Odkąd ją usłyszała, marzyła o tym, żeby jej książkę z bajki pojawił się na starej stacji, wśród kłębów pary z lokomotywy...

— Kochanie, przyjdę za pięć minut — usłyszała głos babci dochodzący z sypialni.

— Nie martw się. Czekam w saloniku kominkowym. Jej spojrzenie pobiegło bezwiednie do portretu babci.

Siedemnastoletnia Tania, w czasie kiedy poznała dziadka. Jej spojrzenie — słodkie i głębokie. Uśmiech. Dwie rzeczy, które musiały uwieść jej męża.

Dziadek namalował ten obraz, czerpiąc z włoskiego renesansu. Obraz pełen symboli.

„Na tym obrazie są wszystkie moje tajemnice”, przestraszył ją kiedyś, szepcząc jej do ucha, kiedy stała, niczego się nie spodziewając, zapatrzona w obraz.

Babcia na pierwszym planie, w fotelu, w perspektywicznym skrócie, w jasnoniebieskiej sukience, prześliczna. W rękach złożonych na kolanach pięć czerwonych róż o długich łodyżkach. U jej stóp ogromna zielona jaszczurka, niemal piękna, która nigdy nie wywoływała w Bercie strachu ani odrazy, jak w jej kuzynach. W pyszczku trzymała kawałek białej kartki, na której widniały czarna cyfra i trzy litery „3GZB”. Pejzaż otaczający jedyną postać widniejącą na obrazie był pokryty śniegiem. Na drugim planie stało uschnięte drzewo. Z jednej z jego gałęzi zwisała złowieszczo lina. Po prawej stronie tego nieprawdopodobnego krajobrazu wznosiła się Brama Atlantów, główne wejście do budynku Nowego Ermitażu w Sankt Petersburgu. W tle, spoza gór majaczących na horyzoncie, wschodziło słońce. Kolejny raz przyjrzała się samolotowi, który próbował uciec z lewej części obrazu. Zawsze śmieszył ją ten mały samolocik, w oddali, z czerwonym krzyżem na kadłubie. Po prawej stronie, za babcią, następny tajemniczy element, suchy pień z wbitymi w niego strzałami.

Spojrzała na twarz babci, na jej głębokie, niebieskie oczy, pełne spokoju, na lekki uśmiech błędzący na ustach.

Wreszcie zatrzymała wzrok na tej części kompozycji,

którą zawsze uważała za najbardziej fascynującą. Pięć koron. Pięć odwróconych koron, które dziadek namalował naokoło głowy babci, w formie aureoli.

Pod każdą z nich znajdowała się starannie wykaligrowana złota litera. Pięć liter, które nie miały dla Bertę żadnego sensu: O, Z, H, S i K.

Przyglądając się pięciu koronom, poczuła nagły lęk. Co kryje w sobie ten obraz?

Usłyszała kroki Nica na nieco skrzypiącej podłodze.

— Już? — zapytała, odwracając się.

Nico posłał jej kolejny uśmiech i zaprowadził do jadalni. Berta pomyślała, że mogłaby z przyjemnością poczekać jeszcze trochę i nacieszyć się pozostałymi obrazami wiszącymi na ścianach saloniku. Cztery wspaniałe kopie namalowane przez dziadka. Spojrzała przelotnie na *Madonnę z goździkiem* Leonarda da Vinci, *Portret hrabiego-diuka di Olivaresa* Velazqueza, *Wiejskie chałupy w Cordeville* van Gogha i wspaniałą kopię szkicu na płótnie *Koronacji Marii Medycejskiej* Rubensa... Podobały się jej od dzieciństwa, ale kiedy zaczęła studiować historię sztuki i poznała sekrety dzieł mistrzów, te kopie zaczęły ją fascynować.

„Kim jesteś, dziadku? Leonardem, Velazquezem, van Goghiem czy Rubensem?“, zapytała go kiedyś.

„Wszystkimi czterema”.

Uklucie w żołądku, głód, kazał jej zmienić zdanie i przyspieszyć kroku.

Duży angielski stół z kakaowca zsunięto tak, żeby był wygodny dla dwóch osób. Tkany obrus i holenderska zastawa, srebrne sztuce i kieliszki z niemieckiego kryształu.

Babcia czekała na nią u szczytu stołu, wyprostowana

i dumna, wsparta nieznacznie na cienkiej orzechowej lasce ze srebrną rączką. Z olśniewającym uśmiechem. Berta podeszła — prawie podbiegła — żeby ją uściskać.

Kiedy zasiadły do doskonałego chłodnika, Berta opisała wydarzenia tego okropnego ranka.

— No tak, Antonio nigdy nie odznaczał się przesadnym taktem — stwierdziła Tania, przerywając milczenie, z jakim słuchała opowieści Berty. — Rzecz zresztą częsta wśród artystów. Kochanie, masz koci włos na bluzce. — Babcia cieszyła się nadal doskonałym wzrokiem. — Stalin, jak sądzę. Wujek Manolo wybiera kotom koszarne imiona — zauważyła z dezaprobatą.

Uśmiechnęła się na wspomnienie wujka Manola. Manuel Fernandez de Bonhomia y Castillejos, markiz Monfreno, towarzysz dziadka „w wielu rzeczach”, jak mawiał. Podarował jej pierwszego kota, Durruti, kiedy w wieku dwudziestu trzech lat wyprowadziła się z domu. „Żebyś nie czuła się taka samotna w swoim apartamencie”, powiedział, śmiejąc się. Kiedy Durruti zdechł po dwunastu latach, dał jej Stalina. „Co za imiona, wujku Manolo! Przecież zawsze byłeś faszystą”. „Przypominają mi czasy młodości. Nostalgia...”, odparł, gładząc elegancki wąs pasujący jak ulał do jego pańskiej i majestatycznej białej brody, zawsze idealnie przystrzyżonej, patrząc na nią jednocześnie rozmarzonym wzrokiem. Zawsze śmiała się ze wszystkiego z wujkiem Manolem.

— Rozmawiałaś potem z Antoniem? — zapytała babcia.

— Tak, dlatego tu jestem.

Tania podniosła wzrok znad talerza i spojrzała na nią z niedowierzaniem.

— Antonio powiedział ci, żebyś do mnie przyjechała?

— Właśnie tak. — Berta wytrzymała jej spojrzenie. — Powiedział dokładnie: „Zobacz się z babcią i zapytaj ją o te sprawy, o których dziadek nigdy ci nie opowiedział”.

Babcia położyła ostrożnie łyżkę na talerzu i oparła się wygodnie.

Miała poważną minę, jakby nieobecną. Milcząc, spoglądała Bercie w oczy. Ciszę wypełniało tykanie francuskich zegarów stojących w jadalni.

Nagle się uśmiechnęła, a do jej oczu wrócił blask. Znow były pełne miłości.

— No dobrze, czemu nie, w końcu kiedyś i tak musiało się to stać. Zresztą osiągnął cel, zabierając swoją tajemnicę do grobu. Teraz to już bez znaczenia.

— Babciu, co masz na myśli? — Berta była bliska załamania nerwowego.

— Twój dziadek był kimś więcej niż architektem, kimś więcej niż udziałowcem jednej z największych firm budowlanych w kraju. Miał, powiedzmy, pracę poza pracą. „Najwspanialszy zawód świata”, jak mówił. Muszę ci się przyznać, że twój dziadek i ja nie poznaliśmy się na stacji w Hendaye, jak ci to lubił opowiadać. Poznaliśmy się wcześniej, trochę bardziej na północ. Jesteś gotowa na wysłuchanie długiej historii, kochanie? — zapytała babcia, patrząc Bercie uważnie w oczy, a na jej ustach igrał słodki uśmiech.

*„Najwspanialszy zawód świata”. Madryt,
17 lipca 1936*

Hrabina skończyła pudrować nos i posłała w stronę lustra spojrzenie pełne niechęci. Siedemnasty lipca, a ona nadal jest w Madrycie. Od dziesięciu dni powinna być w San Sebastian. Pewnie to lato będzie inne bez rodziny królewskiej, ale każdy, kto uważał, że jest „kimś” w Madrycie, powinien już zacząć pokazywać się na pasażu Concha. Pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają.

A jednak z winy tych dwóch pajaców, którzy okupowali jej salon, pozostawała więźniem upału i niedobitków nudnego towarzystwa, jakie jeszcze zostało w Madrycie. Przeklinała godzinę, w której Ministerstwo Kultury zwróciło uwagę na obraz. „Objazdowa wystawa hiszpańskiego malarstwa dla młodzieży sowieckiej pod patronatem rządu republiki. Przygotowujemy kopie niektórych z najlepszych dzieł waszego malarstwa, żeby nasze rosyjskie dzieci mogły poznać hiszpańskich mistrzów. Rewolucyjny pomysł, nie

uważa pani?”. Pamiętała wyjaśnienie tego uprzejmego urzędnika rosyjskiej ambasady, Iwana Puszkina.

— Przedstawię się jako Iwan Puszkina — oznajmił Hotz na ostatnim spotkaniu swoim trzem współpracownikom. — Będę attaché kulturalnym ambasady sowieckiej i dzięki wszystkim fantastycznym dokumentom przygotowanym przez Jaszczurkę — podniósł je triumfalnym gestem — otworzą się przed nami serca i drzwi domu hrabiów Arges.

Hrabina spojrzała na zegarek. Było już za późno na aperitif w Chicote i podwieczorek w Botin. W dodatku chciała iść pieszo; po ostatnich zamieszkach przejażdżki packardem z kierowcą w liberii nie należały do najlepszych pomysłów. Wstała od toaletki i zajęła się wybieraniem kapelusza.



Jaszczurka mlasnęła parę razy językiem w umówiony sposób. Jose Manuel Wundermann uruchomił mechanizm przesuwający po szynach ramę obrazu, którym właśnie się zajmował, dokładną replikę *Hrabiny de Chinchón*, odsłaniając znajdującą się pod spodem mierną kopię malowaną w obecności pani domu. Kopia ta podnosiła się dzięki wymyślnemu systemowi bloczków na wysokość poprzedniego obrazu, który jednocześnie zapadał się, by całkiem zniknąć z pola widzenia — skomplikowany mechanizm wykonany z wirtuozerią przez Diega Armarię, mistrza handlarzy kradzionych dzieł, fałszerzy i wszelkiego rodzaju łotrzyków związanych ze światem sztuki. „Mogłem zostać najślawniejszym antykwariuszem Hiszpanii, ale to koszarne nudy”, mawiał.

Diego był niezwykłym typem. Jako człowiek i jako

profesjonalista. Wundermann nie znał nikogo, kto wiedziałby o sztuce i malarstwie więcej niż on.

„Obraz dwieście szesnaście na sto czterdzieści cztery? Co wy chcecie robić? El Greco?”, zapytał, nie spodziewając się odpowiedzi. Był zawodowcem, dlatego zlecili mu ten projekt.

Wundermann również zapytał Jaszczurkę dlaczego. Dlaczego akurat ten obraz, wielki format. Takie rozmiary są tylko źródłem kłopotów.

— Słuchaj, chłopcze — powiedział, pokazując mu trzy podniesione palce, Jaszczurka zawsze podawał trzy powody. — O zleceniach się nie dyskutuje, a nie dyskutuje się dlatego, że klient zawsze ma rację; pierwsza zasada w interesach, którą łamie się tylko wtedy, kiedy nic nie zarobisz, a z tej podróży obaj wyciągniemy sporo kasy. Po drugie, obraz musi pochodzić z prywatnej kolekcji, bo nie możemy urządzić tej hecy w muzeum. A po trzecie... — Nigdy nie znajdował trzeciego powodu. — A po trzecie, bo Chrystus zbawił świat, do diaska!

Doña Cayetana, hrabina Arges, weszła do salonu.

— Dzień dobry panom, jak idzie praca? — zapytała z afektowaną uprzejmością. — Może jeszcze trochę lemoniady? Wygląda na to, że dziś w Madrycie będziemy mieli prawdziwy upał.

— Nie, dziękujemy bardzo. Zresztą, dziś wyjdziemy wcześniej — odpowiedział Jaszczurka. — Skoro już pani przyszła, uprzedzę, że nie będziemy malowali przez najbliższe dwa tygodnie. Mamy wystawę nowych rzeźbiarzy w Walencji, na której ja z kolegą będziemy komisarzami. Wyjeżdżamy dziś wieczorem pociągiem... Ministerstwo, może sobie pani wyobrazić.

— Ach! — nie mogła ukryć grymasu złości. Co oni sobie myślą, że będą ją tu trzymali na straży do sierpnia? — A kiedy panowie skończą kopię? — zapytała z nutą desperacji w

— Zostało nam bardzo niewiele do końca — odparł Jose Manuel. — Myślę, że mógłbym namalować resztę w pracowni. — Spojrzał porozumiewawczo na Jaszczurkę.

On też chciał jak najszybciej opuścić ten dom.

— Dobry Boże, proszę mnie źle nie zrozumieć. Bardzo się cieszę, goszcząc was tutaj i mogąc, jak mnie o to proszono, współpracować z waszymi przyjaciółmi... Rosjanami. — Próbowała znaleźć właściwe słowa, które nie zranią niczyich uczuć.

Wcale nie była pewna, czy jej się to udało.

— Rząd republiki — przerwał jej Jaszczurka — jest pani wdzięczny za pomoc, hrabino. Nie jest łatwo znaleźć tyle dobrej woli wśród arystokracji tego kraju. Na razie. — Jego słowa niosły powiew grozy.

— Tak. — Hrabina szukała nerwowo papierośnicy w małej torebce. Podeszła do sztalugi i przyjrzała się pracy: była to bardzo niedokładna kopia jej obrazu. — Świetnie panu idzie, młodzieńcze — skłamała z naturalnością, jaką daje dobre wychowanie. „Trzeba mieć gotową kiepską kopię, gdyby hrabina zaczęła węszyć. Jeśli zobaczy, jak malujesz naprawdę, Jose Manuel, może zacząć coś podejrzewać. Jeśli nie jest głupia. A nie poznałem jeszcze żadnego głupiego multimilionera”. Hotz jak zwykle okopywał się ze wszystkich stron.

— Jest pan pewien, że wystarczy panu parę dni? — naciskała właścicielka obrazu.

— Mogę go skończyć w pracowni, proszę się nie martwić
— uspokoił ją Wundermann.

— No dobrze, zostawiam panów. Nie chcę przeszkadzać.
Wróć po obiedzie. Jeśli będziecie czegoś potrzebowali...

— Araceli, pokojówka — powiedział Jaszczurka, uśmiechając się półgębkiem.

Nerwowy uśmiech hrabiny wyglądał jak tik. Nie znosiła tego bezczelnego, zarozumiałego grubianina. Jego kolega, blondyn, był bardziej do przyjęcia. Chłopak po studiach, miał dyplom uniwersytecki, wykształcenie. I dobrze się prezentował. Poza tym przypominał jej Pochola Sandovala, chłopaka, z którym chodziła pewnego lata w Laredo i który utopił się w Somo rok później. Przez zakład z chłopakami z Santander, a przecież „chłopcy z Madrytu nie pływają tak jak ci z Santander, tamci pewnie mają łuski”, jak go uprzedziła, zapinając sobie bluzkę po tym, jak kochali się w lasku przy plaży. To wspomnienie przyprawiło ją o nagły rumieniec, który zniknął, gdy tylko przypomniała sobie rozmowę z mężem, miesiąc po ślubie. „A ty jak straciłaś dziewictwo, moja droga?”, zapytał ją nagle na tarasie w Serrano. „Ja? Jeżdżąc konno albo uprawiając sport, jak wszystkie moje przyjaciółki. Jeszcze jeden gin z tonikiem, kochanie?”, odparła bez wahania, może on miał tytuł, ale to ona wniosła forszę do tego małżeństwa i była z Fernandezów de Córdoba y Megia, a Fernandez de Córdoba y Megia „nigdy się nie peszy”, jak mawiała jej matka. Lawina wspomnień sprawiła, że wbiła mordercze spojrzenie w kark Jaszczurki, który już odwrócił się do niej plecami. Hrabina obróciła się na pięcie i wyAraceli gorliwie otworzyła jej główne drzwi.

— Jem podwieczorek w Botin, Araceli. Gdyby się coś działo, możesz tam do mnie dzwonić. Nie spuszczaaj ich z oka — powiedziała, patrząc w stronę salonu.

— Proszę się nie martwić, proszę pani, to dobrzy chłopcy — próbowała ją uspokoić młoda pokojówka.

— Komuniści. Oto, kim są. Wysysają z nas wszystkich krew. Przydałby się kolejny Primo de Rivera! No dobrze, idę, jeszcze się spóźnię na aperitif w Chicote.

Jaszczurka usłyszał trzaśnięcie zamykanych drzwi i szybkie kroki Araceli kierującej się w stronę salonu.

— Komuniści, jesteście parą komunistów! — powiedziała, śmiejąc się, oparta o framugę szerokich przesuwanych drzwi.

Jaszczurka odwrócił się do niej z uśmiechem, który, jak wiedział, podobał się kobietom.

— No, mała, idź na spacer, mamy tu robotę. No, przejdź się, a jak będziesz grzeczna, w niedzielę znowu zabiorę cię na zabawę.

— Pod warunkiem że nie będę miała nic lepszego do roboty — odparła zaczepnie.

— Araceli, zostaw malarzy i chodź do kuchni! — rozkazujący głos ochmistrzyni Marceli zabrzmiał echem w długim korytarzu.

Araceli posłała Jaszczurce całusa i wybiegła.

— Co za dziewczyna. I co za pośladki. Mogłaby nimi rozłupywać orzechy.

Jaszczurka, zadowolony z połowu, podszedł, kołyszając się, do towarzysza.

Jose Manuel patrzył z uwagą na obraz, który wydobył na powrót z podwójnego dna sztalugi. Patrzył na kopię i wiszący

na ścianie oryginał, rzucając krótkie, uważne spojrzenia to na jedno, to na drugie płótno. Małym pędzelkiem naniósł niewielką poprawkę na wianek z kłosów żyta zdobiący głowę bohaterki obrazu, doñii Mercedes de Borbón y Villabriga, markizy de Boadilla del Monte i piętnastej hrabiny Chinchón.

Jose Manuel odszedł od obrazu na kilka kroków. Przyjrzał mu się z zadowoleniem. Dzieło na pozór proste. Ale pozory mylą. Portret *Hrabiny de Chinchón* był jednym z najbardziej złożonych dzieł Goi, a on zdołał ukraść mu duszę. Przystudiował obraz i związek modelki z malarzem. Maria Teresa de Borbón nie była dla Goi obcą osobą. Mistrz portretował ją trzy razy. Po raz pierwszy, kiedy była zaledwie czteroletnim dzieckiem, w Arenas de San Pedro. Maria Teresa pozowała mistrzowi ponownie dwa lata później, do portretu rodzinnego. I wreszcie do tego obrazu, w ciąży z córką Carlota. Dlatego Goya namalował ją z wiankiem z kłosów na głowie, symbolem płodności.

Jose Manuel uważał, że udało mu się uchwycić smutek emanujący ze spojrzenia hrabiny. Spojrzenie szczęśliwej, ufnej dziewczyny, która nagle została w niewytłumaczalny sposób ukarana małżeństwem z rozsądku z Manuelem Godoyem, księciem pokoju. Małżeństwem zaplanowanym, a w praktyce nakazanym przez Karola IV, dość miernego monarchę.

Goya sportretował ją z niezwykłą czułością. Mistrz znał doskonale swoją modelkę i jak tyle razy wcześniej, chciał oddać jej sprawiedliwość. Obraz był niemal obelgą dla tych, którzy wyrządzili jej krzywdę. Świadectwem zdrady, mającym podróżować w czasie, poprzez wieki.

Jose Manuel był pewien, że Godoy nienawidził tego obrazu, spojrzenia żony, które pluło mu w twarz jego oszustwami, oziębłością, dystansem, miłostkami z Pepitą Tudó... Spojrzał na twarz młodej hrabiny i serce mu się ścisnęło: sprawiała wrażenie tak kruchej, opuszczonej...

Zwilgotniały mu oczy. Natychmiast uśmiechnął się z satysfakcją: jego obraz może przekazywać uczucia. Zupełnie jak oryginał.

— Już. Skończyłem — powiedział lekko zachrypłym głosem.

— Wundermann, jasna cholera, nigdy nie widziałem nikogo, kto by malował tak jak ty. — Jaszczurka stał obok niego, zapatrzony w dzieło.

— Ja tylko kopiuję.

— Nie. Gdyby tak było, nie siedziałbym tu z tobą.

Jaszczurka miał rację. Dziwaczna z nich para. Ale Jose Manuel Wundermann Arenas nie był jednym z wielu. Może Jaszczurka nie miał wykształcenia, kultury, tytułu, ale miał instynkt pozwalający na rozpoznanie geniuszu.

Poznali się zaledwie miesiąc wcześniej. Przedstawił ich sobie Albert Hotz, mózg operacji, attache handlowy ambasady niemieckiej, zajmujący się różnorodną działalnością na wielu frontach. Jaszczurka nie zadawał zbyt wielu pytań. Nigdy tego nie robił, ograniczał się do wykonywania swojej pracy: fałszowania dokumentów. W tym był najlepszy.

Dlatego Hotz zlecił mu przygotowanie papierów, które pozwoliłyby na przeprowadzenie operacji „Przyjaźń z Rosją”, jak ją żartobliwie nazywał. Całego zaplecza, dzięki któremu mogli wykonać kopię *Hrabiny de Chinchón* Goi bez wzbudzania podejrzeń.

Jaszczurka sfałszował certyfikaty oraz podania rosyjskiej ambasady i Ministerstwa Kultury. Nawet osobisty list Cesaresa Quirogi, z pieczęcią Kancelarii Premiera, w którym zwracał się do właścicielki obrazu, doñii Cayetany, „dziękując jej z góry za wyświadczaną republice przysługę, która pozwoli zacisnąć jeszcze silniej, o ile to w ogóle możliwe, braterskie więzi, jakie nas łączą ze Związkiem Socjalistycznych Republik Radzieckich. Gest, którego nigdy nie zapomnę”.

To ten list ostatecznie pokonał opory hrabiny. Była nad wyraz zainteresowana nawiązaniem nowych przyjaźni w wysokich sferach. Zwłaszcza że jej dawne kręgi zostały wyrzucone kopniakami z kraju. Dlatego też zgodziła się wreszcie, jeśli nie z ochotą, to przynajmniej z nadzieją przypodobania się nowemu reżimowi. Dzięki temu kopista i inspektor z ministerstwa mogli wejść do jej domu na początku tego upalnego lipca 1936 roku i zaczęli malowanie autoryzowanej kopii największego dziedzictwa artystycznego należącego do jej rodziny od 1800 roku, portretu *Hrabiny de Chinchón*, żeby wystawić ją na „objazdowej wystawie hiszpańskiego malarstwa dla młodzieży radzieckiej”.



— Jest idealny — powiedział Jaszczurka, oceniając obraz okiem znawcy. — Nie odróżni go, jak będzie w tej samej ramie. Dlaczego nie podmienimy go teraz i nie zwiejemy? — zasugerował.

— Nie. Hotz nie chce ryzykować. Farba jest za miękka. Poczekamy dwa tygodnie, kiedy będzie już widać krakelurę.

— Powinniśmy zrobić to teraz. Mam złe przeczucia.

Zadzwoił dzwonek u drzwi.

Jaszczurka spojrział na zegarek.

— To pewnie chłopcy. Przyszli zabrać obraz do studia. Jeszcze dwa tygodnie... A ja z tym moim pechem.

— Daj spokój, Jaszczurka — pocieszył go Jose Manuel, włączając znów ukrywający obraz mechanizm i zabezpieczając listwy ramy do transportu. — Zaproś mnie na obiad do Granja w El Henar. Zobaczysz, że parę dzbanków chłodnego wina utopi twoje smutki.



Zjedli w Granja tortille, skrzydełka kurczaka i paszteciki rybne, a wszystko to obficie podlane przyzwoitym, dobrze schłodzonym valdepenas.

Wypili za sukces tego siedemnastego lipca, upalnego dnia lata, jeden dzień dłużej w Madrycie, jeden dzień mniej do odebrania pieniędzy, które miały ostatecznie odmienić ich los i życie.

Wündermann marzył, by otworzyć studio architektoniczne. Po to z takim poświęceniem skończył uniwersytet, po tym jak zmarli jego rodzice, gdy miał zaledwie osiemnaście lat. Marzył również o malowaniu. Malarstwo było jego nieokiełznaną pasją. Odkrył już dawno temu to uczucie niezdrowego podniecenia, z jakim podziwiał dzieła wielkich mistrzów. To była niemal fizyczna przyjemność, mieszanka pełnego fascynacji przyciągania, dreszczu emocji i strachu. „Nie wszyscy malarze wywołają w tobie takie uczucia, gdy będziesz oglądał ich obrazy — uprzedził go ojciec. — Ten dar mają tylko pobłogosławieni iskrą bożą”.

Odkrył to na wystawie poświęconej czasom Karola V. Miał zaledwie szesnaście lat i jego ojciec, po którym widać już było mającą go w końcu zabić chorobę, uparł się, żeby mu towarzyszyć.

— Chcę, żebyś poszedł ze mną na tę wystawę. Kiedy skończymy, chciałbym, żebyś mi opowiedział o eksponatach, które wywarły na tobie największe wrażenie — ojciec, zawsze tajemniczy i nieprzenikniony.

Chłopak przemierzył wszystkie sale Biblioteki Narodowej w Madrycie, gdzie urządzono *Carolus*, największą wystawę monograficzną dotyczącą Karola V i jego czasów.

Uwagę Jose Manuela zwróciły zwłaszcza zbiory ceramiki i pięknych polichromowanych włoskich serwisów — dowód, że król nie lekcewał ziemskich przyjemności. Zachwyciło go wykonanie i wykończenie broni — dowód, że król nie unikał wojny. A jego kolekcja malarstwa wydała mu się fascynująca — dowód, że władca miał wyrafinowany gust.

Była to ostatnia sala na wystawie. Znajdowały się w niej jedne z najlepszych portretów cesarza, wykonane przez najświetniejszych malarzy epoki.

Wtedy zobaczył dwa obrazy, dwa portrety *Karola V z chartem*, Tycjana i Jacoba Seiseneggera. Wisiały obok siebie. Jakby rzucały sobie wyzwanie.

Jose Manuel przyjrzał się najpierw dziełu Seiseneggera, malarza pochodzącego z Austrii. Poprawnie wykonane, według wszelkich kanonów stylu renesansowego. Podziwiał technikę autora. Obraz sam w sobie był traktatem o malarstwie.

Przeszedł następnie do Tycjana. Po kilku sekundach odkrył niezwykle światło emanujące z płótna.

Kontemplował twarz cesarza, jego spojrzenie, gesty. Oto król przyziemny, wojownik, król wrażliwy. Nawet ogromny chart pozujący u jego boku zdawał się żyć własnym życiem, jakby zaraz miał polizać nerwowo rękę swego pana, jak to tylko psy potrafią.

Jose Manuel poczuł ucisk w piersi, jakby zabrakło mu powietrza pod wpływem napięcia.

Obraz był nie tylko portretem króla. Były tam strzępy jego duszy, zamknięte na zawsze w ramach, czekające na tego, kto potrafi je dostrzec.

Młody Wundermann spojrzał raz jeszcze na portret Seiseneggera i poczuł bezmierne współczucie dla tego malarza, który wydawał mu się teraz mierny, niezdolny do rozwinięcia takiego talentu, jakim dysponował Włoch.

— Kto skopiował kogo? — usłyszał i dopiero teraz odkrył obecność ojca u swego boku. — Tycjan skopiował Seiseneggera. — Jose Manuel spojrzał zdziwiony. — Austriak był jednym z nadwornych malarzy cesarza, a Tycjan młodym uzdolnionym artystą, który chciał się dostać na najpotężniejszy dwór Europy. Wszystkie próby zwrócenia na siebie uwagi hiszpańskiego monarchy spełzały na niczym. Wreszcie przyszedł mu do głowy szalony pomysł, który okazał się potem genialny. — Uśmiechnął się złośliwie, patrząc na oba obrazy. — Jego przyjacielowi i mentorowi Arianowi udało się wreszcie uzyskać dla niego audiencję u króla. Karol odmówił uprzejmie przyjęcia go na dwór, miał już dość malarzy. Ale Tycjana nie interesował wcale wynik audiencji. Chciał tylko poznać króla. Przyjrzeć mu się, zobaczyć, jak rozkłada ciężar ciała, kiedy nie pozuje, co mówi jego spojrzenie, jak się porusza, jaką ma mimikę. Mówia, że

w czasie tej rozmowy Tycjan zadał cesarzowi tylko jedno pytanie. — Ojciec spojrział w twarz syna, który słuchał go z przejęciem. — Zapytał go, jak się wabił pies sportretowany przez Seiseneggera. „Sampere — odpowiedział podobno król — najlepszy pies z mojej sfory”.

Po tej rozmowie Tycjan zaczął kopiować obraz Austriaka, bez wiedzy monarchy.

Podobno kiedy Ariano, przyjaciel malarza, pokazał cesarzowi skończone dzieło, drugiego *Karola V z chartem*, monarcha oniemiał na widok jego piękna. Wydawało mu się, że „stoi raczej przed lustrem, niż przed obrazem”.

— I jak się to wszystko skończyło, ojcze? — spytał niecierpliwie Jose Manuel.

— Tycjan dostał miejsce na dworze, a Seisenegger stracił pracę. Kiedy ogląda się te dwa obrazy — znów spojrział na portrety — można zrozumieć, dlaczego Salieri zawsze chciał zamordować Mozarta. — Westchnął ciężko, choroba sprawiała, że szybko się męczył. — Tycjan był złodziejem dusz, synu. Dusze, które namalował, pozostały zamknięte w jego obrazach. Na zawsze — powiedział wtedy, patrząc na syna błękitnymi oczami.

— Ale po co mnie tu przyprowadziłeś? — chciał wiedzieć Jose Manuel.

— Niedawno sprzątałem stół w twoim pokoju — jego głos był już spokojniejszy — i odkryłem wśród twoich notatek ze szkoły ciekawy rysunek. Kopię ołówkiem *Zająca* Dürera. Ty ją narysowałeś?

— Tak — odparł chłopak nieśmiało. Narysował tę kopię dla rozrywki, patrząc na rycinę wiszącą w gabinecie ojca.

— Gdybym dmuchnął na ten rysunek, sierść zająca by się poruszyła. Jesteś pewien, że chcesz zostać architektem?



Wspomnienie ojca — ból rozgrzewający serce. Nadal chciał zostać architektem. Nadal miał obsesję na punkcie malarstwa i tego daru, który najwyraźniej posiadał. Na pewno nie chciał być złodziejem.

„Jesteśmy artystami”, przekonywał Jaszczurkę. „Jesteśmy złodziejami”, twierdził Wundermann.

— Słuchaj, chłopcze — pokazał trzy palce — jesteśmy artystami. Po pierwsze: bo kradniemy bez przemocy i bez krwi. Po drugie: bo nikt się nie orientuje, że kradniemy, bo to, co zostawiamy, jest tak samo dobre, jak to, co zabieramy, a po trzecie... po trzecie...

— Bo Chrystus zbawił świat...

— Pewnie, że tak, do diabła! Chyba nie będziesz się ze mną kłócił nawet o to!

Polubił Jaszczurkę. Można było na nim polegać. Był łajdakiem, ale miał własny kodeks honorowy, był z tych, na których nie trzeba się oglądać, jeśli idą za twoimi plecami.

W każdym razie Wundermann nie chciał pracować w tym zawodzie. Jego sytuacja była owocem przypadku i potrzeby. Najwspanialszy zawód świata, chłopcze, mówił Jaszczurka. Nie. On chciał wznosić piękne budynki, które pozwolą ludziom żyć szczęśliwie. Dzieła jedyne w swoim rodzaju, które przetrwają lata. Chciał stworzyć własny styl, jak to robili choćby amerykańscy architekci w Chicago... Ale przede wszystkim chciał malować. Chciał się zdobyć na

malowanie własnych dzieł, nie kopiując nikogo. Chciał przestać kraść tym obrazom duszę, którą zagarniał jak nocny złodziej. Musiał zwalczyć to przekleństwo czystego płótna... Z zamyślenia wyrwał go odgłos ostrego hamowania. Z piskiem opon zaparkował przed Granją czarny citroen. Z samochodu wysiadł Hotz, w nieskazitelnej garniturze z białego lnu, okularach przeciwsłonecznych o okrągłych złotych oprawkach i włożonej na głowę niemal kokieteryjnie panamie. Uosabiał typ zamożnego obcokrajowca, który właśnie przyjechał do Hiszpanii. Wszyscy byli pewni, że jadą do Afryki, i ubierali się jak aktorzy z amerykańskich filmów przygodowych. Kiedy zbliżył się do nich, Wundermann zdał sobie sprawę, że jego mina bynajmniej nie zapowiada dobrych wiadomości.

— Szukam was po całym Madrycie — powiedział, nie witając się i siadając za stołem.

Hotz mówił doskonale po hiszpańsku, prawie bez akcentu, dzięki latom pracy na stanowisku urzędnika w hiszpańskiej ambasadzie w Berlinie.

Wundermann przyjrzał się kłapie jego marynarki. Nie miał dziś przypiętego partyjnego znaczka.

„Jest pan nazistą?“, zapytał wprost w dniu, w którym go poznał. „Ortsgruppenleiter, mój drogi przyjacielu — odpowiedział mu z dumą. — Najwyżej na czwartej liście kadr partii, po Fürherze, naturalnie. W dzisiejszych czasach, jeśli chcesz coś osiągnąć w Niemczech, musisz być w partii — powiedział prawie poufnym tonem. — A ja chcę osiągnąć dużo”.

— Coś się stało? — zapytał Jaszczurka, który również zauważył jego minę.

— A obraz? Jak wam idzie? — odpowiedział tamten pytaniem.

— Skończony — odparł Jose Manuel.

— Doskonale. — Hotz rozejrzał się czujnie. Ich stół stał wystarczająco na uboczu, żeby nikt nie mógł słyszeć rozmowy. — Wysznie w Burgos — ciągnął. — Teraz poproszę o rachunek, zapłacę za wasz obiad i wszyscy trzej wsiądziemy do samochodu.

— Burgos? — zdziwił się Jaszczurka, który nie do końca pojął sens tej informacji.

— Tak — odparł z roztargnieniem Niemiec. — Nie widziałem jeszcze obrazu, ale posłałem po niego ludzi do waszego studia. Jest już w ciężarówce jadącej do Burgos. — Podniósł rękę, żeby przywołać kelnera.

Wündermann spojrział instynktownie na swój bok, na miejsce odsłonięte przez odpiętą marynarkę. Zobaczył kątem oka skórzany futerał lugera.

— Chciałbym wiedzieć, co tu się dzieje, zanim wsiądę do samochodu — powiedział wolno, niemal cedząc słowa.

Hotz zdjął okulary i schował je ostrożnie do kieszeni na piersi. Spojrzął mu głęboko w oczy, podczas gdy od tyłu podszedł do niego kelner, któremu Niemiec podał banknot o wysokim nominale, nie przestając patrzeć na Jose Manuela.

— Reszty nie trzeba. Dziękuję.

Kelner odszedł. Hotz nadal się uśmiechał. Wündermann nadal wytrzymywał jego spojrzenie.

— Mój drogi współniku, kiedy nauczysz się mi ufać? — powiedział Niemiec.

Szybkim, przypominającym gest magika ruchem wyjął pistolet z kabury pod pachą i wymierzył w niego pod stołem.

Nikt się nie zorientował, ale Wundermannowi zastygła krew w żyłach.

— Jaszczurka — powiedział Hotz, nie spuszczać Jose Manuela z oka i nie przestając się uśmiechać.

Jaszczurka wykonał ruch, jakby chciał włożyć marynarkę, która wypadła mu z rąk. Schylił się, podniósł ją i zabrał Hotzowi pistolet. Spojrzał na Wundermanna i schował broń do jednej z kieszeni, z wyrazem przyzwolenia.

Hotz pokazał mu nad stołem obie dłonie, wnętrzem do góry.

— A teraz wejdiesz do samochodu, drogi przyjacielu? — znów mówił po hiszpańsku.



Wyjechali z Madrytu i skierowali się na szosę na Burgos w kierunku miasteczka Fuencarral.

Żaden nie przerwał niewygodnego milczenia, odkąd wsiedli do samochodu.

— Wyjaśnisz nam wreszcie, skąd ta zmiana planów? — zapytał Jose Manuel, zapalając papierosa.

— Teraz tak — odpowiedział Niemiec. — Dziś rano nasz konsul w Tangerze przekazał nam wiadomość. Wybuchł pucz wojskowych w Maroku.

— Ba! Próbuja już nie pierwszy raz — wtrącił Jaszczurka, rozparty na tylnym siedzeniu. — Jutro wszyscy będą w więzieniu.

— Jutro powstanie większość wojskowych garnizonów na półwyspie. Tym razem sprawa jest poważna.

— Więc według ciebie wygrają? — zapytał Jose Manuel, bawiąc się papierosem.

— Nie. Będzie wojna — odparł spokojnie Hotz, nie odrywając wzroku od wyboistej drogi.

— Kupiliście sobie w ambasadzie szklaną kulę?

— Nie. — Hotz się uśmiechnął. — Nasz wywiad bada sytuację w waszym kraju od wielu miesięcy. Przeanalizowaliśmy różne możliwości, biorąc pod uwagę różne scenariusze. Anglicy nazywają to *War Games*, gry wojenne. Tutaj wybuchnie wojna.

— Cholera, Hotz. A kto wygra? — Jaszczurka oparł się o przednie siedzenia.

— Daj mi trzy miesiące, a odpowiem ci na to pytanie.

— Wracając do prawdziwego świata. Dokąd teraz jedziemy? — zapytał Wundermann, gasząc papierosa w samochodowej popielniczce.

— Do Burgos. Madryt nie jest już bezpieczny. — Hotz zredukował bieg, żeby wjechać na wzniesienie.

— A obraz? Co z pracą, którą skończyliśmy? — chciał wiedzieć Jaszczurka, który zaczął się już poważnie martwić.

— Wszystko gra. Skończymy *Hrabinę* w Burgos. Hotz zawsze ma plan B, drodzy przyjaciele. Zawsze trzeba mieć gotowy plan B. — Twarz Niemca rozjaśnił jeden z jego zagadkowych uśmiechów. — Znacie jakąś dobrą restaurację w Burgos, gdzie moglibyśmy zjeść kolację?

Wydział Nawierzchni Specjalnych, kampus uniwersytecki w Madrycie, 15 listopada 1936

Jose Manuel zobaczył swoje odbicie w szybie, która jakimś cudem ocalała w ramie okna.

Z trudem rozpoznał się w mundurze żołnierza wojsk regularnych. Konkretnie drugiej kompanii trzeciego taboru

Posłał odbiciu w zaimprovizowanym lustrze uśmiech, który miał być cyniczny. Udało mu się wyprodukować dziwaczny grymas.

Westchnął głęboko, chcąc się rozluźnić.

Spróbował uporządkować myśli. Uporządkować własną egzystencję, która dostała się w wir wydarzeń, jakich najwyraźniej nie był w stanie kontrolować.

Wiedział przynajmniej, kiedy wszystko się zaczęło. Dokładnie piętnastego czerwca tego samego roku, kiedy poznał Hotza.

Był akurat w Prado, malując kopię *La historia de Nastagio*

degli Onesti Botticellego na zlecenie madryckiego Kolegium Architektów.

Przypadł do gustu dziekanowi kolegium, don Antoniowi Zubeldii. Może miała na to wpływ jego doskonała średnia ze studiów i fakt, że odebrał dyplom ze specjalnym wyróżnieniem.

— I co pan zamierza teraz robić, młodzieńcze? Pewnie jest pan rozrywany — zapytał go czcigodny dziekan, przyjąwszy w swoim gabinecie.

— Odbyłem już kilka rozmów. Zobaczymy.

Nie było się nad czym zastanawiać. Kraj ogarnął paraliż. Rok 1936 zaczął się ciężko dla Hiszpanii i w tym czasie można było się spodziewać, że trafi do podręczników historii jako początek katastrofy o rozmiarach niemożliwych do przewidzenia.

Don Antonio dosłownie uratował mu życie tym zleceniem.

— Nie wiem. Jakiś duży obraz na ścianę w sali konferencyjnej. Co pan uzna za stosowne, Wundermann. Ja osobiście uwielbiam włoski renesans.

W tamtych czasach młody architekt nie miał nawet na jedzenie, a gospodyni od dawna groziła mu wyegzekwowaniem długu najprostszą metodą: wystawieniem walizki za drzwi obskurnego pensjonatu przy ulicy Carretas.

Jose Manuel wrócił do sali z włoskim malarstwem po skromnym podwieczorku, na który składały się kanapka z kalmarami i butelka piwa z baru El Rubi przy placu Lealtad.

Kiedy szedł długimi korytarzami muzeum, ogarnęło go kojące uczucie spokoju i bezpieczeństwa. Po niekończących się godzinach spędzonych na pracy w Prado zaczął uważać budynek za swój prawdziwy dom. I wydawało mu się, że muzeum go zaakceptowało.

Fascynowała go struktura tej surowej, monumentalnej bryły. Długie korytarze, wysokie sklepienia, ostre łuki, różnice wysokości, szerokie sale, wszystkie wyglądające na miejsca święte i tajemne, światło sączące się przez wysoko umieszczone świetliki...

Miał wrażenie, że obrazy wiszące na ścianach nie mogłyby znaleźć lepszego miejsca. Nadal emanowały duchem geniuszy, którzy je stworzyli. Jose Manuel czuł to w każdej sali, w każdej galerii, w każdym zakamarku budynku. To była magia muzeum.

„Prado jest miłym i przytulnym miejscem, jeśli potrafisz się w nie wsłuchać”, powiedział mu stary malarz, kiedy razem palili papierosy w czasie przerwy.

Tak jest, zgodził się Jose Manuel, bardzo zadowolony. Poza tym uśmiechnął się na myśl o tym, że jest też świetnym miejscem na spędzenie wakacji, jeśli się nie ma innych możliwości. Wewnątrz muzeum musiało być nawet osiem stopni mniej niż na ulicy. Jego grube mury i długie, biegnące po obwodzie korytarze działały jak komory termiczne i izolowały serce budynku od wysokiej temperatury, która zwiastowała Madrytowi długie i skwarne lato.

Kiedy dotarł do swojego miejsca pracy, zauważył, że ktoś oglądał jego obraz. Był prawie skończony. Jak zwykle, kiedy odchodził z jakiegoś powodu, zakrywał go tkaniną. Teraz materiał był inaczej ułożony. Jakiś ciekawski woźny, pomyślał.

Nie zastanawiając się nad tym dłużej, odsłonił obraz i zabrał się do pracy. Zostały mu już tylko ostatnie poprawki.

— Doskonała praca. Identyczna z oryginałem. Szkoda, że na płótnie — powiedział ktoś po niemiecku za jego plecami.

Malarz odwrócił się wystraszony. Kiedy wszedł do sali, nie zauważył nikogo. Teraz, w kącie, w cieniu, stał jakiś mężczyzna.

— Dziękuję. Przesadny komplement. Ale dziękuję — odpowiedział, również po niemiecku.

— Dobry Boże, rodak! — Mężczyzna wyszedł zza zasłony cienia, za którą się ukrył. — Pan pozwoli, że się przedstawię. — Wyciągnął rękę na powitanie. — Jestem Albert Hotz, attache handlowy ambasady niemieckiej.

Przy pierwszym spotkaniu Hotz wydał się Jose Manuelowi sympatycznym i jowialnym typem.

— Nie jestem Niemcem — wyjaśnił, ściskając serdecznie jego dłoń. — Mój ojciec był Niemcem. Nazywam się Jose Manuel Wundermann Arenas.

— Ach tak, w takim razie pana ojciec świetnie nauczył pana języka — pochwalił Hotz po hiszpańsku, z nienaganym akcentem.

— Cóż, pańskiej hiszpańszczyźnie też nie można niczego zarzucić, panie Hotz.

— Pięć lat w hiszpańskiej ambasadzie w Berlinie. Mam zdolności do języków.

Hotz udowodnił mu tego dnia, że jest urodzonym zaklinaczem węży. Chłopaka uwiodły jego maniery, rozmowa, ten naturalny dar wywoływania natychmiastowej empatii u słuchacza. Ponadto jeszcze tej samej nocy zaprosił go na kolację. Do Ritza.

Jose Manuel pomyślał tego upojnego dnia, że gdyby był kobietą lub gdyby jego preferencje seksualne nie były tak jasno określone, tej samej nocy wylądowałby z Hotzem w łóżku, gdyby tylko go o to poprosił.



— Dlaczego namalował go pan na płótnie?

Jose Manuel zapytał właśnie Hotza, czy jest nazistą, nie odrywając oczu od znaczka ze swastyką, który nosił w klapie marynarki. Mimo że bez żenady przyznał się do przynależności do partii, Wundermannowi wydawało się, że attache handlowy chce zmienić temat. Później zrozumiał, że Hotz zamierzał po prostu przejść do sedna.

— Czego nie powinienem namalować na płótnie? — Jose Manuel próbował zyskać na czasie, krojąc wyborną poledwicę w kremie musztardowym. Po raz pierwszy od miesiący jadł mięso.

— Daj pan spokój. *La historia Nastagio degli Onesti*. Dlaczego namalował go pan na płótnie? Dlaczego nie na desce, jak oryginał?

— Ach, no tak. Moja kopia. Cóż, nie znam techniki malowania na desce. Poza tym to tylko kopia dla Kolegium Architektów. Płótno wystarczy.

— Widzi pan, drogi panie Wundermann — zaczął Hotz, napełniając mu ponownie kieliszek doskonałym rioja — mam jedną słabość: sztukę. Konkretnie malarstwo. To nie przypadek, że dziś się poznaliśmy. Często bywam w Prado. To mój ulubiony sposób na spędzanie wolnego czasu. Obserwuję pana od wielu dni i śledzę pana postępy. Widziałem wielu kopistów. Na początku myślałem, że jest pan jednym

z wielu. — Zrobił efektowną przerwę. — Dziś zorientowałem się, że jest pan wyjątkowy. — Podniósł kieliszek, jakby chciał wznieść toast.

Jose Manuel poprawił się na krześle. Zawsze peszyły go pochwały.

— Po prostu staram się to robić jak najlepiej — odpowiedział.

— Tego jestem absolutnie pewien. — Hotz patrzył na niego uważnie, nie skąpiąc mu swojego najlepszego uśmiechu. — Dlatego jesteśmy tu dzisiaj, pan i ja, na wspólnej kolacji.



Następnego dnia szofer niemieckiej ambasady doręczył Jose Manuelowi kopertę. Kiedy ją otworzył w swoim pokoju, musiał usiąść na łóżku, bo nie był w stanie utrzymać się na nogach. W kopercie było dziesięć tysięcy peset! I wizytówka odręcznie napisana przez Hotza. „To tylko niewielka zaliczka na współpracę, której od pana oczekuję. Będę na spacerze obok Pałacu Kryształowego w Retiro, dziś około pierwszej. Chciałbym znów się z panem spotkać i opowiedzieć o moim projekcie”.

Architekt dotarł na miejsce spotkania o dwunastej trzydzieści. Pół godziny później, podczas wspólnego spaceru wśród stuletnich kasztanowców, Hotz opowiedział mu o swoich planach.

Jose Manuel nie potrafił odmówić. Przy Hotzu wszystko wydawało się proste, naturalne, wszystko było idealnie zaplanowane, doskonale opłacalne.

„Będzie panu do twarzy w skórze milionera, przyjacielu.

Wszyscy wyglądają na szczęśliwych, kiedy wydają pieniądze”, mówił mu jego nowy pracodawca. Zapomniał nawet, że to przestępstwo.



Drzwi pokoju otworzyły się nagle. Znow znalazł się na Wydziale Nawierzchni Specjalnych w kampusie uniwersyteckim. Wszedł Jaszczurka, w wojskowym mundurze, niosąc długą zieloną kartonową tubę oklejoną etykietami ze stemplami Wojskowego Instytutu Kartografii i Ministerstwa Obrony Narodowej.

Wündermann wiedział już, co znajduje się w tej tubie o długości dwóch metrów dwudziestu centymetrów. Bynajmniej nie mapy. W jej wnętrzu kryła się idealnie zwinięta i chroniona ceratą kopia *Hrabiny de Chinchón*. Za nim wszedł Hotz w takim samym mundurze.

— Proszę, wojna zrównała nas wszystkich w dół — skomentował to Jose Manuel.

— Nie bądź taki dowcipny. Oficerów rozstrzelują. Żołnierzy zamykają. A drzwi, które się zamykają, zawsze można otworzyć — odparował Niemiec, szukając czegoś w kieszeni. Na jego twarzy malowało się zadowolenie. — Chodźcie, usiądźmy przy stole — powiedział, rozkładając coś, co wyglądało na mapę kampusu.

Usiedli przy chybotliwym, zakurzonym stole.

— Jesteśmy tutaj. — Hotz pokazał na mapie Wydział Nawierzchni Specjalnych. — I wejdziemy dziś do Madrytu tędy — przesunął palec po obrzeżach Casa de Campo w stronę Nowego Mostu, przekroczył rzekę Manzanares i dotarł do ogrodów Rosales. — Wejdziemy przez most Francuzów.

— I zdobędziemy Madryt? Franco się nie wkurzy? — zapytał Jaszczurka.

Hotz uśmiechnął się półgębkiem.

— W rzeczywistości będziemy się ścigali z oddziałami Franco. Generał chce dziś zdobyć Madryt.

Niemiec wyjaśnił im swój plan. Niebezpieczny, ale możliwy do zrealizowania. Jak stwierdził, „wyścig z oddziałami Franco”, który trzeba wygrać. Musieli dotrzeć do muzeum Prado, zanim zrobią to narodowcy. Hotz był przekonany, że mogą wykorzystać „wentyl bezpieczeństwa” w ciągu tych godzin, w czasie których będzie mieć miejsce zmiana władzy w Madrycie. „Musimy to zrobić między ucieczką jednych i nadejściem drugich, w czasie kiedy nic nie należy do nikogo: kilka godzin, gdy wszystko jest dozwolone, panowie”.

Na razie zdobył specjalne pozwolenie sztabu generalnego na przeprowadzenie planowanej operacji. „Operacja zwiadowcza, na najwyższym szczeblu, w Madrycie zajęтым przez czerwonych. Nie mogę panu podać więcej szczegółów, proszę się tym zająć, generale”. Pokazał im list datowany poprzedniego dnia, podpisany przez samego generała Varełę i skierowany do dowódcy trzeciego taboru Alhucemas, pochodzącego z regionu Mohammeda ben Mizzian. Prosił w niej marokańskiego oficera, „żeby udzielił z największą starannością wszelkiej koniecznej pomocy panu Hotzowi z ambasady niemieckiej i ludziom, którzy będą mu towarzyszyć, w celu przeprowadzenia infiltracji w jego sektorze. Ufając, że wypełnienie misji przyniesie nieocenione korzyści naszym oddziałom w zadaniu zdobycia stolicy i przyspieszenia krucjaty, jak sobie tego życzy Caudillo”.

Hotz zdecydowanie potrafił się znaleźć w wyższych sferach.

„Franco umie wybierać sprzymierzeńców”, mawiał, gdy chciał wyjaśnić, skąd się brała ta łatwość, z jaką załatwiał interesy z najwyższymi szarżami rebeliantów.



Po nagłym wyjeździe z Madrytu do Burgos Jaszczurka i Wündermann spędzili pierwsze miesiące tego, co zmieniło się w regularną wojnę domową, żyjąc po królewsku. Zakwaterowali się w najlepszym hotelu w mieście i tam czekali na wiadomości i instrukcje od Hotza, który stał się dla nich prawdziwą zagadką, razem z jego nieustannymi podróżami i wyjazdami.

„Franco potrzebuje teraz potężnych przyjaciół, żeby móc stawić czoło europejskim demokracjom i rosyjskim bolszewikom. Demokraci nie zrobią nic, ciągle tylko głosują, ale Sowieci już wysłali materiały i niedługo zaczną ślać ludzi. I wtedy natkną się na nas”, powtarzał Hotz.

Wündermann nie rozumiał do końca niuansów „wielkiej gry”, jak nazywał ją Albert, ale miał wrażenie, że jego kraj zamienia się powoli w ogromne laboratorium, w którym jedni i drudzy przygotowują się do eksperymentu na znacznie większą skalę.

Na początku listopada Hotz wrócił do Burgos. Wreszcie przywoził jakieś wieści.

— Obraz został skonfiskowany. Nie ma go już w domu hrabiów Arges, przenieśli go do piwnic Prado.

Dwudziestego trzeciego lipca 1936 roku rząd republiki stworzył Radę Konfiskaty i Ochrony Dóbr Dziedzictwa Artystycznego, pod przewodnictwem Timotea Pereza Rubia.

Oficjalnym powodem stworzenia tego organu była ochrona

dzieł sztuki przed zniszczeniem podczas starć zbrojnych, grożących rozszerzeniem się na cały półwysep.

W rzeczywistości rząd republikański od wielu miesięcy badał możliwość stworzenia rady. Nie wiedział, jak zatuszować nieodwracalne szkody spowodowane przez ludowe bunty przeciw klerowi i jego dobrom.

Legalnie wybrany rząd republiki obawiał się, że rabunki, zwłaszcza po lipcowym puczu wojskowym, dotkną również majątków wielkich rodzin, które jeszcze pozostały w strefie republikańskiej.

Tak też zrozumieli jego intencje członkowie arystokracji i właściciele wielkich fortun hiszpańskich, którzy chętnie oddali swoje najcenniejsze dzieła sztuki radzie, widząc w niej jedyne gwaranta i zbawcę.

W ten sposób nowo utworzony organ zaczął gromadzić dzieła sztuki najróżniejszego pochodzenia.

Wiele z zarekwirowanych czy odzyskanych dzieł trafiło do Prado w opłakanym stanie, zapewniając pracowni konserwatorskiej muzeum pracę na najbliższe lata walk. Naprawiano tam *Ogród rozkoszy ziemskich* Boscha, obrazy El Greca z *Illescas** czy płótna Tristana** ze słynnego retabulum z kościoła w Yepes, podarte na strzępy przez motłoch, który splądrował świątynię.

Don Timoteo Perez Rubio, który tego ranka sprawdzał stan nadesłanych dzieł w piwnicach Prado i opis odniesionych przez niektóre z nich uszkodzeń, pomyślał gorzko, że w tej historii jest jakiś dramatyczny paradoks.

* Retabulum z kościoła de la Caridad z 1608 r.

** Obrazy z ołtarza głównego Luisa Tristana z kościoła parafialnego San Benito Abad w Yepes.

Lud niszczył swoją sztukę, bo była dla niego symbolem władzy, do jakiej nigdy nie będzie mieć dostępu. Niszczył na oślep, bo miał za sobą pokolenia analfabetów. Niszczył w nienawiści, bo nikt go nie nauczył, że sztuka należy do każdego.

Don Timoteo pomyślał wreszcie, że było to straszne wyrównanie rachunków i w efekcie tracili wszyscy, nawet ci, którzy nie mieli już nic do stracenia.

Jego sekretarz wszedł do gabinetu, przerywając te rozmyślenia.

— Telefon z Biarritz. Hrabina Arges chce podarować coś radzie.

Tego samego popołudnia ciężarówka muzeum podjechała pod dom hrabiów, żeby odebrać obraz Goi, a tej samej nocy don Jose Lino Vacimonde, architekt i dyrektor Departamentu do spraw Ochrony Narodowego Dziedzictwa Artystycznego, nadzorował przygotowanie i włączenie do magazynu *Hrabiny de Chinchón* w piwnicach Prado.



— W takim razie, jeżeli obraz jest w Prado, mamy w plecy, nie? — Jaszczurka miał wrodzony talent do podsumowania każdej sytuacji.

— Nie — odparł Hotz z powagą. — To tylko wprowadza nowe zmienne do planu. Ale obraz będzie nasz. Nie powinniście mieć co do tego żadnych wątpliwości.

— Co dokładnie proponujesz? — zapytał Wundermann.

— Franco przygotowuje wielką ofensywę na Madryt, chce zająć stolicę. Generalissimus chce jak najszybciej zakończyć wojnę.

— To chyba dobrze, nie? — Jaszczurka zdecydowanie nie lubił wojen.

— Problem polega na tym, że Franco trzyma się taktyki francuskiej szkoły wojskowej. Wierzy tylko w artylerię i piechotę. Nie docenia lotnictwa i czołgów. W najbliższej wielkiej wojnie Niemcy pokażą światu, jak wygrywać współczesne wojny: czołgami i lotnictwem.

— Wolałbym nie rozmawiać o polityce — zasugerował Wundermann.

— Nie mówię o polityce, mój drogi niemiecki Hiszpanie, mówię o przyszłości.

— W twojej ambasadzie znów grają w gry wojenne? Jak się w to gra? Jak w wojnę? — zapytał Jaszczurka.

— Ech, nie wiem, po co tracę z wami czas. Trwajcie w swojej błogosławionej ignorancji. Ograniczę się do konkretnych faktów. W połowie listopada, jeśli nie zabierze się do odbijania kolejnych twierdz, Franco ruszy na Madryt. Pierwszy plan zdobycia stolicy opracowany przez Yagüe był niezły. Zuchwały, ale prawdopodobny. Tyle że Caudillo nie chce przebojowych oficerów. Po zdobyciu Badajoz zdecydował, że Yagüe miał za mocną pozycję. Stał się zbyt błyskotliwym pułkownikiem jak na gust Franco. Dlatego przekazał dowodzenie nad ofensywą Vareli.

Hotz urwał, a jego dwaj wspólnicy starali się nie uronić żadnego szczegółu wyводу. To dobrze. Powinni zapamiętać wszystkie informacje.

— Zanalizowaliśmy manewr, jaki zaproponował — mówił dalej po chwili. — Karygodny błąd, źle zaplanowany manewr przełamania frontu w najsilniej obsadzonym miejscu, gdzie mogą się najlepiej bronić. Jeżeli w dodatku,

a wszystko na to wskazuje, do Madrytu dotrą w tym czasie brygady międzynarodowe, plan Moli skończy się porażką, a Franco nie będzie w stanie zdobyć Madrytu.

— Brygady międzynarodowe? — zapytał Jaszczurka.

— Antyfaszystowscy wolontariusze z całego świata. Przyjeżdżają do Hiszpanii walczyć za republikę. — Architekt czytał nieocenzurowaną prasę zagraniczną.

— Nie są to raczej jednostki elitarne — ciągnął Hotz — ale to młodzi entuzjaści i idealisci, odważni, liczni i wyposażeni w broń automatyczną. Obsadzą gęsto okopy wroga. Afrykańskie oddziały bezustannie maszerują i walczą od Taryfy, żeby dotrzeć do Madrytu. Są na skraju wyczerpania i mogę was zapewnić, że jest ich znacznie mniej, niż to rozgłasza wszem wobec propaganda Franco. Jeśli międzynarodowi dotrą na czas, Madryt nie zostanie zdobyty i będziemy mieli tu wojnę jeszcze trochę dłużej.

Jaszczurka wyglądał jak uosobienie rozpacz.

— Oddalamy się od naszego obrazu — zauważył Jose Manuel.

— Przygotowałem wszystko tak, żebyśmy weszli do Madrytu z pierwszym oddziałem, który spróbuje przełamać front. Kiedy przenikniemy do stolicy, wejdziemy do Prado jako personel Rady Konfiskaty. Mamy swoich ludzi w muzeum. Tam podmienimy obraz. Jeśli zdobędą Madryt, będziemy się cieszyli fantastycznymi wakacjami w wyzwolonym mieście.

— A jeśli nie?

— Jeśli nie, mój drogi Jose Manuelu, zawsze jest plan B.



Tego samego popołudnia Wundermann długo oglądał swoje dzieło w hotelowym apartamencie w Burgos, zanim wyjął je z ramy i przygotował do zwinięcia. Uznał bez fałszywej skromności, że jest wspaniałe. Poczuł nawet żal, że musi się z nim rozstać.

Przyjrzał się warstwie spękań farby i prawie matowemu połyskowi werniksu. Idealne. Jego wspomnienia poszybowały ku sklepowi Diega Armaria, przy placu Santa Ana w Madrycie. Stary majestatyczny budynek, w którym Armario prowadził swój interes. Szanowany, powszechnie znany sklep z antykami, o świetnej reputacji. Doskonała przykrywka. „Cztery legalne piętra i piwnica wolna od podatku”, jak mawiał.

Diega przedstawił mu — jakżeby inaczej — Jaszczurka. Armario przyjął ich o dwunastej w południe na ostatnim piętrze swojego sklepu przy Santa Ana. Miał na sobie dziwaczny szlafrok z jedwabiu haftowany w wielobarwne ary i rajskie ptaki.

Poddasze musiało często służyć za ostatnie schronienie. Zorganizował tam biuro, sypialnię, bibliotekę z ubikacją — „miewam zaparcia i poświęcam dużo czasu lekturze” — kuchnię, a nawet skromną łazienkę o ścianach wyłożonych aksamitem.

Diego był nieogolony, miał przekrwione oczy, włosy wyglądające, jakby przewaliła się przez nie burza elektryczna, i szeroki uśmiech na twarzy. W prawej ręce trzymał kieliszek wypełniony mętnym i kleistym zielonym płynem.

— To mięta pieprzowa z ginem — wyjaśnił Jose Manuelowi, który nie odrywał wzroku od kieliszka. — Najlepsza na kaca. Stary szkocki przepis, a Szkoci o tych rzeczach wiedzą wszystko.

Zanim zaczęli formalne rozmowy, pożegnał serdecznymi pocałunkami i uściskami dwie panienki o alabastrowych ciałach widocznych pod skąpymi koszulkami. Obie nimfy wyłoniły się niespodziewanie zza wielkiego arrasu z La Granja z XVII wieku.

Tkanina oddzielała gabinet od sypialni, na którą składało się właściwie tylko olbrzymie łóżko o efektownym wezłowaniu z izabelińskiego brązu. Jose Manuelowi wydawało się, że dostrzegł dwie jedwabne chustki przywiązane do jego prętów.

Wyraz zaskoczenia na twarzy młodego architekta zmusił Diega do udzielenia kolejnych wyjaśnień.

— Dziewczyny są chórzystkami, dopiero zaczynają. Nie mają pieniędzy nawet na wynajęcie pokoju. Więc im pomagam, cóż robić, jestem sentymentalny — oznajmił, lekko wzruszając ramionami.

Usiedli przy pięknym okrągłym stole z holenderską intarsją. Dla młodego kopisty była to pierwsza lekcja fał-

— Nigdy nie imituj obrazów bizantyjskich albo trecenta, no wiesz, nic od szóstego do piętnastego wieku. Wiem, że trudno się oprzeć, najstarsze obrazy są najcenniejsze i najciekawsze dla fałszerza, ale materiały, jakich używali ci dranie, i ich techniki, są najtrudniejsze do naśladowania. Sama technika nie jest w sumie problemem. Wiemy, jak to zrobić, wszystkie ich tajemnice są zebrane w *Traktacie o malarstwie* Cennina Cenniniego; napisał go w tysiąc trzysta dziewięćdziesiątym roku. Sukinsyn był pierwszym, który fałszował prymitywnych Bizantyjczyków. Cennino mógł to zrobić, ale dla nas sprawa jest bardziej skomplikowana. Jak już mówiłem, malowanie na desce jest trudne, jeśli nie chcesz zrobić chałtury. Znalezienie drewna pochodzącego

z czasów gotyku graniczy z cudem. Tylko w rzadkich przypadkach udaje się znaleźć coś starszego. Ale nawet gdybyś wylądował szczęśliwie w twoim studiu, z kawałem drewna wyciągniętym właśnie z jakiegoś gotyckiego kościoła, zawsze będziesz miał cholerne wątpliwości, czy ta pieprzona decha na pewno pochodzi z pierwotnej konstrukcji budynku. Bo drewno, mój drogi uczniu, było najczęściej wymienianym materiałem we wszystkich budowlach na przestrzeni wieków. Zapomnij więc o malowaniu na desce, jeśli nie masz ochoty na odwiedziny policji albo, co gorsza, nie chcesz, żeby twój pośrednik domagał się wynagrodzenia poniesionych strat. Nawet nie wspominam o innej technice z epoki: malowaniu na metalowej powierzchni. Zdobycie kawałka metalu z tamtych czasów jest w zasadzie niemożliwe, a sztucznego postarzenia materiału jest równie łatwo — Goya — rzucił znudzony długim wykładem Jaszczurka, próbując jak najlepiej streścić prośbę o informacje.

Armario podniósł się, chrząknął i zniknął za parawanem, za którym kryło się wejście do biblioteki. Usłyszeli nie dający się z niczym pomylić odgłos długiego oddawania moczu. Biblioteka jest wyposażona w mały sedes, przypomniał sobie architekt. Po kilku sapnięciach Armario wrócił z grubą książką w ręku. Położył ją na stole. Jose Manuel mógł przeczytać tytuł: *Malmaterial und seine Yerwendung im Bilde* Maksa Doermera.

— Mówisz po niemiecku, prawda? — zapytał Wundermanna, a ten przytaknął. — Tutaj znajdziesz wszystkie tajemnice flamandzkich mistrzów. Potraktuj ją jak punkt wyjścia, nie jak biblię. Velazquez i Goya wymyślili swoje

własne techniki malarskie, El Greco potrafił użyć aż trzydziestu metod, malując jeden obraz. Skomplikowane, co? Wundermann nie potrafił ukryć przygnębienia i zmartwienia. Kopiowanie nie miało wiele wspólnego z fałszowaniem. Pewnie tyle samo, ile hobby z przestępstwem.

— Nie rób takiej miny, chłopcze — pocieszył go Diego, któremu nie umknął jego wyraz twarzy. — Dla tych, którzy opiniują dzieła, to też nie jest łatwe. W trudności leży nasza przewaga. — Puścił do niego oko.

Wyszli ze sklepu przy Santa Ana z ogromnym rulonem płótna. Wcześniej było kolonialnym obrazem, jednym z tych, jakie malowano w sewilskich warsztatach i wysyłano do Indii Wschodnich jako dekoracje kościołów, rządowych budynków czy wielkich posiadłości. Obraz jako taki był bezwartościowy, ale teraz, po przejściu przez ręce Armaria, płótno było w doskonałym stanie: czyste i gotowe do malowania. A było to prawdziwe dzieło osiemnastowiecznej manufaktury z czasów, kiedy Goya malował swoje obrazy.

— Tylko nie zepsujcie wszystkiego na etapie krakelury — udzielił im ostatniej rady weteran fałszerstwa. — Dobra krakelura to wizytówka każdego obrazu, a w tym, jak w życiu, najważniejsze jest pierwsze wrażenie.

Diego Armario wyjaśnił im szczegółowo, na czym polega ta technika.

— Dobrze wykonana krakelura sprawia, że obraz wygląda na autentyczny i stary. Żeby to osiągnąć, trzeba użyć dwóch rodzajów werniksu, które schną w różnym czasie. Tego, który schnie wolniej, użyjemy jako pierwszej warstwy, a tego, który schnie szybciej, jako drugiej. Niech pęknięcia

pojawia się w sposób naturalny, nie próbujcie robić ich igłami, niektórzy eksperci wykrywają coś takiego od razu. Diego wyjął z kartonowego pudełka podniszczony kawałek materiału.

— A teraz kropka nad i — oznajmił, potrząsając szmatką. — Kiedy obraz będzie zupełnie suchy, potrzyjcie tym materiałem pęknięcia. Niektóre włókna przylgną do krakelury.

— I? — zapytał sceptycznie Jaszczurka.

— To kawałek dominikańskiego habitu z osiemnastego wieku, autentyczny. Policja używa już laboratoriów i mikroskopów, wiesz, Jaszczurko? I szukają w szparach krakelury. Szukają maleńkich cząsteczek, prochu wieków. A robią to, kiedy podejrzewają, że obraz może być fałszywy. Wyobraź sobie miny tych frajerów, gdy odkryją resztki materiału z dominikańskiego habitu z osiemnastego wieku.

Jose Manuelowi przemknęło przez myśl, że nawet Goya byłby z nich dumny.



Stukanie do drzwi sprawiło, że znów znalazł się w pokoju na Wydziale Nawierzchni Specjalnych.

Drzwi otworzył kapral, puszczając przodem porucznika.

Na twarzy oficera zmęczenie walczyło o miejsce z kurzem. Zdjął czapkę i spojrział przelotnie na rozłożony na stole plan, z palcem Hotza nadal wskazującym most.

— Panowie, zmiana planów — powiedział. — Czerwoni wysadzili właśnie most Francuzów.



Czterej mężczyźni okopali się za murkiem z cegieł, z którego widać było zbocze. Na znajdującym się za nimi odkrytym terenie ruszało powoli osiemnaście czołgów.

Wündermann spojrział na nie nieufnie. Były to małe i przestarzałe, poruszające się niezdarnie czołgi marki Renault. Wrażenie, jakie wywoływał ten widok, było bliższe grotesce niż grozie, którą teoretycznie miały wzbudzać na polu walki. To tym chcieli zdobyć Madryt? Hotz najwyraźniej czytał w jego myślach.

— Czajniki. Nie przejdą rzeki — powiedział szeptem, żeby oficer nie usłyszał komentarza.

Republikanie wysadzili most w południe. Mieli nim przejść razem z oddziałami Vareli. To była zmiana, o jakiej powiadomił ich porucznik Ugedo. Hotz nazywał to „nowymi zmiennymi”.

Żeby uwolnić się od tych „zmiennych”, siedzieli teraz nieopodal zniszczonego mostu, w miejscu gdzie ogrodzenie Casa de Campo wyglądało znad rzeki Manzanares. Tutaj saperzy zdołali wysadzić część ostrokołu i otworzyć wyłom, wrota do Madrytu.

Wündermann spojrział na zegarek. Szesnasta. Zaledwie kilka minut temu samoloty narodowców skończyły bombardować pozycje wroga. Ponad cieniami parku Oeste i pozostałościami kampusu wznosiły się gdzieś kolumny czarnego dymu. „Może teraz ich trochę zmiękcyliśmy”, powiedział porucznik Carlos Ugedo, dowodzący samobójczą operacją.

— Ruszamy, jak tylko pojazdy oczyszczą rzekę, lepiej się przygotujcie! — zwrócił się do nich oficer, podnosząc głos, żeby mogli go usłyszeć przez huk silników czołgów.

Odwrócił się do grupy żołnierzy czekających na jego

rozkazy około trzystu metrów od zbocza i machnął, żeby się zbliżyli. Wundermann zauważył, że jest wśród nich kilku Marokańczyków.

Pojazdy przejeżdżały pojedynczo przez wyłom w ogrodzeniu Casa de Campo powstały dzięki pracy saperów. Hałas silników cichł z każdą chwilą.

— Wszyscy za mną! — Porucznik podniósł się i zaczął biec, pochylony, z pistoletem w ręce, w kierunku wyłomu w murze. Około tuzina żołnierzy drugiej kompanii trzeciego batalionu Alhucemas pobiegło za nim. Kiedy ostatni z nich zniknął za ogrodzeniem, Hotz podniósł się z ziemi.

— Chodźmy, panowie, jesteśmy umówieni w Prado.

Nad rzeką sytuacja pogarszała się z każdą chwilą. Pojazdy, jak się można było tego spodziewać, nie były w stanie jej pokonać. Wszystkie utknęły, unieruchomione na piaszczystym dnie rzeki Manzanares. Wróg zasypywał ich z drugiego brzegu pociskami.

Grupa Hotza ukryła się za czołgiem. Woda sięgała im do kolan. Wystrzały z karabinów i broni automatycznej odbijały się z metalicznym trzaskiem o kadłuby renaultów. Czołgi, jak stado zranionych zwierząt świadomych, że wpadły w pułapkę, próbowały manewrować, żeby wydostać się z koryta rzeki, porykując żałośnie silnikami.

Nagle nieopodal jednego z pojazdów wzniósł się ogromny słup wody i błota.

— Poruszniku, poruszniku! — krzyknął jeden z Marokańczyków. — Postawili ziało na tamtyj górze!

Ugedo odwrócił się w stronę, którą wskazywał żołnierz. Rzeczywiście, liczna grupa walczących przeniosła właśnie część artylerii na wzniesienie po drugiej stronie rzeki. Było

to małe działo o wystarczającym kalibrze, żeby wysadzać jednego renaulta po drugim.

— Kapralu, założyć bagnety i na mój rozkaz przygotować się do przejścia tamtej pozycji, z granatami w garści!

Żołnierze zaczęli wyjmować ze skórzanych pokrowców bagnety, a Jose Manuel poczuł, że serce zaczyna mu bić szybciej. To szaleństwo. Nikt nie wyjdzie stąd żywy.

Drugi pocisk sprawił, że następny renault wystrzelił do góry i spadł do koryta rzeki z jękiem wyginającego się żelastwa. Dało się słyszeć suchą eksplozję i czołg zaczął się palić, okrywając się chmurą gęstego dymu. Otworzył się właz, w którym pokazała się głowa czołgisty. Jego wojskowa bluza dymiła, twarz miał pokrytą sadzą i krwią. Skoczył do wody, przeszedł na czworakach do brzegu i usiadł przemoczony na piasku, patrząc na maszynę.

Wündermann obserwował tę scenę wstrząśnięty.

Nagle renault rozpadł się z przeraźliwym hukiem. Jose Manuel pochylił się instynktownie. Kiedy się wyprostował, z pojazdu nie zostało nic. Na brzegu rzeki czołgista leżał na wznak, nieruchomo, patrząc szeroko otwartymi oczami w niebo.

— Teraz! — krzyknął porucznik.

Wraz z dwunastoma ludźmi Jose Manuel zaczął biec w stronę wzgórza, na którym znajdowało się działo, chwilowo bezużyteczne, bo właśnie je ładowano.

Kiedy grupa była około trzydziestu metrów od pozycji, zatrzymała się nagle bez rozkazu i żołnierze rzucili przygotowane granaty. Cała trzynastka padła na ziemię. Z pozycji artyleryjskiej dały się słyszeć krzyki i szybko po sobie następujące suche eksplozje.

— Do bagnatów! — rozkazał porucznik.

Podnieśli się i ruszyli na to, co zostało z republikańskiego bastionu. Wundermann i jego towarzysze obserwowali z dołu dzieło spustoszenia dokonywane przez Ugeda i jego ludzi.

— Zawodowcy — mruknął Hotz, a w jego głosie brzmiało coś w rodzaju podziwu. — Dlatego Franco wygra tę cholerną wojnę, bo jego żołnierze są zawodowcami.

— No dobra, a my co niby mamy teraz ze sobą zrobić? — zapytał zaniepokojony Jaszczurka, mimo że jak na razie udało mu się zrealizować dwa osobiste plany na ten dzień: nie dać się zastrzelić i nie zamoczyć tuby.

Ostry dźwięk trąbki za ich plecami sprawił, że wszyscy trzech się obejrżeli. Setka żołnierzy przeskakiwała przez wyłom w ogrodzeniu i biegła w stronę zdobytej właśnie przez Ugeda pozycji.

— Przyłączmy się do zwycięstwa! — krzyknął Hotz, porzucając schronienie za czołgiem i biegnąc za żołnierzami.

Kiedy zdobyli wzgórze, poznali rozmiary rzezi. Ciała dwudziestu obrońców pozycji artyleryjskiej leżały poszarpane przez granaty lub bagnety ludzi Ugeda. Przed nimi republikanie opuszczali swoje pozycje i uciekali w rozsypce.

— Dobra robota, poruczniku, zaznaczę to w dzisiejszym raporcie — powiedział Carlos Muslera, dowódca nowo przybyłych posiłków.

— Byli z kolumny Durrutiego, kapitanie. Proszę spojrzeć — odrzekł Ugedo, patrząc za uciekinierami — nie zatrzymają się aż do Carabanchel.

Hotz podszedł do dwóch oficerów, oddychał ciężko wskutek wspinaczki.

— Doskonały atak, poruczniku — pochwalił Hotz.

— To ludzie ze służb specjalnych, kapitanie — wyjaśnił porucznik, widząc niezadowolone spojrzenie oficera.

— To daj im trzech Maurów i niech sobie radzą — odparł sucho, nie patrząc na nowo przybyłego. — My już się wywiązaliśmy z powinności wobec cywilów. Teraz trzeba zabezpieczyć pozycję, zająć stadion i wydział architektury — powiedział, wskazując najbliższe budynki. — I wyciągnijcie ten złom z rzeki.

— Rozkaz! — Ugedo zasalutował i odszedł. Hotz poszedł za nim.

— To wszystko, co mogę dla was zrobić. — Najwyraźniej czuł się niezręcznie, chciał się ich czym prędzej pozbyć. — Moich trzech ludzi eskortuje was do ogrodów Rosales. Jesteśmy tuż obok i na razie sektor jest zabezpieczony i czysty. Ale nie na długo. Ja na waszym miejscu pospieszyłbym się z przekraczaniem linii.

— Wielkie dzięki, poruczniku. Poinformuję o pana postawie generała Varełę. Nienagannie wykonana robota. — Hotz posłał mu jeden ze swoich uśmiechów zaklinacza węży.

Oficer odwrócił się do grupy żołnierzy.

— Tanger!

Podbiegł do nich marokański żołnierz.

— Tak, panie.

— Cholera jasna, Tanger, mówiłem ci już tysiąc razy, nie jestem twoim panem. Do diaska, w hiszpańskiej armii nie ma panów, jestem twoim porucznikiem.

— Tak, panie poruczniku.

— Dobra, Tanger, bierz Casablance i Larachego. Odeskortujesz tych cywilów do Rosales. — Żołnierz zasalutował

i pobiegł po towarzyszy. — I wracać mi biegiem, musimy się okopać, żadnego wymigiwania się!

Porucznik zasalutował niemieckiemu dyplomacie na pożegnanie.

— Jeszcze raz wielkie dzięki, nawet pan nie wie, jak wielką przysługę wyświadczył pan dzisiaj swojej ojczyźnie i Niemcom.

Oficer zlustrował go nieufnie od stóp do głów. Spojrzał w stronę rzeki, gdzie żołnierze podkładali już bale pod samochody, żeby wyciągnąć je z piaszczystego dna.

— Może w takim razie odwdzięczycie się nam kilkoma z tych waszych pojazdów pancernych.



Przykucnęli za żywopłotem. Weszli już do ogrodów Rosales. Byli w Madrycie.

Tanger, marokański kapral, który eskortował ich aż do tego miejsca, wyglądał na zaniepokojonego. Za bardzo oddalił się od swoich.

— Żołnierze już chyba mogą iść — uznał Jose Manuel.

— Tak. Niech idą. — Hotz obserwował pierwsze budynki przez lornetkę, szukając strzelców.

Trzej Marokańczycy zasalutowali i bezszelestnie zniknęli wśród żywopłotów. Niemiec opuścił lornetkę. Okolica wygląda bezpiecznie.

— Na co w takim razie czekamy? — Jaszczurka najwyraźniej marzył o zmianie otoczenia.

— Oczekują nas w garażu przy ulicy Princesa. Ale poczekamy do zmroku. Raczej nie przyjmą nas w mieście

z otwartymi ramionami, jak wejdziemy w tych mundurach. Ale w nocy wszystkie koty są czarne, jak tu mówicie. — Uśmiech Hotza uspokajał jego dwóch współników.

O dwudziestej trzeciej dotarli do garażu. Otworzyła im młodzianka dziewczyna, najwyżej szesnastoletnia, z uroczym uśmiechem. Była ubrana w niebieski kombinezon mechanika, a czarne lśniące włosy zebrała w kucyk. Pomimo przebrania Jose Manuel natychmiast rozpoznał w niej „panienkę z dobrego domu”.

— Furgonetka jest gotowa — powiedziała z uśmiechem.

Był to ogromny dogde o twardym nadwoziu. Oznaczony napisem „Rada Konfiskaty i Ochrony Dóbr Dziedzictwa Artystycznego”, z herbem republiki.

Hotz przejrzał dokumenty dotyczące ładunku, trzy malowidła religijne o znikomej wartości — uprzejmość Diega Armaria — przekazane, według raportu, przez matkę przełożoną zakonu karmelitek z ulicy Argüelles.

Pozbyli się wojskowych mundurów i przebrali w kombinezony z emblematem Rady Konfiskaty na plecach. Hotz położył tubę z kopią obrazu na podłodze ciężarówki. Wsiedli do szoferki. Niemiec wręczył dziewczynie wypchaną koperkę, którą z szelmowskim uśmiechem schowała za pazuchę.

— Praca z zawodowcami to czysta przyjemność. — Po słała im kolejny olśniewający uśmiech, po czym wybiegła otworzyć drzwi do garażu.

Kiedy ciężarówka przejeżdżała przez kolumnadę, dziewczyna podniosła pięść, do końca odgrywając swoją rolę.

— Niech żyje republika! — krzyknęła.

Przechodzący właśnie przez ulicę patrol policji odpowiedział im gorącymi wiwatami, po których posypały się

komplementy pod adresem dziewczyny, która zniknęła w garażu.

Wündermann żałował, że nie miał czasu bliżej jej poznać.

— Ładna, prawda? — zapytał go Hotz, rozświetlając kabinę blaskiem zapalniczki, którą zapalał papierosa. Wündermann czasem miał wrażenie, że Hotz umie czytać w jego myśli — Jak się nazywa?

— Jak się nazywa, ile ma lat, gdzie mieszka... Potrafiłbyś nie zdradzić tych informacji na przesłuchaniu? Wiesz, co mogą z tobą zrobić czekisci? Wiesz, co by jej zrobili, zanimby ją rozstrzelali? Twoje bezpieczeństwo to bezpieczeństwo twoich współpracowników. Jedna z moich głównych zasad.

Musieli przejechać przez trzy punkty kontrolne, zanim dotarli do Prado, dwa FAI* i jedno Partii Socjalistycznej, przed budynkiem Banku Hiszpańskiego. Za każdym razem zażądali od nich dokumentów i przejechali furgonetkę. Jaszczurka wykonał jak zwykle świetną robotę i żaden papier nie wzbudził podejrzeń.

— Wyglądasz na obcokrajowca, nie, blondyn? — zapytał Wündermanna jeden z policjantów na trzecim punkcie, oślepiając go światłem latarki.

— Sowiecki brygadier, towarzyszu. Profesor historii sztuki na Uniwersytecie Moskiewskim. Pomaga nam przy katalogowaniu w muzeum — skłamał Hotz, którego pochodzenia nie mogły zdradzić ciemne włosy i śniada cera.

— Kurde, *towariszcz*, ale numer! — krzyknął policjant, na którego twarzy nieufność ustąpiła szczeremu podziwo-

* Federación Anarquista Iberica (Iberyjska Federacja Anarchistyczna).

wi. — Widziałem, jak defilowaliście w zeszłym tygodniu na Gran Via. — Włożył rękę przez okienko i uściśnął serdecznie dłoń Jose Manuela. — Dokopcie faszystom! Niech ani jeden się nie ostate! Rozumie po hiszpańsku? — zapytał Hotza.

— Ani słowa. Ale nie martwcie się, towarzyszu, ja wam przetłumaczę. — Zwrócił się do Jose Manuela po niemiecku: — Ten palant nas opóźnia, powiedz mu coś z uczuciem i spadamy.

Młody architekt otworzył drzwi samochodu, stanął na stopniu i wznosząc pięść, krzyknął po niemiecku:

— Panowie, jedziemy gwizdnąć Goyę i spóźnimy się przez was!

— Madryt będzie grobem faszyzmu! *No pasaran!* — przetłumaczył Hotz.

Wszyscy zaczęli klaskać i wihatować na cześć Rosji i Stalina. Ciężarówka ruszyła wśród gromkich okrzyków. Zatrzymali się dopiero przed głównym wejściem do muzeum. Madryt zmienił się, fontanny Neptuna i Kybele były ukryte pod cegłami i otoczone workami z piaskiem. Okna muzeum zamknięto na głucho, żeby światła nie naprowadzały lotników podczas nalotów. Dwie cysterny brygad ratunkowych stały zaparkowane przed budynkiem, na wypadek gdyby musiały interweniować.

Wejścia pilnował pluton wojsk szturmowych. Ich widok uspokoił Wundermanna. Nagle wydało mu się, że ci ubrani na czarno mężczyźni byli ostatnim śladem republikańskiego autorytetu. Kapitan i kapral rezerwy podeszli do ciężarówki i po raz setny zażądali od nich dokumentów.

— Trochę późno na dostawy, nie? — powiedział kapitan, nie odrywając wzroku od papierów, które podał mu Hotz.

— Zatrzymali nas na pół dnia w Argüelles. Wygląda na to, że sporo się dziś dzieje w kampusie — wyjaśnił Niemiec.

— Owszem. Skubańcy dziś prawie weszli do Madrytu — odrzekł kapitan poufale. — Widziano Maurów w ogrodach Rosales. Ale dostali od międzynarodowców. — Podniósł głos. — I odrzuciliśmy ich za rzekę.

— Nawet pan nie wie, jak mnie to cieszy.

— Papiery są w porządku. Kapralu, niech pan zawoła dyżurnego konserwatora, ci panowie muszą rozładować kilka obrazów.

Wündermann z trudem ukrył zaskoczenie na widok dyżurnego konserwatora, którym okazał się Diego Armario, w białym fartuchu i z kwaśną miną. Musiał przyznać, że Hotz potrafił organizować skoki w dobrym stylu.

— Wpół do pierwszej w nocy to nie pora na rozładowywanie obrazów. Mamy tu wyznaczone godziny na takie rzeczy — gderał konserwator.

— Człowieku, cały dzień jeździmy w kółko po Madrycie, a w domu na nas czekają — odpowiedział Jaszczurka z szoferki.

— Dobra, niech wam będzie. Niech rozładują, spadają i z głowy. Dzisiejszy dzień był bardzo długi dla nas wszystkich — uciał kapitan, zwracając dokumenty kierowcy.

— Tylko dlatego, że władze mnie o to proszą. Najchętniej bym was posłał z Bogiem, żebyście wrócili jutro o przyzwoitej porze. Proszę, wjedźcie ciężarówką od tyłu, na rampę do rozładunku.

Hotz uśmiechnął się, widząc występ Diega Armaria. Podjechali do wskazanego miejsca. Diego podniósł z hukiem metalową żaluzję zamykającą wjazd do magazynu.

— Szybko, spóźniliście się, zmieniają mnie o trzeciej.
Znieśli zapakowane w drewniane skrzynki obrazy do piwnic.

Diego zaprowadził ich do zamkniętych na klucz podwójnych drzwi.

— To jest pracownia konserwatorska — wyjaśnił.

Weszli do obszernego pokoju, prawdziwego zakładu pracy. W powietrzu unosił się silny zapach rozpuszczalników i werniksu. Prawie wszystkie dzieła, nad którymi pracowano, były przykryte płótnem. Jose Manuel natychmiast zobaczył obraz; był oparty o ścianę, jego *Hrabina de Chinchón*. Podszedł do niego i przyjrzał mu się z podziwem. W przyćmionym świetle warsztatu wydał mu się jeszcze

— Nie wiecie nawet, ile wysiłku kosztowało mnie przekonanie ich, żeby nie wywozili go do Walencji — usłyszał głos Diega za plecami.

— Do Walencji? — zdziwił się Jaszczurka.

Już po zakończeniu wojny Wundermannowi udało się zrekonstruować przebieg długiego i bolesnego wygnania, jakie dotknęło zbiory Prado: od 5 listopada 1936 do 5 lutego 1938 roku muzeum opuściły dwadzieścia dwa konwoje, wiozące najcenniejsze kolekcje muzeum do Torres de Serranos w Walencji.

Konwoje musiały przebyć ponad trzysta kilometrów trasą równoległą do frontu. Frontu, który wciąż przesuwał się i rwał. Samochody były nieustannie wystawione na ataki lotnictwa rebeliantów. Ładunek mógł zostać w każdej chwili przechwycony przez szybko poruszające się oddziały wroga albo dostać się pod ostrzał artyleryjski.

Mimo sprzeciwów części techników, politycy wygrali tę haniebną wojnę.

Obrazy przewieziono, poza nielicznymi wyjątkami, w najgorszych możliwych warunkach. Wiele dzieł podróżowało do Walencji bez żadnego zabezpieczenia. *Las Meninas* Velazqueza był bliski zwęglenia na skutek wycieku gazu w ciężarówce.

Międzynarodowa wspólnota artystyczna, zaalarmowana chaotyczną ewakuacją, która zdawała się prowadzić ku katastrofie o strasznych konsekwencjach dla światowego dziedzictwa kultury, zaczęła domagać się od republikańskiego rządu wyjaśnień.

W połowie 1937 roku władze republiki ogłosiły raport, w którym starały się wytłumaczyć swoje niewytłumaczalne błędy przed światową opinią publiczną. Usprawiedliwiały ewakuację zbiorów Prado dwoma argumentami: pewną zagładą w wyniku faszystowskich bombardowań i brakiem bezpiecznych miejsc w Madrycie, w których można ulokować zbiory.

W rzeczywistości, jak dobrze wiedział Wundermann, muzeum zbombardowano tylko raz w ciągu prawie trzyletnich walk. Atak ten przeprowadzono zresztą wbrew jasnemu rozkazowi wodza, żeby „nie bombardować Prado”.

Nie było też prawdą, że stolica Hiszpanii nie dysponowała miejscami, w których dzieła mogły być bezpieczne. W samych piwnicach muzeum przechowywano aż do końca wojny ponad dwadzieścia tysięcy obrazów i dzieł sztuki pochodzących z innych instytucji. Wszystkie pozostały nietknięte.

Idealnym miejscem do przechowania kolekcji Prado byłby sejf Banku Hiszpańskiego. Nierzetelny raport techniczny

stwierdził wilgoć, której łatwo byłoby się pozbyć. „Poza tym w tamtych czasach było tam mnóstwo miejsca, bo Rosjanie wywieźli całe złoto”, jak zauważył sekretarz generalny banku, Gimenez-Arnau, którego zresztą usunięto ze

Członkowie rady wykazali się skrajną głupotą, argumentując, że drzwi były zbyt wąskie, żeby wnieść przez nie największe obrazy, jakby nie można ich było wyjąć z ram i zwinąć.

W rzeczywistości władze republikańskie próbowały ukryć prawdziwe powody przeprowadzenia tej szalonej ewakuacji.

Nie zrobił tego natomiast dyrektor Akademii Sztuk Pięknych, Jose Renau, kiedy Międzynarodowe Biuro Muzeów, któremu podlegało Prado, zażądało od niego wyjaśnień. W raporcie z 1937 roku, przesłanym do paryskiej siedziby międzynarodowego organu, Renau nie owijał w bawełnę: „U źródeł ewakuacji zbiorów Prado leżą motywy polityczne i militarne rządu republikańskiego”.

Najgorsze miało jednak dopiero nastąpić. Walencja nie była „ostatnią stacją” dzieł sztuki pozostawionych na pastwę losu i niekompetencji rządu. Kiedy politycy uznali, że miasto przestało być bezpieczne, uciekli ponownie, jak przedtem z Madrytu. I zażądali, żeby dzieła z Prado podążyły ich śladem.

Wybór miejsc składowania zbiorów równie dobrze mógł być dziełem psychopaty: zamki Peralada i San Fernando de Figueres. Dwie enklawy blisko francuskiej granicy, będące składami prochu republikańskiego wojska, co automatycznie czyniło z nich obiekty wojskowe. Mniej cenne kolekcje przeniesiono do starych kopalni talku w La Vajol, które na

szczęście spełniały przynajmniej podstawowe wymogi bezpieczeństwa.

Ten drugi transport, w marcu 1938 roku, okazał się jeszcze bardziej chaotyczny i żałosny niż pierwszy. Dzieła wieziono przez środek rozpadającego się frontu, bez żadnego zabezpieczenia. Drogi konwojów zmieniały się co chwila i zależały od tego, „jak bardzo posunęli się naprzód faszyci danego dnia”.

Na skutek tego chaosu i improwizacji niemal utracono na zawsze wiele dzieł. Obrazy *Szarża mameluków* i *Rozstrzelanie powstańców madryckich 3 maja 1808 roku*, oba Goi, podarły się na kawałki, kiedy zaczepiły się o jakiś balkon. Ten sam los spotkał *Poddanie Bredy (Lance)* Velazqueza.

Wreszcie, dzięki nieocenionej pomocy Międzynarodowego Komitetu Ocalenia Hiszpańskich Dzieł Sztuki, niezależnej organizacji międzynarodowej, sponiewierane zbiory Prado trafiły do Francji, skąd zostały przetransportowane do Genewy i miały tam pozostać do czasu zwrócenia ich Hiszpanii.

— Do Walencji? — powtórzył pytanie Jaszczurka.

— Piątego ewakuowali wiele dzieł, bo rząd myślał, że faszyci zdobędą Madryt. Wywieźli wszystko do Walencji. Udało mi się zatrzymać ten obraz, bo powiedziałem, że go konserwuję i że podczas transportu mogłoby dojść do reakcji rozpuszczalników. Udało się zrządzeniem boskim. I dlatego, że dałem chłopakom od noszenia parę groszy, żeby zajęli się czym innym.

— Nie traćmy czasu. Jose Manuel, weź Jaszczurkę i idźcie po tubę. Wiecie, jak trafić. Armario, przygotuj obraz, żeby wyjąć płótno z ramy — Hotz zaczął wydawać rozkazy jak marszałek na polu bitwy.

On również chciał jak najszybciej zakończyć operację. Napięcie całego dnia zaczęło być widoczne na jego twarzy.

Wündermann i Jaszczurka wyszli na rampę i wpadli prosto na strażnika.

— Cholera jasna! — krzyknął Jaszczurka, odskakując. — Śmiertelnie mnie przestraszyłeś.

— Przysłała mnie kapitan, żebym nadzorował rozładunek — powiedział młody karabinier, ledwie osiemnastoletni, o twarzy całej w pryszczach.

— Już skończyliśmy rozładowywać. Idziemy po narzędzia, bo konserwator się uparł, żeby mu pomóc przy wysprzątaniu piwnicy, by mógł rozmieścić to, co przywieźliśmy.

Falszerz wszedł do szoferki i zaczął w niej szperać, udając, że czegoś szuka. Poczł nerwowe ukłucie w żołądku. Sprawy zaczynały się komplikować.

— A więc trochę to jeszcze potrwa.

— Zależy od tego, jak długo będzie nas tu trzymać ta maruda. Słuchaj, ile ty właściwie masz lat?

— Dwadzieścia jeden — skłamał karabinier, próbując mówić grubszym głosem.

— I pewnie dostajesz wszystkie nocne warty, co?

— No...

— Nic, nic, mam dla ciebie prezent. Ja też byłem w wojsku i wiem, jak to jest na warcie. — Położył mu rękę na ramieniu, odciągając go od ciężarówki. — Patrz! — Z tylnej kieszeni kombinezonu wyjął pudełko kart. — Karty z gołymi babami, stary!

— Serio?!

— Nie, nie. Ale i tak będziesz sobie mógł poużywać.

Zobacz, autentyczne Francuzki, pokazują nawet zwierzaka. Masz, daję ci je w prezencie, na długie warty.

— Pan pokaże — powiedział chłopak, wyciągając rękę i otwierając szeroko oczy, podczas gdy za jego plecami Wundermann wchodził do budynku, niosąc tubę z mapami.

Kiedy dotarł do warsztatu, Armario pracował już nad ramą. Operował wprawnie niewielkim lewarkiem, którym podważał główkę każdego gwoźdźca. Następnie pomagał sobie cienkimi szczypcami, żeby wyjąć go z deski.

— Musimy użyć tych samych gwoździ, żeby umocować kopię do ramy. Cały sekret tkwi w tym, żeby zawsze używać materiałów z epoki. Nie można się spieszyć. — Był bez reszty skoncentrowany na swojej pracy: lewarek, szczypce, lewarek, szczypce, lewarek, szczypce... uważając, żeby żaden się nie złamał.

Dyplomata i architekt obserwowali go w pełnym szacunku milczeniu, jak studenci medycyny śledzący ruchy chirurga tnącego ciało.

— Ile jeszcze? — odważył się zapytać Jose Manuel.

— Nie mniej niż dwie godziny, mój chłopcze. Dobrze wykonana robota potrzebuje czasu.

Nagle z korytarza dobiegł przenikliwy głos syreny.

— Niech to szlag — zaklął Diego.

— Co się dzieje? — zapytał Hotz.

— Alarm bombowy. — Armario ostrożnie odłożył lewarek i szczypce na stół.

— Bombowy? — wtrącił nerwowo Wundermann.

— Symulowany albo prawdziwy. Nie wiem. Powiedziałbym wam, gdybyśmy byli na zewnątrz. W nocy słysząc najpierw samoloty, a dopiero potem syreny.

Diego wziął tubę z mapami i zamknął ją na klucz w metalowej szafie.

— Co robimy? — zapytał Hotz.

Po raz pierwszy Jose Manuel poznał po jego głosie, że Hotz nie czuje się panem sytuacji.

— Jeśli to prawdziwe bombardowanie, możemy wrócić do pracy, o ile nie boicie się hałasu bomb. Te piwnice są tak bezpieczne, jak sejf Banku Hiszpańskiego. Ale jeśli to symulacja, to mamy przesrane, ewakuują nas wszystkich, zgodnie z regulaminem muzeum. Urzędnicy uwielbiają przestrzegać regulaminów.

Drzwi warsztatu otworzyły się na oścież i weszli dwaj strażnicy.

— Wszyscy na zewnątrz. Próba ewakuacji — powiedział jeden z nich tonem nie znoszącym sprzeciwu.

*Madryt, w pobliżu muzeum Prado, 16
listopada 1936*

Jose Manuel wstał w południe. Zapach świeżo zaparzonej kawy pobudził jego apetyt. Odwrócił się na drugi bok i zobaczył Jaszczurkę siedzącego w majtkach i koszulce przy małym stoliku i nalewającego parującą kawę.

— Jaki dziś dzień? — zapytał Jose Manuel, przecierając oczy; miał wrażenie, jakby spał przez tydzień.

— Proszę, proszę, śpiąca królowna raczyła się obudzić — powiedział Jaszczurka, nie przestając patrzeć przez okno. — Szesnasty listopada tysiąc dziewięćset trzydziestego szóstego roku, a ty i ja jesteśmy nadal tak biedni, jak zawsze.

— A Hotz? — Jose Manuel oparł się o ramę łóżka.

— Wyszedł. Powiedział, że musi zadzwonić. Żebyśmy się nie martwili. Że wszystko się ułoży. Gówno prawda. Nigdy nie zdobędziemy tego pieprzonego obrazu.

Jose Manuel wstał z łóżka i usiadł obok Jaszczurki.

— Jest jeszcze kawa?

— Jasne, nalej sobie, ile chcesz. W kuchni jest tego więcej. Możemy spędzić całą wojnę na picciu kawy.

Jose Manuel też wyrzął przez okno. Kontemplował fasadę muzeum Prado, widoczną po drugiej stronie bulwaru. Obnażone przez zimę drzewa pozwalały ją podziwiać w całej krasie.

Hotz wynajął dom naprzeciwko muzeum w przeddzień operacji, na wypadek komplikacji. Wydarzenia poprzedniej nocy musiały należeć do niespodzianek przewidzianych przez ich wspólnika. Byliśmy już tak blisko, pomyślał gorzko... Jednak odpoczynek i kawa przywróciły mu op-

— Zobaczysz, Niemiec na pewno coś wymyśli, spróbujemy jeszcze raz — pocieszył towarzysza.

Hotz wrócił do domu o wpół do siódmej wieczorem. W jego twarzy i ruchach Wundermann wyczuł zwykłą dla niego pewność siebie.

— Włóżcie kombinezony, za pół godziny idziemy do muzeum.

— Tak? A co powiemy strażnikom? Dobry wieczór, przyszliśmy po Goyę, którego prawie zwinęliśmy wczoraj w nocy? — zainteresował się Jaszczurka.

Jose Manuel spojrział kątem oka na fasadę muzeum: podwojono strażę.

— Będzie ciężko wymyślić przekonującą wymówkę — przyznał.

— O siódmej będziemy mieli przekonującą wymówkę — oznajmił Niemiec.



Punkt siódma zawyły syreny, jedna za drugą, wstrząsając każdą dzielnicą miasta wieszczącym śmierć bezosobowym skowytom. Następnie dało się słyszeć odległe jeszcze silniki pierwszej fali bombowców. Jaszczurka podniósł się gwałtownie z krzesła.

— Samoloty?

— Tak — potwierdził spokojnie Hotz. — Nasza wymówka nadciąga.

Wkrótce rozbrzmiał grzmot pierwszych wybuchów. Szyby w oknach zaczęły drżeć.

Wündermann spojrział na ulicę: nieliczni przechodnie próbowali jak najszybciej dotrzeć do schronów, zagubiona dziewczynka płakała, stojąc na środku bulwaru. Jakiś karabinier wziął ją na ręce i zaniósł do Prado.

Nagle huk pobliskiego wybuchu zmusił Jose Manuela do cofnięcia się od okna.

— Bombardują Prado! Te sukinsyny bombardują Prado! — krzyczał Jaszczurka.

Hotz podniósł się z fotela i zasunął zamek kombinezonu.

— Dobrze, panowie, skończymy robotę.

Przebyli biegiem bulwar oddzielający ich od muzeum. Gwizd następnej bomby zmusił ich do padnięcia na ziemię. Głuche uderzenie, bez eksplozji, wstrząsnęło chodnikiem. Wündermann, z twarzą przyklejoną do bruku, zobaczył, jak otaczające go suche liście zaczynają poruszać się w tym samym kierunku. Przypomniał sobie wtedy wyjaśnienia profesora fizyki z jego wydziału, miłośnika broni. „Bomby zapalające nie wybuchają przy pierwszym uderzeniu, muszą najpierw zassać tlen, żeby stworzyć bańkę zapalną. Wsysają powietrze, a potem wyrzucają je w morzu płomieni”. In-

stynktownie zakrył głowę rękami. Poczuł uderzenie gorąca. Kiedy odważył się spojrzeć, zobaczył, że część dachu Prado płonie.

— Idziemy! Idziemy! — krzyknął Hotz, podnosząc się i biegnąc w stronę głównego wejścia do muzeum.

Zanim dotarli do portyku, druga bomba zapalająca dosięgła budynku. W muzeum panował chaos. Pracownicy krzyczały przerażone, strażnicy biegali z jednej strony na drugą, wykrzykując bezsensowne rozkazy. Żołnierze z oddziałów brygad ratunkowych wyglądali na najlepiej zorganizowanych, rozwijali węże na korytarzach i podłączali je do ujęć wody.

Niemiec poprowadził grupę do podziemi. Minęli kilku woźnych uciekających w panice w niewiadomym kierunku. Kiedy weszli do warsztatu, Diego pracował nad ramą.

— Proszę, już myślałem, że spadła wam na głowę jakaś bomba — powiedział, nie odrywając oczu od gwoźdźca, który nie dawał się wyciągnąć.

Armario wykonał swoją pracę bez zarzutu. Kiedy powiesił kopię na ścianie, w oryginalnej ramie, wszyscy popatrzyli na nią z podziwem.

Jaszczurka objął Jose Manuela. Oczy mu błyszczały.

— Nikt tego nigdy nie odkryje — powiedział z satysfakcją.

— Jeszcze nie skończyliśmy. Dalej, zwińcie Goyę i wsadźcie do tuby — zarządził Hotz.

Kiedy wyszli z muzeum, bombardowanie już się skończyło. Trzy wielkie kolumny szarego dymu wydobywały się z ogromnych dziur po bombach w dachu budynku. Mimo to ogień został najwyraźniej opanowany, dzięki wysiłkowi

mężczyzn i kobiet z brygad, ratunkowych. Wundermann poczuł nagłą niechęć do idącego przed nim Hotza.



Czarny fiat zatrzymał się pod drzwiami hotelu El Rocio przy ulicy Toledo. Jaszczurka i Jose Manuel wysiedli z samochodu.

Hotz wyjrzał przez okienko kierowcy.

— Macie zarezerwowane i zapłacone dwa pokoje. Czekać do jutra na instrukcje. I starajcie się nie wychodzić na zewnątrz, lepiej nie zwracać na siebie uwagi. Trzymajcie. — Podał im wypchaną kopertę. — Pieniądze od republiki, na pokrycie pierwszych wydatków.

— A obraz? — zapytał Jaszczurka nieufnie.

Hotz popatrzył na siedzącego obok niego Armada.

— Diego zajmie się nim do czasu, aż będziemy go mogli wywieźć z Madrytu. Nie martwcie się o to.

— A nasza działka?

— Nasza działka nie będzie nasza, dopóki nie sfinalizuję operacji za granicą, Jaszczurko. — Spojrzał mu w oczy. — Nie zostawię was na lodzie, to tylko początek. Jesteście za dobrzy, żeby się kłócić o górę papierków — posłał im jeden ze swoich zabójczych uśmiechów i włączył silnik.

Wundermann odprowadził samochód wzrokiem, dopóki nie zniknął za rogiem. Z jakiegoś powodu wiedział, że Hotz nie kłamał.



Nie wiedzieli nic aż do dziewiętnastego listopada. Do tego czasu Jaszczurka był bliski opuszczenia hotelu.

— Zdradził nas. Porzucił nas jak psy.
— Nie martw się, na pewno się odezwie. — Jose Manuel
był spokojny.
Jaszczurka i on są „za dobrzy”.
Właścicielka przyniosła im liścik.

Przepraszam za opóźnienie. Zawsze wypada coś nie-
przewidzianego. Faszyci nie zdobędą Madrytu. Diego
i jego córka mają się dobrze.

Armario pojawił się po południu. Prowadził ciemnego
citroena 4. Na drzwiach miał namalowany skrót UHP*.

— Jasny gwint, Diegito, zostałeś anarchosyndykalistą? —
zażartował Jaszczurka, któremu wrócił dobry humor.

— Przyjaciół trzeba mieć wszędzie, mój drogi. Uważaj,
jak będziesz siadał, z tyłu jest flaga Czerwonego Krzyża.

— Dobra, dobra.

— Tu macie przepustki, w razie gdyby nas zatrzymali. —
Dał im dwie książeczki. — Teraz jesteście oficerami Kolum-
ny Palacios, przeprowadzamy inspekcję frontu.

— Dokąd jedziemy? — zapytał Wundermann, przegła-
dając dokumenty.

— Zabieramy obraz i spadamy — odpowiedział Diego,
uruchamiając silnik. — Ukryłem go w bezpiecznym i spokój-

* Unios Hermanos Proletarios (Bracia Proletariusze Zjednoczeni), hasło porozumienia robotniczego zawartego między Socjalistyczną Federacją Asturii, Unión General de Trabajadores (unią związków zawodowych) i Regionalną Konfederacją Pracy Asturii, Leonu i Palencji należącą do syndykalistycznego związku zawodowego Narodowa Konfederacja Pracy (Confederación Nacional del Trabajo).

nym miejscu, na cmentarzu Paracuellos w Jaramie, we wsi pod Madrytem.

W drodze dowcipkowali i rozmawiali o głupstwach. Byli odprężeni i w dobrym humorze. Wszystko nareszcie szło jak po maśle.

Ukryli samochód w lasku i poszli na cmentarz na piechotę. Nagle Jaszczurka się zatrzymał.

Ciężarówka.

Odruchowo rzucili się na ziemię. Po kilku sekundach pojawił się dwupiętrowy autobus, „anglik”, jak nazywali je mieszkańcy Madrytu. Był pełen ludzi. Za nim jechała ciężarówka z naczepą przykrytą plandeką. Autobus zatrzymał się przed cmentarnym murem. Wysiedli z niego uzbrojeni milicjanci. Ciężarówka manewrowała tak, żeby ustawić się tyłem do muru.

Z wyższego piętra „anglika” wyszło czternastu księży w czarnych sutannach i białych koloratkach. Wszyscy bardzo młodzi, jakby właśnie wyświęceni, tylko jeden był starszy, miał okulary i siwe włosy.

Wündermann i jego towarzysze widzieli wszystko ze swojej kryjówki za niewielkim żywopłotem, trzydzieści metrów od cmentarza.

— Spokojne i bezpieczne miejsce. Jesteś zajebisty, Armario — syknął Jaszczurka.

Trzej milicjanci poprowadzili grupę księży do muru. Ustawili ich w rzędzie, opartych plecami do ściany i zwróconych do tylnej części ciężarówki, której właśnie zgasł silnik.

W dolince zaległa cisza. Słyszeć było tylko nerwowy kaszel któregoś z kapłanów.

Milicjanci podnieśli plandekę tylnej części ciężarówki. Jose Manuel nie mógł dostrzec ze swojego miejsca, co znajduje się w środku. Ale księża mogli. Nagle zwarli szereg, stykając się ramionami. Milicjanci zmusili ich do rozdzielenia się. Jeden z nich, z czerwoną chustką zawiązaną na szyi, zaczął się śmiać i wskazywać jednego z księży. Od razu zrozumiał, z czego tamten się śmieje: na sutannie kapłana widniała duża ciemna plama. Biedny chłopak zsiakał się ze strachu.

Milicjant, nie przestając się śmiać, przystawił mu pistolet do głowy i wystrzelił. Wapienny mur cmentarza zabarwił się na czerwono na wysokości karku księdza, który upadł na ziemię jak szmaciana lalka.

Najstarszy ksiądz złapał za ręce stojących obok towarzyszy i cały rząd powtórzył ten gest. Następnie zapytał o coś milicjanta, który wzruszył ramionami. Starszy ksiądz zaczął śpiewać, wszyscy poszli za jego przykładem. Śpiewali po łacinie.

Wündermann słyszał w ciszy doliny, jak ich śpiew niesie się czysto w powietrzu. Mimo że nie rozumiał słów, pieśń wydała mu się piękna i pełna odwagi, śpiewana przez mężczyzn, którzy się nie boją. Chociaż nie wierzył w Boga, ścisnął mu się żołądek. Poczul ukłucie zazdrości i po raz pierwszy w życiu pomyślał, że choćby przez chwilę, przez kilka sekund, chciałby wierzyć tak jak ci ludzie.

Nagle spod plandeki odezwał się karabin maszynowy. Księża zaczęli padać na ziemię jeden za drugim, szybko, zmiotani ogniem. Pociski odrywały za ich plecami grube kawały tynku z cmentarnego muru.

Po ostatnim strzale zapadła głucha cisza. Czternastu księży leżało na ziemi, niektórzy nadal trzymali się za ręce. Dało

się słyszeć ciche skargi. Milicjant podszedł do nich i oddał kilka strzałów z automatycznego pistoletu.

Pozostali milicjanci zaczęli wsiadać do autobusu. Ktoś wyrzucił z ciężarówka łuski po nabojach. Dwaj żołnierze umocowali z powrotem plandekę.

Silniki Diesla obu pojazdów zaczęły pracować, przerywając ciszę. Ciężarówka i „anglik” manewrowały, próbując wykręcić, i odjechały tą samą drogą, którą przyjechały.

Wündermann nie potrafił stwierdzić, jak długo trwali bez ruchu. Kiedy wreszcie się podniósł, poczuł się starszy.

— Dobra, mamy robotę. — Diego wstał pierwszy.

Zeszli w milczeniu po zboczu prowadzącym do drzwi cementarza.

Armario wyjął z kieszeni klucze. Lekko drżały mu ręce.

— Szsz! Cicho! — syknął Jaszczurka.

— A co teraz ugryzło tego chol... — Diego nie dokończył, bo Jaszczurka zasłonił mu usta lewą ręką, podnosząc wskazujący palec prawej do ust.

Nagle podbiegł do ciał rozstrzelanych księży. Pochylił się nad jednym z nich.

— Chodźcie! Jeden jeszcze żyje! — krzyknął, machając na nich ręką.

Podbiegli do niego.

Był to bardzo młody ksiądz o czarnych, schludnie ułożonych włosach, utrzymywanych w ryzach dzięki grubej warstwie brylantyny. Jego bystre oczy mrugały zza okrągłych okularów z masy perłowej, kiedy Jaszczurka pomagał mu się podnieść.

— Chwała Bogu, chwała Bogu... — nie przestawał powtarzać ksiądz.

— Cholera, *pater*, ani jednej dziury! Ma ksiądz niezłe kontakty tam na górze!

Patrzyli na niego oniemiałi.

— A nie! Tu ma ksiądz jedną — powiedział Jaszczurka, wkładając palec w dziurę po naboju w sutannie na wysokości krocza. — Cał wyżej i odstrzeliliby ojcu małego.

— Jaszczurka, na litość boską... — zwrócił mu uwagę Armario.

— No przecież mówię z całym szacunkiem — bronił się Jaszczurka.

— No dobrze, ojcze — uciął Armario — bardzo się cieszymy, że uratował ksiądz skórę w takim dniu jak dzisiejszy, ale my tu mamy coś do załatwienia i...

— Nie zostawimy go tutaj — przerwał mu Wundermann.

Diego złapał go mocno pod ramię i odciągnął na bok.

— Nie pieprz, Wundermann. Co mamy niby zrobić z księdzem? Zabierzemy go na obiad do knajpy na Gran Via? Czego ty chcesz? Żeby nas wszystkich rozstrzelali?

— Jeśli go tutaj zostawimy, złapią go znowu i zabiją. Jak chciałeś nas wywieźć z Madrytu?

— Ale co to niby ma teraz do rzeczy?

— Jak chciałeś nas wywieźć? — Wundermann patrzył na niego twardo.

Armario spojrział na niego uważnie, westchnął ciężko i pokręcił głową.

— Jest taki dyplomata, przyjaciel Hotza, który...

— Świetnie. Wyciągnie stąd nas wszystkich. Ksiądz należy do pakietu.

— Oszalałeś? — Armario był zdesperowany. — Tego nie było w planach.

— Nie martw się — odparł Jose Manuel z uśmiechem. —
Zawsze jest plan B, jak mówi Hotz.

Odwrócił się do księdza.

— Ojcie, proszę ze mną.

Ksiądz ruszył w jego stronę. Wyglądało na to, że doszedł już do siebie.

— Wy dwaj weźcie paczkę, zaczekam na was w samochodzie. Diego, klucze.

Armario rzucił mu klucze ze złością. Złapał je w locie.

Przeszli przez lasek do samochodu.

— Z jakiego ojciec jest zakonu? — Jose Manuela przejmowało dziwne uczucie spokoju, kiedy szedł u boku tego mężczyzny.

— Oni byli jezuitami, niech Bóg ich otoczy swoją chwałą; ja byłem u nich w odwiedzinach. — Splótł dłonie.

Dotarli do samochodu. Jose Manuel otworzył bagażnik.

— Myślę, że będzie lepiej, jeśli wejdzie ojciec do środka. Proszę się nie martwić, zawieziemy ojca w bezpieczne miejsce.

— Wiem. Wiem, że Bóg oddał mnie w dobre ręce i jeśli uratował mi dziś życie, potrzebuje mnie do czegoś wielkiego. Mam tylko nadzieję, że Go nie zawiodę. — Uśmiechnął się umie i wszedł do dużego bagażnika citroena. Kiedy go zamykał, Wundermann zapytał:

— Nie powiedział mi ksiądz, jak się nazywa.

— Jestem ojciec Albas — odparł kapłan, uśmiechając się ponownie, zanim jego twarz zniknęła w półmroku bagażnika.

Zmyli mokrą szmatą napis UHP z drzwiczek samochodu. W to miejsce Diego umocował sznurkiem na lusterku od strony pasażera flagę Czerwonego Krzyża.

Przejechali bez żadnych problemów przez punkty kontrolne, które napotkali po drodze do ambasady Norwegii. Wszystko dzięki fladze powiewającej przy prawym okienku i dokumentom, które zaświadczały, że byli członkami Międzynarodowego Komitetu Czerwonego Krzyża. Diego wyciągnął je ze schowka w samochodzie i rozdał im, zanim wyjechali z Paracuellos.

— To te, które przygotowałem w Burgos? — zapytał Jaszczurka z kiepsko skrywaną dumą.

— Tak, tak, ty je zrobiłeś — potwierdził Diego, rozglądając się w poszukiwaniu bramy ambasady.

Młody architekt zaczynał coraz bardziej doceniać profesjonalizm, z jakim działał Hotz. Wszystko dopinał na ostatni guzik. Jego plany B sprawiały, że słowo „niespodzianka” zmieniało się z przeszkody w cel.



— Nie podobało mi się moje berlińskie życie — przyznał się kiedyś Wundermannowi, po kolacji w najlepszej restauracji w Burgos, kiedy delektowali się francuskim koniakiem. — Nie chcę być przeciętnikiem, prowadzić normalnego, szarego życia. Zawsze mam głowę pełną pomysłów — mówił, otwierając szeroko oczy i gestykułując z ożywieniem. — Tam, gdzie ludzie widzą ciężkie czasy, ja widzę możliwości. Dlatego wstąpiłem do partii. Naziści będą rządili światem, drogi Jose Manuelu.

— To następna prognoza twoich gier wojennych?

— Ha! Nie traktujesz mnie serio. — Dopił koniak, który został na dnie pękatego kieliszka. — Kiedy Niemcy uruchomią swoją nową armię, świat oniemieje. Tutaj wypróbujemy tylko maleńką część uzbrojenia, jakie przygotowujemy.

— Nudzi mnie polityka, Hotz, dobrze o tym wiesz. Ale jedno mnie ciekawi: dlaczego w tym siedzisz? Dlaczego sztuka?

— Praca w ambasadzie nie dawała mi za wiele. W partii zacząłem poznawać ciekawych ludzi. Szybko piąłem się w górę. Wstąpiłem do niej w trzydziestym trzecim i w trzy lata z parteimitgliedera zostałem ortsgruppenleiterem. I mam zamiar dochrapać się gauleitera.

— *Heil Hitler!* — Jose Manuel podniósł kieliszek z koniakiem.

— Śmieję się, śmieję. Póki możesz.

— Sztuka...

— Tak, sztuka. Na przyjęciu w Berlinie przedstawiono mi Aloisa Miedla, najważniejszego antykwariusza i handlarza sztuką w Niemczech. Bardzo ciekawa postać. Ale najbardziej podobało mi się w nim to, że był bliskim przyjacielem Göringa.

— Proszę, otaczasz się samą śmietanką, Hotz — powiedział rozbawiony Jose Manuel, mieszając delikatnie koniak w kieliszku.

— Göring to komediant, w dodatku w operetkowym stylu. Ale Führer go uwielbia. — Zaczął przygotowywać sobie cygaro, podgrzewając jeden jego koniec nad płomieniem złotej zapalniczki. — Jak mówiłem, pracowałem przez jakiś czas dla Aloisa Miedla. Zawdzięczam mu wszystko, co wiem o sztuce. Szczerze mówiąc, Miedl otworzył mi oczy na ten interes, pokazał, że na sztuce można zrobić duże pieniądze. — Zapalił cygaro, zaciągnął się głęboko i przyjrzał z zadowoleniem idealnemu kółku żaru. — *Hrabina de Chinchón* to moja pierwsza niezależna robota.

— Na razie idzie ci tak sobie.

— Te niewielkie przeciwności nadają smaku naszemu interesowi — powiedział z uśmiechem. Stuknęli się kieliszkami.

Ze wspomnień wyrwał go krzyk Armaria.

— Tam! Ambasada Norwegii!

Wszyscy pasażerowie samochodu widzieli już norweską flagę z niebieskim krzyżem na białym tle, powiewającą nad wejściem do ambasady. Dzieliły ich od niej tylko dwie przecznice. Jeśli przejadą następne skrzyżowanie, będą uratowani. Wreszcie wszystko się układa.

Armario przyspieszył i odwrócił się do siedzącego z tyłu Wundermanna.

— Jesteśmy w domu, przyjaciele, już czuję zapach pieniędzy!

— Uwaga! — krzyknął Jaszczurka.

Armario odwrócił głowę i wdepnął gwałtownie hamulec, żeby nie zderzyć się z ciężarówką, która właśnie wjechała z prawej strony na skrzyżowanie.

— Co, do cholery... — Armario nie dokończył zdania, z rękami zaciśniętymi na kierownicy, stojąc na środku skrzyżowania.

Wundermann skrzywił się, czując smród spalonych opon. Jego serce przyspieszyło, kiedy zobaczył symbole wymalowane na ciężarówce: PCE* oraz sierp i młot.

— Cholera — Jaszczurka zmełł w ustach przekleństwo.

Z ciężarówki zaczęli wysiadać uzbrojeni mężczyźni. Niektórzy nosili berety, inni żołnierskie czapki, wszyscy

* Partido Comunista Espanol — Hiszpańska Partia Komunistyczna.

mieli na szyi czerwone chustki, wszyscy patrzyli złowrogo na samochód.

Od strony pasażera wysiadł olbrzymich rozmiarów osobnik, wyglądający na szefa tej bandy. Nosił wyświechtany niebieski kombinezon, na który narzucił coś, co wyglądało jak smoking. Na piersi miał zawieszzone dwie ładownice. Na szyi, podobnie jak pozostali, zawiązał czerwoną chustkę, a na głowie miał błyszczący kapelusz z czarnych karakułów, zabrany jakiemuś paniczowi, który najpewniej już nigdy nie będzie go potrzebował. W grubych wargach trzymał niedopałek cygara. Był doskonałym ucieleśnieniem postaci odrażającej i złowrogiej. I takie właśnie wrażenie chciał sprawić.

— Dokąd ci tak pilno, co? — zapytał kierowcę.

Grupa zbrojnych już otoczyła samochód.

— Przykro mi, towarzyszu, nie zauważyliśmy... — wybąkał Jaszczurka.

— Nie jesteśmy towarzyszami — powiedział Wundermann po niemiecku, pochylając się nad jego siedzeniem. — Jesteśmy członkami Czerwonego Krzyża.

— Co mówi ten blondas? — Olbrzym z każdą chwilą robił się coraz bardziej agresywny.

— Jesteśmy członkami Międzynarodowego Komitetu Czerwonego Krzyża, jedziemy do ambasady norweskiej — odparł Armario. — Ten pan z tyłu to monsieur Michel Bobain, szwajcarski pełnomocnik.

Wśród milicjantów rozległ się pomruk.

— Cisza! — krzyknął szef, próbując zaprowadzić dyscyplinę w swojej bandzie. — Dokumenty.

Jaszczurka podał mu trzy sfalszowane akredytacje.

Mężczyzna nawet ich nie otworzył. Nie umiał czytać. Przyjrzał się tylko czerwonym krzyżom na okładkach.

— A więc Czerwony Krzyż — powiedział z uśmiechem, który wcale nie podziałał na nich uspokajająco. — Jesteście z tych, co kręcą się po Paracuellos i Torrejon i zawracają nam dupę o Piątą Kolumnę. Miałem cholerną ochotę poznać któregoś z tych paniczyków z Czerwonego Krzyża.

— Towarzyszu komendancie, mają tubę na mapy w samochodzie! — krzyknął jeden z jego ludzi, który węszył na tylnych siedzeniach.

Szef milicjantów wyjął broń z futerału przy pasku, okazały pistolet automatyczny z ogromnym mechanizmem ładowniczym.

— Wysiadać — rozkazał.

— Mamy mapy z kwatery głównej wojska, żeby móc poruszać się po Madrycie. Musimy... — Jaszczurka nie miał szans na dokończenie wyjaśnień.

— Wysiadać mi natychmiast z samochodu! — wrzasnął komendant, mierząc do Diega z pistoletu. — Z rękami nad głową!

Wszyscy milicjanci powtórzyli gest swojego szefa i zaczęli w nich celować. Gdy tylko wysiedli z pojazdu, zabrali się do rewizji. Jeden z nich próbował otworzyć bagażnik.

— Towarzyszu komendancie, bagażnik jest zamknięty.

Szef wyjął kluczyki ze stacyjki i rzucił je mężczyźnie.

Żołnierz włożył kluczyk do zamka.

Wüdermann wiedział, że nadszedł ich koniec. Armario pocił się obficie, a Jaszczurka oparł się o jeden z pękatych błotników citroena, czując słabość w nogach.

— Stać! Co tu się dzieje?

Wszyscy odwrócili się w stronę, z której dobiegł okrzyk. Trzej mężczyźni w nienaganych ciemnych garniturach szli szybko w stronę samochodów. Jeden z nich niósł aparat fotograficzny z dużym fleszem. Mężczyzna, który krzyknął, najwyższy z nich trzech, utorował sobie przejście między milicjantami i stanął przed komendantem.

— Jakim prawem zatrzymuje pan tych ludzi? — zapytał z silnym akcentem.

Fotograf zaczął robić zdjęcia. Flesz oślepił milicjantów otaczających ich szefa.

— Kim pan jest? — Komendant próbował odzyskać kontrolę nad sytuacją, ale czuł się niepewnie i nie spuszczał wzroku z fotografa.

— Felix Schlayer, honorowy konsul Norwegii w Madrycie i członek Międzynarodowego Komitetu Czerwonego Krzyża. Czyżby ci ludzie nie przedstawili odpowiednich dokumentów? — spytał, patrząc na akredytacje, które komendant nadal trzymał w lewej ręce.

— Prawie wjechali nam w samochód. — Milicjant tracił pewność siebie.

Fotograf oślepił go fleszem.

— I co chciał pan zrobić w związku z tym? Rozstrzelać ich? Milicjanci poruszyli się niespokojnie. Niektórzy uśmiechali się do aparatu.

— Muszę przeszukać samochód — powiedział komendant, zbierając resztki odwagi. — Ty tam, otwieraj bagażnik.

Milicjant znów włożył kluczyk do zamka i zaczął go przekręcać.

— Zabraniam panu go otwierać! — krzyknął dyplomata, wyciągając w stronę milicjanta palec wskazujący.

Mężczyzna patrzył na niego szeroko otwartymi oczami. Schlayer odwrócił się do komendanta.

— Jeśli otworzy pan ten bagażnik — machał teraz palcem wskazującym przed jego nosem — zmarnuje pan pięć tysięcy szczepionek przeciw tyfusowi, które powinny już leżeć w chłodni w ambasadzie. Pięć tysięcy szczepionek, które mam przekazać jutro do Ministerstwa Zdrowia Publicznego jako dar norweskiego rządu dla mieszkańców Madrytu. — Twarz Schlayera ściągnął wyraz oburzenia. — Chce pan, żebym zadzwonił do Santiaga Carilla i poinformował go o pana zachowaniu, towarzyszu komendancie? — Kolejny flesz unieśmiertelił scenę. — A propos, nie pamiętam pańskiego nazwiska, towarzyszu

Flesz ponownie oślepił dowódcę milicjantów. Wyglądał na oszołomionego. Sama myśl o stawieniu czoła Carillovi, młodemu i nieugiętemu sekretarzowi bezpieczeństwa Madryckiego Komitetu Obrony, sprawiła, że stracił resztki odwagi.

— Dobra. — Zmarszczył brwi i zwrócił się do żołnierza stojącego bez ruchu za samochodem. — Zamknij ten bagażnik, kretynie, jeszcze zmarnujesz szczepionki!

Trzej pasażerowie pojazdu wymienili ukradkowe spojrzenia. Czuli się tak, jakby budzili się z koszmarnego snu.

— Jazda, koniec zabawy, chłopcy. Wszyscy na ciężarówkę. — Komendant chciał jak najszybciej opuścić scenę. — A pan niech na przyszłość prowadzi ostrożniej — powiedział do Diega, oddając mu akredytacje.

Odwrócił się do dyplomaty.

— Zaszło nieporozumienie. Sam pan wie... — Próbował ułożyć usta w coś na kształt uśmiechu. Zasalutował, podnosząc pięść do kapelusza. — Żegnam! — rzucił na koniec.

— Udowodnił pan, że jest pan rozsądny. Złożę raport dotyczący pana postępowania, komendancie...

— Isaias Tragacete, komendant Isaias Tragacete, z drugiej brygady. Niech pan nie zapomni.

— Nie zapomnę, proszę się nie obawiać — odparł z uśmiechem konsul.

Jaszczurka skorzystał z okazji, żeby zabrać stojącemu obok niego milicjantowi tubę na mapy. Żołnierz skrzywił się, ale wycofał pod groźnym spojrzeniem dowódcy.

Ciężarówka zaryczała i zniknęła, zostawiając za sobą chmurę czarnego dymu i smród źle spalonego oleju napędowego.

— A propos, co macie w bagażniku? — zapytał konsul, odprowadzając wzrokiem oddalający się pojazd.

— Jednego księdza w czepku urodzonego — odparł Armario.



Gabinet konsula był niezwykle obszerny. Miał wspaniałą bibliotekę z bukowego drewna z masywnymi rzeźbionymi kolumnami oddzielającymi od siebie poszczególne części szlachetnego mebla. Biblioteka zajmowała trzy ściany pomieszczenia. Jej półki były zapchane książkami leżącymi we wszystkich możliwych konfiguracjach, pomieszanyymi z teczkami, które musiały zawierać najróżniejsze dokumenty. Wśród nich stały również, zachowując chwiejną równowagę, ramki ze zdjęciami twarzy, krajobrazów i nieznanymi miejsc.

Zza dużego biurka w stylu angielskim, z wygodnego obrotowego fotela Felix Schlayer prowadził zwołane naprędce zebranie.

Na skórzanej sofie, która trzeszczała przy najmniejszym ruchu, siedzieli Wundermann z dwoma przyjaciółmi, rozkoszując się mocną kolumbijską kawą. „Mamy amerykańskie mleko w proszku. Tak naprawdę to mleko dla niemowląt, ale do wszystkiego można się przyzwyczaić”, poinformował ich konsul uprzejmie.

Pomieszczenie było jasne i dobrze przewietrzone dzięki ogromnemu oknu balkonowemu wychodzącemu na piękny pałacowy ogród. Gęste drzewa starego lasu, tak starego jak sam dom, rzucały cienie na gabinet konsula, utrzymując w nim przyjemny chłód.

— Mieliście szczęście, że akurat byłem w ogrodzie i usłyszałem wasze hamowanie — powiedział dyplomata. — Spóźniliście się, już się was nie spodziewałem.

— Mieliśmy drobne problemy w Paracuellos — wyjaśnił Diego.

— Według moich obliczeń ponad trzy tysiące osób miało ostatnio „drobne problemy” w Paracuellos. Ginie tam więcej ludzi niż na froncie w kampusie uniwersyteckim. — Twarz Feliksa Schlayera zachmurzyła się.

Wundermann próbował przypomnieć sobie jego biografie, którą streścił mu Hotz. Felix Schalyer Gratwhol, inżynier, narodowości niemieckiej, w momencie wybuchu wojny honorowy konsul Norwegii w Madrycie. Hotz opisał go jako „zdecydowanego antymarksistę”, który stał się prawdziwym aniołem stróżem ludzi „nie mających wpływu na reżim”, przebywających w Madrycie. Ambasada była pełna ludzi. Setki przygarniętych przez Schlayera uciekinierów zajmowały cały budynek i koczowały w ogrodzie w zaimprovizowanych szałasach.

Dyplomata rozwijał w stolicy intensywną działalność. Wraz z doktorem Georgesem Henrym, delegatem Międzynarodowego Komitetu Czerwonego Krzyża w Madrycie, odwiedzał więzienia, wypytywał władze, wyjaśniał lub groził, stosownie do okoliczności, próbując zatrzymać krwawą rzeź, która zaczęła się siódmego listopada. Dokładnie dzień po tym, jak awangarda generała Vareli zaczęła zajmować pozycje na drugim brzegu rzeki, w kampusie uniwersyteckim.

W Madrycie wybuchła panika, upadek miasta wydawał się nieunikniony, a przez nikogo niekontrolowane lewackie elementy, głównie komuniści i anarchiści, zaczęły wymierzać „rewolucyjną sprawiedliwość”. Od siódmego do ósmego listopada ponad trzy tysiące osób wyciągnięto z więzień i rozstrzelano w Paracuellos del Jarama i Torrejón de Ardoz. Kaci oskarżali ich o wchodzenie w skład Piątej Kolumny, wroga, który miał jakoby przejąć Madryt od środka.

Schlayer i Hotz znali się od dziecka. Chodzili razem do szkoły w Waden-Württemberg, ich rodzinnym mieście. „Hotz jako jedyny w klasie miał stypendium — powiedział Schlayer, kiedy spacerowali z Wundermannem po zatłoczonym ogrodzie ambasady, omijając uciekinierów. — Był jedynym chłopcem z takimi ambicjami. Zawsze chciał być lepszy niż inni. Podziwiam go za jego ducha, zajdzie daleko. Mam tylko nadzieję, że będzie potrafił poskromić ambicję. Bardzo nam teraz pomaga” — oświadczył z uśmiechem, omijając grupkę goniących się dzieci.

Hotz wpłacał znaczne sumy na konto ambasady. Te pieniądze pozwalały utrzymać ludzi żyjących na wyspie bezpieczeństwa we wrogim Madrycie.

— Dzisiaj wyjedziecie panowie do Valladolid, z sek-

retarzem doktora Henry'ego. Wszystko gotowe. Przekażcie, proszę, Hotzowi gorące pozdrowienia i moje głębokie wyrazy wdzięczności za wszystko, co dla nas zrobił. — Podniósł się z fotela. — Teraz, jeśli panowie pozwolą, muszę wrócić do rozmów z władzami.

Wstali i pożegnali się z dyplomatą serdecznym uściskiem dłoni. Ten mężczyzna uratował im życie.



Wündermann i Jaszczurka opuścili konsulát o świcie służbowym samochodem.

— Ja zostaję — powiedział im Armario w nocy. — Mnie nic nie grozi, mam pracę na godziny w muzeum. Jeżeli zniknę, zaczną coś podejrzewać, jeszcze mi okradną sklep na Santa Ana. Poza tym zawsze byłem socjalistą, co u diabła, w końcu podawałem kawę Pablowi Iglesiasowi. Mnie nie tkną, możecie się nie martwić. — Zamyślił się na chwilę. — Ale jak faszyci wejdą do Madrytu, macie natychmiast zacząć mnie szukać po wszystkich więzieniach. Nie spieprzcie tego, bo kolesie Franco nie przyjadą tu raczej rozdawać cukierków.

Pożegnali się mocnym uściskiem. Będą tęsknić za Diegiem. Wündermann przypomniał sobie również o księdzu, któremu przed kilkoma godzinami uratowali życie.

Zanim wsiadł do samochodu, obszedł w jego poszukiwaniu całą ambasadę. Znalazł go w sali balowej, gdzie przygotowywał zaimprovizowany ołtarz.

— Wstaje ojciec bardzo wcześnie.

Zimne światło poranka rozjaśniało obszerne pomieszczenie.

— Tak, synu, jest tyle do zrobienia, a mamy tak mało czasu...

Wündermann się uśmiechnął. Polubił go, mimo wszystko. Był to pewnie pierwszy ksiądz, którego kiedykolwiek polubił.

— Już wyjeżdżacie, prawda? — zapytał ksiądz z uśmiechem, krzątając się z kielichem w ręce.

— Tak, ojcze, za chwilę.

— Mam dla ciebie prezent. — Przeszukał kieszenie znów nienagannie czystej sutanny i wyjął z nich drewniany różaniec z ciężkim żelaznym krzyżem. — Proszę, jest twój. Zobaczysz, dobrze ci się przysłuży. Jest z żelaza, mocny, jak powinniśmy być my, chrześcijanie, wobec przeciwności. — Znów gestykulował zaciśniętymi w pięści dłońmi.

— Ale ja, ojcze...

— Cicho, cicho. Zawsze przy sercu, pamiętaj.

Jose Manuel, żeby nie sprawić mu przykrości, włożył różaniec do lewej kieszeni koszuli. W uśpionym domu dały się słyszeć kroki. Ktoś szedł korytarzem w stronę sali balowej. Jaszczurka.

— No chodź, Wündermann, samochód nie będzie czekał.

Jose Manuel i ksiądz spojrzeli po sobie. Kapłan położył rękę na sercu, uśmiechnął się i puścił do niego oko.

— *Pater*, mogę ojca uścisnąć? — zapytał Jaszczurka.

— Oczywiście, mój synu. — Ksiądz otworzył ramiona.

Objęli się serdecznie.

— Wielkie dzięki, *pater* — powiedział Jaszczurka, odsuwając się od kapłana. — Po tym, co się stało w Paracuellos, jestem pewien, że ksiądz musi przynosić fantastyczne szczęście. Więc pomyślałem, że księdza uścisnę, może coś się do mnie przyczepi.

— Synu, jesteś nieznośny. Dalej, idź z Bogiem — rzekł ksiądz, z trudem powstrzymując śmiech.

— Gdyby nie to, *pater*, że mam po uszy roboty i trochę się spieszymy, zostałbym robić za ministranta do mszy. Byłem ministrantem w moim miasteczku.

Przerwał im szofer.

— Panowie, nie możemy dłużej czekać.

Wyjechali z Madrytu drogą na Burgos. Samochód był ozdobiony dwoma białymi flagami z czerwonym krzyżem.

— Naprawdę byłeś ministrantem, Jaszczurko? — zapytał rozbawiony architekt.

— Jasne. A co myślałeś, że tylko ty w kompanii masz wykształcenie? — odparł nieco urażony.

— I dlaczego to rzuciłeś? — Jaszczurka nie przestawał go zadziwiać.

— Bo ksiądz mnie nakrył na waleniu konia. Żebyś wiedział, zawsze miałem powołanie do ręcznej roboty — odpowiedział, uznając przesłuchanie za zakończone.

W Altos del Hipódromo zatrzymali ich w punkcie kontrolnym.

— Od tego miejsca szosa jest pod kontrolą faszystów, nie możemy już zagwarantować wam bezpieczeństwa — uprzedził ich oficer o podkrążonych oczach i twarzy naznaczonej napięciem.

Samochód ruszył, wprawiając w łopotanie flagi Czerwonego Krzyża, a Wundermann obejrzał się na majaczący w oddali zarys Madrytu. Nie mógł wtedy wiedzieć, że będzie potrzebował trzech lat, żeby wrócić do miasta, które tak kochał i które jeszcze wiele miało wycierpieć.

6

Madryt, 25 czerwca 1941

Jego sekretarka, Eva Marino, weszła do gabinetu, zastukawszy wcześniej dwa razy do drzwi.

— Don Jose Manuel, don Rafael chce, żeby przyszedł pan do jego gabinetu.

Wündermann podniósł wzrok znad planu nowej linii kolejowej, który przedstawili mu jego inżynierowie z samego

— Dziękuję, Evo — odpowiedział z lekkim uśmiechem.
— Za chwilę do niego pójdę.

Zaznaczył ołówkiem parę wysokości topograficznych, które warto było sprawdzić, i ostrożnie zwinął mapę. Zanim udał się do gabinetu swojego wspólnika i prezesa spółki Rafaela Gonzaleza Iglesiasa, nabił sobie fajkę. Niedawno skończył dwadzieścia osiem lat i uważał, że fajka dodaje mu powagi. Dokładnie takie wrażenie chciał wyrzucić na ludziach, którzy dla niego pracowali, człowieka dojrzałego i pewnego siebie.

Mimo wszystko dwudziestoosmioletni dyrektor generalny stojący na czele jednej z najbardziej dynamicznych firm budowlanych w kraju nie był częstym zjawiskiem. Rzadko też się zdarzało, żeby młody człowiek miał w jego wieku na koncie prawie dwa miliony peset, „spadek po argentyńskim krewnym”, jak wyjaśniał niemal przepraszająco. Dwa miliony peset, wynagrodzenie, jakie ustalił z Hotzem za *Hrabinę de Chinchón*. Kwota, jaką Niemiec uścił co do centa i wpłacił, gdy tylko doprowadził do sprzedaży dzieła. „Musisz mi wybaczyć — powiedział mu Hotz. — Sfinalizowanie operacji zajęło nam więcej czasu, niż przewidywaliśmy. Mieliśmy problemy przy pierwszym podejściu w Londynie, ale w końcu wszystko poszło zgodnie

Mimo sfinalizowania operacji w późniejszym terminie Hotz nigdy nie zostawił swoich hiszpańskich wspólników na pastwę losu. Przez te wszystkie lata, pomimo trudności, jakie dla operacji finansowych oznaczała wojna, Hotz wysyłał im spore sumki pozwalające na wygodne życie. Jose Manuel otrzymał pozostałą część swego wynagrodzenia przelewem na konto w Banco de Vizcaya, 24 września 1939 roku. Tego dnia został milionerem. I było mu z tym do twarzy, jak mu to przepowiedział Hotz.

Jednak to wszystko należało już do przeszłości i Wundermann traktował całą sprawę jak wspomnienie innego życia, dawnej egzystencji zamkniętej w ciężkim sejfie, w najodleglejszym zakątku pamięci. Wymazał przeszłość, zakopał ją pod górą pieniędzy i został wspólnikiem w jednej z największych firm budowlanych w kraju. Wszystko dzięki szczerzej przyjaźni łączącej go z Rafaelem Gonzalezem

Iglesiasem, którego uważał za wizjonera, oraz, nie ma co ukrywać, dzięki jego „argentyńskiemu spadkowi”.

Poznał Rafaela w Valladolid, w ostatnich latach wojny. Gonzalez, inżynier budownictwa przemysłowego, był synem ważnego budowlanca z Madrytu. Początek walk zaskoczył go w czasie budowy w La Coruñii.

Jego firma, Vias Sociedad Anonima, z siedzibą w Madrycie, została zajęta przez rząd republikański i zlikwidowana.

W ten sposób młody Rafael, nie mając nic do stracenia, „poza oddechem i tym, co akurat miał tego dnia na sobie”, zaciągnął się do rebelianckiej armii. Dzięki uniwersyteckiemu dyplomowi zaczął służbę w stopniu chorążego, wyróżnił się w czasie przełamania frontu pod Oviedo, gdzie zdobył gwiazdkę porucznika. „Po prostu biegłem, a musiałem biec szybko, bo strasznie się bałem. Tyle że nie wiedziałem, dokąd biegnę. Okazało się, że pędziłem prosto na czerwonych i za mną pobiegła cała kompania. Tego dnia weszliśmy do Oviedo”, opowiedział mu kiedyś prawie żartem. Prawie.



Niemniej jego obiecująca kariera wojskowa została szybko przerwana. Franco musiał odbudować na tyłach to, co z takim samym zapałem starał się zniszczyć przed pierwszą linią frontu.

Tytuł inżyniera i doświadczenie jako administratora sprawiły, że Iglesias został jednym z głównych architektów odbudowy tak zwanej strefy narodowej na północy.

Dołożył starań, żeby odbudować ojcowską firmę, której siedzibę założył tym razem w Valladolid.

Wszystko to miało miejsce w trzydziestym ósmym i wtedy też się poznali. Jose Manuel zaczął pracować dla Vias przy małych projektach, ale Rafael, który nadzorował każdą budowę, niezależnie od jej rozmiarów, potrafił dostrzec w młodym architekcie załączki wyjątkowo zdolnego profesjonalisty. Zatrudnił go i wkrótce Jose Manuel stał się jego prawą ręką.

Wielka okazja nadarzyła się dwa tygodnie po zakończeniu wojny, 25 lutego 1939 roku. Wundermann zauważył, że w firmie dzieje się coś ważnego. Prezes spółki i jego doradca, generał Joaquin Ayuso, wciąż zwoływali zebrania za zamkniętymi drzwiami. Po dwóch tygodniach intensywnych spotkań poza firmą i na jej terenie na twarzach obu wspólników nieustannie malował się pesymizm.

Jose Manuel zebrał się na odwagę i wszedł pod koniec dnia do gabinetu prezesa spółki.

— Rafael — mówili do siebie po imieniu — na pewno nie mogę ci w niczym pomóc?

— Cóż, jeżeli masz milion peset...

— Milion peset? — Cały czas miał w kieszeni marynarki kwit z Banco de Vizcaya potwierdzający przelew z niemieckiego konta Hotza w Berlinie z poprzedniego dnia.

Gonzalez wyjaśnił mu, o co chodzi. Ministerstwo Robót Publicznych, w ramach narodowego planu odbudowy, ogłosiło przetarg na budowę nowego odcinka kolei Zamora—La Coruña.

— Prawie trzysta milionów peset, Jose Manuel, trzysta milionów peset i praca na pięć lat! To okazja, o jakiej zawsze marzyliśmy.

— I gdzie tu problem? Mamy odpowiednie doświadczenie do tej roboty, a Ayuso na pewno ma znajomości...

— Problem nazywa się milion peset. Jeśli spółka nie ma własnego kapitału w wysokości trzech milionów peset, nie może przystąpić do przetargu. Ayuso i ja daliśmy po milionie, nawet nie pytaj, jak je zdobyliśmy, ale nadal brakuje nam jeszcze miliona. Nikt go nam nie da. Nie byliśmy w stanie znaleźć trzeciego wspólnika. A ostateczny termin złożenia dokumentów i oferty upływa w najbliższy piątek. — Rafael wyglądał, jakby miał się rozpaść na kawałki.

Architekt przyglądał mu się przez chwilę w milczeniu. Jego mózg pracował na pełnych obrotach. Przejrzał kieszenie i położył na biurku prezesa pognieciony papier. Rafael zobaczył pieczętkę Banco de Vizcaya.

— Właśnie znalazłeś trzeciego wspólnika.



Wündermann wszedł zdecydowanym krokiem do gabinetu.

— Chciałeś mnie widzieć, szefie?

Rafael odłożył „ABC”. Nagłówki na pierwszej stronie ogłaszały wielkimi literami inwazję Związku Radzieckiego, która rozpoczęła się o świcie poprzedniego dnia.

— Hitlerowi zacznie się robić ciasno na świecie — powiedział, zerkając przelotnie na gazetę.

— Już to słyszałem — powiedział Jose Manuel, nie patrząc na gazetę. — Wezwałeś mnie, żeby rozmawiać o polityce? Wiesz, że mnie to nudzi.

— Nie, nie... Skądże znowu... Wiem, że jesteś apolityczny i że w twoim przypadku nie ma szans na pogaduszki o polityce i religii. — Patrzył na niego inteligentnymi i żywymi oczami zza okrągłych okularów, z półśmieszkiem

oprawionym w cienki wąsik. — Wezwałem cię, drogi wspólniku i dyrektorze generalny, bo chcę ci coś pokazać. Otworzył teczkę i wręczył mu list.

— Dostałem go dwa dni temu.

List miał stempel Niemieckiej Federacji Futbolu. Był napisany po niemiecku. Wyraz braku manier i pychy.

— Zapraszają cię na mecz do Berlina. Hiszpania—Niemcy. Dwudziestego siódmego czerwca. Normalne, w końcu od czego jesteś wiceprezesem Hiszpańskiej Federacji Futbolu, nie?

Normalne w ramach wymogów tak zwanej normalności, jaką Niemcy miały do zaproponowania świata. Jakby wojna była tylko chwilową przeszkodą, skutkiem uporu demokracji i przestarzałych europejskich monarchii, zanim świat dotrze do szczęśliwej arkadii narodowego socjalizmu.

Niemcy musieli mieć już dość grania z Włochami, którzy zresztą za dobrze kopali. Japonia była bardzo daleko, a poddani imperium wschodzącego słońca wykazywali niewielkie zainteresowanie piłką nożną. Z drugiej strony rząd hiszpański był gotów uczestniczyć w tej błazenadzie. Franco chętnie posłałby do Berlina całą korridę razem z *picadores*, gdyby tylko Hitler go o to poprosił. Był zdolny do wszystkiego, żeby uniknąć wejścia w zbrojny konflikt ze swoim obecnym sprzymierzeńcem.

— Korespondencja z Niemcami nie kończy się wcale w tym miejscu — kontynuował szef spółki, wrywając Wundermanna z jego rozmyślań i wyjmując z teczki następny dokument. — Ten drugi list przyszedł do mnie dziś rano. I nie musiałem oddawać go do tłumaczenia.

Jose Manuel przyjrzał się pieczęci. Orzeł i swastyka niemieckiego Ministerstwa Przemysłu. Tym razem jednak list był napisany nienaganną hiszpańszczyzną.

Dowiedziawszy się o pańskiej podróży do Berlina, mającej na celu udział w meczu piłki nożnej, jaki rozgrywają reprezentacje naszych krajów, proszę, żeby rozciągnął pan zaproszenie na swoich współników, panów Wundermanna i Ayuso. Dotyczy to zwłaszcza pana Wundermanna. Nasze ministerstwo pragnie złożyć panom interesującą ofertę o decydującym znaczeniu dla pańskiej firmy i interesów Niemiec.

Jose Manuel przeczytał zgodne z protokołem pożegnanie i podskoczył na widok podpisu: „Albert Hotz. Doradca Ministerstwa Przemysłu. Gauleiter Wielkiego Berlina”.

— Zna pana Hotza? — Rafael obserwował go uważnie podczas czytania listu.

— Poznaliśmy się w Madrycie w czasie wojny. Nic specjalnego — odparł dość sucho, co nie uszło uwagi Gonzaleza.

— No pewnie. — Ponownie otworzył teczkę. Jose Manuel zaczął w niej widzieć coś w rodzaju puszkii Pandory. — Ostatni dokument. — Dał mu kartkę. — Na ten pewnie czekałeś.

Wziął papier do ręki. Był to raport o składzie i analizie minerałów, o który poprosił Szkołę Inżynierii de Montes w Madrycie.

Minęło kilka tygodni, od kiedy wysłał do ich laboratorium próbki terenu, który kupili właśnie niedaleko Ciudad Rodrigo

w Salamance. Przypuszczał, że ziemie są bogate w żużel, tak potrzebny do ułożenia szyn kolei, którą projektowali. Jednak analiza laboratorium mineralogicznego miała mu sprawić niespodziankę.

— Uran? — powiedział, podnosząc głowę znad dokumentu, przeczytawszy najpierw dwa razy wyniki badań.

— Uran — potwierdził Rafael. — Kupiliśmy kopalnię uranu. Co ty na to?

— Myślałem, że znajdziemy tylko żużel — odpowiedział niemal zmartwiony.

— Niech będzie błogosławiona twoja pomyłka, wspólniku. — Zebrał wszystkie dokumenty i ułożył je obok siebie na stole. — A teraz odpowiedz mi na jedno pytanie. — Patrzył mu badawczo w oczy. — Uważasz, że to zbieg okoliczności?

Wündermann patrzył na Gonzaleza w milczeniu, myśląc o Hotzu, który znów wkraczał w jego życie. Dałby sobie rękę uciąć, że przypadek nie wchodzi w grę, jeśli na scenie pojawia się jego dawny wspólnik.

*Lotnisko Cuatro Vientos, Madryt, 26
czerwca 1941*

Ustawili się do fotografii przy skrzydle sterowym samolotu Ju-52 należącego do Deutsche Luft Hansa. Ósma rano: było zimno mimo zbliżającego się końca czerwca. Jose Manuel spojrzął bezwiednie na swastykę namalowaną na obudowie maszyny.

— Panowie, proszę o uśmiech.

Słowa fotografa sprawiły, że znów spojrzął przed siebie. Stali tam razem, opatuleni w długie płaszcze. „W Berlinie jest jeszcze zimno w czerwcu; poza tym płaszcz zawsze robi dobre wrażenie”, powiedział im Rafael.

Wszyscy trzej mieli na głowach berety: Ayuso generała lotnictwa, Gonzalez i Wundermann Falangi.

Był tam teraz, siał wymuszony uśmiech do obiektywu. W przeciwieństwie do swoich współników, pozujących z entuzjazmem, niemal rzucających wyzwanie. On jednak czuł co innego tamtego ranka na Cuatro Vientos, mając za

plecami swastykę, a przed sobą lot do Berlina, gdzie miał się spotkać z kimś, kto przypomni mu przeszłość, której wcale nie miał ochoty pamiętać.

— Dobrze, panowie, bardzo dziękuję. — Fotograf zaczął składać sprzęt.

— No, Jose Manuelu, rozchmurz się, człowieku. Będziemy lecieli jedną z najlepszych maszyn świata, ju-52. Mówią, że może latać tylko na dwóch motorach, prawda, Quino?

Lot do Berlina trwał osiem godzin, z tankowaniem w Paryżu.

— Piękne miasto — przyznał generał, kiedy lecieli nad francuską stolicą. — Powinniśmy kiedyś uczcić coś w Paryżu.

— Może w drodze powrotnej. Mam dobre przeczucia — odpowiedział Rafael, ściskając lekko lewe ramię siedzącego obok trzeciego współnika.

Wylądowali na lotnisku Tempelhof. Samolot kołował na płycie do wydzielonej strefy. Czekają tam na nich dwa mercedesy z chorągiewkami SS. Kiedy zeszli po schodkach, podszedł do nich wielkimi krokami porucznik w czarnym mundurze i błyszczących oficerkach.

Zanim się zbliżył, patrzył na coś, co wyglądało na małą kartkę. Wundermann uznał, że to zdjęcie.

Staął przed nimi, zasalutował na rzymską modłę i zwrócił się po niemiecku do Jose Manuela.

— Witam w Niemczech, panowie. Gauleiter Wielkiego Berlina polecił mi zawieźć panów na spotkanie z nim.

Jose Manuel spojrzął nad ramieniem oficera. Dwóch uzbrojonych w pistolety maszynowe esesmanów w stalowych kaskach czekało przy samochodach. Kierowcy siedzieli w środku, silniki pracowały.

— Hotz chce się z nami spotkać. Teraz — przetłumaczył swoim współpracownikom.

— Ale... czy wcześniej nie mieliśmy jechać do Niemieckiej Federacji Futbolu, przywitać się z kolegami? — zapytał Rafael.

Porucznik spojrzął na zegarek.

— Nie mamy zbyt wiele czasu. Gauleiter Hotz jest bardzo zajęty człowiekiem. — Jego spojrzenie zaczęło twardnieć.

— Myślę, że do Federacji pojedziemy później — powiedział Wundermann.

Mercedes z eskortą jechał za nimi. Poruszali się szybko po Berlinie pełnym samochodów i ludzi. Skąpany w świetle popołudniowego słońca wydał się Wundermannowi wspaniałym miastem. Przyglądał się berlińczykom, wesołym i ufny, pewnym siebie. Zaskoczyło go, jak dobrze byli ubrani. Zdziwiły go też wystawy, pełne rozmaitych artykułów. Zupełnie inaczej niż w Madrycie, mieście zniszczonym i spustoszone przez wojnę, z kobietami w żałobie, z kalekami i kartkami na żywność. Nie mógł powstrzymać ukłucia zazdrości na widok tego obrazu dobrobytu, którym pysnił się Berlin bezwstydnie, niemal obraźliwie.

— Niemcy wygrają tę wojnę — uznał Gonzalez, przerywając milczenie, które zapadło, odkąd wjechali do miasta i zaczęli oglądać wspaniałą berlińską scenografię.

Wszyscy byli pod wrażeniem.

— Wiozą nas do dyrekcji okręgu Dahlem — zauważył Ayuso.

Jako dobry inżynier lubił trzymać rękę na pulsie. Cały czas śledził drogę na mapie Berlina, w którą zaopatrzył się przed podróżą.

Samochody zatrzymały się przed wysokimi żelaznymi sztachetami bramy wjazdowej do Instytutu Fizyki Cesarza Wilhelma.

Jose Manuel zauważył, że cała okolica znajduje się pod ścisłą obserwacją wojskowej policji. Z metalowymi tabliczkami zawieszonymi pod szyją żołnierze przywodzili na myśl złowrogie skojarzenia z psami myśliwskimi.

Po przejrzeniu dokumentów, które podali im kierowcy, i po sprawdzeniu wnętrza pojazdów strażnicy otwarli bramę i pozwolili im przejechać.

Mercedesy przebyły pięćset metrów dzielących ich od głównego budynku i zatrzymały się przed prowadzącymi do niego schodami.

Porucznik, który odebrał ich z lotniska, wysiadł z samochodu i otworzył im drzwi, które były zablokowane przez całą drogę, jak się o tym przekonał Jose Manuel, próbując je dyskretnie otworzyć, kiedy zatrzymali się na światłach.

— Proszę za mną.

Weszli do budynku w towarzystwie oficera i dwóch uzbrojonych żołnierzy. Po ponownej identyfikacji wsiedli do windy, którą zjechali na czwarty poziom.

Na miejscu generał Ayuso musiał oddać broń do depozytu. Podano im białe fartuchy, plastikowe czepki i ochraniacze na buty.

Porucznik i jego eskorta odwrócili się bez słowa i wrócili do windy.

Ubrany w biały fartuch urzędnik poprosił, żeby poszli za nim. Tym razem eskortujący ich mężczyźni mieli na sobie białe kombinezony z kapturami.

Weszli do dużej sali konferencyjnej.

— Tu mogą panowie zdjąć czepki, ta strefa jest wysterylizowana — powiedział mężczyzna w fartuchu.

Sala o ścianach z surowego betonu była ogromna. Oświetlenie było doskonałe, a powietrze czyste, mimo że znajdowali się głęboko pod ziemią. Na środku pomieszczenia stał duży okrągły stół, wyposażony w słuchawki i mikrofony, otoczony czternastoma skórzanymi fotelami. W jego centrum leżał przedmiot przypominający okazałych rozmiarów skrzynkę, ukryty pod aksamitnym materiałem w granatowym kolorze. Na jednej ze ścian wisiała duża mapa. Jose Manuel rozpoznał ją natychmiast. Była to mapa terenów, które ostatnio kupili w Salamance.

— Czy to nie...? — zapytał Rafael szeptem, patrząc na wiszący przed nimi plan.

— Tak.

Drzwi sali otworzyły się znowu i pojawili się w nich trzej mężczyźni w białych fartuchach, jeden wysokiej rangi oficer Wehrmachtu oraz Albert Hotz.

Hotz podszedł do Wundermanna z uśmiechem i objął go, zanim ten zdążył zareagować.

— Drogi współniku. Wreszcie znów razem — mówił po hiszpańsku. Odsunął się od niego, nie puszczając jego ramion. — Dobry Boże, zrobił się z ciebie mężczyzna; i pomyśleć, że kiedy się rozstawaliśmy w Madrycie, byłeś prawie chłopcem.

— To było pięć lat temu. Ty też się zmieniłeś, gauleiter Hotz — powiedział Jose Manuel, uśmiechając się lekko i przyglądając się jego czarnemu mundurowi SS, który nadawał Hotzowi jeszcze bardziej niepokojący wygląd.

— Mówiłem, że to osiągnę, co, stary przyjacielu? —

puścił do niego oko. — Obawiam się, że mamy dużo spraw do omówienia i starych dziejów do wspominania. Na razie jednak pozwólcie, panowie, że przedstawię wam gospodarzy.

Trzej mężczyźni w białych fartuchach okazali się ważnymi naukowcami z Instytutu Cesarza Wilhelma, doktorami Wernerem Hersenbergiem, Maksem von Laue i Ottonem Hahnem. Wysoki rangą oficer był nikim innym jak generałem Heinricim. Hotz przedstawił im Hiszpanów.

Usiedli wokół stołu. Hiszpanie naprzeciwko Niemców. Wszyscy, oprócz Hotza i Wundermanna, założyli słuchawki z tłumaczeniem.

— Pewnie zastanawiają się panowie, po co ich tu ściągnęliśmy — gauleiter zaczął od przełamывania lodów. — I dlaczego nie jesteście w tej chwili na nudnym bankiecie w Niemieckiej Federacji Futbolu. Proszę się nie łudzić — uśmiechnął się, pokazując śnieżnobiałe zęby — dotrzecie na ten bankiet, tylko trochę później. — Obie grupy przyglądały się sobie uważnie. — Jesteście panowie tutaj, bo chcemy wam zaproponować świetny interes, ofertę nie do odrzucenia.

Z jakichś powodów Wundermann był pewien tego ostatniego.

Hotz roztoczył swoje talenty uwodziciela i zdolność empatii.

Jose Manuel musiał przyznać, że jego dawny wspólnik jest jeszcze błyskotliwszy niż dawniej. Udoskonalił mowę swojego ciała. Nawet gdy mówił po niemiecku, jego ton był uprzejmy i rozluźniony, zapraszający do zaufania i zgody.

„Świetny interes” był w rzeczywistości bardzo prosty. Lub makiawelicznie prosty, jak wszystko, co proponował przekonujący gauleiter Wielkiego Berlina.

— W skrócie, chcemy waszego uranu. Chcemy wydobywać w kopalni w Salamance. Zrobimy to na zasadach wyłączności, z inżynierami i ekipą z Niemiec, którzy będą nadzorowali wydobycie minerału. Posiadłość nadal będzie należeć do panów, a oficjalnie eksport do Niemiec będzie zawierał żużel. Nie muszę chyba wspominać, że nasza umowa musi pozostać ściśle tajna, a alianci nie mogą niczego

— Przypuszczam, że będziecie gotowi zapłacić za uran, który wydobędziecie, po rynkowej cenie — powiedział szef Vias, pochylając się do mikrofonu.

— Nie możemy wam dać ani marki za uran. — Mikrofon generała Heinriciego zawiesił się na kilka sekund, wydając ostry pisk. — Wysilek wojenny, jaki podejmują teraz Niemcy, sprawia, że wszystkie nasze rezerwy finansowe idą na wojsko.

Joaquin Ayuso poruszył się niespokojnie na fotelu. Nagle zateęsknił za swoim pistoletem Astra.

— Zapewniam, że dostaną panowie coś znacznie ciekawszego niż garść marek. — Gauleiter wstał z uśmiechem i zdjął z leżącego na środku przedmiotu granatowy materiał.

Była to duża skrzynka z przezroczystego tworzywa. W środku znajdowała się makieta dziwnego urządzenia, czegoś między wagonem a lokomotywą pociągu, stojącego na szynach doskonale odtworzonych w małej skali.

Gonzalez od razu zorientował się, co to jest, i nie mógł powstrzymać uśmiechu.

— W zamian za uran proponujemy wam tuzin tych maszyn. W naturalnych rozmiarach, rzecz jasna — uśmiechnął się gauleiter. — Obrabiarki balastu, zdolne do czysz-

czenia i wymiany na bieżąco żużlu spod szyn kolejowych. Każda z tych maszyn jest wyceniana na... — Hotz udał, że liczy w myślach — jakieś trzydzieści milionów waszych peset. — Urwał, żeby przyjrzeć się twarzom Hiszpanów. Spodobało mu się to, co zobaczył w oczach szefa Vias.

— W ciągu najbliższych lat — ciągnął — wasz kraj będzie musiał odbudować większość swojej sieci kolejowej zniszczonej przez wojnę. Dzięki tym maszynom nie będziecie mieli konkurencji na rynku. Wygracie wszystkie przetargi, jakie rozpisze wasza administracja.

Rafaël Gonzalez szybko liczył w myślach. Zamieniał kopalnię uranu na kopalnię złota.

— Uważam, że to rozsądne warunki. — Tylko z najwyższym wysiłkiem powstrzymywał się od wycia z radości.

Wszyscy Niemcy natychmiast się uśmiechnęli.

— Świetnie. — Hotz również uśmiechał się z satysfakcją. — Miałem nadzieję, że uznają państwo zasady naszej transakcji za korzystne dla obu stron. Doradztwo prawne Ministerstwa Przemysłu przygotuje umowy do jutra w południe. Jeśli nie mają panowie nic przeciwko temu, podpiszemy je jeszcze przed meczem.

Prezes spółki spojrział w oczy swych współpracowników.

— Nie ma żadnego problemu — odparł z uśmiechem. Jose Manuel nie spuszczał oka z Hotza. Wszystko wyglądało zbyt pięknie.

— Tylko jeden szczegół — powiedział gauleiter, podnosząc dłoń do góry. Z jakiegoś powodu hiszpański architekt wiedział, że ów szczegół będzie nosił jego imię i oba nazwiska. — Będę potrzebował usług pana Jose Manuela Wundermanna w okresie nie krótszym niż dziewięćdziesiąt

Obaj spojrzeli po sobie jak gracze przed ostatnim rozdaniem. Różniło ich tylko to, że Hotz nie przestawał się uśmiechać.

— Z tym również nie będzie problemu — pospieszył z odpowiedzią Rafael.

— Z całym szacunkiem, panie prezesie, to ja powinienem o tym zdecydować.

Generał i naukowcy przestali się uśmiechać, kiedy dotarło do nich tłumaczenie. Wundermann czuł wbijające się w niego spojrzenia obu współników. Hotz nadal się uśmiechał.

W sali konferencyjnej zapadła pełna napięcia cisza.

— Naturalnie. — Gauleiter rozparł się w fotelu, uśmiechając się jeszcze szerzej. — Niestety nie mogę omówić na tym forum szczegółów projektu, do którego potrzebujemy pana Wundermanna. Widzę jednak, że muszę wszystkich uspokoić — powiedział, patrząc na Hiszpanów i Niemców. — To, co mam do zaoferowania mojemu staremu przyjacielowi Jose Manuelowi, to fascynujący projekt, którego realizacji żaden architekt jego miary nie potrafiłby odmówić. Napięcie wyraźnie zelżało. Hotz spojrział na zegarek.

— A teraz zła wiadomość, panowie. — Popatrzył poważnie na generała Ayuso i prezesa. — Nie mogę pozwolić, żeby spóźnili się panowie na bankiet w Federacji. — Ku uldze Hiszpanów uśmiechnął się.

Jose Manuel chciał przyłączyć się do kolegów, którzy zbliżali się już do wyjścia, ale gauleiter go zatrzymał. Mieli skończyć rozmowę w cztery oczy. Rafael pożegnał się z nim spojrzeniem, które wyrażało wszystko. Dwaj mężczyźni zostali sami.

Hotz zaproponował Jose Manuelowi camela bez filtra.

— Amerykański. Prawdziwy — zapewnił, zapalając mu go swoją złotą zapalniczką.

— Opowiesz mi teraz? — Dym z papierosa wznosił się prawie pionowo do sufitu w dobrze wentylowanym pomieszczeniu.

— Któregoś dnia zabiją cię za twój pośpiech. Dopiero co się spotkaliśmy, stary przyjacielu, nie ma dokąd gnać. Pójdiesz ze mną na przyjęcie. Zanim dojdziemy do porozumienia, chcę, żebyś poznał mój mały wszechświat. Żebyś zaczął czuć i rozumieć potęgę nowych Niemiec, nowego porządku, który będzie rządzić światem. — W jego oczach czały się dziwne błyski. — Znam cię i wiem, że to będzie dla ciebie fascynujące przeżycie. Później wszystko stanie się dla nas dużo łatwiejsze — zakończył z enigmatycznym uśmiechem.

— Obudzisz mnie pstryknięciem palcami, kiedy podpiszę legitymację partyjną?

Hotz roześmiał się serdecznie.

— Nie będziesz musiał niczego podpisywać. Między nami zawsze wystarczało dane słowo.



Było już ciemno, kiedy opuszczali instytut. Mercedes gauleitera Hotza przemierzał Berlin w eskorcie czterech motocyklistów na potężnych bmw. Miasto wesoło zaczynało noc, przepyszenie oświetloną latarniami. Tylko wielkie reflektory obrony przeciwlotniczej przypominały berlińczykom o istnieniu odległego świata w stanie wojny, wiele tysięcy kilometrów od ich bezpiecznego miasta. Architekt patrzył na snopy światła krzyżujące się na niebie nad Berlinem, porusza-

jące się w ciszy, jakby według ustalonej choreografii. Stolica Rzeszy wydała mu się wtedy gigantyczną dekoracją do filmu. Rozparł się wygodnie na siedzeniu, starając się nie pognieść nowego smokingu.

— Będziesz dziś siał spustoszenie wśród dam. Leży na tobie idealnie, mam dobre oko do rozmiarów.

Obaj przebrali się na terenie strefy zamkniętej instytutu.

— Co wy tu dokładnie robicie? — zapytał Wundermann, kiedy zapinał nieskazitelnie białą koszulę z jedwabiu.

— Niektóre z nowych typów broni, których zażyczył sobie nasz Fürher. Wiesz, jak berlińczycy nazywają ten budynek? „Wirusowy Dom”. — Roześmiał się. — Wcale się tak bardzo nie mylą.

— Pracujecie nad bombą atomową?

— Jose Manuelu, nadal jesteś bardzo ciekawski i pytasz o rzeczy, które nie powinny cię interesować — powiedział Hotz, zawiązując sobie muszkę przed lustrem umieszczonym na drzwiach szafy. — Ale powiem ci w zaufaniu, jak między współpracownikami, że wasz uran zapewni nam ostateczne zwycięstwo w zawodach z Rosjanami, Anglikami i Amerykanami.

— Nie macie dość uranu z Saksonii i Czechosłowacji?

— Proszę. — Uśmiechnął się, odwracając się do niego. — Widzę, że zasięgnąłeś języka. Najważniejsze, drogi przyjacielu, nie jest w tej chwili to, co mamy. Najważniejsze jest to, co mogą mieć inni. Dlatego złóże w Salamance musi być kontrolowane przez nas. Dlatego ty i twoi współpracownicy będziecie mieć szansę na zostanie trzema najbogatszymi ludźmi w waszym kraju w ciągu najbliższych czterech czy pięciu lat.



Towarzystwo wyjechało z Berlina w kierunku wschodnim, na Reichstrasse-1, wspaniałą autostradę prowadzącą do Karinhallu, gdzie odbywało się przyjęcie.

— Rezydencja Göringa jest daleko stąd?

— Osiemdziesiąt kilometrów od Berlina. W tym tempie dojedziemy na miejsce za dwadzieścia minut.

Musieli się zatrzymać przed wysoką bramą prowadzącą do rezydencji. Za nimi dwa następne luksusowe samochody czekały na swoją kolej. Teren znajdował się pod ścisłą kontrolą. Wundermann naliczył co najmniej tuzin uzbrojonych mężczyzn z SS. Były też dyszące nerwowo psy, owczarki niemieckie o lśniącej sierści. W pobliżu stał volkswagen, a obok niego czterech mężczyzn w szarych płaszczach, którzy palili i spokojnie rozmawiali. Gestapo.

Żołnierze zsalutowali, unosząc ręce do góry, gdy tylko rozpoznali gauleitera Hotza.

Samochód i czterej motocykliści wjechali na zwirowaną alejkę biegnącą przez lasek nad jeziorem. Dostali się z niego prosto na Karinhall, oświetlony olbrzymimi reflektorami.

Jose Manuel nie mógł nie podziwiać tego przykładu modernistycznej architektury, połączenia domu, pałacu i za— Dobry Boże — mruknął.

— Przygotuj się, właściciel jest taki sam, jak jego dom. — Hotz szukał czegoś w kieszeniach. Wyjął wreszcie małe lustro i papierowe zawiniątko, po czym, z naturalnością, jaką daje praktyka, uformował za pomocą jednego z zaproszeń dwie kreski białego proszku. — Chcesz? — za-
pr— Co to jest?

— Och, daj spokój, nie zachowuj się jak wieśniak. To koka. Rozjaśni ci umysł. A tej nocy powinieneś myśleć jasno. To noc wielkich decyzji. Chcesz czy nie?

— Nie, dzięki. Może nie chcę myśleć tak jasno, jak ci się wydaje.

Hotz wciągnął szybko obie kreski przez srebrną rurkę. Pozostałe na lusterku resztki wtarł sobie w dziąsła. Kilka razy wciągnął głęboko powietrze, odrzucił głowę na oparcie i zamknął oczy. Kiedy się wyprostował, jego oczy błyszczały jak w gorączce.

— Świetnie, świetnie. Wszystko idzie świetnie — po wiedział, wycierając nos.

Mercedes zatrzymał się przed głównym wejściem. Dwaj lokaje w liberii, surdutach i perukach w stylu osiemnastowiecznego Wersalu otworzyli oba skrzydła drzwi.

Gruby czerwony dywan poprowadził ich do głównych schodów. Tam gauleiter wręczył zaproszenia umundurowanemu adiutantowi. Weszli do obszernego, zatłoczonego salonu. Wszyscy mężczyźni, podobnie jak oni, mieli na sobie letnie smokingi i białe koszule. Kobiety ubrane były w przewiewne i eleganckie suknie wieczorowe.

Salon zaskakiwał niezwykleymi rozmiarami. Rozjaśniało go pięć przepysznych ogromnych żyrandoli z kryształu wiszących pod sufitem. Ściany zdobiły cenne flamandzkie tapiserie. Były też klasyczne greckie rzeźby, dziesiątki obrazów, nawet gotyckie ołtarze.

Próbował nie dać się uwieść tej atmosferze i nie zgodzić się bezwarunkowo na swoją rolę w tej niezwyklej sztuce: świecie Hotza.

Goście prowadzili ożywione rozmowy w grupach: męż-

czyżni z mężczyznami, kobiety z kobietami, kobiety z mężczyznami. Wersalscy kelnerzy poruszali się wśród gości jak wyćwiczona trupa tancerzy, nosząc tace z jedzeniem i napojami.

Jeden z mężczyzn na widok gauleitera odłączył się od swojej grupy i podszedł do niego z uśmiechem.

— *Carissimo!* — niemal krzyknął, podchodząc do Hotza i ściskając go serdecznie. — Uczeń prześcignął mistrza. — Przyjrzał się uważnie Wundermannowi. — Przepraszam... Nie zostaliśmy sobie przedstawieni.

— Nie dałeś mi szansy, mój drogi mistrzu. To Jose Manuel Wundermann, ważny hiszpański biznesmen i stary przyjaciel. Jose Manuel, to Alois Miedl, mój Pigmalion, człowiek, który nauczył mnie wszystkiego, co wiem o sztuce. Chyba już ci o nim kiedyś wspomniałem.

Miedl był mężczyzną w średnim wieku, o lekkiej nadwadze i naturalnym wdzięku. Rzadkie włosy miał starannie uczesane i pokryte brylantyną. Świdrujące, inteligentne oczy ukrywał za szklami okularów bez oprawek. Uśmiechał się bez przerwy, co nadawało jego twarzy wyraz uprzejmy i szczerzy. Wyraźnie zaznaczone popękane naczynia krwionośne na orlim nosie świadczyły o jego zamiłowaniu do trunków.

— Tak. Bardzo mi miło pana poznać, panie Miedl. Hotz mówi o panu z prawdziwym oddaniem. — Jose Manuel nie mógł uwierzyć, że używa takiego języka.

— Gauleiter Hotz jest oddany naszemu Führerowi i pieśniadom, ale cieszy mnie i uspokaja fakt, że nadal mówi o mnie dobrze.

Hotz wybuchnął teatralnym śmiechem.

— Miedl, Miedl, powinieneś być mnie adoptować. Chcę być twoim synem — powiedział, obejmując go za szyję.

— Zawsze mi to powtarza. Ale chce, żebym go adoptował tylko dla spadku. Swoją drogą, młody człowieku, doskonale mówi pan po niemiecku.

— Jest pół-Niemcem — wyjaśnił gauleiter.

— Tym lepiej, łatwiej mu będzie robić interesy w Berlinie.

W tym momencie do grupy przyłączyli się inni goście.

Jose Manuel przekonał się, że gauleiter Hotz jest jednym z najpopularniejszych uczestników przyjęcia. Jego kariera najwyraźniej wciąż nabierała tempa. Przypomniały mu się słowa Feliksa Schlayera: „Jego ambicja nie zna granic”.

Odszedł od towarzyszy, żeby przyjrzeć się obrazowi wiszącemu na jednej ze ścian. Nadal pociągało go malarstwo. Od jak dawna nie miał pędzla w ręku?

— *Krajobraz po burzy*, Lucas van Uden, szkoła flamandzka. Chce pan go stąd wynieść tej nocy?

Głos i ostatnia uwaga kobiety, która zwróciła się do niego po hiszpańsku, sprawiły, że odwrócił się gwałtownie. Kiedy ją zobaczył, olśnił go jej uśmiech, który tak dobrze pamiętał.

— Pani, pani jest...

— Dziewczyną z garażu. — Uśmiechnęła się znowu, aż w policzkach pojawiły się urocze dołeczki.

Jej czarne oczy zdawały się iskrzyć.

Wündermann poczuł, jak bije mu serce.

— Dobry Boże, wygląda pani, wygląda pani...

— Większość mężczyzn używa dzisiaj słowa „olśniewająco”.

— Cudownie.

— „Cudownie”. Też nieźle — przyznała, posyłając mu kolejny ujmujący uśmiech.

Naprawdę tak wyglądała, w czarnej obcisłej sukni z dekoltem, na jaki mogłoby sobie pozwolić niewiele kobiet. Jej czarne błyszczące włosy ozdobione były zabawnym stroikiem, okalającym twarz o wyrazistych kościach policzkowych i mięsistych, zawsze lekko rozchylonych wargach, ukazujących idealne zęby. Mimo to była nadal dziewczyną z garażu, która tak go pociągała, chociaż tej nocy nie miała nic wspólnego z niedbale związanym kucykiem czy roboczym kombinezonem nie pozwalającym domyślić się kobiecych kształtów. W przeciwieństwie do sukni, którą miała teraz na sobie.

— Proszę, cieszę się, że znów panią widzę...

Dziewczyna spojrzała na niego rozbawiona.

Ktoś dotknął jego ramienia. Hotz.

— Zostawiam cię na chwilę, a ty już zaczynasz odkrywać moje tajemnice. Przedstawiam ci jedną z moich najskuteczniejszych i najpiękniejszych współpracowniczek. Pannę... nazwijmy ją na razie „Carmen”. Carmen — powtórzył z zadowoleniem. — Bardzo rasowe, bardzo hiszpańskie. Zaskoczony spotkaniem?

— Myślałem, że już się nigdy nie zobaczymy. — Nie był w stanie ukryć radości.

Zresztą wcale nie chciał jej ukrywać.

— Mimo jej młodego wieku, w tej chwili ma dwadzieścia jeden lat, wtedy o pięć lat mniej, Carmen bardzo nam pomogła przy naszej ostatniej operacji, jak zapewne pamiętasz. W swojej ostatniej roli Carmen dowodziła garażem. Ale nie ufaj pozorom, to prawdziwa hiszpańska dama, psotnica z madryckich wyższych sfer, można powiedzieć. —

Spojrzeni na siebie z uśmiechem. — Mówi po angielsku z uroczo nieznośnym akcentem *posh*, gra na fortepianie jak prawdziwa profesjonalistka, jeździ konno jak urodzona amazonka i... — urwał na chwilę, uśmiechając się — i cóż, bardzo mi pomogła w Londynie z *Hrabina*. A mieliśmy na początku problemy z pewnym głupim angielskim lordem. Jak on się nazywał?

— Duveen — przypomniała mu dziewczyna.

— Właśnie, lord Joseph Duveen. Cóż, opóźnił nas tylko o kilka miesięcy. Aż znaleźliśmy nowego kupca.

Jose Manuel pamiętał doskonale opóźnienie w wypłacie. Mimo to Hotz nigdy nie zostawił go na lodzie. Co jakiś czas wysyłał im wystarczającą kwotę, żeby mogli z Jaszczurką normalnie żyć, „w ramach zaliczki, później się rozliczymy”.

Hotz spojrział na zegarek.

— Czas ucieka, drogi współniku. Jednak zanim z tobą porozmawiam, muszę wydać ostatnie instrukcje naszej młodej współpracownicy. Mam nadzieję, że nie okaże się, gdy wrócę, że rozmawiasz z Fürherem.

— Fürher ma tu przyjść? — Jose Manuel nie krył zdziwienia.

— W Karinhallu wszystko jest możliwe, drogi przyjacielu.

Hotz podał ramię dziewczynie i zniknął razem z nią w tłumie gości.

Kelner zaproponował Wundermannowi kieliszek francuskiego szampana, a on przyjął go jako mniejsze zło. Oddał się kontemplowaniu wspaniałego Davida.

— Widzę, że lubi pan dobre malarstwo.

Alois Miedl stanął obok niego i również przyglądał się obrazowi z kieliszkiem w ręce.

— To bardzo piękny obraz.

— *Kobieta w czerwonej sukni* Davida. Należał do prywatnej kolekcji Jacques'a Goudstikkera, żydowskiego milionera. Posiadał ponad tysiąc obrazów, głównie mistrzów średnio-wiecznych i renesansowych malarzy holenderskich, flamandzkich i włoskich. Stary Goudstikker umarł, kiedy uciekał z rodziną z Holandii do Nowego Jorku, tuż przed naszą inwazją. — Dopił jednym haustem szampana z wysmukłego kieliszka. — Kupiłem całą kolekcję od wdowy. Dwa i pół miliona florenów. Później sprzedałem ją Göringowi za dwa miliony. Pewnie pan nie uwierzy, ale zrobiłem na tym świetny interes. Jak pan myśli, jako kto przejdę do historii, panie Wundermann? Jako wyzuty ze skrupułów handlarz, który wykorzystywał Żydów, czy jako anioł, który wolał kupować za rozsądną cenę, zamiast kraść?

— Dlaczego pan mi o tym mówi?

— Co dokładnie powiedział panu o mnie Hotz?

— Uważa, że to pan go odkrył i że otworzył mu pan oczy na świat sztuki.

— On urodził się z otwartymi oczami. — Miedl wziął z tacy przechodzącego kelnera dwa kieliszki szampana. — A ja odkryłem żmiję z niewyczerpanymi pokładami jadu. — Podał Jose Manuelowi kieliszek, wyglądał na odrobinę wstawionego, ale myślał jasno. — Opowiadam to panu, młodzieńcze, bo żyjemy w dziwnych czasach, w których wartości się odwróciły. I opowiadam to panu również dlatego, że, jeśli twarz jest odbiciem duszy, pomylił się pan w wyborze towarzysza podróży.

— Co mi pan próbuje powiedzieć, panie Miedl? — Wundermann patrzył na niego badawczo.

W całym salonie rozbrzmiała burzliwa owacja. Obaj spojrzeli w stronę, z której dochodziły oklaski. Do Karinhallu przyjechał właśnie Führer. Göring, gospodarz wieczoru, wyszedł mu na spotkanie. Pozdrowili się po nazistowsku i wszyscy goście poszli w ich ślady. *Heil Hitler!* odbiło się od ścian i sklepienia salonu. Po nim rozszalała się kolejna burza oklasków.

— Wie pan, że Japończycy zaatakują Stany Zjednoczone jeszcze przed końcem roku? — Miedl wrócił do rozmowy, klaszcząc z wyrazem uniesienia na twarzy.

— To tylko plotka.

— My też będziemy musieli wypowiedzieć im wojnę. Zbudzimy uspiętego amerykańskiego olbrzyma i cały nasz wspnialy aryjski świat rozsypie się jak domek z kart.

— To fatalizm, panie Miedl. W tej chwili wygląda na to, że nikt ani nic nie jest w stanie powstrzymać Wielkich Niemiec.

— Mało pan czyta o historii, Wundermann. W tym problem, nikt już nie czyta o historii.

Podszedł do nich kelner w liberii i peruce.

— *Herr Wundermann*, gauleiter Hotz czeka na pana na piętrze.

W tej samej chwili orkiestra zagrała walca. Taniec zaczął Führer z przepiękną żoną Goebbelsa, który przyglądał im się porażony zaszczytem, jakim właśnie obdarzył go wódz. Parę powitano na parkiecie kolejną gorącą owacją.

— Niech pan nie każe gauleiterowi czekać. I proszę pamiętać, niech pan się strzeże id marcowych — szepnął Miedl i odwrócił się w poszukiwaniu kelnera.



Służący otworzył drzwi prowadzące do sali gier wyposażonej w stoły do gry w karty przykryte zielonym suknem i duży stół do amerykańskiego bilardu. Pomieszczenie było puste, jeśli nie liczyć Hotza, który właśnie wbił zręcznie kilka bil. Zdjął marynarkę i grał w samej koszuli. Wundermannowi spodobały się jego szelki. Palił grube hawańskie cygaro, a na jednym ze stołów stał kieliszek koniaku. Wydawało mu się również, że obok kieliszka zobaczył błysk kieszonkowego lusterka.

— Zagramy partię bilardu i jeśli przegram, będę musiał podpisać umowę?

— Nie. — Uśmiechnął się Hotz. — Załatwimy to w znacznie prostszy sposób. — Odłożył kij na stół, wziął kieliszek i lusterko i podszedł do podwójnych drzwi prowadzących do innej sali. — Pozwól ze mną.

Weszli do środka.

W pomieszczeniu panował półmrok. Hotz nacisnął kilka włączników na ścianie i ogromny salon rozjaśniły światła. Na środku stał długi prostokątny stół otoczony około czterdziestoma skórzanymi fotelami. Ściany były wyłożone ciemnym drewnem kakaowca. Za fotelem prezesa wisiał wielki portret Fryderyka Wielkiego.

— To tutaj zdecydowano o inwazji na Związek Radziecki; jesteśmy w miejscu kultu, drogi Jose Manuelu.

— Imponujące.

— Tak, specjalnie tak ją zaprojektowano. Chodź, usiądź obok mnie, nadszedł czas, żebyś poznał mój projekt.

Usiadł po jego prawej stronie — znajdowali się w środkowej części stołu. Hotz podniósł ukrytą w blacie klapę, pod którą znajdował się panel kontrolny, pełen przełączników

i migających lampek. Zaczął nimi manipulować i sala znów pograżyła się w półmroku. Dało się słyszeć ciche mruczenie elektrycznego silnika, a spod sufitu zaczął zjeżdżać ekran. Za ich plecami uruchomił się rzutnik do slajdów, a na ekranie pojawiło się zdjęcie Bramy Atlantów, głównego wejścia do budynku Nowego Ermitażu w Leningradzie.

— Chcesz zrobić skok na Ermitaż? — zapytał Jose Manuel, uśmiechając się i poprawiając w wygodnym skórzanym fotelu.

— Już zrobiliśmy kiedyś coś podobnego, wspólniku.

— Dlaczego nie poczekaasz, aż zdobędziecie miasto, i nie zajmiesz całego muzeum? Tak by było znacznie prościej.

— Nauczyłem się już jakiś czas temu, że nie istnieją proste rozwiązania. A jeśli istnieją, nie interesują mnie. — Zaciągnął się głęboko cygarem, a kłęby dymu zabarwiły się na niebiesko w zetknięciu ze światłem rzutnika. — Jak wiesz, zaczęliśmy inwazję na Rosję dwudziestego drugiego czerwca. Nasze dywizje posuwają się szybko. W rzeczywistości kampania zamienia się w wojskowy spacer. Ale nawet według najbardziej optymistycznych prognoz nie dotrzemy do Leningradu przed wrześniem.

— Kiedyś byłeś cierpliwym człowiekiem.

— To nie jest kwestia cierpliwości. Problem w tym, że Rosjanie wyciągnęli wnioski z historii Prado. Oni też ewakuują Ermitaż. Mamy ludzi na miejscu. Poinformowali nas, że wszystkie dzieła sztuki zostaną wysłane koleją w dwóch konwojach. Wyznaczono już termin: jedenasty i dwudziesty lipca. Wywiozą wszystko za Ural.

— Dlaczego nie zostawisz sprawy w rękach wojskowych?

— Göring chciał wysłać oddział spadochroniarzy, Hitler

mu zabronił. Nasze linie są za daleko od Leningradu, żeby taka operacja mogła się powieść. Z drugiej strony należy przeprowadzić wszystko w najgłębszej tajemnicy. Żadnych wojskowych, żadnych okładek w „Life”.

— Hitler i Göring wiedzą o wszystkim?

— Tak, tym razem pracujemy dla nich. A teraz cele.

Znów poruszył czymś na pulpicie, pojawiły się przed nimi następne ekrany. Cztery. Włączyły się rzutniki. Wundermann patrzył na zdjęcia, nie wierząc własnym oczom. *Madonna z goździkiem* Leonarda da Vinci, *Portret hrabiego-diuka di Olivares* Diega Velazqueza, *Wiejskie chatupy w Cordeville* Vincenta van Gogha i wspaniały szkic na płótnie Petera Paula Rubensa *Koronacja Marii Medycejskiej*.

— Zupełnie oszalałeś. — Usłyszał swój głos, ale go nie poznawał.

— Największy skok, jaki kiedykolwiek zaplanowano. — Patrzył na obrazy szeroko otwartymi oczami. — Wejdziemy do muzeum, podmienimy obrazy i wyjdziemy. — Odwrócił się do niego. — A dzięki tobie nikt nigdy nie odkryje, że to zrobiliśmy.

Obaj mężczyźni zamilkli, patrząc na reprodukcje.

— Żeby móc dobrze namalować te obrazy, trzeba by czterech miesięcy.

— Będziesz miał dwa.

— Zakładam, że przemyślałeś już wszystkie szczegóły operacji.

— Wszystkie. Jutro dostarczą teczkę do twojego pokoju w hotelu.

— Nigdy nie podjąłbym się takiej pracy bez zaufanych ludzi. Musiałbym mieć pod ręką Diega i Jaszczurkę. —

Ostatnio widział Jaszczurkę prawie rok temu, nie sprawiał dobrego wrażenia, wyglądało na to, że prowadzi dość nieuporządkowane życie.

O Armariu nie wiedział nic, odkąd wyjechali z Madrytu w trzydziestym szóstym.

— Jaszczurka jest od dwóch tygodni w klinice odwykowej w Bawarii.—Wündermann sprawiał wrażenie, jakby również wiedział, że jego przyjaciel nie potrafił zasymilować konsekwencji posiadania takiej fortuny i miał problemy z alkoholem. — A Diego wyszedł wczoraj z więzienia w Alicante.

— Szukałem go we wszystkich więzieniach Hiszpanii. Nie było żadnego Diega Armaria w Alicante — odpowiedział Jose Manuel, nie ufając temu popisowi kontroli informacji i skuteczności.

— Zmienił tożsamość kilka dni przed upadkiem Madrytu. Miał pecha, bo wymyślił sobie nazwisko, które nosił akurat jeden z kacyków z Czeka w Akademii Sztuk Pięknych. Najwyraźniej jego sobowtór był prawdziwym rzeźnikiem. Chcieli go rozstrzelać. Nigdy byś go nie odnalazł.

Spojrzał Hotzowi w oczy.

— Dlaczego sądzisz, że zgodzę się wziąć udział w tym szaleństwie?

— Wiem, że to zrobisz, bo malarz taki jak ty nie mógłby nie podjąć takiego wyzwania.

— Nie jestem malarzem — odparował ostro.

— Jesteś większym malarzem niż Leonardo, Velazquez, van Gogh i Rubens razem wzięci. — Urwał, patrząc mu uważnie w oczy. — Byłem sześć miesięcy temu w Madrycie. Błyskawiczna podróż w interesach, nie miałem czasu, żeby dzwonić do starych przyjaciół. Ale nie mogłem się po-

wstrzymać, żeby nie pójść do Prado. Nie mogłem powstrzymać wzruszenia, oglądając twoją *Hrabinę* — zachrypli lekko. — Masz rację. Nie jesteś zwykłym malarzem. Jesteś najlepszym malarzem, jakiego znam. I mam to szczęście, że jesteś moim przyjacielem i że będziemy mogli znów razem pracować.

Wündermann wytrzymał jego spojrzenie. Hotz nadal mu imponował, kiedy podejmował tę grę, w której był niekwestionowanym mistrzem: grę uwodzenia. Musiał przyznać, że był znacznie lepszym aktorem niż pięć lat temu. Mimo iż zdawał sobie z tego sprawę, miał ochotę go objąć. Przede wszystkim jednak czuł zawrót głowy towarzyszący wyzwaniu, nieznośnemu uzależnieniu krążącemu w jego żyłach — bycia złodziejem piękna. Mógłby zabrać się do malowania jeszcze tej samej nocy, gdyby Hotz go o to poprosił. Więcej, pragnął tego z całej duszy.

— A jeśli się nie zgodzę? — Wiedział, że musi wystrzelić ostatni pocisk.

Hotz również.

Oparł się w fotelu, westchnął głęboko i, nie przestając się uśmiechać, podniósł kieliszek koniaku.

— Wtedy okaże się, że się myliłem. Będziemy nadal pili, wspominali dawne dzieje i poszukamy sobie dwóch ładnych dziewczyn, żeby miło zakończyć wieczór. Jutro wrócisz spokojnie do Hiszpanii. Wrócisz trochę uboższy, ale przede wszystkim wrócisz jako jeden z wielu. Twój malarz umrze tutaj tej nocy.

Nie przestawali obserwować się nawzajem, zatrzymując czas, bo czas się nie liczył w tej przestrzeni, w której wydarzyło się już wszystko, co się miało wydarzyć.

— To będzie ostatni raz. Nie będzie już więcej skoków.
Twarz Hotza rozjaśnił szeroki uśmiech. Oczy mu błyszczały.

— Daję ci na to moje słowo, współniku. — Wyciągnął rękę i Jose Manuel ją uściskał.

Wyszli z sali. Gauleiter obejmował architekta za ramiona. Tworzyli modelowy obraz dwóch przyjaciół, którzy właśnie dobili targu.

— Będziemy tworzyli historię, Jose Manuelu, będziemy tworzyli historię. A teraz powinienes odpocząć. Przygotowałem ci pokój na trzecim piętrze, jest najcichsze. Jutro o jedenastej jesteście umówieni na podpisanie dokumentów w Ministerstwie Przemysłu.

Majordomus odprowadził go aż do pokoju. Wszedł do środka, wciąż oszołomiony ostatnimi wydarzeniami i konsekwencjami, jakie mogły wyniknąć z jego obietnicy. W pokoju panował półmrok, przez otwarte lufciki wielkich okien wpadał blask sztucznych ogni puszcanych w ogromnym ogrodzie Karinhallu.

— Podejdz do mnie. Chcę, żebyś zobaczył, jak odbijają się w jeziorze.

Rozpoznał głos Carmen, tym razem był w nim cieplejszy ton. Podeszedł do okna, na tle którego rozpoznał niejasny profil kobiety. Kiedy stanął obok niej, wielka kula srebrnych gwiazd wybuchła na niebie, wypełniając na chwilę blaskiem cały pokój. Wtedy zobaczył, że jest naga.

Dom-pałac Karinhall, 27 czerwca 1941

Kiedy majordomus obudził go, rozsuwając ciężkie zasłony i pozwalając porannemu słońcu wpaść do pokoju, nie było jej już w łóżku.

Po solidnym śniadaniu złożonym z jajecznicy, parówek i mocnej kawy Jose Manuel poczuł rosnący optymizm.

Rządowy mercedes zawiózł go do Berlina, do Ministerstwa Przemysłu Rzeszy. Tam czekali już jego współpracownicy. Rafael patrzył na niego z niepokojem, ale rozluźnił się, kiedy jego dyrektor generalny odpowiedział mu szerokim uśmiechem.

Podpisali kontrakt ich życia. Zjedli drugie śniadanie z ministrem pracy Saucklem, a o 16.45 siedzieli już na stadionie olimpijskim w Berlinie, oglądając mecz.

O 16.55 wszedł na trybunę szef niemieckiego rządu, a towarzyszyła temu zbiorowa histeria pięciu tysięcy widzów zebranych na stadionie.

Mecz nie wyróżnił się niczym szczególnym. Hiszpanie strzelili pierwszego gola. Niemcy zremisowali przed końcem

pierwszej połowy ze strzału po aucie. W drugiej części meczu sędzia unieważnił gol niebieskich — czerwony kolor został chwilowo zakazany przez władze sportowe reżimu Franco. Niemcy strzelili zwycięskiego gola dzięki raczej wątpliwemu karnemu odgwiszanemu przez francuskiego sędziego.

Hitler ani na chwilę nie przestał podskakiwać.

Ayuso i Gonzalez pożegnali się z Wundermannem na lotnisku Tempelhof, kiedy słońce kryło się za horyzontem, a niebo barwiło się na czerwono.

— Nie wiem, co właściwie musisz zrobić, ale uważaj na siebie i wracaj — szepnął mu do ucha Rafael, zanim się rozstali.

Stojąc przy pasie startowym, Jose Manuel patrzył, jak samolot wznosił się coraz wyżej, i czuł to samo, co wiele lat temu, kiedy opuszczał Madryt.



W tym samym czasie, wiele kilometrów dalej, w bazie łodzi podwodnych w Brunsbittel, u ujścia Elby, major Harald Gross kończył spokojnie kolację w oficerskiej kantine.

Spędzał trzeci dzień na przepustce po długiej misji na północnym Atlantyku. W ciągu prawie sześciu miesięcy jego U-Boot nieprzerwanie przejmował, ścigał i zatapiał dziesiątki angielskich statków handlowych i wojskowych. Tysiące ton nieprzyjacielskiej floty spoczywało na dnie morza dzięki atakom jego łodzi.

Wojna szła dobrze, jego kariera jeszcze lepiej.

Potrzebował jednak odpoczynku. Oddałby Krzyż Żelazny za dwadzieścia dni na stałym lądzie, oddychanie świeżym

powietrzem, z dala od duszącej i śmierdzącej żelaznej rury, w jaką zmieniał się powoli jego okręt.

Kiedy kończył ostatni kawałek szarlotki, kątem oka zobaczył marynarza zbliżającego się do jego stołu kursem kolizyjnym. To, co chłopak niósł w prawej ręce, zaczęło mu psuć humor, dopisujący mu do tej pory.

Kapral zasalutował i wręczył mu przeklętą kopertę, potwierdzając jego obawy.

Gross westchnął ciężko. To, co zawierał ten złożony na pół i zalakowany kawałek papieru, mogło się okazać końcem świeżo rozpoczętych wakacji.

Rozerwał kopertę z pieczęcią dowództwa Kriegsmarine, nie patrząc nawet na podoficera, który odwrócił się na pięcie, zapytawszy uprzednio: „Życzy pan sobie czegoś, komendancie?”.

Gross zaczął czytać to, co mogło być tylko rozkazem natychmiastowego wypłynięcia, naturalnie w nieznanym celu. Jednak ten list ze znakiem sekretariatu admirała Gunthera Gusego szykował mu miłą niespodziankę.

W rzeczywistości zawierał jak najlepsze wiadomości. Przeczytał jeszcze raz tę część listu, która zwracała mu utracone szczęście.

Od tej chwili komendant łodzi podwodnych Harald Gross i załoga, jaką mu się wyznaczy, przechodzą pod dowództwo i władzę gauleitera Wielkiego Berlina, *Herr* Alberta Hotza.

Komendant Gross obejmie dowodzenie nad transoceaniczną łodzią podwodną w celu wykonania ściśle tajnej misji od września do listopada 1941 roku.

Komendant ma pozostawać zawsze do dyspozycji dowództwa w bazie w Brunsbittel i nie oddalać się od niej pod żadnym pozorem na dłużej niż 48 godzin.

Czyżby Święty Mikołaj przychodził w tym roku wcześniej? Ten list oznaczał, że nie może być powołany do służby na żadnym statku aż do września. Dowódca łodzi podwodnej wiedział, kiedy wypływał, ale nigdy nie mógł przewidzieć, kiedy wróci. O ile wróci.

Hotz. Natychmiast znalazł to nazwisko wśród wspomnień.

Albert Hotz, nigdy o nim nie zapomni. Nie poznał go wprawdzie osobiście, ale w pewnym momencie jego służby wojskowej stał się dla niego prawdziwym wcieleniem anioła stróża. Pamiętał wszystko, jakby wydarzyło się wczoraj. Hotz wkroczył w jego życie w styczniu 1937 roku. Komendant Gross przechodził wtedy trudne chwile. Flota badała jego udział w incydencie u wybrzeży Hiszpanii.

Tamta sprawa mogła zaprzepaścić jego szanse w Kriegsmarine, gdyby nie opatrnościowa interwencja Hotza.

Obecny gauleiter Wielkiego Berlina robił już wtedy karierę w zawrotnym tempie, był kimś w rodzaju przedstawiciela niemieckich interesów w Madrycie, z nadania partii.

Hotz napisał bardzo przychylny raport na temat incydentu na Morzu Śródziemnym. Tak przychylny, że nie tylko uratował go od groźby sądu wojskowego, ale zapoczątkował jego karierę we flocie. Gross pamiętał doskonale ostatnie zdanie raportu swojego dobroczyńcy: „Podsumowując, komendant Harald Gross dał dowody kompetencji i poczucia obowiązku. W jego działaniu można dostrzec jedynie zbiór wszystkich cnót, jakich Fürher wymaga od oficerów naszej

floty. Dlatego proszę ministerstwo, żeby umorzyło postępowanie, które się toczy przeciwko temu świetnemu oficerowi”. Z kopią do Biura Kanclerza Rzeszy. Ten Hotz, poza tym że miał świetne znajomości, nie bawił się w uniki.

Incydent na Morzu Śródziemnym. Gross nie zapomni go nigdy.

To była jego pierwsza misja. W odległym już listopadzie 1936 roku. W czasie ściśle tajnej operacji „Urszula”.

Hitler zdecydował, w ramach skomplikowanej układanki paktów i przymierzy, że poprze Franco w krucjacie przeciw komunizmowi.

„Urszula” była kryptonimem operacji blokowania i patrolowania hiszpańskich wybrzeży Morza Śródziemnego. Wspólna operacja włoskich i niemieckich łodzi podwodnych mających wesprzeć niewielką flotę rebeliantów.

Przy okazji operacja była idealną próbą generalną dla nowych modeli U-Bootów Kriegsmarine. Wyznaczono do niej dwa statki świeżo wypuszczone ze stoczni, U-33 i U-34.

Gross, który właśnie dochrapał się galonów, dostał dowództwo U-34, swej pierwszej bojowej łodzi podwodnej.

Misja miała określony harmonogram. Mieli zacząć patrole 17 listopada i skończyć je 11 grudnia, zawsze w porozumieniu z pozostałymi dwoma statkami włoskimi.

Zanim wypłynęli, cała załoga musiała podpisać oświadczenie o zachowaniu tajemnicy. Misja była tak tajna, że w czasie wypływania na powierzchnię statki miały wciągać na maszt żółto-czerwoną flagę Hiszpanii. Załoganci przebywający na powierzchni mieli nosić mundury floty Franco, w które zaopatrzone obie jednostki. Prawdziwa korsarska misja. Świeżo powołany dowódca łodzi podwodnej nie

wyobrażał sobie niczego bardziej ekscytującego i pociągającego.

Jednak wszystko potoczyło się najgorzej jak to tylko możliwe.

Gross zawiódł we wszystkich atakach na republikańskie statki handlowe i wojenne.

Jego strzały były tak niecelne, że niedoszłe ofiary nawet ich nie zauważały, nie będąc nigdy świadome niebezpieczeństwa, w jakim się znajdowały. O ile w ogóle coś im zagrażało. Gross myślał gorzko, że hiszpańskie plaże muszą być usłane niemieckimi torpedami.

Dla pierwszego oficera U-34 sytuacja nie mogła być bardziej upokarzająca. Nie pocieszał go fakt, że okręt znajdował się jeszcze w fazie testów. Ani że system wystrzeliwania torped był całkowicie eksperymentalny.

Operacja okazała się fiaskiem.

Wszystko miało się zmienić 12 grudnia. Gross wracał do domu z najgorszym z możliwych bilansów. Równie złym, jak jego humor i samopoczucie.

Była dwunasta w południe, kiedy komendant postanowił po raz ostami podnieść peryskop. Znajdowali się na wysokości portu w Maladze. Ostami rzut oka na hiszpańskie wybrzeże śródziemnomorskie, zanim zejdzie na odpowiednią głębokość, żeby przepłynąć Gibraltar, wpłynąć na Atlantyk i wyznaczyć kurs swojej porażki do Niemiec.

Jego zaskoczenie nie miało granic. Przed dziobem dryfowała spokojnie łódź podwodna.

Poprosił drugiego oficera, niezawodnego Hansa Fishera, o kartę z sylwetkami okrętów wroga. Nie było najmniejszych wątpliwości, była to republikańska łódź podwodna klasy C.

Przyjrzał się jej jeszcze raz przez peryskop, skupiając całą uwagę na wieżycze. Zobaczył na niej dwóch ludzi i wypisaną białymi literami nazwę jednostki: C-3.

— Dajcie mi „rybę” do jedyńki na dziobie — rozkazał, próbując powstrzymać zdenerwowanie; nie odrywał oczu od peryskopu.

— Komendancie — odpowiedział Fisher — zakończyliśmy misję. Jeśli zaatakujemy ten statek, możemy mieć problemy, jak...

— Oficerze Fisher — odparł jego dowódca i popatrzył mu uważnie w oczy, z dzikim wyrazem twarzy, powstrzymując z najwyższym trudem atak furii — zapewniam, że pozna pan znaczenie słowa „problem”, jeśli natychmiast nie załaduje pan jednej z moich „ryb” do działła numer jeden.



C-3 nadal płynął po powierzchni. Jego dowódca, chorąży Antonio Arbona, poprosił o pozwolenie na wpłynięcie do portu w Maladze, ale na razie go nie otrzymał.

Pierwszy majtek, Fulgencio Pagan, zwany przez towarzyszy „Fulem”, stał na wachcie, obserwując nudny horyzont.

Spojrzał kątem oka na swojego towarzysza na wieżycze, Agustina Garcíę Vinasę, kapitana marynarki handlowej. Vinas był jednym z żołnierzy zwerbowanych siłą przez rząd republikański. Flota wojenna miała zasłużoną sławę najbardziej konserwatywnej z trzech sił hiszpańskiego wojska, dlatego, jak wiedział Ful, masowa „ucieczka talentów” była spowodowana dwoma głównymi czynnikami: wielu oficerów przeszło na stronę narodowców lub zostali wcieleni do

wojska, niektórzy w mało dyplomatyczny sposób, bo po prostu nie zdążyli przejść na stronę wroga.

Nagle otworzył się właz, z którego wyłonił się marynarz Isadoro de la Orden, niosąc kubeł odpadków.

— Co tam, Isi, wpadłeś poopalać się trochę na pokładzie?
— żartował Ful.

— Właśnie — wydyszał, próbując wyciągnąć kubeł przez wąski właz. — Tam na dole zawsze kupa *liberte, egalite, fraternite* i innych pierdoł, ale jak przyjdzie co do czego, zawsze ci sami wywalają śmieci.

Ful, wśród śmiechów i żartów, postanowił jednak pomóc koledze.

Nad plamę resztek nadleciało natychmiast pół tuzina mew. Ful zatrzymał na nich wzrok, przyglądając się festynowi mięsożernych ptaków. I wtedy to zobaczył. Miał doskonały wzrok i zobaczył wśród lekkich fal ledwie widoczny ślad torpedy, która, z prędkością ponad czterdziestu węzłów, pędziła prosto na dziób łodzi.

Otworzył usta, ale nie wiedział, co właściwie powiedzieć. Dwie sekundy później torpeda uderzyła w dziób C-3 na wysokości akumulatorów. Potężna eksplozja wstrząsnęła statkiem, którego kadłub pękł na dwie części w jednej trzeciej długości.

Trzej stojący na powierzchni mężczyźni wpadli do wody, jakby zrzućeni z gigantycznego wierzgającego konia.

Fulgencio machał z całych sił rękami, oddalając się desperacko od szczątków okrętu, który tonął, wystawiając ponad wodę rufę i dziób jednocześnie. C-3 zniknął wśród piekielnego hałasu wewnętrznych eksplozji i wyginających się grodzi i żelastwa. Przypominało to wycie dziwnego

zwierzęcia, które napełniło jego serce przerażeniem. Płynął z coraz większą determinacją.

Myślał już, że jest uratowany, kiedy nagle morze zaczęło się uspokajać, a tysiąc czterysta ton C-3, z trzydziestoma siedmioma ludźmi załogi na pokładzie, wciągnęło go w podróż do dna morskiego.



Gross zatrzymał stoper swojego zegarka, nie przestając patrzeć przez peryskop. C-3 tonął zaledwie przez szesnaście sekund, licząc od momentu uderzenia torpedy. Nareszcie. Na morzu zostało niewiele śladów katastrofy. Chmura dymu rozplywająca się szybko na czystym śródziemnomorskim niebie i ciężka plama paliwa, która rozszerzała się na powierzchni

Cieszył się rezultatem ataku jeszcze przez kilka sekund. Resztki statku zaczęły wypływać na powierzchnię. Kawałki drewna z grodzi, szuflady z szaf, prześcieradła...

Pojawili się też pierwsi ocalali marynarze. Naliczył trzech. Pewnie to ci trzej, którzy stali na zewnątrz, kiedy kazał wystrzelić torpedę. Złożył peryskop. Spojrzał znowu na zegarek i kazał operatorowi maszyny kodującej Enigma przesłać do Berlina wiadomość: *1419 U-Boot C Klasie vor Malaga versenkt* (O 14.19 zatopiona łódź podwodna klasy C pod Malagą).

U-34 szybko nabierała głębokości, płynąc ku otwartemu morzu. Teraz jej komendant Harald Gross był w doskonałym humorze.



Carmen odebrała telefon, leżąc na łóżku w swoim apartamencie w berlińskim hotelu.

— Dasz się zaprosić na kolację do najdroższej restauracji w Berlinie? Mam ci sporo do opowiedzenia i coś mi mówi, że mamy dużo powodów, żeby się cieszyć tej nocy. — Głos Hotza był wesoły i uwodzicielski.

— Jestem wykończona, szefie. Nie wiem, czy będę dla ciebie odpowiednim towarzystwem na dzisiaj.

Ona też cieszyła się tą rozmową, a potrafiła być dziesięć razy bardziej uwodzicielska niż dziesięciu Hotzów razem wziętych. Zresztą uwielbiała bawić się z nim w kotka i myszkę.

Gauleiter Wielkiego Berlina poczuł znów to przyjemne łaskotanie w żołądku, które potrafiła w nim wywołać tylko ta Hiszpanka. Uśmiechnął się wesoło, chowając do kieszeni eleganckiego garnituru z czarnej alpaki telegram, który otrzymał właśnie z dowództwa Kriegsmarine. Wszystkie elementy jego wyrafinowanego planu pasowały do siebie idealnie. Należała mu się w takim razie fantastyczna noc, czyż nie?

*Stacja kolejowa w Grodnie, przy granicy polsko-rosyjskiej,
25 sierpnia 1941*

Wündermannowi udostępniono gabinet szefa stacji na piętrze budynku. Grodno było ostatnim polskim miastem przed rosyjską granicą. Docierały tam konwoje pociągów transportujące jednostki 250. dywizji piechoty Wehrmachtu, Błękitnej Dywizji.

Rozparł się w drewnianym obrotowym fotelu szefa stacji i zaczął się obracać, aż mógł spojrzeć w szerokie okno z wprawionymi w ołów kwadratowymi szybami. Mógł stamtąd obserwować wszystkie perony i przyjazd oddziałów, który odbywał się nieprzerwanie od wczesnych godzin porannych. Przetransportowanie osiemnastu tysięcy ludzi razem ze sprzętem nie było rzeczą łatwą ani szybką.

Szef stacji otworzył drzwi swojego chwilowo okupowanego gabinetu.

— Pociąg z dwieście sześćdziesiątym trzecim regimentem

wjeżdża na tor drugi — zakomunikował chłodno po niemiecku, ale z radością wypisaną na twarzy.

Ta wiadomość miała tylko dobre konsekwencje — dla gościa oznaczała koniec oczekiwania, a dla niego odzyskanie gabinetu.

— Dziękuję. — Jose Manuel również się uśmiechnął na myśl o przybyciu konwoju.

Był to Jego” regiment. Jednostka, do której przydzielili ich Hotz, żeby wykonali misję, jego zdaniem, niemożliwą do wykonania. Razem z 263. regimentem pod dowództwem generała Vierny podróżowali jego drodzy przyjaciele, towarzysze przygód i przeciwności losu: Diego Armario i Jaszczurka. Razem z nimi miał przyjechać wyborowy snajper, Manuel Fernandez de Bonhomia, będzie miał okazję go poznać. „Możemy potrzebować dobrego strzelca, żeby osłaniał nas w czasie odwrotu z Ermitażu. Trzeba przewidywać niespodzianki”, wyjaśnił Hotz.

Hotz miał pewnie rację, jak zwykle. Jego słynne plany B. W każdym razie Jose Manuel nie chciał przedwcześnie oceniać nowego towarzysza. Teraz, po prawie dwóch miesiącach ciężkiej pracy w Berlinie, pragnął tylko spotkać się znowu ze swoją wesołą kompanią. Świadomość ich obecności dawała mu poczucie bezpieczeństwa. Jednocześnie czuł jednak niepokój, którego nie był w stanie opanować. U progu nieznanego, wobec nowej wojny, w której miał właśnie wziąć udział razem z przyjaciółmi. Nie mógł pozbyć się

— Dlaczego nie przetransportujesz nas na front na sam moment skoku? Nie przyszło ci do głowy, że mogą nas w międzyczasie zabić? — zapytał kiedyś Hotza.

— Göring uparł się, żeby wykonać operację z jego zaufanymi agentami. Indywidua z gestapo. Szkoda, że nie mogłeś z żadnym pogadać. Idealni, żeby połamać ci wszystkie kości, zaaplikować wstrząsy przy użyciu samochodowych akumulatorów albo obedrzeć żywcem ze skóry. Ale zdziwiłbym się, gdyby któryś potrafił sam zawiązać sobie sznurowadła. Odmówiłem. Odpowiedziałem, że przeprowadzę wszystko z moimi ludźmi albo akcji nie będzie. To rozdanie wygrałem i zrobimy wszystko po mojemu. Ale szef naszego lotnictwa obmyślił małą zemstę. Nie pozwoli mi użyć „jego” samolotów, żeby przerzucić was na front leningradzki. Będziecie musieli pojechać z kolumną hiszpańskich wolontariuszy. Tak będzie dyskretniej, nie wzbudzimy podejrzeń. Jeśli chodzi o wasze bezpieczeństwo, możesz być spokojny. Zawsze będziecie na tyłach wojsk. Hitler nie ufa zbyt swoimi sojusznikom, miał już dość przykrych doświadczeń z Włochami. To my otworzymy front. Jeżeli w ogóle pojawi się jakieś zagrożenie, to raczej w momencie rozpoczęcia oblężenia Leningradu, pod warunkiem że Rosjanie nie zwieją przedtem gdzie pieprz rośnie. — Hotz wierzył wtedy niezachwianie w potęgę Wehrmachtu. — Ale do tego czasu kwoka będzie już przy swoich kurczątkach. Wejdziemy do Ermitażu, wykonamy naszą robotę i wrócimy do domu jako milionerzy.

Jose Manuel chciał mu wierzyć, ale wiedział zbyt dobrze, że na wojnie nie można skalkulować ryzyka.



Jego wspomnienia popłynęły w przeszłość. 28 czerwca 1941 roku wybiła godzina zero. Tego dnia zaczął malować w stolicy Niemiec kopie obrazów. Tym razem nie mógł

kopiować z oryginału, ale Hotz przygotował mu bogatą kolekcję zdjęć każdego z dzieł, nad którymi musiał pracować. Wszystkie kąty, wszystkie szczegóły, wszystkie perspektywy. Zdjęcia pokrywały całą ścianę obszernego berlińskiego studia. Tego samego dnia w Madrycie ogłoszono rozpoczęcie naboru ochotników na wojnę z Rosją.

— Serrano Suner chciałby, żeby wszyscy byli z Falangi i żeby Falanga miała kontrolę nad dywizją. Ale Franco nie chce uzbrojonej partii i zarządził w rozkazie o naborze ochotników, że ponad pięćdziesiąt procent oficerów i szeregowych ma być zawodowymi żołnierzami — powiedział mu Hotz w czasie jednej z długich rozmów w studiu, kiedy Jose Manuel malował. — Nie będzie łatwo sterować tym małym generałem. Może trzeba było uratować Jose Antonia* od plutonu egzekucyjnego w Alicante. Był nawet taki plan, wiesz? Ale nie słuchali mnie. Cóż, mam nadzieję, że nigdy nie będziemy musieli tego za bardzo żałować.

— Wydawało mi się, że połowa armii należy do Falangi albo z nią sympatyzuje.

— Wojskowi słuchają tylko swoich przełożonych, nie partii. Z Wehrmachtem mamy podobne problemy.

— Nie narzekaj. Franco przyśle wam swoich najlepszych żołnierzy.

— Odpadki. Powinien nam pozwolić przejść cały kraj, przejąć Gibraltar i zamknąć Morze Śródziemne. To by zapewniło koniec wojny. A on tak nam się za wszystko odwdzięcza, posyłając garstkę żołnierzyków.

* Jose Antonio Primo de Rivera — hiszpański polityk i ideolog faszystowski. Założyciel Falangi Hiszpańskiej (1933 r.). W listopadzie 1936 r. został skazany na śmierć przez rząd republikański.

Hotz się mylił. To nie była garstka żołnierzyków. Odezwe na odezwę przeszedł najśmielsze oczekiwania. W niecałe dwa tygodnie prawie osiemnaście tysięcy mężczyzn złożyło swoje podpisy na dokumentach mobilizacji. Ochotnicy ze wszystkich zakątków Hiszpanii odpowiedzieli na wezwanie do Błękitnej Dywizji, by udać się na wojnę z Rosją. „Zapłacić za wizytę”, odpowiadało wielu mężczyzn pytanych o powód, dla którego się zaciągnęli.

Wündermann szybko odkrył, że Hiszpania nie jest odosobnionym przypadkiem. W rozdartej Europie walka z komunizmem wzbudzała takie same emocje jak walka z faszyzmem. Piętnaście tysięcy Francuzów zaciągnęło się do Dywizji Karola Wielkiego, cztery tysiące Holendrów do Dywizji Wiking, dwa tysiące Belgów do Brygady Walońskiej, tysiące Włochów i Rumunów szło ochoczo na front rosyjski...

Trzynastego lipca 1941 roku, o szesnastej, pierwszy pociąg wypełniony hiszpańskimi ochotnikami ruszył z Dworca Północnego w Madrycie, wśród wiwatów i oklasków rozentuzjowanego tłumu.

Dwudziestego trzeciego lipca, przejechawszy Francję, dywizjoniści dotarli do obozu w Grafenwörhr, gdzie rozpoczęło się szkolenie i adaptacja do surowej niemieckiej organizacji wojskowej.

Błękitna Dywizja została w ten sposób 250. dywizją piechoty Wehrmachtu, pod bezpośrednim dowództwem generała Agustina Munoz Grandesa, którego odwołano ze stanowiska gubernatora wojskowego Gibraltaru, żeby mógł pokierować wysłanymi posiłkami. Nowo powstała dywizja została podzielona na trzy regimenty piechoty: 262. pod dowództwem pułkownika Pimentela, 263. pułkownika Vieni i

269 pułkownika Esnarzu
234

Każdy regiment składał się z trzech tysięcy ludzi. Pozostałe dziewięć tysięcy weszło w skład regimentu artylerii, grupy zwiadowczej, grupy przeciwpancernej, grupy łączności, batalionu saperów, batalionu rezerwy mobilnej oraz służb inwentaryzacyjnych, sanitarnych, weterynaryjnych, policji i poczty.

W tej chwili cała ta masa żołnierzy grupowała się w Grodnie przed rozpoczęciem długiego marszu przez rosyjskie równiny aż do odległego frontu pod Leningradem.



Przez cały ten czas nie przestał malować. Tak jak w przypadku *Hrabiny de Chinchón*, zbadał każdy obraz, życiorys każdego malarza.

Postanowił zacząć od Leonarda.

Fascynowała go złożona osobowość tego geniusza renesansu: da Vinci był malarzem, architektem, rzeźbiarzem, naukowcem, anatomem, inżynierem wojskowym i jednym z czołowych chemików. Wielość twarzy, wielość profesji, a wszystkie wybitne. *Madonna z goździkiem* lub *Madonna Benois*, jak ją nazwano po przejęciu obrazu przez Ermitaż od rodziny o tym nazwisku, była wczesnym dziełem Leonarda. Mimo to widać było pierwsze oznaki jego geniuszu. Wyobraził sobie Madonnę w bardzo młodym wieku, jak bawi się z Dzieciątkiem, pokazując mu kwiat. Skomponował radosną scenę, intymną i daleką od religijnego mistycyzmu właściwego epoce. Leonardo wprowadził również istotne zmiany na poziomie rozwiązań technicznych. Nie było łatwo uzyskać takie stopniowanie *chiaroscuro*, złożone odcienie chromatyczne czy delikatną elastyczność ciał.

Przy drugim obrazie chciał zmienić diametralnie styl i wybrał *Wiejskie chatupy...* van Gogha. Namalowanie tego obrazu, zgłębienie udreżonego umysłu autora, żeby zrozumieć jego koszmary, jego głęboką, błyskotliwą przenikliwość, okazało się wyczerpującym przedsięwzięciem. Van Gogh namalował *Chatupy* w ostatnim roku życia i widać w nich było kruchość jego równowagi emocjonalnej. Każde pociągnięcie pędzla wyrażało tragedię duszy i wielkość geniuszu zarazem. W czasie kiedy malował ten obraz, przestał dbać o swój wygląd: nie mył się, źle jadł i pracował.

Gdy Jose Manuel skończył, był wyczerpany i nie wiedząc czemu, zatęsknił za Carmen. Może to wspomnienie kazało mu wybrać Velazqueza, jedynego Hiszpana, żeby zacząć przedostatnią pracę.

— Nie łudź się, jeśli chodzi o Carmen. Wróciła do Hiszpanii następnego dnia po przyjęciu w Karinhallu. Ma narzeczonego w Madrycie, pokazała mi jego zdjęcie, przystojniak z przystrzyżonym wąsem i nabrylantowanymi włosami, szaleje za nim. Zapomniałem, jak się ten pajac nazywa.

— Wyczuł wyrzut w słowach Hotza. Może nie był z kamienia, może kiedyś, lub nadal, Carmen wzniecała w nim ten sam płomień, który teraz trawił jego.

— To ty wepchnąłeś mi ją tamtej nocy do łóżka? — W jego pytaniu zalegały pokłady gorzkości.

— Szczerze mówiąc, drogi współniku, zastanawiałem się nad tą możliwością jako planem B. Ale tylko w wypadku, gdybyś odmówił udziału w projekcie. Nie miałem takiej okazji. Dostałem twoją zgodę, zanim poszedłeś spać. Carmen sama podjęła tę decyzję, jeżeli to dla ciebie jakaś pociecha.

Kobiety to dziwne stworzenia, wielkie domy pełne zamkniętych pokoi. Ledwie dają nam zajrzeć do salonu i kuchni. Lepiej się wykapać i ogolić, śmierdzisz niemiłosiernie. Przez tego van Gogha prawie zwariowałeś.

Malowanie *Portretu hrabiego-diuka di Olivares* było dla niego jak balsam. Jak zwykle cieszył się weryzmem, który mistrz tchnął w portretowaną twarz. Kiedy skończył, czuł, że jego dzieło pokazuje, podobnie jak oryginał, surowy charakter hrabiego. Był szczególnie zadowolony z uczuć, jakie wzbudzało w nim jego spojrzenie. Patrząc w oczy arystokraty, wyczuwał niespotykany upór i spryt. Pewnie to dzięki nim mógł zrobić karierę u boku słabego króla, poza dworem pełnym karierowiczów, i de facto rządzić przez dwadzieścia lat popadającą w dekadencję Hiszpanią.

Na deser zostawił sobie *Koronację Marii Medycejskiej* Rubensa. Poza jego wysublimowanym, delikatnym pięknem fascynowała go sama historia obrazu. W 1622 roku Maria Medycejska, królowa Francji, zleciła Rubensowi wykonanie dwudziestu jeden kompozycji mających odzwierciedlać najważniejsze chwile związane z jej życiem i panowaniem. Ogromne dzieło miało ozdabiać Pałac Luksemburski. W Ermitażu przechowywano pięć szkiców tej słynnej kolekcji.

Koronacja Marii Medycejskiej była niewątpliwie najwspanialszym z nich. Rubensowi udało się dokładnie oddać intensywność atmosfery koronacji. Każda przedstawiona przez niego postać miała charakter, indywidualność.

Malarz rozwiązał po mistrzowsku problem harmonii między zalewającym scenę światłem a kolorami strojów osób uczestniczących w uroczystym wydarzeniu. W rezultacie powstało dzieło, które oszałamiało pięknem gry kolorów

i światła. Wszystko to sprawiało, że *Koronacja Marii Medycejskiej* przypominała raczej ukończony obraz niż szkic.

— Wiesz, że z tych czterech obrazów ten najbardziej podoba się Hitlerowi? — powiedział Hotz w czasie jednej z wizyt w studiu, kiedy malował *Koronację*.

— Co się stanie z obrazami, jeśli uda nam się je wydostać z muzeum?

— Wyczuwam sceptycyzm w twojej uwadze, drogi współniku. Zapomnij o możliwości porażki. Ja nigdy nie przegrywam, powinieneś o tym wiedzieć.

Czasami pewność siebie Hotza wyprowadzała Jose Manuela z równowagi.

— Na początku brano pod uwagę wiele możliwości — ciągnął Niemiec. — Chcieli je nawet wystawić w Fürher Museum, które jest właśnie budowane w Linzu. Nie będę jednak ukrywał, że wojna wykańcza naszą gospodarkę. Potrzebujemy środków jak tonący powietrza. Sprzedamy wszystkie obrazy za granicą. W Ameryce, dokładnie rzecz biorąc. Mamy już kupców. Transakcja została zawarta na trzysta milionów dolarów.

— To dużo pieniędzy, Albercie. A co ty z tego będziesz miał?

— Władzę.

A co będzie miał z tego on sam? To pytanie zatruwało mu krew. Cudem udało mu się uniknąć udziału w hiszpańskiej wojnie domowej. Zatrudnienie w firmie Rafaela uratowało go przed przymusową mobilizacją. A teraz był o krok od wpakowania się w wojnę, która nawet nie była jego wojną. Czy zaczyna tracić rozum? Kiedy jednak patrzył na swoje dzieło, kiedy brał do ręki pędzle, próbował mieszanek

i faktury swoich obrazów, wiedział, że nie jest szalony. Albo że przynajmniej akceptuje swoje szaleństwo.

Tydzień po tej rozmowie zadzwonił do Hotza, żeby pokazać mu skończone obrazy.

Poddasze wypełniał półmrok, Wundermann zasłonił szyby ogromnego okna w stropie czarnym płótnem. Cztery kopie stały na sztalugach w równym rzędzie. Kiedy zdjął płótno i czyste światło sierpniowego berlińskiego poranka wpadło na strych, ukazując obrazy, obaj mężczyźni się wzruszyli.

— Nadal jesteś złodziejem dusz, co, Jose Manuelu? — powiedział Hotz ochryplym głosem, z wilgotnymi oczami.

W czasie tego maratonu Wundermann stracił dziesięć kilo. Obliczył, że jego średni dzień pracy nie był nigdy krótszy niż szesnaście godzin. Malował, dopóki nie zaczynał go zawodzić wzrok lub dłonie trzymające pędzle. Nie wiedział, czy pracował nocą, czy za dnia.

Wniknął w ciała i dusze czterech wielkich mistrzów, żeby skraść im oddech geniuszu, który tchnął życie w ich obrazy.

Po tej prezentacji przed Hotzem spał bez przerwy przez czterdzieści osiem godzin.

Trzy dni później, 23 sierpnia, gauleiter znów pojawił się w jego studiu. Miał ze sobą wojskowy worek.

— Masz tutaj twój mundur, żołnierzu — powiedział, rzucając torbę z materiału khaki na łóżko.

Jose Manuel zauważył gwiazdkę chorążego na epoletach. Ten stopień należał mu się automatycznie w hiszpańskim wojsku z racji ukończenia wyższych studiów.

— Od tej pory jesteś chorążym Jose Manuelem Wundermannem Arenasem, z dwieście sześćdziesiątego trzeciego

regimentu piechoty, dwieście pięćdziesiątej dywizji piechoty Wehrmachtu albo, jak wolisz, Błękitnej Dywizji.

Omówili ostatnie szczegóły planu. Tak prostego, że wydawał się niemożliwy. Grupa, która wejdzie do Ermitażu, ma podróżować razem z dywizjonistami na front leningradzki.

— Pamiętaj, ten plan to najgłębsza tajemnica. Nie możemy wzbudzać podejrzeń. Będziecie anonimowymi żołnierzami. Aż przestaniecie nimi być.

Armario, Jaszczurka i strzelec Manuel Fernandez de Bonhomia zaciągnęli się jako „ochotnicy” w Madrycie. Wszyscy trzej, jak pozostali członkowie dywizji, przeszli szkolenie w Garfenwörhr i teraz jechali koleją do Grodna.

— Tam się spotkacie. Pojutrze polecisz do Grodna. Nie możemy dłużej opóźniać twojej „mobilizacji”.

— W jakim charakterze zaciągnęli się pozostali? — zapytał Wundermann, przymierzając mundur chorążego, nie-naganny krój Hugona Bossa, krawca, który szył większość niemieckich mundurów.

— Armario i Jaszczurka są szeregowymi żołnierzami, Fernandez de Bonhomia zachował galony sierżanta, których się dochrapał na wojnie, za zasługi na froncie. Przeczytałeś raport o nim? Ciekawy typ z tego arystokraty.



Owszem, przejrzał teczkę syna markiza de Monfreno. Ciekawy typ, mówiąc ogólnie. Mieli tyle samo lat, Bonhomia był pierworodnym synem pochodzącej ze starego rodu rodziny z Sorii. Jego ojciec praktycznie nie opuszczał

swojego tysiãhektarowego majątku na wypalanej i surowej kastylijskiej prowincji.

Markiz wysłał starszego syna do Madrytu w dwojakim celu. Po pierwsze, miał się uczyć i skończyć z wyróżnieniem inżynierię rolniczą. „Już teraz widać, że zbliża się nowa era, synu. Nie będziesz mógł zarządzać majątkiem tak, jak to robił twój dziadek albo ja. Musisz zdobyć wykształcenie techniczne, żeby nie zostać w tyle. Popatrz na mnie, w moim wieku nie odwracam się od postępu, dlatego kupiłem traktor. Pierwszy traktor w Sorii!”.

To prawda, jego ojciec dał pierwszy impuls do mechanizacji soriańskiej wsi. Naprawdę jednak kupił traktor, bo dowiedział się, że inna herbowa rodzina prowincji, państwo Marichalar, chcieli kupić podobny. „Żaden Marichalar nie będzie mi podskakiwał, nie ma mowy. Wiesz, co dziadek chciał napisać na naszym herbie: de Monfreno markizowie, w łóżku i w bitwie — końskie zdrowie. Już go zarejestrował w spisie heraldycznym, ale twoja zacofana babcia mu nie pozwoliła”.

Drugie zadanie, jakie miał wypełnić w czasie pobytu w Madrycie, było również dokładnie określone. „Masz wrócić z Madrytu z dyplomem i narzeczoną. Panienką z dobrego domu, zdrową i ze środkami. Żeby przedłużyć ród”. „Nie martw się, ojczy, za pięć lat będę w domu z dyplomem i kobietą jak trzeba”.

Nie udało mu się spełnić żadnej z obietnic: jednej z braku, drugiej z nadmiaru.

Zapisał się do Szkoły Inżynierii Rolniczej w Madrycie w roku 1931. Od tego czasu nawiedzał budynek tej szacownej instytucji raz do roku. Miało to miejsce zawsze, kiedy

Manolo stawiał się na spotkanie z Carlosem Garcia de la Vega, przewodniczącym *tuny** wydziału prawa i człowiekiem, o którym mówiono, że ma nieograniczone możliwości działania na terenie kampusu uniwersyteckiego. Dobił całkiem rozsądnego targu ze sprytnym studentem prawa: ten zdobywał dla niego oficjalne formularze egzaminacyjne in blanco, a Manolo dostarczał mu w zamian sporą kupkę banknotów po sto peset z legalnego obiegu.

Na pierwszym roku zaliczył wszystkie przedmioty na trójkę. Ojciec gratulował mu gorąco, podwoił roczną pensję i zaproponował długodystansowy plan: czwórki, piątki i szóstki miały spotkać się z należytą rekompensatą pod koniec każdego roku.

Co roku oceny Manola były coraz lepsze, a wraz z nimi jego poziom życia w Madrycie, aż stał się niezbędnym uczestnikiem nocnych hulanek. Zenit jego akademickiej kariery nastąpił na piątym roku, kiedy zdobył aż siedem szóstek. Było to warte godnego ukoronowania.

W tym niepowstrzymanym biegu naprzód był zmuszony do negocjacji ze swoim przyjacielem z prawa na temat uzyskania dyplomu ukończenia studiów. Trudna sprawa, którą udało się załatwić za pięć tysięcy peset, prawdziwą fortunę jak na tamte czasy. Manolo mógł pojechać do Sorii z dyplomem, a jego ojciec przyjął go z otwartymi ramionami.

Do dramatu doszło pod koniec 1936 roku. „Zryw Narodowy to pryszcz w porównaniu z tym, co działo się u mnie w domu”, powiedział później Wundermannowi, kiedy już się zaprzyjaźnili.

* Tuna (hiszp.) — grupa studentów grających na zamówienie w strojach z epoki.

Dobry markiz de Monfreno nie posiadał się z dumy z powodu wybitnego indeksu świeżo upieczonego inżyniera i żeby to uczcić, postanowił zrobić swojej latorośli niespodziankę. Zorganizował w tajemnicy przyjęcie w swoim pałacyku w Sorii. Ponieważ syn był zapalonym myśliwym i wyborowym strzelcem, zdobył pozwolenie na odstrzał łań i najął najlepsze psy gończe, żeby urządzać wielkie polowanie na jego cześć. Przybyli na nie najlepsi przyjaciele rodziny, najważniejsze osobistości Sorii i dwóch czy trzech byłych ministrów ostatniego rządu monarchistycznego. Jednak największą niespodzianką dla syna markiza miało być zaproszenie dostojnego dziekana Szkoły Inżynierii Rolniczej w Madrycie, don Miguela Olarquiagi, którego Manolo w życiu nie widział na oczy. Bo żeby zobaczyć go chociaż na portrecie, musiałby wejść kiedyś do Aula Magna i stanąć przed komisją egzaminacyjną. A Manolo nie przypominał sobie, żeby doszedł kiedyś dalej niż do głównego holu szkoły.

Do tragedii doszło w trakcie polowania. Manolo był szczęśliwy, położył już piętnaście sztuk i czuł, że ma świetne oko. Z drugiej strony był bohaterem dnia, przyjmując bezustannie gratulacje za swoje wybitne wyniki w nauce.

— Manolito, synu — zwrócił się do niego z uśmiechem dumny ojciec — podejdź, chcę ci przedstawić kogoś, kogo widziałeś już pewnie setki razy, ale nigdy was sobie nie przedstawiono.

Manolo podszedł, gryząc kawałek kielbasy, do ojca stojącego z siwym mężczyzną o budzącym szacunek wyglądzie i Benitem, starszym stróżem, do którego był bardzo

— Spójrz, Manolito, przedstawiam ci don Miguela Olarquiagę, dziekana twojej szkoły.

Manolo poczuł, jak kiełbasa staje mu w gardle, co wywołało nagły atak duszności, który opanował za pomocą źle ukrytego beknięcia.

— Proszę wybaczyć, kaszel — przeprosił fałszywy magister, próbując się uspokoić.

— Don Miguelu, to mój syn. Lepiej opanował książki niż maniery. — Markiz szybko odzyskał pewność siebie. — Proszę sobie wyobrazić, że nasz świeżo upieczony magister dostał siedem szóstek na ostatnim roku inżynierii.

Dziekan ze zdziwieniem badał twarz Manola.

— Szczerze mówiąc, nie przypominam sobie twojej twarzy, młodzieńcze. A przecież siłą rzeczy muszę znać wszystkich moich studentów. I mówi pan, że skończył pan w tym roku?

— Tak, tak. W czerwcu, z siedmioma szóstkami — podkreślił ojciec, który również zaczął przypatrywać się bacznie twarzy syna.

— Nie wiem. To dziwne, że z takimi ocenami nie był w moim gabinecie albo że nie pamiętam go z jakiegoś egzaminu. A kto uczył pana oporu materiałów?

Manolo przypomniał sobie, a pamięć miał świetną, nazwisko autora podręcznika do tego przedmiotu. Zawsze na początku roku kupował wszystkie podręczniki, jechał do Sorii, żeby pokazać je ojcu, dostawał zwrot gotówki, a następnego dnia sprzedawał je na Cuesta de Motano.

— Z don Marcialem Venturą. Niezwykła siła ducha!

— Tak, duch to jedyne, co zostało z biednego Marciała, bo umarł pięć lat temu, młodzieńcze.

Markiz de Monfreno otworzył usta, a jego twarz zaczęła przybierać kolor purpury. Patrzył przez kilka sekund na

czcigodnego dziekana, który dopiero zaczynał rozumieć znaczenie dramatu, jaki właśnie zapoczątkował. Kiedy markiz, wściekły, spojrzął w stronę syna, zrozumiał, że ptaszek odleciał.

Manolo w olimpijskim tempie pokonał tysiąc pięćset metrów dzielące jego ojca, dziekana i stróża od parkingu.

— Benito, moja strzelba — powiedział markiz do stróża. Miał rozpaloną twarz, ale głos spokojny.

— Tylko niech pan nie strzela w głowę, panie markizie, może panicz jeszcze skończy studia — poprosił go stróż z niepewną miną, wręczając mu jednocześnie remingtona express.

Pierwszy strzał zniszczył przednie wycieraczki. Manolo pochylił głowę i skierował samochód w stronę bramy majątku, kiedy drugi strzał odstrzelił boczne lusterko. Poczul świst kuli, jakby przeleciała o cal od jego ucha.

Na szczęście ojciec nie odznaczał się taką celnością jak syn, a oddanie trzeciego strzału uniemożliwili mu goście, w tym pułkownik don Tomas Maestre, którzy rzucili się na oszalałego z wściekłości markiza, powalając go na ziemię.

Ojciec nigdy nie wybaczył synowi przekrętu. Pozbawił go pracy i pieniędzy do odwołania. „Nie jesteś już moim synem, dopóki nie uznam, że jest inaczej. A jeśli chodzi o twój zawód, możesz się zabrać za *bel canto*, transformizm albo hodowanie kóz, wszystko mi jedno. Nie łudź się, że coś ode mnie dostaniesz, sam zarabiaj na swoje utrzymanie”, napisał do niego w liście.

Jednak Manuel Fernandez de Bonhomia, przyszły markiz Monfreno, o ile ojciec nie wymaże go ze szlacheckiego rejestru, nie bał się byle czego. Rodzinna kłótnia zepsuła mu

trochę humor, ale wiedział, że markiz ma dobre serce, i liczył na to, że dzięki jakiemuś honorowemu gestowi znów będzie się mógł cieszyć zaufaniem i uczuciem rodziciela. Nie wiedział jeszcze, jak to osiągnie, ale czekał na stosowną okazję. „Dobra mina do złej gry i uśmiech na pogodę”, jak mawiał.

Jak w przypadku wszystkich dobrych byków, kara tylko go motywowała.

Nie mógł też spełnić drugiej obietnicy danej ojcu, „żeby wrócić z kobietą jak Pan Bóg przykazał”. Trzeba przyznać, że poznał wszystkie kobiety, jakich Pan Bóg poznawać nie przykazał. Jednak ta złamana obietnica otworzyła mu, choć niebezpośrednio, drzwi do kwitnącego interesu. Interesu, który na dłuższy czas zapewnił mu pieniądze, sławę i dostatnie życie.

Pucz wojskowy z 18 lipca zaskoczył Manola w stolicy Hiszpanii na przymusowym wygnaniu. Do tego czasu udało mu się znaleźć schronienie w skromnym mieszkaniu artystki i dobrej przyjaciółki, Fornariny II, z chrztu Cecylii Conejo, chórzystki Apolla.

— Słuchaj, Manolo, masz takie ciało, nie myślałeś, żeby zająć się *catchem*? — zapytała go tancerka, kiedy jedli śniadanie w łóżku. Bo schronienie obejmowało również wyżywienie.

— *Catch*? — zapytał Manolo zdziwiony.

— No tak, *catch*, walka wręcz — odpowiedziała, puszczać jego rękę i sięgając po następnego *churro* z tacy. — Na Campo de Gas każdej nocy organizują walki wręcz w stylu amerykańskim. No wiesz, naporzający się silni faceci, umięśnieni, w samych przepaskach. To jest niesamowicie popularne. Sala zawsze się zapełnia. A moja przyjaciółka,

Yoli, która się spotyka z zapaśnikiem, mówi, że jej chłopak śpi na forsie i obsypuje ją prezentami. Za wygraną walkę dostajesz sto peset! Sto peset, Manolo! — Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, nie przestając rzuć *churro* w trakcie całej przemowy.

Manolo zajął się jak trzeba śniadaniem i Fornariną II, był w końcu honorowy i umiał się odwdzińczyć, ale mimo woli cały dzień myślał o stu pesetach z *catcha*. Tej samej nocy, kiedy rozbierał się do kąpieli, dłużej niż zwykle przyglądał się sobie w lustrze. Może przyjaciółka miała rację: w wieku dwudziestu trzech lat miał silne i dobrze zbudowane ciało, „o niespotykane ruchliwej miednicy”, jak chwalił się swoim żeńskim ofiarom, kiedy zagłębiał się w meandry towarzyskiej konwersacji.

Przypomniał sobie, że zawsze nieźle szło mu w bójkach. W ciągu pięciu lat hulaszczego życia w Madrycie, bardziej nocnego niż dziennego, jego pięści i świetna praca nóg wyciągnęły go z niejednej burdy.

— A poza tym sto peset to sto peset, co do diabła — usłyszał swój własny głos mówiący do odbicia w lustrze, prężącego bicepsy.

Następnego dnia udał się więc do baru La Coronita, który nazywał się wtedy La Republicana, żeby lepiej przystosować się do nowych czasów. Spotkał się tam z Carlosem Garcia de la Vega, który pracował jako asystent w kancelarii adwokackiej.

— Carlos, będę zapaśnikiem *catchu* i chcę, żebyś został moim menedżerem.

Dawny szef *tuny* odstawił poranną kawę z pączkiem na blat baru i przyjrzał mu się od stóp do głów.

— Zawsze chciałem jarać to samo co ty, Manolo.

Pogadali, pospierali się i doszli do porozumienia. Garcia de la Vega, który nadal potrafił świetnie się znaleźć i miał nosa do pieniędzy, słyszał już o małych fortunach, które krążyły na zakładach w czasie walk na Campo del Gas. Dlaczego nie spróbować szczęścia w nowym interesie? To na pewno będzie zabawniejsze niż praca w kancelarii. Nie mówiąc o tym, że to nie jego mieli pracować.

— Masz pieniądze? — Carlos znał już trudną sytuację swojego przyszłego podopiecznego. — Bo jeśli chcemy cię wypromować, musimy zainwestować w reklamę.

— Reklamę.

— No jasne. Reklamę. Technika nowoczesnej sprzedaży. Wy, monarchiści, zawsze dowiadujecie się o wszystkim ostatni. Nic dziwnego, że wam zabrali króla.

— Mam jeszcze parę groszy z samochodu. — Sprzedał podziurawiony pojazd, jak tylko dotarł do Madrytu. — Chcę zainwestować w ten interes.

— Dobrze, zaryzykuję dla ciebie jeszcze raz, chłopcze. Znam ludzi, jakich będziemy potrzebować.

Ci ludzie nazywali się Augusto Macias i Julian Pastor i byli młodymi i obiecującymi specami od reklamy. Zajęli się wypromowaniem nowej gwiazdy madryckiego *catchu*. Zaproponowali mu też pseudonim „artystyczny”: „Manuel Fernandez, Czołg z Chamberi”. Zaprojektowali kostium, łącząc kolory młodej republiki na pelerynie, masce, mikroskopijnych slipach i butach. Zajęli się też drukiem sporej ilości krzykliwych i szokujących plakatów reklamowych.

— Niech pan pracuje nad bicepsami, my będziemy pracowali nad wizerunkiem i sukces mamy w kieszeni — obiecał mu Macias.

Fornarina II również chciała mieć swój wkład w rodzącą się karierę zapaśnika i przemyciła do zakładu krawieckiego teatru Apollo wzór „roboczego garnituru” swojego kochanka. Rezultat tej produkcji tekstylnej przeszedł najśmielsze oczekiwania.

— Manolo, wyglądasz, że palce lizać — uznała z zachwytem podczas pierwszej przymiarki.

Pastor i Macias zasypali ulice Madrytu kolorowymi plakatami ukazującymi „Manola Fernandez. Czołg z Chamberi. Patriotycznego Zapaśnika” na imponującym zdjęciu w wyzywającej pozie. Sala zapełniła się już na pierwszej walce, a zwycięstwo było tylko pierwszym ogniwem w długim łańcuchu wygranych.

Jego cena w zakładach szybko rosła, a popularność biła rekordy. Po miesiącu Manolo odzyskał wszystkie wyłożone pieniądze i zaczął na nowo zapełniać kieszenie.

Wrócił na łono madryckiej nocy, zadawał się z nową śmietanką stołecznej socjety. Nie zaniedbał jednak ćwiczeń, którym oddawał się codziennie, żeby nadal „rzeźbić ciało”, jak mówił.

— Jeśli zapuszczysz brzuszek, będziemy mogli się pożegnać z interesem, na walki przychodzi coraz więcej kobiet — zwrócił mu uwagę jego menedżer.

Nie zapuszczać brzuszka i nie zaniedbywać tego okazałego ciała, które podarowała mu natura.

Życie znów się do niego uśmiechało. Zaszedł tak daleko w rankingu, że nadszedł wreszcie czas wielkiej walki. Miała się odbyć 15 września. Finał Mistrzostw Hiszpanii w wadze średniej.

— Zobaczysz, zdobędziemy pas mistrza Hiszpanii — zapewnił go Carlos.

Raczej tego, co zostało z republikańskiej Hiszpanii, myślał Manolo, gdyż do tego czasu kraj był już beznadziejnie podzielony.

Tytułu bronił Joseba Otamendi, „Lew z Galdacano”. W rzeczywistości Joseba był z Bilbao, ale jego menedżer wymyślił mu ten pseudonim, bo „Galdacano jest zgrabniejszy, bardziej baskijskie, kurwa”. Joseba był dziką bestią. Zanim odkrył swoje zdolności do walki na ringu, pracował w stoczni w Bilbao. Mówiono o nim, że „łączył stalowe blachy statków, waląc w nie pięścią”.

Federacja Baskijska i Madrycka Federacja Zapaśnicza zjadły razem lunch w Botin, na który zostali zaproszeni mistrz i *challenger*. Aspirantem do tytułu był naturalnie „Manuel Fernandez, Czołg z Chamberi”, wielka nadzieja stepów, jak przedstawił go chłopakom z prasy prezes Madryckiej Federacji.

Garcia de la Vega, przestudiowawszy uprzednio *curriculum vitae* Baska, po której to lekturze zaczął drżeć o życie swego podopiecznego, próbował ułożyć się z mistrzem przed walką.

— Nie ma mowy — odparł mu arogancko i z ustami pełnymi *chipirones** stanowiących pierwsze danie lunchu. Zapaśnik zamówił je również na drugie danie i na deser. — I powiedz twojemu paniczowi, że jak skończę z nim dzisiaj, nie będzie już miał ochoty włączyć na ring. Przynajmniej dopóki nie zrobią podjazdu dla wózków inwalidzkich.

— Jak to „paniczowi”? — odparł z teatralnym oburzeniem Carlos, pamiętając słowa Pastora: „pozbyliśmy się podwój-

* *Chipirones* — rodzaj małych kalmarów.

nego nazwiska z jego pseudonimu. Takie nazwiska są za bardzo prawicowe, nie są na czasie... pan się tym zajmie”. — Mój podopieczny — ciągnął menedżer — był skromnym dzierżawcą w Sorii, zanim go odkryłem.

— Opowiadaj innym tę bajeczkę, na kilometr widać, że to panicz. Ty zresztą też. Widziałem, jak jecie melona sztuccami.

Carlos spojrział ukradkiem na Manola siedzącego w jednym z kątów sali w otoczeniu dziennikarzy, z czarnymi wypomadowanymi włosami, kręcącymi się na karku, w garniturze w prążki prosto od krawca, leżącym na nim jak ulał. Jego podopieczny, gawędzący z dziennikarzami sportowymi, z wymownością człowieka posiadającego gruntowne wykształcenie, z tym eleganckim, naturalnym stylem bycia człowieka bywałego, bez śladu egzaltacji. Spojrzął znowu na „Lwa”, z ustami pełnymi atramentu z *chipirones*, ze zrosniętymi brwiami, w swetrze z grubej wełny z golfem i zgrzebnej kurtce rozłóżącej się w szwach na ramionach i uznał, że nie warto się spierać o pochodzenie.

— No dobra, w takim razie umowa stoi czy nie?

— Nie ma mowy — rzucił „Lew”, bekając. — I dobrze ci radzę, powiedz twojemu chłopakowi, że przerobię mu plecy na worek z kulkami bilardowymi.



— Nie dogadaliśmy się — przyznał się Carlos Manuelowi na zapleczu w La Republicana, ich kwaterze głównej.

— Jasna cholera. I co teraz? — Manolo nie wiedział, jak się zachować w nowej sytuacji.

— Jeśli jutro wyjdiesz na ring z tym pierwotniakiem, będziesz trupem — Carlos streścił sytuację.

W końcu polubił Manola.

Aspirant do tytułu mistrza Hiszpanii zamilkł, analizując sytuację.

— Organizatorowi spotkania powiedziałem — ciągnął menedżer — że doszliśmy do ugody. I że my mamy wygrać. — Z wewnętrznej kieszeni nienaganej marynarki wyjął grubą kopertę wypchaną pieniędzmi. — Wypłacił mi z góry połowę kasy. To twoja część. — Popchnął kopertę po blacie stołu.

— No, to teraz na pewno jesteśmy martwi. Obaj — stwierdził Manolo, nie mając odwagi wziąć pieniędzy.

— Bierz je, nie bądź idiotą — prawie rozkazał mu Carlos. — Będziemy martwi, jeżeli zostaniemy w Madrycie jeszcze jeden dzień. Ja dzisiaj w nocy jadę do Portugalii. Już wszystko załatwiłem. Zabierasz się ze mną?

— A co niby miałbym robić w Portugalii?

— Ścigać się w rajdach samochodowych — odpowiedział Carlos, opróżniając jednym haustem szklanekę wina. — Biją tam teraz rekordy popularności. W zakładach obraca się sporo pieniędzy. A my wiemy co nieco o zakładach, nie? Jeśli się zdecydujesz, widzimy się o ósmej pod moim domem.

Pożegnali się jednym z tych uścisków, które mówią: „było pięknie, póki trwało, niech Bóg ci sprzyja, towarzyszu, i niech każdy dba o własny tyłek, bo tu kurtyna już opada”. Z pewnością nie było w tym uścisku żadnego „do zobaczenia”.



Manolo zjadł tej nocy kolację z Fornariną w bardzo eleganckiej restauracji w pobliżu kampusu uniwersyteckiego.

Kiedy poszła do łazienki poprawić *rouge* na ustach, Bonhomia włożył jej do torebki grubą kopertę pełną republikańskich banknotów, którą dał mu Garcia de la Vega. Nie przydadzą mu się tam, dokąd się udawał. Kiedy chórzystka wróciła z łazienki, wstał.

— Wyjdę na chwilę po papierosy, tutaj nie mają tych, które lubię — powiedział Fornarinie, która tego dnia wyglądała niezmiernie pięknie.

— Przecież nie palisz — stwierdziła zdziwiona.

— Bo nigdy nie mogę znaleźć mojej ulubionej marki — odpowiedział, zanim pocałował ją w usta jednym z tych pocałunków, które mówią tak wiele, że kobieta musi bardzo się starać, żeby go nie zrozumieć. I wyszedł z restauracji, nie oglądając się za siebie, wiedząc, że ona nadal na niego patrzy.

Wyszedł z postawą i wdziękiem, jakimi mogą się pochwalić tylko „panicze, którzy w dzieciństwie szczali na perski dywan zamiast na plastik”, jak mawiał jego ojciec. Pozostawił za sobą wspaniałą karierę zapaśnika. I Fornarinę, pełną godności i wyniosłą. Może nie miała klasy ani pieniędzy, ale miała dobrą sylwetkę i wyczucie sceny, w końcu była artystką.



Tej nocy „przeszedł” do nacjonalistów przez kampus uniwersytecki.

Ponieważ Manuel Fernandez de Bonhomia był mimo wszystko w czepku urodzony, miał szczęście, że przeszedł na stronę rebeliantów akurat w sektorze kontrolowanym przez oddziały pułkownika Tomasa Maestre. Przypadek

chciał, że był to ten sam oficer, który powstrzymał jego ojca w czasie nieszczęsnego incydentu ze strzelaniną.

— Jasna cholera, Manolito, a ja byłem pewny, że się uczysz do egzaminów — powiedział wesoło, kiedy dwaj legionieści przyprowadzili mu go do punktu dowodzenia.

Maestre oddał go natychmiast pod rozkazy chorążego Jaimego Riestry.

— Jest w twoim wieku. Właśnie skończył prawo, dobry z niego oficer. Jego jednostka jest na pierwszej linii i zawsze mnie prosi o dobrych strzelców. Ma obsesję na tym punkcie. Więc nie spieprz tego, Manolito, i zachowuj się tam na górze. Kto wie, może ucieszymy czymś wreszcie twojego ojca. Co było, to było.

Maestre był dobrym oficerem, dobrym człowiekiem i dobrym przyjacielem rodziny. I najpewniej po raz drugi uratował Manolowi życie. „Połowa z tych, co do nas przechodzą, to czerwoni, którzy chcą zmienić stronę w ostatniej chwili i kończą pod ścianą; miał pan szczęście, że pułkownik pana zna”, powiedział mu sierżant, który zaprowadził go do chorążego Riestry.

Riestra wywarł dobre wrażenie na Manolu. Był wysokim, dobrze zbudowanym mężczyzną. Jego rodzina miała korzenie, ale on sam przeniósł się w bardzo młodym wieku do Madrytu, gdzie skończył studia. Jednocześnie zarządzał dużym majątkiem z sadami w Leridzie.

— Owoce w zalewie, najlepsze w Saragossie. Sprzedajemy je w całym kraju. Raczej sprzedawaliśmy, wojna wszystko powywracała do góry nogami, wie pan najlepiej.

Od razu zaprzyjaźnił się z Manolem.

Pewnej nocy spędzonej przy alkoholu i kartach, między

służbą a służbą, rozmowa zesłała na tematy osobiste. Fernandez de Bonhomia, który był dobrym obserwatorem, zauważył apatię pojawiającą się czasami w spojrzeniu chorążego. Ten człowiek miał jakiś sekret i niedoszły inżynier agronom postanowił go odkryć.

— Z całym szacunkiem, panie chorąży — zagaił w zaciszu schronu, z odległym głuchym echem dział republikańskich w tle. — Zauważyłem, że pana coś martwi, jakby jakiś smutek odrywający pana od rzeczywistości. Nie chcę się wtrącać w życie innych, ale martwię się o pana, zwłaszcza jak gramy razem w brydża i wistuje pan pod stolik.

— Jest pan człowiekiem, który zwraca uwagę na szczegóły, Bonhomia, a to rzadko spotykana cecha. Tak, po co się wypierać, dręczy mnie pewien problem. Opowiem panu moją historię.

Podniósł się i sięgnął do kieszeni płaszcza wiszącego na zaimprovizowanym wieszaku. Pokazał mu zdjęcie pięknej kobiety, blondynki, pozującej na placu Hiszpańskim w Saragossie.

— Piękna, panie chorąży.

— Moja narzeczona, Marta Ramos de Terren y Bescós, cioteczna siostra don Javiera de Terren, gubernatora Saragossy. Świetna rodzina. Chodzi o to, że pozostaję w relacji z tą panią od trzech lat. I jestem w niej szczerze zakochany. Mieliśmy się pobrać we wrześniu, ale sam pan wie, wojna, jak w przypadku owoców w zalewie, wywraca wszystko do góry nogami.

— Mam nadzieję, że pana narzeczona ma się dobrze.

— Tak, tak. Nie ma obawy. Jest absolutnie bezpieczna w Saragossie. Będziemy mogli się pobrać w przyszłym

roku, kiedy dadzą mi przepustkę. Problem leży gdzie indziej. To jest problem — powiedział, wyciągając drugie zdjęcie, tym razem z kieszeni bluzy. Było to zdjęcie pięknej kobiety, brunetki, ubranej w biustonosz i majtki upstrzone świecidełkami i cekinami. Skąpe odzienie pozwalało dokonać szczegółowych oględzin anatomii dziewczyny.

— Cholera jasna! — Manolo nie mógł się powstrzymać.

— Do tego właśnie zmierzam. Pan pozwoli, że wyjaśnię. Ana Tomares, bo tak się nazywa to dziewczę, znana też pod pseudonimem „Kanibalka”, miała być, jak by to ująć, moim przyszłym instruktorem.

— Nie rozumiem.

— Jak by to wyjaśnić... — Widać było, że czuł się niezręcznie, próbując znaleźć odpowiednie słowa i ułożyć je w zdania. — Z moim wzrostem metr osiemdziesiąt z hakiem, moim naturalnym wdziękiem i, nie będę pana okłamywał, pomimo zaczątków łysiny, nie uważam się za jakiegoś cudaka. Chodzi o to, przyjacielu... do diabła, powiem bez ogródek: miałem do tej pory bardzo ubogie życie erotyczne.

— Nawet pan nie wie, jak panu współczuję.

— Mówi pan, jakbyśmy byli na stypie, a ja nie mam problemu z funkcjonowaniem moich organów. Chcę powiedzieć, że w głębi duszy jestem produktem mojego pokolenia i mojej edukacji. Miałem wiele dziewczyn, nigdy nie miałem z tym kłopotu, ale zawsze pochodziły z mojego środowiska. Wie pan, miłe dziewczyny, z bardzo dobrych rodzin, świetnie sytuowane, ale nieznośnie wprost nietykalne.

— Wyobrażam sobie.

— Niczego pan sobie nie wyobraża, pan jest zabłąkaną kulą, libertynem i lekkoduchem. Jest pan ucieleśnieniem

sposobu życia, za jakim zawsze tęskniłem, ale do którego brakowało mi odwagi. Albo tak myślałem, dopóki nie poznałem panny Any Tomares, „Kanibalki”. — Jego spojrzenie znów się zamgliło, a na twarzy pojawił się wyraz rozmarzenia.

Manolo znał dobrze „Kanibalę”, dziewczynę z chóru teatru-cafe Variedades, lokalu o złej sławie, znajdującym się w centrum Madrytu. Nie zdarzało się, żeby byłemu zapalnikowi *catchu* umknęła jakaś dziewczyna z bohemy. „Kanibalka”, jak pamiętał, miała fatalną reputację, choć to właściwie zależało od punktu widzenia. Była prawdziwą *destroyer*, jak się mówiło w środowisku o dziewczynach jej pokroju, nic więc dziwnego, że naiwny chorąży Riestra wpadł w jej sidła.

— Proszę kontynuować, zaintrygował mnie pan.

— Jak się już pan zapewne domyślił, bo pseudonim dziewczyny jest niezłą wskazówką, rzeczona Ana Tomares była trochę kurwą.

— Jasne.

— Poznałem ją na początku roku w czasie przedstawienia w Variedades. Był to lekki musical, bardzo zabawny, nazywał się chyba *Natychmiast zabiłam moich trzech mężów*. Jak mówię, utwór lekki, zakończony wspaniałym striptizem panny Tomares.

— Cóż, może go wznowią, jak skończy się wojna.

— Nie chciałbym rozwiewać pańskich nadziei, Fernandezie de Bonhomia, lecz jeśli my wygramy, będzie pan musiał na to długo czekać. Ale do rzeczy. Wszystko odbyło się, kiedy poszedłem na sztukę po raz dwunasty. Myślę, że panna Tomares zwróciła na mnie uwagę już wcześniej-

niej, może dlatego, że zawsze siadałem przy tym samym stoliku.

— Może dlatego.

— Rzecz w tym, że tej nocy, kiedy zdjęła majtki, rzuciła je z gracją w moją stronę. Przewróciła przy okazji whisky, którą się oblałem, ale była uprzejma przyjąć mnie w swojej garderobie, gdzie mogłem się osuszyć. — Jego spojrzenie znów się zamgliło na samo wspomnienie spotkania.

— Przypuszczam, że tam się wszystko zaczęło.

— Cóż, ja już spotykałem się z Martą, moją narzeczoną, która ma zostać moją żoną oraz matką moich dzieci i w której jestem głęboko zakochany, jak już wspomniałem.

— Tak, powiedział mi to pan na początku.

— Ale ciało jest słabe, przyjacielu, a ciało „Kanibalki” jędrne.

— Mogę sobie wyobrazić, patrząc na zdjęcie.

— Zbliżyłem się do niej. Poszliśmy kilka razy na kolację, na tańce... i opowiedziałem jej o moich problemach, tak jak teraz opowiadam o nich panu. — Westchnął głęboko. — Widzi pan, moja przyszła żona uważa mnie za światowca, *bon vivanta* i trochę drania. Takie stworzyła sobie o mnie wyobrażenie, nic na to nie poradzę, tylko na podstawie mojego wyglądu. Jestem kompletnym żółtodziobem, Bonhomia, a w żadnym razie nie chciałbym zawieść mojej żony w noc poślubną i w „Kanibalce” zobaczyłem ratunek. Zawarłem więc układ z panną Tomares: miała być moją przewodniczką po burzliwym świecie seksu. Nie chcę się wdawać w szczegóły, mam wysokie ciśnienie i od razu się duszę na samą myśl o technikach, jakie mi obiecała... — urwał, żeby nabrać powietrza. — A wszystko w zamian za samochód.

— Samochód?

— Tak, jak już wspomniałem, „Kanibalka” była trochę kurwą i nie było możliwości, żeby otrzymać coś gratis. Zgodziłem się, mieliśmy fantastyczne zbiory owoców tamtego roku i mogłem zaoszczędzić trochę grosza i kupić jej używany samochód we Francji. Wszystko było załatwione.

— I? — Manolo nie mógł się doczekać końca tej opowieści.

— Piątego sierpnia moją posiadłość w Lendzie zdobyła kolumna anarchosyndykalistów pod dowództwem Durrutiego. Skolektywizowali mi majątek, zbiory zgniły na drzewach i w magazynach, zostałem bez samochodu i już nie zobaczyłem „Kanibalki”. — Jego oczy wypełniły się łzami.

— Szesnastego sierpnia przeszedłem do narodowców — powiedział, wydmuchując nos w chustkę z wyhaftowanymi inicjałami, którą wyjął z kieszeni spodni.

— Polityka zawsze wszystko psuje, panie chorąży.

— Mogłem zostać w kapitanacie w Sewilli, z Quiepem, który jest dobrym przyjacielem rodziny, ale w listopadzie poprosiłem o przeniesienie do Madrytu. A wie pan dlaczego? — Jego oczy błyszczały z furii.

— Żeby wreszcie bzyknąć „Kanibalke”?

— Nie, nie. Nie liczyłem już na to. — Jego spojrzenie miało teraz gromy. — Dowiedziałem się, że Durruti przeniósł się do Madrytu, żeby brać udział w obronie miasta. Więc chciałem być w Madrycie, bo obiecałem sobie ustrzelić go za to, co mi zrobił — wyznał niemal uroczyście, ze wzrokiem utkwionym w jakimś punkcie na przeciwległej

— Cóż, sam pan zobaczy, przejdzie panu, jak się pan ożeni. Niech się pan tak tym nie przejmuj, Hiszpanom dobrze idzie improwizacja.

— Nie, nie, Riestrowie nie zmieniają zdania i rozwalę gościa. Do tego chciałem dojść w naszej rozmowie, bo w rzeczywistości to pan go rozwali.

— Ja?

— Nie jest pan strzelcem wyborowym? Jeżeli może pan zabić jelenia na górze z ośmiuset metrów, dlaczego niby nie mógłby pan ustrzelić sukinsyna w kampusie z czterystu?

— Cóż, jeśli tak pan to widzi...

— Nie ma innego sposobu. Poza tym to rozkaz.



Rozkaz nadszedł naprawdę 19 listopada. Tego dnia liczni obserwatorzy wykryli obecność Durrutiego na froncie kampusu. Dokładnie rzecz biorąc, w sektorze kontrolowanym przez sekcję chorążego Riestry. Manolo został wezwany w trybie pilnym do stanowiska dowodzenia.

Chorąży przyjął go, stojąc przy stole, na którym leżała mapa okolicy.

— Jest tutaj. — Pokazał, opierając palec wskazujący na planie. — Obok szpitala klinicznego. Wie pan, co trzeba zrobić. Niech mnie pan nie zawiedzie, Bonhomia. Od miesięcy czekam na taką okazję. — Był podekscytowany, prawie jak w gorączce, włosy miał w nieładzie, a oczy szeroko

— Proszę się nie martwić, panie chorąży. — Manolo zasalutował i skierował się do wyjścia.

— Chwileczkę — Riestra podszedł do szafy, z której

wyjął podłużny przedmiot owinięty w koc. — To dla pana — powiedział, podając mu go. — Jeżeli się panu uda, może ją pan zatrzymać.

Manolo odwinął ostrożnie materiał. Była to strzelba z teleskopowym celownikiem.

— Jasny szlag, panie chorąży, gewher czterdzieści trzy, wspaniała broń — powiedział, ważąc strzelbę w dłoniach, półautomat kalibru 7,92, z optyką Zeissa.

Trafia do celu na tysiąc metrów.

— Wygrałem ją w pokera od jakiegoś niemieckiego porucznika z legionu „Condor”. Wie pan — powiedział ze smutkiem — kto ma szczęście w kartach, ten nie ma szczęścia w miłości.



Leżąc na osłaniającej go skarpie, Buenaventura Durruti obserwował przez wojskową lornetkę bitwę toczącą się w szpitalu klinicznym. Jego bojówki przejęły budynek przez zaskoczenie, w śmiałym ataku frontalnym. Usunęli żołnierzy przeciwnika z pierwszego piętra, ale nie spodziewali się zaciętego oporu grupy falangistów i członków straży, którzy umocnili się na wyższych piętrach. Trwała walka o każdy pokój.

— Manzana, musimy za wszelką cenę zdobyć szpital.

Sierżant Jose Manzana przytaknął, jego szef nie mógł sobie pozwolić na więcej wpadek ani więcej reprimend od znienawidzonych wojskowych hierarchów. „Bojówki tak, żołnierze nigdy”, jak mawiał.

Dzień nie zaczął się dla Durrutiego najlepiej. Właściwie to, co się wydarzyło rano, było logicznym wynikiem wielu

dni porażek anarchosyndykalistycznego lidera. Wszystko szło źle od samego początku jego pobytu w Madrycie. Może nie powinien był nigdy tu przyjeżdżać. Ale prosił go o to „prawie na kolanach” ten rząd tchórzliwych zwiewających w rozpacz do Walencji. „Tylko pan i pańskie kolumny możecie ocalić Madryt”. Wmówili mu to albo sam w to uwierzył, wszystko jedno. W każdym razie pojechał ratować Madryt. „Jeśli Madryt upadnie, upadnie republika”, powiedzieli mu.

Włączył się do walk za wcześnie, 15 listopada, ze swoimi ludźmi i kolumną Lópeza-Tiendy. Miał zapobiec przejściu oddziałów Vareli przez Manzanares. Wysadzili most Francuzów, żeby zatrzymać marsz faszystów, ale wszystko na nic, przebili się tego samego popołudnia. Jego bojówki uciekły gdzie pieprz rośnie na widok pierwszych oddziałów regularnych wojsk. Niektórzy dobiegli aż do Modelo.

Doszło do rażących błędów taktycznych, choćby kiedy kolumna Lópeza-Tiendy opuściła swoje pozycje, nie czekając na oddział mający ją zmienić. „Czego można oczekiwać od żołnierzy, którzy głoszą w okopach, atakować czy nie?”, prychnął pułkownik Roj o na bardzo nieprzyjemnej odprawie, jaka odbyła się tego ranka.

Całkowity brak koordynacji anarchistów zamienił na kilka godzin Madryt w „miasto otwarte” dla buntowników. Tylko dzięki brakowi wystarczających sił w oddziałach Vareli, by przeprowadzić ostateczny atak i dzięki wspaniałej interwencji 11. Brygady Międzynarodowej, która umocniła front, udało się ocalić stolicę.

Durruti był świadom tego wszystkiego. Najgorsze jednak było to, że ten dewot Roj o, szef sztabu generalnego, też o tym wiedział.

— Maurowie mają karabiny maszynowe... — Pamiętał dobrze, jak bąkał wymówki przed oficerem republikańskiego wojska.

— Wszystko pan spieprzył! Pewnie widzieliście też działa i granaty! A jak według was mieli z nami walczyć? Rzucając w nas szkaplerzami? — Rojo krzyczał w szale, wyglądał, jakby był na skraju załamania nerwowego, kiedy okrażał szybkimi krokami biurko. — To jest właśnie problem, mój panie, że wy się jeszcze nie zorientowaliście, co to jest wojna! Wydaje wam się, że idziecie straszyć mniszki albo porozganiać paniczów w ich majątkach! — Drżącym palcem wskazującym mierzył w Durrutiego.

— Moi ludzie udowodnili już swoją wartość w starciu, przypominam panu, że to moja kolumna zdobyła Calpe. — Durruti próbował odzyskać stracone pozycje, przypominając natarcie, tak wspaniale wykorzystane później przez republikańską propagandę.

— A ja panu przypominam, że jesteśmy w moim gabinecie, a nie na mityngu albo w radiu. — Rojo usiadł, najwyraźniej odzyskiwał panowanie nad sobą. — Zdobyliście Calpe, bo wasze siły przewyższały pięciokrotnie załogę. Chce pan, żebyśmy pogadali teraz o pańskim szturmie na Saragossę?

Anarchista spuścił głowę. Nie chciał tego nawet wspominać. Jego kolumna rozsypała się na sam widok rebelianckiego lotnictwa. Nie mówiąc już o oskarżeniach, jakie padały pod jego adresem z powodu zabójstw i kradzieży popełnianych przez przestępców, którzy zaciągnęli się do „Durruti-Farras”. Większość tych ludzi pochodziła z masowych wyzwoleń jeńców z więzienia Modelo w Barcelonie. Mimo prób ich reedukacji niewielu zrozumiało głoszone przez niego wy-

zwoleńcze hasła. „Kolumna Durruti jest nie tyle mobilną kolumną żołnierzy, co przemieszczającym się zagrożeniem porządku publicznego”, pamiętał druzgocącą krytykę zamieszczoną w znanym komunistycznym dzienniku.

— Sytuacja się zmieniła. — Rojo, wiedząc, że wygrał tę potyczkę, nie chciał upuszczać więcej krwi i złagodził ton wypowiedzi. — Sektor uniwersytetu już nie znajduje się pod pana dowództwem. Od dzisiaj Brygady Międzynarodowe zajmą się umacnianiem tej części frontu. Pańskie kolumny będą działać jako oddziały pomocnicze. Czy ten rozkaz jest jasny, Durruti?

Anarchiście wydało się, że wojskowy podkreślił słowo „rozkaz”. Durruti posłał mu wściekłe spojrzenie, zsalutował, podnosząc pięść do skroni, i wyszedł, trzaskając drzwiami gabinetu szefa sztabu generalnego.

Rojo patrzył, jak zatrząsk w drzwiach podskoczył i spadł na ziemię. Nie pofatygował się, żeby go podnieść. Miał ważniejsze rzeczy do roboty. Między innymi ratowanie

Rozparł się w fotelu, rozcierając sobie obolałe skronie czubkami palców. Od ilu dni spał nie więcej niż trzy godziny z rzędu? Kiedy ostatni raz zjadł coś ciepłego?

Uratować Madryt. Jego obsesja. Uratować miasto za pomocą tego, co ma. Wojsko ludowe, prawie bez wojskowych dowódców, które na razie udowodniło tylko absolutną nieudolność w starciu. To, że narodowcy zaplanowali właśnie w ten sposób ofensywę na stolicę, było istnym cudem, tak jak to, że mieli zbyt mało żołnierzy. Przede wszystkim jednak cudem było pojawienie się Brygad Międzynarodowych. Dzięki nim front wreszcie się stabilizował.

Spojrzał na mapę wiszącą na ścianie, z cienkimi czerwonymi liniami, jego liniami, które obejmowały Madryt. Zamknął oczy, starając się myśleć, że na razie jego miasto, jego ukochane miasto, jest bezpieczne. Nie potrafił ocenić, na jak długo. A nie mógł tego zrobić, ponieważ dobry republikański żołnierz Vicente Rojo zapadł w sen.



Durruti podniósł się, otrzepując z kurzu i ziemi czarny skórzany płaszcz.

— Idziemy do samochodu. Chcę pojechać na drugą stronę szpitala, zobaczymy, jak się tam sprawy mają.

Packard czekał trzysta metrów dalej, z włączonym silnikiem i wiernym szoferem Juliem Gravesem, opartym o maskę i czytającym zaległy numer „Libertarios”.

— Julio, pojedziemy dookoła szpitala.

— Jak sobie życzycie, towarzyszu.

W tej chwili Durruti odwrócił się, słysząc szybkie kroki. Była to grupa walczących z kolumny Libertad, która najwyraźniej kierowała się na tyły wojsk.

— Dokąd wy lezicie, do diabła? — krzyknął do nich.

Grupa zatrzymała się na dźwięk głosu swego wodza.

— Szliśmy coś zjeść, towarzyszu.

Twarz Durrutiego stężała nagle, odwrócił się do Manzany i wyrwał mu z rąk strzelbę. Wycelował w żołnierzy.

— Albo wracacie natychmiast na pozycje, albo was powystrzelam!

Grupa odwróciła się na pięcie i bez słowa ruszyła biegiem, skąd przyszła. Durruti odwrócił od nich wzrok.

— Masz ich zlokalizować i zabrać im legitymacje i broń. Ci tchórze nie mogą być anarchistami — powiedział sierżantowi Manzanie, a jego twarz odzyskiwała powoli naturalny kolor.

Nie wypuszczając z ręki broni, podszedł do tylnych drzwiczek samochodu.



Strzelec od dwudziestu minut obserwował obu żołnierzy. Obiekt musiał znajdować się około ośmiuset metrów od niego i stanowił bardzo kiepski cel dla kogoś leżącego na zboczu, naprzeciwko szpitala.

Strzelec wiedział, że prawdopodobnie nie będzie miał okazji strzelić po raz drugi, postanowił więc czekać. Cel musi wrócić do samochodu, może wtedy nadarzy się lepsza okazja.

Zgodnie z przewidywaniami, cel podniósł się i podszedł do auta. Zatrzymał się na chwilę, żeby porozmawiać z kierowcą. Strzelec zaczął kontrolować oddech. Zdjął ostrożnie osłonę z celownika, teraz błysk szkła mógł zdradzić jego pozycję, musiał więc działać szybko. Jego puls zwolnił. Tak właśnie powinno być, żadne drżenie ciała nie powinno przenieść się na ramiona i nadgarstki; nic nie powinno wpłynąć na pewność ręki. Strzelba i on byli jednością. Głowa żołnierza pojawiła się w centrum celownika. Nie może chybić. Palec wskazujący prawej ręki zaczął naciskać na cyngiel, bardzo powoli. Wtedy na twarzy mężczyzny pojawił się wyraz wściekłości i zniknął z pola widzenia.

Odnalazł go. Teraz najwyraźniej z kimś się kłócił, mierząc do rozmówcy z broni odebranej stojącemu obok towarzyszy-

szowi. Kłótnia się skończyła. Szofer otworzył tylne drzwi samochodu, zasłonił ciałem cel; potem odsunął się, ustępując mu z drogi, i strzelec zobaczył na ułamek sekundy jego plecy, kiedy schylał się z karabinem w rękę, żeby wsiąść do auta. Nacisnął spust.

Durruti poczuł uderzenie w plecy i odruchowo zacisnął prawą rękę na spuście karabinu, który wystrzelił wewnątrz samochodu. Czuł, jakby coś rozrywało mu wnętrzności. Nagle zaschło mu w ustach, a nozdrza wypełnił cierpki zapach prochu.

Fernandez de Bonhomia przykrył dokładnie celownik i odczekał kilka minut, zanim wstał. Tyle, ile potrzebował, żeby uspokoić oddech i przywrócić normalną pracę serca.

Wracając do swoich, zobaczył chorążego Riestrę, który biegł w jego kierunku. Manuel zastanawiał się, jak przekazać mu wiadomość. „Panie chorąży, właśnie stracił pan strzelbę”.



Naczelnik stacji w Grodnie otworzył drzwi swojego gabinetu. Do pokoju weszli z plecakami na ramionach Diego, Jaszczurka i sierżant Fernandez de Bonhomia. Wundermann zerwał się z krzesła, jakby był na sprężynie. Na jego twarzy malował się szeroki uśmiech. Trzej przyjaciele uściskali się w milczeniu.

Strzelcowi, który obserwował tę scenę z boku, wydało się, że Jaszczurka płacze.

*Front leningradzki,
8 listopada 1941*

Wstawał świt. Pierwsze promienie budzącego się słońca o bladym, niemal białym odcieniu walczyły, próbując przedrzeć się przez kłęby lodowatej mgły nadciągającej znad Newy.

Wündermann oddychał z trudem. Nie było to łatwe przy ponad trzydziestostopniowym mrozie. Miał wrażenie, że wdychane przez niego powietrze zamienia się w płucach w lodowe igielki. Jak długo będą jeszcze siedzieli w lesie? Spojrzał na prawo. Obok niego przykucnął Hotz ukryty za gęstym krzakiem, obserwując płamę drzew znajdujących się naprzeciwko, poza prześwitem. Nic się nie działo.

Byli tam wszyscy: Tania, Jaszczurka, Fernandez de Bonhomia, Hotz, Sanchez i on. Trwali w dziwnym czuwaniu, w oczekiwaniu na coś, co, jak przeczuwał Jose Manuel, miało zmienić ich życie.

Czekali na umówiony znak ich kontaktu z Ermitażu, żeby wejść do miasta.

Wündermann próbował uporządkować wspomnienia. Sposób dobry jak każdy inny, żeby zabić czas i nie myśleć o zimnie.

Od spotkania z przyjaciółmi na stacji w Grodnie, odległego już 25 sierpnia, wydarzyło się wiele.

Pamiętał doskonale straszny marsz od polskiej granicy do frontu pod Leningradem. Pokonali na piechotę tysiąc trzysta kilometrów i 12 października dotarli na linię walk.



Dziewiętnaście tysięcy ludzi wchodzących w skład 250. dywizji piechoty, tak zwanej Błękitnej, ruszyło w drogę nazajutrz po przybyciu do Grodna.

Musieli przebyć na piechotę odległość dzielącą ich od frontu. Wieść spadła na dowództwo niemieckie jak kubeł zimnej wody. Dwieście pięćdziesiątka została uznana za „dywizję hipomobilną”. Żeby ułatwić transport najcięższego sprzętu, Wehrmacht udostępnił im prawie dwa tysiące koni i niemal setkę „Tak właśnie musiał wejść do Rosji Napoleon”, zauważył Fernandez de Bonhomia, widząc niekończącą się kolumnę ludzi i koni, która ginęła na zasnutym śniegiem horyzoncie rosyjskiego stepu.

Trzeciego dnia marszu członkowie dywizji zaczęli zdawać sobie sprawę ze skali i wyniszczających skutków niemieckiej inwazji.

Pozostałości po bitwie nadal były widoczne. Kolumna hiszpańskich ochotników omijała je, posuwając się naprzód. Setki spalonych pojazdów z obnażonymi poczerniałymi

podwoziami. Resztki wyposażenia sowieckiej artylerii, wśród których spoczywały ciała ich właścicieli, zamrożone i straszliwie okaleczone. Minęli setki trupów sowieckich żołnierzy, którzy padli w ciężkich bojach. Wiele leżało tam już ponad dwa miesiące, nikt nie miał jednak czasu na organizowanie pochówku. Tylko Niemcy chowali lub odsyłali do domu swoich zmarłych, Rosjanie wycofywali się zbyt szybko, żeby pochować swoich towarzyszy broni.

Cywilom nie powiodło się dużo lepiej. Wsie, których nie zrównały z ziemią bomby niemieckiego lotnictwa czy artylerii, znikwały z mapy na skutek stalinowskiej polityki „spalonej ziemi”. Nic, co mogło przydać się Niemcom, nie zostało na tyłach wycofujących się wojsk, ani jeden gwóźdź, ani jedno ziarno pszenicy.

Wündermann był pod wrażeniem wędrówki, rosyjskiego klimatu i pejzażu.

W sierpniu musieli znosić upały stepowego lata. Wiele razy zakrywali sobie twarze chustkami i szalikami, żeby nie udusić się od pyłu podnoszonego przez nich samych na wyschniętych drogach pokrytych sproszkowanym błotem o czerwonym odcieniu. Lub żeby nie uwędzić się w dymie nadlatującym z płonących pól, który ogłaszał ich nadejście. Spichlerz Europy zamieniał się w gigantyczną plamę popiołu. Wszystkie uprawy trawień ogień podkładany przez saperów wycofującej się Armii Czerwonej.

We wrześniu nastały deszcze, a drogi zamieniły się w pułapki z mułu i błota. Sprzęt artyleryjski zapadał się w bajorach, które Niemcy, z uporem godnym lepszej sprawy, nazywali drogami, wśród wściekłego kopania ciągnących go mułów, błyskających białkami oczu ze strachu i wyczer-

pania w sięgającym im po szyję błocie. Setki zwierząt zginęły w pułapkach z zimnego, gęstego mułu, który próbował wessać wszystko, co ośmielało się rzucić mu wyzwanie.

Na początku rosyjskiej jesieni zaczęli mijać pierwsze kolumny radzieckich jeńców. Początkowo dziesiątki, później setki, jeszcze później tysiące. Szli wolno i ociężale pod ścisłym nadzorem partyjnej milicji SS, w stronę odległego przeznaczenia, na tyłach niemieckich wojsk, zawsze na Zachód. Niektórzy szli bez butów, wielu było rannych, większość miała puste spojrzenie, jakby pozbawione życia. Spojrzenie ludzi pokonanych i upokorzonych. Wundermann widział już wcześniej ten wzrok, w czasie hiszpańskiej wojny

Każda kolumna więźniów pozostawiała za sobą rowy pełne rosyjskich trupów. Wszyscy mieli w karku ślad po kuli. Należeli do tych, którzy, z tego czy innego powodu, nie nadążali za tempem marszruty.

Im dalej na wschód, tym więcej mijali grup z jeńcami i tym były liczniejsze. Czasami mijali godzinami niekończące się szeregi pokonanych żołnierzy Armii Czerwonej.

Były też chwile, które Wundermann wspominał z przyjemnością. Kiedy dywizja rozkładała się obozem w pobliżu jakiejś cudem ocalałej wsi, Hiszpanie bratali się wesoło z rosyjskimi wieśniakami. Być może przypominali im rolników z ich ziem. Może widzieli w niezrozumiale pogodnych oczach staruszków zagubione wspomnienie dziadków z Hiszpanii. Lub może urocze rosyjskie dziewczyny przypomniały niektórym narzeczone, które zostawili w swoich miasteczkach.

To mieszanie się i współczucie dla rosyjskich cywilów

doprowadzały Niemców do szału. Wehrmacht uznawał hiszpańsko-rosyjskie braterstwo za kolejny przykład braku dyscypliny w czystej postaci, jakiemu hiszpański oddział dawał wyraz nieustannie.

W ostatnich dniach września deszcz zmienił się w śnieg, a temperatura zaczęła gwałtownie spadać. Dni z piętnasto- czy dwudziestostopniowym mrozem uznawano za raczej ciepłe. W tym czasie członkowie dywizji zaczęli zdawać sobie sprawę z istnienia drugiej strony medalu. Kontyngenty z rosyjskimi jeńcami, jakie dotąd spotykali po drodze, stawały się coraz radszym zjawiskiem. Dla odmiany, widzieli na zamrzniętych drogach karetki pełne rannych Niemców jadące w stronę szpitali na tyłach. Początkowo były to sporadyczne przypadki. Z nadejściem października karetki zastąpiły długie karawany wypełnionych rannymi ciężarówek, niewątpliwym znak, że szpitale na froncie były już przepełnione.

Mimo że Niemcy odpowiednio rozprawdzali i cenzurowali raporty z kampanii według własnego uznania, dla żadnego hiszpańskiego ochotnika nie było tajemnicą, że rosyjska kampania nie idzie już tak dobrze, jak na początku działań wojennych. Udana inwazja niemiecka wyglądająca na drugą edycję wojny błyskawicznej, która zadziwiła cały świat, zaczęła zwalniać tempo i groziła coraz bardziej ugrzęźnięciem w rosyjskich śniegach.

Leningrad był obleżony, ale wciąż się bronił, Moskwa odparła brutalny atak niemieckich sił i najwyraźniej ustabilizowała swój front. W Stalingradzie walczone o każdy dom na przedmieściach wyniszczzonego miasta, ale na budynkach w centrum wciąż powiewała czerwona flaga.

Wündermannowi przypomniła się nagle uwaga Manola,

kiedy porównał ich marsz do pochodu wojsk napoleońskich. Miał tylko nadzieję, że tej garstce Hiszpanów nie przyjdzie wycofywać się z Rosji tak samo jak Korsykaninowi.

Wraz z wrześnieowymi śnieżycami przyszły pierwsze potyczki z rosyjską partyzantką.

Marszrutę były ciągle wyczerpujące i zdawały się nie mieć końca. W rezultacie Wundermann, mimo że początkowo nie chciał brać udziału w konflikcie, ucieszył się szczerze, kiedy kapitan kazał mu urządzić rekonesans w poszukiwaniu grupy partyzantów, którzy w ostatnich dniach nie przestawali nękać ich oddziału.

Wziąwszy dwunastu ludzi, poszedł ich śladem aż do cerkiewki, w połowie zniszczonej przez bomby.

Grupa podzieliła się i otoczyła budynek. Armario jako pierwszy wszedł do świątyni. Na ścianach zachowały się jeszcze pozostałości fresków nadgryzionych przez pociski karabinów maszynowych. Część belek sufitu zapadła się, przygniatając kilka drewnianych ław, w których pewnie kiedyś modlili się wierni.

Omijając ruiny, podszedł ostrożnie do ściany, gdzie musiał znajdować się ikonostas. Ślad jego konturu był jeszcze widoczny, wskazywał miejsce, skąd go ukradziono.

Jego uwagę zwróciła wspaniała ikona, wyglądająca jakby była przybita do ściany. Nie dotykając, przyjrzał się jej uważnie. Oczy eksperta powiedziały mu od razu, że ma niewielką wartość. Zaskoczyło go to, że nie było na niej ani grama kurzu. Wyglądała tak, jakby ktoś umieścił ją tam kilka minut przed przyjściem oddziału.

Wyszedł z cerkiewki i pobiegł pochylony, by nie stać się celem pocisku, do grupy Wundermanna.

— Nie ma tam niczego ani nikogo, panie chorąży. — Armario w obecności innych żołnierzy respektował różnice szarzy. — Jeśli partyzanci tu byli, dawno sobie poszli.

— Jimenez wszedł z pozostałymi od drugiej strony, powiedz im, żeby wyszli. — Wundermann nie przestawał obserwować ruin cerkiewki, miał złe przeczucie.

Armario pobiegł z powrotem do budynku, przypominając sobie o ikonie i zapale Jimeneza w kolekcjonowaniu rzeczy, które nie należą do niego, jeśli uważał, że mają jakąś wartość.

— Nie dotykaj, to należy do świątyni — młody żołnierz zbeształ sierżanta.

— „To”, jak to ująłeś, to autentyczna ruska ikona, która jest warta kupę szmalu, chłopcze — odparł Jimenez, oglądając piękny tryptyk z polichromowanego drewna. Tablica zdawała się mówić „weź mnie”, połyskując złotem tła.—I jakem Juan Carlos Jimenez, to cudo pojedzie ze mną do Madrytu.

Pozostali czterej żołnierze obserwowali tę scenę z niesmakiem. Tak czy inaczej stopień to stopień i żaden z nich nie odważyłby się przeciwstawić sierżantowi. Podoficer podniósł ostrożnie ikonę, żeby oderwać ją od drutów mocujących do ściany.

— Zostaw to natychmiast, Jimenez, to rozkaz chorążego! — krzyknął Armario od drzwi cerkwi.

— Cholerni seminarzyści — zmełł przekleństwo Jimenez, odrywając obraz od ściany, nie patrząc nawet na kolegę.

Ukazał się przyczepiony do spodu ikony kabel, który uruchomił mechanizm miny przeciwczołgowej przymocowanej po drugiej stronie muru.

Sucha, gwałtowna eksplozja rozbiła w drobny mak to, co zostało ze ściany i ikonostasu. Część tego, co jeszcze

pozostało nietknięte, rozpadła się teraz z hukiem. Cerkiew spowiła gęsta chmura dymu, mieszanki prochu i ceglanego pyłu.

Fala wybuchu „wypluła” Diega przez drzwi, odrzucając go siedem metrów od budynku. Miał szczęście, nie dosięgnął go żaden z grubych kawałów muru wyrwanych przez bombę.

Przez kilka sekund leżał nieruchomo na plecach z szeroko otwartymi oczami.

Usiadł wreszcie obolały po locie i upadku, ale cały i zdrowy.

Jimenez i pozostających pięciu ludzi nie mieli tyle szczęścia. Wszyscy zostali w środku pogrzebani pod tonami gruzu.

Wündermann pomógł Diegowi wstać. Pozostali żołnierze patrzyli z przerażeniem na resztki budynku, owianego jeszcze smugami chmury pyłu, jaka podniosła się po wybuchu.

— Są w lesie. Na dwunastej — powiedział Bonhomia, który również pomagał wstać Diegowi.

— Jak to? — zdziwił się chorąży.

— W lesie. Widziałem odbłask światła. Celownik albo lornetka. Obserwują nas. Nie patrz — poradził mu sierżant, otrzepując z pyłu mundur kolegi, który cały czas lekko drżał.

— Co możemy zrobić?

— Udajmy, że wracamy do naszych, zawróćmy i zaskoczmy sukinsynów od tyłu.

— Dobrze, sierżancie. — Podniósł głos. — Proszę zebrać ludzi, wracamy do dywizji. Nie mamy tu już nic do roboty.



Zostawili cerkiew za plecami. Nawet nie próbowali wydobyć ciał spod gruzów. Partyzanci tylko czekali na taką

okazję, żeby ich zaatakować. Zresztą, ten grób był tak samo dobry, jak każdy inny.

Kiedy zmienili kierunek, żeby zejść przeciwnika od tyłu, zaczął padać śnieg. Gdy dotarli do lasu, partyzantów już nie było.

— Ci Rosjanie nie są tacy głupi — zauważył Armario.

— Pewnie dzięki temu są jeszcze żywi — powiedział chorąży, oglądając ślady butów i zgniecioną trawę.

— Oddział sześć- lub siedmioosobowy. — Bonhomia jako doświadczony myśliwy potrafił odczytać ze śladów wszystkie możliwe informacje. — Poszli na północ. — Ich ślady zniknęły szybko poza lasem, przysypane śniegiem. — Musi tam być jakaś chata, w której spędzą noc. Moglibyśmy zaskoczyć ich o świcie.

Wündermann postanowił kontynuować polowanie. Młodzi ochotnicy, pogrzebani pod gruzami, nie zasługiwali na taką śmierć. Wiedział, że niektórzy z nich skłamałi na temat swojego wieku w formularzach komisji rekrutacyjnej i nie mieli więcej niż szesnaście lat. Chciał się zemścić za swoich ludzi i przeraził się, widząc, że jest zdolny do takich uczuć. Może to ta przeklęta wojna go zmieniła. Poczł nagle głębką urazę do Hotza. I po raz pierwszy poczuł też, że jest jedynie pionkiem w jego grze.

Tej nocy biwakowali w lesie. O świcie spróbują jeszcze raz. Do kolumny dołączą później.



Podjęli poszukiwania partyzanckiego oddziału z pierwszymi promieniami słońca. W południe zobaczyli niewielkie gospodarstwo pośrodku

puszki, jak obraz malowany akwarelą w bezkresnej bieli rosyjskiej niziny.

Była to skromna chata z pustą zagrodą dla zwierząt i zaszypanym śniegiem sadem. Właściciele posadzili w nim kilka drzew, które pokazywały teraz zimowe szkielety.

Grupa w maskujących skafandrach podeszła do opuszczonego gospodarstwa.

Wündermann kazał Diegowi sprawdzić otoczenie przez lornetkę, zanim oddział zacznie zajmować pozycje w budynkach.

Po partyzantach nie było śladu.

Nagle drzwi chaty otworzyły się, i stanął w nich niemiecki żołnierz. Ciągnął za sobą drewniane krzesło, a na ramieniu niósł długi zwinięty powróż.

— Coś mi się zdaje, że nas uprzedzili — szepnął Armario.

Z domu wyszedł drugi Niemiec, lekko się zataczając.

Niósł opróżnioną do połowy butelkę wódki. Jego spodnie i przód munduru były pokryte skrzepłą krwią. Wyglądał jak podpity rzeźnik.

— Nie mają dystynkcji na mundurach — zauważył strzelec, który obserwował obu mężczyzn przez teleskopowy celownik strzelby. — To dezerterzy. Pewnie należeli do batalionu karnego. Kiepska sprawa.

— Może powinniśmy sobie pójść — stwierdził zawsze ostrożny Jaszczurka. — Jeśli partyzanci byli w gospodarstwie, te typy już na pewno zrobili za nas całą robotę. Spójrzcie, ten od butelki jest cały upaprany krwią.

— Poczekajcie — uciął chorąży. — Może w chacie nie było Rosjan.

Nadal leżeli na śniegu, obserwując żołnierzy na podwórku przed domem.

Ten, który niósł linę, rzucił ją do góry, żeby przewiesić przez najgrubszy konar jednego z nagich drzew. Drugi postawił pod nim krzesło.

— Chodźmy — upierał się Jaszczurka. — To na pewno nie będzie przyjemne.

Żołnierz mocujący linę, z wprawą, jaką daje praktyka, zrobił na jej końcu zaciskającą się pętlę. Drzwi chaty znów się otworzyły i stanęli w nich kolejni dwaj żołnierze wlokący za sobą dziewczynę. Wundermannowi wydała się niezwykle młoda, była właściwie dzieckiem. Miała ręce związane na plecach.

— Zejdziemy do nich — powiedział Wundermann, pod nosząc się i strzepując śnieg z kombinezonu. — Manolo, zostań na pozycji i osłaniaj nas w razie czego. Pozostali niech przygotowują broń.

Hiszpanie zeszedli gęsiego na podwórze zagrody, zachowując się jak rutynowy patrol. Pierwszy zobaczył ich trzymający butelkę z wódką podpity grenadier. Dziewczyna stała już na krześle z pętlą na szyi.

Wundermann podniósł dłoń w przyjaznym geście.

— Załadujcie broń — rzucił kolegom dezenter wyglądający na szefa, spluwając głośno w śnieg i zmniejszając pętlę na szyi dziewczyny.

Chorąży podszedł do niego.

— Dzień dobry, towarzysze. Jesteśmy hiszpańskimi ochotnikami z dwieście pięćdziesiątej. Zgubiliśmy się.

— Świetnie mówisz po niemiecku jak na Hiszpana. — Mężczyzna od liny spojrzął na niego nieufnie.

— Jestem w połowie Niemcem.

— Jasne. Nie możemy wam pomóc. My też się zgubiliśmy.

Wündermann podszedł bliżej drzewa, żeby przyjrzeć się dziewczynie. Opuściła głowę na piersi, potargane włosy w kolorze kakaowca zasłaniały jej twarz. Drżała niemal do konwulsji. Miała na sobie tylko koszulę khaki radzieckiej armii. Ledwo zasłaniała jej uda. Nogi miała gołe, stała boso na krześle, które chybotąło się pod nią. Po jej udach spływały cienkie purpurowe strużki.

— Kto to? — zapytał żołnierza trzymającego powróż.

— Partyzancka kurwa. Zaskoczyliśmy ją wczoraj w nocy, ją i jej siedmiu kolegów. Spali tu, w chałupie. Jak chcesz, możesz wejść ich obejrzeć. Leżą sobie w kawałeczkach na stole — powiedział, śmiejąc się z dowcipu.

Jego towarzysze zawtórowali mu głośnym rechotem.

— Panie chorąży, rozstawiają się w wachlarz — uprzedził jeden z młodych rekrutów, widząc, że Niemcy zajmują bojowe pozycje.

— Kim wy, jesteście, do cholery? — zapytał żołnierz od powrozu, podnosząc prawą rękę do kabury u pasa. — Co on ci powiedział? — Patrzył przekrwionymi oczami na młodego żołnierza.

— Jesteśmy Hiszpanami, towarzysze, z dwieście pięćdziesiątej. Wszyscy mówią po hiszpańsku. Tylko ja znam niemiecki.

— Mam w dupie, kim jesteście. — Żołnierz był zdenerwowany, bliski utraty panowania nad sobą. — Teraz powiesimy tę sukę i pójdziemy w swoją stronę. Więc spieprzajcie stąd. — Mężczyzna strzelał oczami na boki jak osaczone zwierzę.

Wündermann pomyślał, że może rzeczywiście tym właśnie jest, że stracił resztki człowieczeństwa dawno temu, w jakiejś bitwie, gdzieś na froncie.

W tym momencie lekki wiaterek, który podniósł małe kryształki śniegu, odsłonił twarz dziewczyny i Jose Manuel spojrzął na nią. Odpowiedziała na jego spojrzenie. Żadna kobieta nigdy nie patrzyła na niego w taki sposób. Wydało mu się, że ta dziewczyna, stojąca na progu śmierci, miała najpiękniejsze spojrzenie na świecie. Spojrzenie najdzielniejszej i najpiękniejszej kobiety na świecie.

— Nie powiesicie jej — powiedział, a w jego głosie brzmiała pewność.

— Cholera — usłyszał, jak wyszeptał za jego plecami Armario, który nie zrozumiał słów kolegi, ale zwierzył kłopoty.

Niemiec spojrzął na niego z wyrazem bezbrzeżnego zaskoczenia, po czym uśmiechnął się oblesnie.

— Co jest? Chcesz ją wcześniej przelecieć? Nawet do tego się nie nadaje. Suka ma okres i wszy.

Pozostali dezzerterzy znów wybuchli śmiechem. Niemiec od sznura również się śmiał, sięgając jednocześnie dłonią na plecy.

— Ma nóż za pasem — upредиła Rosjanka niemal idealnym hiszpańskim, nie spuszczać oczu z Wündermanna.

Ostrzeżenie przyszło w ostatniej chwili, zdążył odchylić głowę, a nóż przeleciał obok, drasnawszy go lekko w szyję.

Diego, Jaszczurka i pozostali Hiszpanie zaczęli strzelać, kiedy usłyszeli słowo „nóż”. Wündermann, upadając na ziemię, posłał serię z karabinu w stronę Niemca z powrozem.

Miał wrażenie, że mężczyzna ma w piersi arbuza, którego jego strzały rozerwały na strzępy, gdy żołnierz upadał na brudny śnieg.

Sekundy pełne wystrzałów i śmierci. Nagle w zagrodzie zapanowała cisza. Czterech niemieckich dezertarów leżało na ziemi. W zimnym czystym powietrzu unosił się kwaśny zapach prochu.

Jose Manuel znów spojrzał na dziewczynę. Jej twarz była jeszcze bardziej spokojna.

Nagle postrzelony przez chorążego Niemiec wrócił do życia. Podniósł się z ziemi ruchem przypominającym automat i usiadł. Rzucił Wundermannowi pełne nienawiści spojrzenie, jego zakrwawione usta otworzyły się, jakby chciał coś powiedzieć. Wściekły, nie zmieniając pozycji, kopnął krzesło, na którym stała dziewczyna, odrzucając je w

Armario unieszkodliwił Niemca na zawsze strzałem w czoło. Ciało dziewczyny wisiało, podskakując jak worek.

Jose Manuel podniósł się, chcąc do niej podbiec, ale seria z karabinu zmusiła go do rzucenia się z powrotem na ziemię.

— Został jeszcze jeden w chałupie! — uprzedził Jaszczurka, leżąc na ziemi jak pozostali Hiszpanie.

Chorąży próbował się podnieść, ale następna seria obrzuciła mu twarz śniegiem i błotem. Dziewczyna kręciła się teraz wokół własnej osi, miała wykrzywione usta, zsiniałą twarz i wywrócone oczy.

Nagle lina pękła i dziewczyna spadła na ziemię jak tobołek.

Niemiec ostrzeliwujący ich z domu wystawił głowę ze swojej kryjówki, nie rozumiejąc, co się stało. Drugi strzał Manola trafił go w usta, łamiąc mu kręgosłup na wysokości karku. Dezerter był martwy, zanim upadł na podłogę.

Wündermann odwrócił się, szukając strzelca. Manolo pozdrowił kolegów ze swojej pozycji, prawie osiemset metrów od nich. Jose Manuel nigdy w życiu nie widział, żeby ktoś tak strzelał. Niechętnie podziękował w myślach Hotzowi za pomysł zwerbowania tego człowieka.

Trzy dni później dogonili swoją kolumnę, która z trudem przedzierała się przez zaśnieżone rosyjskie pola. Nie było trudno ich znaleźć, wystarczyło wypatrywać zamarzniętych trupów koni i mułów.

Wündermann zdał raport kapitanowi w namiocie służącym za centrum dowodzenia. „Oddział rosyjskich partyzantów został wyeliminowany”, poinformował, pomijając incydent z niemieckimi dezerterami. Tanię, bo tak się nazywała dziewczyna, przedstawił jako wieśniaczkę, na którą natknęli się w drodze powrotnej i która poprosiła ich o ochronę. „Jako Hiszpanie nie mogliśmy jej tam zostawić samej, kapitanie”, oświadczył dramatycznie, apelując do dumy narodowej. Mimo że kapitan patrzył na niego podejrzliwie i nie uwierzył w ani jedno słowo z historii dziewczyny, Rosjanka została z dywizją.

Nie było to zresztą nic niezwykłego. Z dywizją szło prawie dwustu rosyjskich cywilów. Dziwaczna kompania składała się z wieśniaków, dezerterów, nawet żołnierzy Armii Czerwonej, którzy złożyli broń i cieszyli się dość szczególnym statusem jeńców wojennych”, z prawem do swobodnego poruszania się w obrębie kolumny.

Między Hiszpanami a Rosjanami nie biorącymi udziału w walkach panowała idealna symbioza. Ci ostatni wiedzieli, że w zamian za rozliczne usługi, jak pranie, prasowanie, sprzątanie, zdobywanie pożywienia czy drewna, otrzymywali wikt i opiekę. Trzecią część tego różnorodnego i mile widzianego towarzystwa stanowiły kobiety, w większości „narzeczone” ochotników.

— Kto cię nauczył hiszpańskiego? — zapytał Wundermann Tanię, idąc obok niej.

— Valentin. Dowódca oddziału. Hiszpański nauczyciel.

Valentin Paredes, któremu Niemcy poderżnęli gardło w gospodarstwie, „nie wchodź, te bestie powiesiły to, co zostało z Rosjan, na hakach na mięso”, był nauczycielem Szkół Wolnych w Walencji. Przyjechał do Rosji razem z jedną z pierwszych grup hiszpańskich dzieci uciekających przed wojną domową.

Tania pracowała jako wolontariuszka w Czerwonym Pogotowiu, w jednej z rezydencji, w której mieszkały dzieci, i od razu zaprzyjaźniła się z Valentinem.

— Był dużo starszy od ciebie — powiedziała ze złośliwym uśmiechem. — Miał trzydzieści trzy lata.

Jose Manuel nie chciał jej wtedy pytać, jak daleko zaszła ta przyjaźń.

— Nauczył mnie hiszpańskiego. I miłości do waszego kraju. Mówił, że tam zawsze świeci słońce, a kobiety wciąż śpiewają. I że macie piękne drzewa, na których rosną słodkie i soczyste owoce, pomarańcze. A na innych owoce żółte i kwaśne i że to cytryny. Mówił, że te owoce są jak samo życie. I że nie żyłeś naprawdę, jeśli nie spróbowałeś obydwu. Valentin był wspaniałym człowiekiem.

— Zabił sześciu moich ludzi — powiedział sucho Jose Manuel.

— To wojna, nie? Zresztą to ja przygotowałam minę — odparła wyzywająco.

— Możesz odejść, kiedy zechcesz. Nie jesteś moim więźniem.

Uśmiechnęła się do niego, po raz pierwszy od wielu dni.

Wtedy jednak Jose Manuel nie zrozumiał jej uśmiechu. „Mężczyźni nigdy niczego nie rozumieją”.

Jose Manuel już ją wtedy kochał. Zakochał się w niej, kiedy ich wzrok spotkał się po raz pierwszy, kiedy drżała bosa na drewnianym krześle, z powrozem na szyi. Zakochał się w ogromnych oczach o kształcie migdałów, których błysk miał w sobie coś dzikiego i zwierzęcego. Oczy koloru miodu, patrzące na niego uważnie, bez strachu, nad lekko rozchylonymi wargami, za długimi puklami włosów powiewającymi przy twarzy.

To uczucie było czystym szaleństwem. Zresztą musiała być bardzo młoda.

— Ile masz lat? — zapytał ją pewnej nocy, gdy siedzieli nieco na uboczu, przy ciepłe i światło ogniska, dzieląc się jedzeniem.

— Siedemnaście. A ty?

— Dwadzieścia osiem.

— Wyglądasz na starszego.

— Ty też.

— To przez wojnę. Przez nią szybko dorastamy. Nie martw się, wojna się skończy i znów będziesz miał dwadzieścia osiem lat.

— A ty?

— Ja nie. Ja będę martwa albo zostanę w Rosji. Na jedno wychodzi. — Wyrzuciła kawałek suchej gałązki, którym bawiła się do tej pory. Owinęła się płaszczem, wstała i znikła w ciemnościach.



Kolumna zatrzymała się na niemieckim punkcie kontrolnym. Esesmani mieli dość niezdiscyplinowania ochotników, którzy nieustannie łamali zasady obowiązujące w niemieckiej armii, i szukali wśród hiszpańskich ochotników rosyjskich cywilów. Wszyscy mieli wrócić na tyły wojsk, do swoich domów i wsi. Problemem większości z nich było to, że nie mieli dokąd wrócić, bo ich miasta i wsie już nie istniały. Na dwóch słupach telefonicznych Niemcy zawiesili wielkie metalowe głośniki. Oficer SS, który znał podstawy hiszpańskiego, krzychał niezamordowanie przez mikrofon ostrzeżenie: „Żaden Rosjanin z Hiszpanami; wszyscy Rosjanie bolszewicy, wszyscy Rosjanie

Jaszczurka, jak zawsze przewidujący, mimo iż nikt go o to nie prosił, sfalszował dla Tani akredytację tłumaczki przy Wehrmachcie. Ten świstek papieru prawdopodobnie znów uratował jej życie w dniu, w którym Hiszpanie stracili wielu przyjaciół, a Rosjanie wielu opiekunów.

Niemiecki żołnierz, sprawdzający dokumenty Tani, oddał je z pogardą i kontynuował poszukiwanie uciekinierów w niekończącej się kolumnie.

Wündermann, stojący do tej pory tuż za jej plecami, widząc, jak esesmani się oddalają, zapytał ją nagle:

— Valentin i ty...?

— Co Valentin i ja? — Przewiercała go wzrokiem.

— Byliście parą? — Nie patrzył na nią.

Patrzył lub udawał, że patrzy roztargniony na wzruszający rosyjski pejzaż.

— Valentin zawsze mnie kochał. Ale nie byliśmy parą, jeśli cię to martwi. — Jej wzrok również spoczął na jakimś punkcie na horyzoncie. — Mężczyzn zawsze niepokoi przeszłość kobiet. To dość dziecinne, nie sądzisz? — Wbiła w niego swoje wielkie oczy i tym razem Jose Manuel nie odwrócił wzroku.

Był głęboko zawstydzony.

— Wybacz, nie chciałem cię urazić.

— Wy, mężczyźni, nigdy nie chcecie nikogo urazić — odparła sucho.

Kolumna ruszyła.

— Tak naprawdę chciałem tylko wiedzieć, czy... czy byłaś kiedyś zakochana. — Czuł, że twarz mu płonie.

Modlił się, żeby nie zaczerwienić się w jej obecności.

Tania zaczęła się śmiać, a jej śmiech był szczery i świeży. Jak wiatr wymiatający wszystko na swojej drodze. On też się uśmiechnął. Czuł się głupi i szczęśliwy jednocześnie.

— Raz, jak miałam dwanaście lat, myślałam, że zakochałam się w jednym chłopcu. Miał na imię Jurij, był synem dyrektora naszej szkoły. Dawał mi cukierki, które podkradał ojcu. Myślałam, że go kocham, dopóki nie skończyły się cukierki, bo partia usunęła jego ojca. — Patrzyła na niego z rozbawieniem, ale wydawało mu się, że widzi w jej oczach ślad słodkiego i bolesnego wspomnienia. — Nigdy nie byłam zakochana, Jose Manuelu. - Pewnie to sięPatrzyli na siebie, a świat przestał istnieć.

— Dlaczego uratowałeś mi życie? — Czuł, że czyta odpowiedź z jego duszy, ale chciała usłyszeć, jak ją wy-

— Ej, gołąbki, kolumna rusza! — krzyknął Armario, mijając ich.

— Żołnierzu Armario, zgłosicie się dzisiaj do nocnej warty, macie halucynacje! — odparował Wundermann, odwracając się do niego i piorunując go wzrokiem.

Usłyszał za plecami śmiech Tani i wreszcie sam się roześmiał.



Im bliżej byli frontu, tym intensywniejsze stawały się ataki partyzantów. Do incydentu doszło pod Nowogrodem. Tego dnia wreszcie wyszło słońce. Po długim marszu pod zimnym i szarym niebem Hiszpanie odzyskali dobry humor. Słychać było żarty, śmiechy, piosenki. Wundermann i Tania jechali na odkrytej ciężarówce na czele kolumny. Nagle otwierający pochód kübelwagen dowódcy regimentu stanął. Jadące za nim ciężarówki ze sprzętem i żołnierzami zatrzymywały się również jedna po drugiej.

Znajdowali się pośrodku sporej polany, otoczeni gęstym lasem. Zwiadowcy, którzy wrócili z rozpoznania, rozmawiali, gwałtownie gestykulując, z pasażerami samochodu terenowego — zauważyli ślady partyzantów. Żołnierze jadący na ciężarówkach obserwowali wyczekująco obie

Nagle dało się słyszeć szczekanie. Niektórzy żołnierze wskazywali stronę, z której zdawał się dobiegać dźwięk.

Tania podniosła się gwałtownie z ławki. Była spięta.

Psy nadbiegły z prawej strony kolumny. Wyglądało, jakby pojawiły się znikąd. Było ich cztery — dwa owczarki niemieckie i dwa kundle. Biegły w stronę ciężarówek, niosąc na grzbietach dziwne plecaki, z których wystawało coś na kształt pręta lub pionowej anteny, drgającej w rytm kroków.

— Strzelaj do psów! Strzelaj, strzelaj! — krzyknęła Tania histerycznie.

Jose Manuel spojrział na nią, nie rozumiejąc, ale odbezpieczył karabin.

— Strzelaj! Niosą bomby!

Chorąży nie wahał się ani chwili. Wystrzelił serię do znajdującego się jeszcze daleko pierwszego psa. Zranione śmiertelnie zwierzę obróciło się w powietrzu, skurczyło i, upadając na ziemię, zgięło antenę. Pies zamienił się natychmiast w ognistą kulę.

Wünderman poczuł, jak gorąco ognia parzy mu twarz, ale nie przestawał strzelać. Położył następnego psa trzydzieści metrów przed stojącą przed nimi ciężarówką. Tym razem zwierzę upadło na bok i poleciało po ziemi, pchane pędem własnego biegu, zatrzymując się obok koła ciężarówki. Na szczęście wystająca z plecaka antena pozostała nietknięta, zapalnik bomby nie zadziałał.

Trzeciemu psu strzały zmiotły plecak z grzbietu, tym samym unieszkodliwiając go, ale został mimo to zabity przez innych żołnierzy, którzy też zaczęli strzelać.

Czwarty pies kierował się do drugiej ciężarówki z kolumny. Wündermann miał go na muszce, ale kiedy zaczął naciskać spust, jakiś żołnierz zeskoczył z ciężarówki i stanął na linii strzału. Instynktownie podniósł broń. Żołnierz strzelił

do psa, ale zwierzę nie przerwało gorączkowego biegu. Dotarłszy do pełnego żołnierzy pojazdu, owczarek schylił się i wszedł pod podwozie. Ciężki daimler wyskoczył w górę i stanął w płomieniach.

Tego dnia stracili jedenastu ludzi, ale jatka mogła być znacznie większa.

— Szkolą je, żeby wchodziły pod ciężarówki wroga — wyjaśniła Wundermannowi Tania tej samej nocy, po tym jak pochowali szczątki jedenastu towarzyszy. — Zamykają zwierzęta na sześć albo siedem dni, bez wody i jedzenia. Potem wypuszczają je przed ciężarówkami, pod którymi układają wodę i mięso. Po dwóch, trzech próbach psy wiedzą już, dokąd muszą iść, jeśli chcą jeść i pić. Proste, prawda? Nietrudno umocować im plecak pełen materiałów wybuchowych na grzbiecie. Długi drut, ten, który wygląda jak antena, zgina się, kiedy zwierzę wchodzi pod pojazd, i uaktywnia ładunek. Jak widzisz, człowiek wykorzysta nawet swojego najwierniejszego przyjaciela, żeby zabijać innych ludzi — jej słowa były pełne gorzkości.



Następnego dnia Wundermann poznał porucznika Cabrere i chorążych Gaspara Gonzaleza Palenzuelę i Alvara Arenasa de Valcarcel. Właściwie to oni dali się poznać, pojawiwszy się nagle w wejściu do jego namiotu.

— To ty jesteś chorąży Wundermann, ten, który strzelał do psów, prawda? — zapytał go porucznik Cabrera, tonem, jakim przełożeni zwykli pytać osoby niższe rangą.

— Tak, poruczniku.

— Moi koledzy i ja chcemy ci podziękować — jego surowy ton złagodniał. — Byliśmy w jednej z ciężarówek. Pies uderzył w koło, ale był już martwy.

— Wielkie dzięki, towarzyszu, gdyby nie wy, leżelibyśmy teraz cztery piędzi pod śniegiem. Jesteśmy twoimi dłużnikami — dodał chorąży Palenzuela stojący koło Arenasa de Varcancel, a trzeci żołnierz pokiwał gorliwie

Zaprzyjaźnili się. Kiedy się nie wie, czy się zobaczy najbliższy świt, łatwo nawiązuje się przyjaźnie.

— Zbliżcie się. — Jaszczurka, fotograf z konieczności, ustawiał ich do zdjęcia. — I uśmiechać mi się, cholera, żeby narzeczone w Hiszpanii się nie martwiły.

— W takim razie będę musiał zrobić odbitki — pochwalił się Alvaro Arenas de Valcarcel, „Alvarito Przystojniak”, jak nazywali go w regimencie.

A jednak Wundermann nie chciał się zmuszać do uśmiechu. Listonosz wojskowy, który przejechał na motorze wzdłuż całej kolumny, wykrzykując jego imię, doręczył mu tego ranka zalakowany telegram z Berlina. Na kopercie widniał stempel Kancelarii Rzeszy. Od Hotza. Jego polityczna kariera szła jak burza.

W telegramie informował go o „małym opóźnieniu naszego spotkania”. Gauleitera zatrzymywały sprawy wagi państwowej. Nie mógł dotrzeć na front leningradzki przed początkiem listopada.

Listopad. A oni, Błękitna Dywizja, dotarli na linię frontu 12 października, rozciągając się na linii pięćdziesięciu kilometrów od Krasnego Boru.

— Nie przyjedzie, sami zobaczycie, nie przyjedzie. —

Wieczny pesymizm Jaszczurki. — A my tu utknęliśmy po uszy w następnej pieprzonej wojnie.

— Przyjedzie. Za dużo ryzykuje. — Praktyczny Armario jak zawsze zachowywał stoicki spokój.



— Po co przyjechaliście do Rosji? — Pytanie Tani było bezpośrednie, jak uderzenie pięścią w twarz tuż po przywitaniu. A wyglądała, jakby była bez reszty skoncentrowana na przygotowywaniu kawy.

— Przyjechaliśmy walczyć z komunizmem — odpowiedział automatycznie Wundermann, posługując się utartym sloganem, odchrząknąwszy najpierw parę razy.

— Chciałabym porozmawiać z tobą jak z dorosłym człowiekiem, Jose Manuelu. Wojna nas postarzyła, pamiętasz?

Z jakiegoś dziwnego powodu, lub może z powodu tak oczywistego jak wszystkie nieracjonalne rzeczy składające się na to, co kobiety i mężczyźni nazywają miłością, Jose Manuel opowiedział Tani swoją niewiarygodną historię, nie pomijając żadnego szczegółu. Mimo to najwyraźniej nie zrobiła ona na Tani wielkiego wrażenia. W rzeczywistości interesowało ją tylko zakończenie.

— A kiedy „to” skończysz, wrócisz do Hiszpanii?

— Jeszcze nie znam szczegółów, ale wywiozą nas stąd. Prosto do Hiszpanii.

— Chcę pojechać z tobą—powiedziała, patrząc na niego uważnie.

— To niemożliwe. — Pragnął tego bardziej niż cegokolwiek innego na świecie.

— Mogę wam się przydać w mieście albo w muzeum. Mówię po hiszpańsku i rosyjsku, pamiętasz?

— Mamy kontakt w muzeum. Mówi po rosyjsku i niemiecku.

— Sam powiedziałeś wcześniej, że trzeba przewidywać nawet rzeczy nieprzewidywalne.

— Pozwól mi to przemyśleć. Niczego ci nie obiecuję. — Już podjął decyzję: Tania wejdzie z nimi do Leningradu.



Hotz dotarł do Krasnego Boru razem z kopiami obrazów rankiem 6 listopada. Spotkał się z marszałkiem Ritterem von Leebem w kwaterze dowodzenia i przeprowadził inspekcję jednostek 16. i 18. wraz z dowódcą niemieckich wojsk oblegających Leningrad. Na placu przed kwaterą główną Leeb ustawił jeszcze niektóre samochody Mark IV należące do wojsk pancernych, żeby zaimponować ich siłą gauleiterowi Wielkiego

— Leningrad upadnie jak dojrzały owoc w ciągu najbliższych dni, może być pan tego pewny — powiedział mu von Leeb na ucho, pełen samozadowolenia, kiedy pancerne pojazdy uruchamiały diesle, żeby wrócić na front.

— Nie powinien się pan przejmować moimi wątpliwościami, marszałku von Leeb — odpowiedział Hotz z jednym z tych uśmiechów zdolnych zmrozić serce niemowlęcia. — Powinien się pan raczej martwić wątpliwościami, jakie ma teraz nasz Führer w kwestii pańskich zdolności.

W południe zjadł drugie śniadanie z von Leebem, który podczas całego posiłku zachował śmiertelną powagę. Za-

proszono do stołu również generałów głównych niemieckich jednostek, a dzięki uprzejmości Hotza pojawił się także Augustin Muñoz Grandes, hiszpański generał dowodzący 250. dywizją piechoty. Gauleiter nie tracił nigdy zmysłu politycznego. Poza tym podejście niemieckiego dowództwa do hiszpańskiego oddziału zmieniało się powoli, odkąd Błękitna Dywizja zaczęła brać udział w walkach. Może nie byli najbardziej zdyscyplinowanymi żołnierzami na świecie, ale ich odwaga i brawura w starciach były niezwykle. „Nigdy nie miałem pod sobą tak dzielnych ludzi”, przyznał później Leeb.

Po zachodzie słońca Hotz przyjął Wundermanna w kwaterze dowództwa 263. regimentu, na obrzeżach Puszkina, trzydzieści kilometrów na zachód od Krasnego Boru.

Spotkanie nie było serdeczne. Gauleiter wyglądał na wycieńczonego. Stracił na wadze, a zyskał głębokie cienie pod oczami, które zachowały jednak przenikliwy, zimny

— Mogę cię zapewnić, że moje życie w Berlinie nie było wcale przyjemniejsze niż twoje w Leningradzie — odpowiedział na uwagę: „wyglądasz na zmęczonego”. — Podejmowane są właśnie decyzje, które wpłyną na przyszłość wojny, na przyszłość świata.

— Cieszymy się, że jesteś tutaj, zwłaszcza po tym, co musieliśmy przez ciebie znieść — powitanie Wundermanna było oschłe.

Nie kłamał. Wszyscy chcieli jak najszybciej skończyć to, co mieli do zrobienia, i wrócić do Hiszpanii.

— Ja też się cieszę, że wszyscy tutaj jesteście. Mam na myśli, że wszyscy jesteście żywi. Bałem się, że w tak

długim czasie mogło dojść do strat. W ten sposób unikniemy dalszego modyfikowania planów — nie odpowiedział na zaczepną część powitania.

— Była jakaś zmiana planów?

To pytanie najwyraźniej zaskoczyło Hotza. Zareagował natychmiast.

— Nie — odpowiedział z niemal miłym uśmiechem. — Los pozwolił mi na razie obejść się bez wprowadzania w życie któregoś z moich planów B. Nie martw się, wszystko jest w porządku.

Wyciągnął skądś butelkę brandy i nalał hojnie do dwóch metalowych kubków do kawy.

— Wejdzimy do Ermitażu ósmego — zakomunikował z porażającą pewnością, upijając pierwszy łyk. — Dziś rano spotkałem się z marszałkiem von Leebem. Tego dnia o świcie zacznie się wielka ofensywa na Leningrad. Przerwiemy front od wschodu. Celem jest zdobycie Tychwina i przecięcie linii kolejowej, którą dostarcza się zaopatrzenie do miasta. Jeśli nam się to uda, Leningrad upadnie jak dojrzały owoc — sparafrazował marszałka.

Wündermann słuchał go w milczeniu, ale nie mógł powstrzymać uśmiešku. Znał i muzykę, i słowa. Nazistowska propaganda zdobyła już Leningrad kilka razy. Sztab główny niemieckiej armii, pragnąc zadowolić Hitlera, zapewniał go wielokrotnie, że miasto zostanie zdobyte we wrześniu. Byli tak pewni upadku bałtyckiej stolicy, że kazali nawet wydrukować zaproszenia na wielką kolację z udziałem Führera, która miała się odbyć w głównym hotelu miasta, Astorii. Jose Manuel widział plik tych luksusowych zaproszeń w kwaterze głównej dywizji. Wystarczyło tylko wpisać

nazwisko zaproszonego gościa i dzień września, w którym odbędzie się wielki bankiet zwycięstwa.

Mimo to uwodzicielska siła przekonywania Hotza pozostała niezmienna. Plan wydał się prawdopodobny. Tychwin był wielkim węzłem kolejowym wciąż pozostającym pod kontrolą Rosjan. Docierały do niego wszystkie konwoje z towarami i bronią potrzebną do obrony miasta. „Tychwin to płuca Leningradu — powiedział Hotz. — Jeśli zniszczymy te płuca, chory umrze natychmiast”.

Pokazał na mapie dwa główne kierunki ofensywy.

— Zaatakujemy wszystkimi siłami z tej strony — powiedział, wskazując stylowym piórem Mont Blanc okolice Tychwina. — Rosjanie przeniosą większość sił w to miejsce, żeby spróbować zatrzymać ofensywę. Wtedy nieuchronnie będą osłabieni i gorzej strzeżeni od zachodniej flanki. — Pióro przesunęło się w stronę Uritska, leżącego prawie nad samym morzem, nad Zatoką Fińską. — My wejdziemy i wyjdziemy tędy.

— Kto wejdzie do Leningradu?

— Wszyscy, którzy wiedzą o operacji, będą pojutrze w Ermitażu.

— To znaczy Jaszczurka, Armario, Bonhomia i ja, jak rozumiem.

— Pójdzie z nami jeszcze jedna osoba, nazywa się Jose Miguel Sanchez, też strzelec wyborowy. Ósmego sytuacja w mieście będzie skomplikowana, Manolo może nie być wystarczającym wsparciem.

— W takim razie pójdzie z nami moja tłumaczka Tania. Hotz podniósł wzrok znad mapy i przyjrzał mu się uważnie, próbując zgadnąć, o czym myśli.

— Wiesz, że mamy już kontakt w muzeum. Twoja tłumaczka nie jest nam potrzebna.

— W takim razie Sanchez też nie.

Hotz oparł się, rozbawiony wyzwaniem, o oparcie nadwyręzonego fotela ze skóry, zarekwirowanego z jakiegoś sowieckiego biura, gdzie zapewne trafił z domu bogatego właściciela ziemskiego.

— Proszę, proszę. Co to ma znaczyć, współniku? Czyżby mój drogi, niezależny kuzyn znalazł sobie kobietę na zamrzniętym rosyjskim stepie?

Gauleiter musiał przyznać, że Wundermann nie przypomina już w niczym świeżo upieczonego magistra, którego poznał pięć lat temu w Hiszpanii. Nie można nim było manipulować z taką łatwością. Stał się dorosłym mężczyzną. Dojrzał i stwardniał. Być może dwie wojny były zbyt surowymi nauczycielkami. Musi postępować z większą delikatnością z Jose Manuelem.



— Jeśli Tania nie pójdzie, Sanchez też nie. — Jego decyzja była nieodwołalna.

— Dobrze, dobrze. Nie chcę, żebyś myślał, że jestem typem bez serca. Niech tak będzie, dziewczyna pójdzie z nami. Ale to głupota, tylko narazisz ją na niebezpieczeństwo.

— Jak tam wejdziemy?

— Przeberzemy się za pracowników fabryki porcelany Łomonosowa. Są teraz odpowiedzialni za zabezpieczanie tych dzieł sztuki, których nie wywieziono jeszcze z muzeum. Pojadą najpewniej następnym pociągiem do Swierdłowska.

To będzie trzeci konwój. Wydałem Sanchezowi polecenie, żeby znalazł Jaszczurkę i przygotował nasze przepustki do muzeum. Pewnie będziemy musieli się wylegitymować w któryś z wejść do Ermitażu.

— A nasz człowiek w Leningradzie? Można mu ufać?

— To kobieta, Olga Efimow, szefowa ebenistów w muzeum. Od miesięcy nadzoruje i przygotowuje pakowanie wszystkich ewakuowanych dzieł. To ona „pomyliła” zawartość skrzyń z naszymi obrazami. Zamiast nich pojechały na Syberię cztery akwarele drugorzędnych rosyjskich malarzy. Wybaczalny błąd, kiedy się zarządza dziesiątkami tysięcy dzieł pod presją ciągłych bombardowań. — Hotz uśmiechał się cynicznie.

— Dlaczego jej ufasz? Skąd wiesz, że nas nie zdradzi?

— Ufam jej całkowicie, mój przezorny współniku, bo Olga Efimow dzień przed napadem na Pałac Zimowy nazywała się Flora Mathieu-Romanow, była siostrzenicą cara Mikołaja i dworką carycy. Cudem uratowała skórę tamtego dnia i zamieniła się tożsamością ze swoją służącą, która najwyraźniej nie miała rodziny i którą zamordowano w pałacu. Olga czy Flora, wszystko jedno, pragnie tylko jednej rzeczy — opuścić Rosję. Marzy o tym tak bardzo, jak o poćwiartowaniu Stalina nożem kuchennym na malutkie kawałeczki i rzuceniu go świniom. Pisała mi, że ten sen powtarza się co noc. — Znów uśmiechnął się z charakterystyczną dla niego pewnością siebie. — Myślę, że możemy być pewni wierności naszego kontaktu, skoro ma takie referencje.

— Pracuje sama?

— Nie. Pomaga jej Nikołaj, niemy chłopak. Podobno urodził się w muzeum i zna je jak własną kieszeń. Poza tym — uśmiechnął się złośliwie — możemy liczyć na jego dowskrecie.

— Jak zaniesiemy kopie? Jak wyniesiemy oryginały?

— Z klasą. Jak zawsze. — Hotz podniósł się, nie przestając się uśmiechać, i wyjął z eleganckiej skrzyni dwa metalowe pojemniki o cylindrycznym kształcie, pomalowane na krzykliwy żółtopomarańczowy kolor. Na każdym z nich widniał napis „GAS ZYKLON-B”. Trupia czaszka i skrzyżowane piszczele ostrzegały o toksyczności zawartości. — W środku znajdują się twoje wspaniałe kopie, mój drogi współniku — powiedział, pokazując z dumą pojemniki.

Wündermann milczał przez chwilę, szukając w pamięci informacji o gazie, którego nazwa wydawała mu się znajoma. Przypomniał sobie artykuł w piśmie „Signal”, które rozdawał żołnierzom jak zawsze skuteczny departament propagandy partii nazistowskiej. Groźny gaz cyklon B był w rzeczywistości chemiczną mieszanką skryzalizowanego cyjanku wodoru, który parował w zetknięciu z powietrzem. Pochodził z arsenałów wojny chemicznej. Próby jego zastosowania na otwartej przestrzeni zakończyły się fiaskiem, ponieważ jego lotność czyniła go praktycznie niegroźnym. Natomiast w zamkniętych pomieszczeniach jego skuteczność była stuprocentowa. Piętnastego września Niemcy zagazowali sześciuset jeńców z Armii Czerwonej trzymanych w hermetycznie zamkniętym okręcie. Po trzydziestu minutach bolesnej agonii wszyscy zmarli. Himmler chciał zacząć eksperymenty na Żydach, szukając maksymalnej skuteczności w prowadzeniu działań mających doprowadzić do „ostatecznego rozwiązania”, które prorokował Goebbels dla

— Każdy pojemnik — Hotz wyrwał Jose Manuela z ponurych rozmyślań — ma siedemdziesiąt pięć centymetrów

wysokości i wystarczającą średnicę, żeby pomieścić dwa z naszych obrazów.

Artysta nie miał żadnych problemów z przypomnieniem sobie wymiarów czterech obrazów. Pięćdziesiąt na trzydzieści dwa centymetry w wypadku *Madonny z goździkiem*, czterdzieści dziewięć na sześćdziesiąt trzy szkice Rubensa, portret Velazqueza miał sześćdziesiąt siedem na siedemdziesiąt trzy, a van Gogh sześćdziesiąt na siedemdziesiąt trzy. Pojemniki miały idealne wymiary.

— Poza tym — gauleitera najwyraźniej cieszyło objaśnianie szczegółów—przystosowano je dzięki bardzo pomysłowemu systemowi do wytwarzania próżni, żeby nawet w trudnych warunkach chronić płótna. Kiedy się je zamknie, są idealnie hermetyczne. I niezwykle funkcjonalne: mają system bloczków ułatwiających wkładanie i wyjmowanie obrazów. W dodatku są bezpieczne. Nikt się nie odważy węszyć w pojemnikach po cyklonie.

— Leningrad będzie pełen punktów kontrolnych. Co zrobimy, jak nas przeszukają?

Jeśli Hotza zirytowało to pytanie, potrafił to umiejętnie zatuszować jednym ze swoich ciepłych uśmiechów.

— Dobre pytanie. W Leningradzie schowamy pojemniki do długich kubłów po rozpuszczalniku do farb. Zwykły element wyposażenia ebenistów z Ermitażu.

— Widać, że włożyłeś sporo wysiłku w zaplanowanie wszystkiego. Chciałeś planu doskonałego — przyznał Wundermann po długiej pauzie.

— To jest plan doskonały. Tylko takie umiem wymyślać.

— Jasne. A jeśli uda nam się ująć z życiem z muzeum, jak chcesz wywieźć nas z miasta?

— Wyjdziemy z Leningradu wzdłuż wybrzeża, tędy. — Znów pokazał na mapie punkt między Uritskiem a Peterhofem. — Na plaży są ukryte dwie łodzie pontonowe. Dopłyniemy nimi do łodzi podwodnej, która czeka na nas w zatoce. Uprzedzę twoje pytanie — spojrzał z ironią na Jose Manuela — i powiem, że jej dowódca również jest zaufanym człowiekiem. Dokładnie rzecz biorąc, zawdzięcza mi karierę. — Uśmiechnął się złośliwie na wspomnienie sprawy gnębionego komendanta Grossa. — Zaokrętuujemy się na łódź i z Zatoki Fińskiej — pokazał drogę, przesuwając piórem po mapie — popłyniemy prosto do Hanoweru. Później każdy pójdzie w swoją stronę. Koniec zabawy. Będziemy długo żyli, miód i wino pili, jak to mówicie.

Wündermann wyszedł z podziemnych kazamat pod wrażeniem logistyki Hotza. Gauleiter pokazał mu kolejny raz, że w jego planach nie ma luźnych wątków ani niechronionych flank. Czy to na pewno był plan doskonały?

Tej samej nocy, jak mu się to często zdarzało, Jose Manuel spotkał się z przyjaciółmi w chacie, w której rządził niepodzielnie Georgij Malenkov. Przed wojną Malenkov pracował w fabryce podwozi imienia Kirowa, na obrzeżach Leningradu. Jednak kiedy Niemcy podeszli pod bramy miasta, Georgij poczuł, jak z komunistycznych popiołów odradza się w nim duch wolnego rynku, którego pielęgnował na dnie serca. Zaczął od sprzedawania torfowego węgla zziębniętym niemieckim oddziałom. W czasie tych operacji poznał kapitana dywizji Jose Caminę, odpowiedzialnego za zaopatrzenie *Blau*, jak Teutoni nazywali Błękitną Dywizję.



Camina i Malenkov od razu się zaprzyjaźnili. Georgij zbijał prawdziwą fortunę na sprzedaży opału, z której Camina zyskiwał całkiem spory *rappel*. Konkretnie w wysokości osiemdziesięciu procent zysków. „Nie można tak nagle przechodzić do kapitalizmu, Georgiju — tłumaczył mu hiszpański oficer. — Poza tym muszę smarować sporo rąk na górze”. Bazując na krążącym kapitale, postanowili rozbudować interes.

— Cała przyszłość jest w żywieniu, Georgiju — mówił. — W żywieniu i w rozrywce. Zobaczysz, zajmujemy jakąś chałupę i zrobimy restaurację *tablao* flamenco.

— Rosyjskie kobity nie tańczyć flamenco.

— To się nauczą. Będą miały najlepszą nauczycielkę. Moją dziewczynę.

Dziewczyną kapitana Camino była Marta Gil de Biedma we własnej osobie, przełożona pielęgniarek towarzyszących dywizji. Camina i „Gilda”, jak nazywały ją koleżanki, zaczęli się spotykać w Warszawie, gdy tylko się poznali, i od tej pory przeżywali burzliwy romans, podtrzymywany daną przez Caminę obietnicą małżeństwa.

— Nie stresuj się, dziewczyno, ludzie z Bilbao są odpowiedzialni, ożenię się z tobą, jak tylko wrócimy do Hiszpanii — odpowiadał niezmiennie na pytania Marty.

A pytała codziennie.

Gilda, poza tym że była zawodową pielęgniarką, odznaczała się innymi cnotami, które podtrzymywały płomień w sercu kapitana Camino, między innymi tańczyła flamenco jak prawdziwy anioł.

Malenkov i Camina przystosowali opuszczoną chałupę do nowego interesu — restauracji w ciągu dnia, baru z napo-

jami wysokowymi i *tablaos* nocą. Ustalenie menu należało do kompetencji pani Malenkow, doskonałej kucharki, a za drinki i taniec byli odpowiedzialni pracownik Malenkow i Marta. Camina zajmował się intendenturą i dbaniem o przychyłność przełożonych. Kiedy Błękitna Dywizja rozłożyła się w swoim sektorze, Casa Georgij osiągnęła szczyt popularności. Malenkow destylował alkohol, który określał jako „autentyczną rosyjską wódkę artystyczną”, chociaż Hiszpanie zapewniali, że można nią było napędzać ciężarówki.



Jak co noc uroczy sztafas Georgija był pełen członków Błękitnej Dywizji.

Armario i Jaszczurka usadowili się przy jednym z barów, kończąc właśnie pół butelki wybuchowej wódki Malenkowa. Fernandez de Bonhomia śpiewał *zarzuelę* na zaimprovizowanej scenie, wśród wiwatów i oklasków grupki otaczających go miejscowych jasnowłosych dziewcząt.

Wśród czterech rosyjskich tancerek znajdowała się pielęgniarka Beatriz Medinabeitia, piękność z Nawarry, do której wdychał markiz de Monfreno i której dedykował płomienne komplementy.

— Jak ci idzie z pielęgniarką? — zapytał go złośliwie Jaszczurka.

— Do dupy — przyznał arystokrata. — Jest pewnie z tych, co to nie dadzą nic uszczknąć bez sakramentu, jak mawiał mój ojciec. Ale ma w sobie coś takiego, że nie wiem... ma mnie w garści. Poza tym Nawarra zawsze mnie pociągała — odpowiadał, nie przestając patrzeć na pielęgniarkę oczami zarzynanego barana.

Gilda poprosiła Bonhomię, żeby wystąpił pierwszy, bo bała się, że spóźni się do Georgija. W południe przyjęto do szpitala żołnierza, który nadepnał na rosyjską minę. Skomplikowana operacja mogąca uratować mu życie miała trwać wiele godzin.

— Nikt nie zaprosi chorążego na drinka? — zażartował Wundermann, widząc dwóch biesiadników. Twarz Jaszczurki była bez wyrazu czy raczej wyrażała tylko zmartwienie. — Co się stało? Zobaczyłeś ducha? — zapytał go.

— Mniej więcej. Przyszedł do mnie najemnik Hotza — odparł Jaszczurka.

— Jose Miguel Sanchez, żeby przekazać ci dokumenty. To ten najemnik?

— Jaszczurka zna tego Sancheza. Złe wiadomości. Powinieneś go wysłuchać — rzucił Diego.

— Zamieniam się w słuch. — Łyknął wódki z małej szklanki, którą właśnie postawił przed nim Malenkov, „na koszt firmy”, jak mówił zawsze, kiedy widział chorążego, pokazując w uśmiechu wszystkie złote plomby.

— Znam Sancheza sprzed wojny. To znaczy sprzed tej naszej, ostatnio tyle nam się ich nazbierało, że nawet z numerkami nie wiadomo, która jest która. Nie wiem, co ci naopowiadał Hotz, ale ten facet żył w Madrycie z wynajmowania swojej spluwy temu, kto lepiej płacił.

Twarz Wundermanna stężała. To potwierdzało jego najgorsze podejrzenia. Coś, czego wolał nie słyszeć.

— Jesteś pewien, Jaszczurko?

— Jose Manuelu, zanim zabrałem się za sztukę i fałszowanie, robiłem we wszystkim i byłem raczej kucharzem niż księdzem. Ten Sanchez to zawodowy terrorysta. I to nie

byłe jaki. Lubili go zwłaszcza ludzie władzy. Ci, co zlecali ważne i delikatne zadania. Sanchez był jednym z tych, którzy jechali w ciężarówce numer siedemnaście.

— Ciężarówce numer siedemnaście? — architekt nie rozumiał.

— No tak, cholera. Ciężarówka grupy szturmowej, którą przewieźli Calvo Sotelo, wy, apolityczni, nie wiecie, na jakim świecie żyjecie — wtrącił Armario, dając jednocześnie znak kelnerowi, żeby dołał mu wódki.

— Sanchez przyjaźnił się z porucznikiem Castillem — ciągnął Jaszczurka. — Przyjaźnili się bardzo. Porucznik i on ćwiczyli w bojkówkach socjalistycznych. Strzelanie z pistoletu, używanie pałki, bicie i inne takie. Szesnastego kwietnia trzydziestego szóstego Castillo i Sanchez pokłócili się z grupą falangistów. Porucznika poniosło i zaczął strzelać. Zabił jakiegoś studenta*, chyba kuzyna Jose Antonia, i poważnie ranił chłopaka, który się uczył na lekarza. Mimo że Sanchez i najlepsi rewolwerowcy z bojkówek socjalistycznych nie odstępowali go na krok, w końcu zapolowali na niego trzy miesiące później. W Pontejos wpakowali w niego więcej kul niż w Emiliana Zapatę. Więc kiedy Santiago Garces, członek Partii Socjalistycznej, wezwał Sancheza, żeby „zemścić się jak trzeba za Castilla na Calvo Sotelo”, facet nie wahał się ani chwili. Garces chciał mieć zawodowca. Nie ufał grupie szturmowej. Nie jest łatwo załatwić kogoś z zimną krwią, jeśli się nie ma wprawy. Dlatego wsadzili Sancheza do ciężarówki numer siedemnaście. Reszta to historia.

* Zabitym przez porucznika studentem był Andres Saenz de Herdera, kuzyn Jose Antonia Primo de Rivery, założyciela hiszpańskiej Falangi.

— Hotz mówił dziś o nim jako doskonałym strzelcu — powiedział przygnębiony Wundermann.

— I strzela świetnie, tyle że z bliska. W operowaniu nożem też jest świetny. Zrobi ci drugi uśmiech na szyi, nawet się nie obejrzysz.

— Poznał cię?

— Nie, raczej nie. Widział mnie tylko raz w życiu, w grupie, a dzień obfitował w wydarzenia. Na szczęście nie szukał wtedy akurat mojej gęby. Ale ja nigdy go nie zapomnę.

Nie pili dużo tej nocy. Jaszczurka został abstynentem po swoich problemach z alkoholem i wcześniej się wycofał.

— Chciałbym porozmawiać z tobą w cztery oczy — powiedział Wundermann Diegowi, kiedy ich kolega wyszedł.

— Znam opuszczoną szopę niedaleko stąd. Tam nikt nam nie będzie przeszkadzał.

Dwaj przyjaciele wyszli z chaty w chwili, kiedy publiczność przyjmowała gorącą owacją na stojąco Gilde, ubraną w uroczą falbaniastą sukienkę przełożoną pielęgniarek dwieście pięćdziesiątej, i jej grupę flamenco — *Las Niñas de Moscu*.

Noc była rozgwieżdżona i bezwietrzna, ledwie piętnaście stopni mrozu. Piękna noc, biorąc pod uwagę okoliczności. Sytuacja nadawała się jak każda inna, żeby zwierzyć się przyjacielowi. I okazja, pomyślał Wundermann, żeby uczeń mógł wprowadzić w życie nauki mistrza. Właśnie opracował swój pierwszy plan alternatywny w stosunku do planów oficjalnych. Swój pierwszy plan B.



Alvarito Przystojniak dotknął zadrapania na szyi. Piekło. Rosyjska dziewczyna okazała się dziką kotką. Zerwała mu

łańcuszek z blaszką identyfikacyjną, kiedy pieprzyli się jak wariaci na strychu opuszczonej szopy.

Teraz dziewczyna spała spokojnie obok niego, owinięta w koszarowy koc, który jej podarował. Jeden koc, jeden numer, pomyślał. Nawet wojna może mieć lepsze strony.

Zapalił zapalniczkę, żeby znaleźć cholerną blaszkę w tym kłębie koców, ubrań i słomy, który pełnił rolę zaimprovizowanego łóżka. Zgasił ją jednak natychmiast, słysząc dźwięk otwieranych drzwi szopy.

Poczuł skurcz w żołądku. Jeśli to niemieccy oficerowie i nakryją go z rosyjską dziewczyną, nieźle dostanie po łbie. Wehrmacht zabronił jakichkolwiek kontaktów z ludnością cywilną. Zastanawiał się, czy pieprzenie można zaliczyć do tej kategorii.

Usłyszawszy głosy mówiące po hiszpańsku, uspokoił się, a gdy je rozpoznał, jego twarz rozjaśnił uśmiech.

Wündermann i jeden z jego „muszkieterów”, Armario.

Włożę spodnie, obudzę dziewczynę kopniakiem w tyłek i zejść na dół, niech frajerzy wiedzą, co ich ominęło, pomyślał ubawiony.

Jednak kiedy wkładał szorstki regulaminowy podkoszulek, zmienił zdanie. A zmienił je, bo tocząca się piętro niżej rozmowa zaczęła go interesować.

Kiedy Wündermann i Armario wyszli z szopy, chorąży Alvaro Arenas de Valcarcel musiał przyznać, że plan architekta jest świetny. Ale niestety nie ma szans powodzenia. Bo teraz on też ma swoje plany.

W drodze do Ermitażu

Z pobliskiego lasu nadszedł wreszcie sygnał — Hotz zobaczył trzy blade błyski światła.

Olga Efimow czekała z niecierpliwością, aż coś się wydarzy. Wreszcie ujrzała, jak spomiędzy krzaków wychodzi jakiś mężczyzna. Rozejrzał się i ruszył w jej stronę zdecydowanym krokiem. Za nim wyszli z lasu pozostali. Naliczyła sześcioro. Doskonale, grupa jest w komplecie. Posłała Nikołaja, żeby zakopał w śniegu latarkę do sygnałów świetlnych, za pomocą której komunikowała się z Hotzem.

Ciało Olgi przeszły dreszcz. Nie wywołało go zimno. Była podekscytowana. Powinna zapanować nad nerwami. Dobry Boże, już tu są. Jej marzenia o wolności miały się jednak ziścić. Ten człowiek, Hotz, jej to obiecał. W zamian za współpracę wydostanie ją z Rosji, ją i dobrego Nica, którego pokochała jak własnego syna.

Postawiła sprawę jasno, gdy tylko Niemcy nawiązali z nią

kontakt. Jej zapłatą miała być ucieczka z Rosji. Tylko to wchodziło w grę. Nie zaakceptowałyby niczego innego.

Już dwadzieścia cztery lata i jeden dzień znosiła ten koszmar, który zaczął się 7 listopada 1917 roku, w dniu, w którym bolszewicy zaatakowali Pałac Zimowy, w dniu, w którym jej życie rozpadło się w pył, jak rzucone na ziemię lustro.

Miała tylko osiemnaście lat, kiedy straciła wszystko. Nawet imię. Mimo że miała szczęście, wchodząc akurat do pomieszczeń służby w poszukiwaniu Olgi. Znalazła ją w jej małym pokoiku na poddaszu, rozebraną od pasa w dół. Z poderżniętym gardłem. Na ziemi, pod jej stolikiem, leżała czapka marynarza „Aurory”. Jedyne ślad po mordercy. W szufladzie znalazła jej dokumenty. Włożyła w pośpiechu jej ubranie i zarzuciła na ramiona powycierany płaszcz, słysząc dochodzące z niższych pięter echo wystrzałów i wrzaski rewolucjonistów atakujących budynek.

Wyszła na ulicę i odetchnęła zimnym nocnym powietrzem. Obejrzała się tylko raz, żeby spojrzeć na pałac, jej pałac. Wydał jej się piękny, z wszystkimi oknami jasno oświetlonymi. Jednak z okien dobiegł huk wystrzałów i zrozumiała, że wszystko się zmieniło, że ona i życie, jakie dotąd знаła, znikają na zawsze. Tego dnia Flora Mathieu-Romanow została Olgą Efimow, pochodzącą z głębokiej Rosji wieśniaczką, która przyjechała do cesarskiego miasta w poszukiwaniu lepszego życia i została służącą księżniczki, siostrzenicy cara Wszechrosji i damy dworu carycy.

Nowe władze uznały Florę Mathieu-Romanow za zmarłą, oszczędzając sobie zbyt szczegółowego śledztwa. W końcu zgwałcona martwa dziewczyna miała na sobie suknie godne

księżniczki. W tamtych dniach gwałcenie i zabijanie arystokratek było czynem rewolucyjnym, słusznym, a nawet pożądanym. Natomiast gdyby marynarz sławnej „Aurory” dokonał tej samej zbrodni na przedstawicielce uciskanego ludu, który właśnie wyzwalało, byłoby to dalekie od politycznej poprawności.

Nowa Olga zrozumiała szybko, że brak makijażu, byle jakie ubranie i utrata kilogramów dzięki przymusowej głodowej diecie czyniły ją równą wszystkim rosyjskim kobietom niższych klas. W ten sposób mogła bez większych problemów zmieszać się z ludem i nie wzbudzać podejrzeń.

Wyostrzony instynkt samozachowawczy kazał jej zapisać się do partii komunistycznej jeszcze przed końcem listopada.

Powoli pięła się w górę w nowym, równym społeczeństwie. Teraz jej ewolucja wydawała się bardzo powolna. Po dwudziestu czterech latach i jednym dniu udało jej się, dzięki własnym zasługom i znoszeniu około dziesiątki zupełnie niekompetentnych szefów, zostać przełożoną ebenistów z Ermitażu. Komunistyczny system odznaczał się tym samym szowinizmem, który charakteryzował stary porządek.

Tęskniła za czasami, które miały już nigdy nie wrócić. Czasem płakała, przemierzając salony Pałacu Zimowego, w których tańczyła na wielkich przyjęciach. Teraz Ermitaż był miejscem brudnym, zimnym, szarym i przerażającym. Zniszczonym najpierw przez system, a teraz ostatecznie zrujnowanym przez wojnę.

Jednak gorycz i ból należały już do przeszłości. Przyszłość jawiła się Oldze jako kraina szczęścia. Wciąż jeszcze była młoda, miała czterdzieści dwa lata. Był jeszcze czas na

drugą szansę. Pojedzie do Francji, ma rodzinę w Paryżu. Matka opowiadała często o przystojnym wuju, Gastonie Mathieu, hrabim de Armagnac. Jej nowe życie znów będzie ekscytujące. Znów będzie miała drogie suknie, będzie bywała w towarzystwie, tańczyła... Miała też pieniądze. Pamiętała doskonale podróż do Szwajcarii z rodzicami, kiedy osiągnęła pełnoletniość. Pamiętała nawet numer rachunku, na którym rodzice złożyli milionowy depozyt. „Gdyby sprawy w kraju się pogorszyły”, jak przepowiedział jej przewidujący ojciec. Biedni rodzice... Przytłoczyło ją wspomnienie przedwczesnej straty...

Nico przywrócił ją do rzeczywistości ostrym szarpnięciem za rękaw. Niemcy zbliżali się do nich.

— Olga Efimow, jak sądzę — powiedział Hotz z uśmiechem, podając jej rękę na przywitanie i zwracając się do niej po niemiecku, w języku, który znała i którym mówiła płynnie dzięki doskonałemu wykształceniu.

Pracownica Państwowego Muzeum Ermitażu uściśnęła nerwowo dłoń Niemca, przyglądając się jednocześnie towarzyszącej mu grupie. Kiedy zobaczyła Tanię, zdenerwowała się.

— W ostatniej wiadomości potwierdził pan, że w grupie będzie sześciu mężczyzn. Co robi z wami ta kobieta? — Była wyraźnie zirytowana.

— W ostatniej chwili mieliśmy trudności, które zmusiły nas do tej zmiany. Jeden z moich ludzi ma dyzenterię i ostatecznie nie mógł iść z nami. Cóż, większość z nich to Hiszpanie i najwyraźniej nie przyzwyczaili się do niemieckiego wikt. Za dużo kiszonej kapusty. — Gauleiter utkwiał oczy w architekcie, próbując odgadnąć, co spowodowało nagłą „chorobę” Armaria.

Jose Manuel wytrzymał to spojrzenie, nie zmieniając wyrazu twarzy. Tylko on wiedział, dlaczego Diega nie ma teraz z nimi.



— Hotz idzie z wami? — Pamiętał, że spytał go niedowierzająco porucznik Cabrera, kiedy dzień później, w czasie drugiego śniadania, opowiedział kolegom w obozowej kantinie o wyprawie do oblężonego miasta. — Co niby ma do roboty gauleiter przy strzelaniu fotek ruinom Leningradu?

— Nie wiem. — Wundermann za wszelką cenę próbował zachować pozory szczerości. — Dlatego chcę, żebyście mnie ubezpieczali. To wszystko wydaje mi się równie dziwne jak wam.

— Spokojnie, towarzyszu. — Sele zaczął ułatwiać mu zadanie. — Masz nas, żeby załatwić, co trzeba. Zresztą jesteśmy ci coś dłużni od tej sprawy z psami. W ten sposób będziemy mieli spokój: kto płaci, odpoczywa, a ten, komu płacą, tym bardziej.

Zaakceptowali jego plan. I jego instrukcje, bardzo szczegółowe. Porucznik Cabrera się wymówił, pełnił tej nocy straż. Dzięki temu mógł ich kryć na miejscu.



— Tak, nasz kolega miał strasznego pecha. Niestety, to już kolejny przypadek dyzenterii w oddziale — odparł wreszcie Jose Manuel.

— Mam nadzieję, że nie będziemy mieli przez to kłopotów. W punkcie kontrolnym przy wejściu do muzeum spodziewają się nowej grupy sześciu pakowaczy z fabryki

porcelany — powiedziała Olga, nadal niespokojna. — Niech będzie. Wszyscy mają dokumenty? Hotz potwierdził.

— Mam nadzieję, że tylko przepustki — mruknęła. — Żadnej wojskowej blaszki ani innego znaku rozpoznawczego. Przeszukania w punktach kontrolnych w mieście bywają bardzo dokładne.

Gauleiter zmusił wszystkich do oddania blaszek identyfikacyjnych dzień wcześniej. W tej chwili grupę tworzyło sześć anonimowych osób lub raczej sześciu skromnych pakowaczy porcelany, którzy mieli współpracować jako ochotnicy z Ermitażem.

— Dobrze, powinniśmy ruszać w drogę. — Ebenistka zdawała się odzyskiwać kontrolę nad sytuacją.

Nikołaj rozsunał krzaki, odsłaniając wąskie i ciemne wejście do tunelu. Hotz spojrział zdziwiony na otwór. Ten szczegół nie umknął Oldze.

— Jedna z tajemnic Nikołaja. To przejście zaprowadzi nas aż do Parku Letniego, w samym sercu miasta, kilkaset metrów od muzeum. Carowie potrafili dbać o swoje sprawy — zauważyła, nie kryjąc dumy.

W rzeczywistości tunel Nikołaja prowadził ich prosto do sieci kanałów ściekowych Leningradu. Jednak chłopak poruszał się w labiryncie tuneli kanałów, jakby szedł jasnym szlakiem, który tylko on potrafił dostrzec. Wundermann, który obserwował go uważnie, prędko odkrył zagadkę jego doskonałej orientacji w terenie. Na niektórych ścianach i narożnikach znajdowały się małe stemple z brązu w kształcie carskiego herbu z dwugłowym orłem. To te stemple były nicią Ariadny Nikołaja. To był kod wskazujący drogę stwo-

rzoną za carów, kiedy Katarzyna II zleciła włoskiemu architektowi Bartolomeowi Francescowi Rastrellemu* wybudowanie nowej rezydencji zimowej (Pałacu Zimowego) dla rosyjskich koronowanych głów.

W czasie długiego marszu Wundermann zastanawiał się, ile razy carowie musieli używać tej podziemnej drogi, żeby ratować życie, uciec z oblężenia, albo dla mniej dramatycznych i przyjemniejszych celów, jakimi mogły być romantyczne schadзки.

Kiedy wyszli na zewnątrz w jednym z bardziej odludnych zakątków Parku Letniego, powitali z radością powiew świeżego powietrza, odurzającego po trzech godzinach spaceru w zaduchu kanałów.

— Musimy się pospieszyć — uprzedziła ich Olga, kiedy zamaskowała wejście do kryjówek. — Czekają na nas w punkcie kontrolnym o dziewiątej.

Grupa ruszyła szybkim krokiem w stronę Ermitażu.

Miasto było zniszczone. Widzieli ruiny budynków. Kawałki ścian, które jakimś cudem utrzymywały się w pionie, z pustymi dziurami okien, przez które wyglądały śmierć i zniszczenie.

Śnieg, stary i poczerniały, leżał w zwałach pod murami, czasami sięgając nawet dwóch metrów.

Minęli imponującą karawanę dzieciennych sanek, którymi przewożono zeszywniałe ciała, zawinięte pospiesznie w brudne prześcieradła.

* Nadworny architekt carski w latach 1730—1763, który w 1754 r. wznosił dla carycy Elżbiety barokowy Pałac Zimowy. Klasycystyczny Nowy Ermitaż zbudowany został za panowania Katarzyny II i otwarty dla publiczności w 1852 r.

Wündermann zauważył, że wszyscy mieszkańcy Leningu, których mijali, szli, straszliwie wychudli, z pochyloną głową, owinięci w szmaty, w ciszy.

Na niektórych ścianach wisiały duże plakaty z hasłami pisanymi cyrylicą. Tania przetłumaczyła kilka. „Obywatele! W czasie bombardowań ta strona ulicy jest bardziej niebezpieczna”. Inne, bardziej propagandowe, ilustrowały determinację narodu rosyjskiego za pomocą postaci robotników, rolników i żołnierzy, trzymających się za ręce w dumnym pochodzie, mających za plecami sugestywny zachód słońca. „Wypełnimy nasz obowiązek wobec Oj-

Minęli most Trockiego, jeden z najpiękniejszych mostów łączących brzegi majestatycznej Newy, i skręcili obok przylegającej do rzeki fasady muzeum, ulicą Millionnaja, żeby wejść do Ermitażu przez legendarną Bramę Atlantów.

Jose Manuel patrzył oczarowany na przepiękny portyk ozdobiony dziesięcioma rzeźbami atlantów wykonanymi z polerowanego szarego granitu. Jeden z jego rogów był poważnie uszkodzony odłamkiem.

Wejście do muzeum było chronione przez worki z ziemią i drut kolczasty. W rzeczywistości punkt kontrolny przy wejściu był posterunkiem wojskowym.

Sierżant Kiereński, z dziesiątego pułku strzelców, który dowodził posterunkiem, mimo że znał Olgę doskonale, dał znak, żeby strażnicy zatrzymali grupę.

— Mielście być prawie dwadzieścia minut temu — powiedział sucho, unosząc brew.

— Są nowi. Nie znają miasta, dlatego się spóźniliśmy — wyjaśniła.

— Po co ci nowi pracownicy? — zapytał sierżant, sprawdzając rejestr wizyt z tego dnia. Zauważył już Tanię. — Poza tym, w moim rozkazie jest mowa o sześciu mężczyznach, a ty przyprowadziłaś jedną dziewczynę.

— Mam mniej ludzi, bo dałam wolne drugiej grupie, byli wykończeni po czternastu godzinach pracy dziennie przez dwa tygodnie. Musiałam pozwolić im odpocząć. Dziewczyna zastępuje robotnika, który obudził się z czterdziestostopniową gorączką. Prawdopodobnie grypa. Pomyślałam, że wołałbyś nie mieć tutaj chorego pracownika. — Tej zimy w Leningradzie setki kobiet i mężczyzn zmarły z

1Korpulentny sierżant gwałtownie odsunął się od Olgi.

— Nie myśl lepiej za mnie, stara wiedźmo — szepnęła jej do ucha i odwrócił się do robotników.

— Więc jesteście tu nowi. — Wbijał w nich wyzywający wzrok, podpierając się pod boki zaciśniętymi pięściami. — Wiedźcie, bando kmiotków, że jesteście tu, żeby bronić jednego z symboli ojczyzny. — Nagły podmuch wiatru wznosił wokół nich kłęby śniegu. — Więc poruszać mi się ostrożnie w środku i nie połamcie niczego, jak będziecie zawijać te wasze cholerne paczki. Czy to jasne, kmiotki? — spojrział na Jaszczurkę, który patrzył na niego szeroko otwartymi oczami. — Co z wami, połknęliście języki? Nikt wam nie wyjaśnił, że jak sierżant Armii Czerwonej was o coś pyta, macie odpowiadać?

Jaszczurka, podobnie jak reszta grupy, milczał, nie rozumiejąc ani słowa z przemowy porywczego podoficera. Olga czuła, że serce szaleje jej w piersi.

— Większość to Czeceńcy, towarzyszu sierżancie, ledwo mówią po rosyjsku — odpowiedziała wreszcie Tania, robiąc krok do przodu.

— Proszę, proszę. Więc mamy tu garstkę czeceńskich dzikusów — mruknął sierżant, rozbierając wzrokiem ładną dziewczynę.

Odwrócił się do grupki żołnierzy przyglądających się scenie z rozbawieniem.

— Hej, Omar, zobacz, kto do ciebie przyszedł. Twój krewniacy. — Szukał wzrokiem żołnierza Omara Bucharina, jedyne Czeceńca wśród jego ludzi. — Chodź się przywitać, rozumieją tylko po twojemu... — Tani również skoczyło tętno. Dwie kobiety patrzyły na siebie przez ułamek sekundy, niezdolne do znalezienia wyjścia z tej sytuacji. — Gdzie jest Omar? — warknął Kiereński. Żołnierz najwyraźniej gdzieś zniknął.

— Poprosił mnie o pozwolenie na pójście do latryny, towarzyszu sierżancie — odpowiedział dowódca oddziału.

— Pieprzony muzułmanin — warknął Kiereński. — Nigdy go nie ma, kiedy jest potrzebny. No dobra — powiedział z pogardą. — Pokażcie wasze przepustki, odbierzcie prowiant i do roboty, bando nierobów.

Tania odetchnęła głęboko, nie spuszczać wzroku z potężnego sierżanta i nie przestając się uśmiechać.

Grupa robotników stanęła posłusznie w kolejce. Kiedy jeden z żołnierzy sprawdzał dokumenty pod czujnym spojrzeniem dowódcy, inny wydawał im z zapleśniałego worka ze zgrzebnego płótna dzienną porcję żywności, dwieście pięćdziesiąt gramów czarnego chleba i cienki kawałek zamrożonego boczku.

Wündermann rozumiał teraz, skąd się bierze skrajne wychudzenie mieszkańców obleganego miasta*.

Sierżant podszedł do Tani czekającej na swoją kolej do identyfikacji i szepnął jej coś na ucho, powodując, że pięści Jose Manuela zacisnęły się gwałtownie, aż zbieleły mu kostki.

— Jeśli przyjdiesz mnie odwiedzić w południe, dam ci dodatkową porcję chleba i kto wie, może nawet trochę czekolady.

Nie próbując się nawet kryć, przesunął łapą po jej biodrach i pośladkach. Tania odsunęła się od niego spokojnie.

— Możesz być pewny, że przyjdę do ciebie, jak tylko będę miała okazję. I będzie to niezapomniane spotkanie — odparła z ujmującym uśmiechem.

Wündermann czuł, że czerwienieje z wściekłości. Przeklął w myślach Hotza za kategoryczny zakaz wzięcia ze sobą broni.

„Nikt nie będzie miał broni. Poza strzelcami Bonhomią i Sanchezem. Mogą nas przeszukać w każdej chwili, a to byłby koniec przygody” — powiedział im wszystkim w czasie spotkania, na którym wyjaśniał ostatnie szczegóły operacji.

Spojrzał kątem oka na szczelnie opakowane w brezent łopaty wiszące na plecach Manola i Jose Miguela. W rzeczywistości pod płótnem kryły się strzelby.

Pojemniki po cyklonie, ukryte w kubłach po rozpuszczalniku, znajdowały się w plecakach, które niesli Hotz i San-

* W czasie oblężenia Leningradu (trwającego od września 1941 do stycznia 1944 roku przez 900 dni) z głodu zmarło 630 tysięcy mieszkańców.

chez. Przy wyjściu z tunelu oddali je Oldze i Nikołajowi. Z płynącego z przyzwyczajenia niedbalstwa żaden żołnierz ich nie sprawdził, zakładając, że zawierały jak zwykle pojemniki z klejem albo śmierdzącym rozpuszczalnikiem, którego używali stolarze z warsztatu.

Wreszcie weszli do budynku. Olga szła na czele pochodu. Skręciwszy za róg, zderzyła się ze starszym mężczyzną o białych włosach i dostojnym wyglądzie, ubranym w zniszczony staroświecki surdut.

— Podziwiam twój zapał do pracy, Olgo — powiedział, poprawiając na nosie śmieszne okrągłe okulary, które niemal spadły mu na skutek kolizji. — Ale poruszaj się ostrożnie po tym labiryncie. Możesz natknąć się na ruch w przeciwnym kierunku.

— Och, proszę mi wybaczyć, towarzyszu dyrektorze. — Olga wyglądała na przestraszoną. — Prowadzę nową grupę pakowaczy do warsztatu. Jesteśmy już spóźnieni i...

— Proszę, nowi pracownicy, niech się przyjrzą... — Mężczyzna zamrugał, żeby przystosować wzrok do nowej perspektywy. — Panowie, panienko — powiedział, witając Tanię lekkim ukłonem i niepewnym uśmiechem. — Witam w Ermitażu, prawdopodobnie ostatnim bastionie zdrowego rozsądku. Po drodze do warsztatu będą musieli państwo przejść przez całe muzeum, pozwólcie więc, że będę waszym *cicerone* tego zimnego, choć pięknego listopadowego

— Ale, towarzyszu dyrektorze... — zaczęła Olga, lecz starszy uciszył ją ruchem dłoni.

— Ach, proszę mi wybaczyć brak ogłady. Jeszcze się państwu nie przedstawiłem — zwrócił się z uśmiechem do

wszystkich. — Jestem Josif Orbeli, dyrektor Państwowego Muzeum Ermitażu. Albo raczej tego, co z niego zostało.

Wündermann przestudiował życiorys dyrektora Ermitażu w wyczerpującym dokumencie, jaki na temat muzeum dostarczył mu w Berlinie Hotz. Orbeli był w rzeczywistości zbawcą muzeum, zaplanował ewakuację, której nie można było nic zarzucić, unikając błędów, z powodu których ucierpiało Prado.

Kiedy Niemcy przerwali front w czerwcu 1941 roku, plan ewakuacji wprowadzono w życie. Naziści znajdowali się jeszcze setki kilometrów od Leningradu, kiedy najważniejsze kolekcje Ermitażu były już wywiezione dwoma pancernymi pociągami za Ural. Te zbiory nigdy nie były zagrożone, bo też nigdy nie dostały się w zasięg rażenia żadnego wroga. Był też trzeci konwój, którym miano wywieźć pomniejsze dzieła, ale Orbeli pomylił się w kalkulacjach. Szybki marsz niemieckiej armii zbliżył niebezpiecznie front do Leningradu, przez co nazistowskie samoloty mogły osiągnąć linii kolejowej. Dyrektor zdecydował więc zmagazynować resztę zbiorów w piwnicach Ermitażu.

Jose Manuel głęboko współczuł staremu dyrektorowi, który trwał na posterunku, na czele swojego bombardowanego muzeum.

Gestem dżentelmena starej daty Orbeli podał ramię Tani, która przyjęła je ze słodkim uśmiechem. Pozostali ruszyli ich śladem.

Grupa szła przez opuszczone sale pałacu. Na ścianach wszystkich większych pomieszczeń wisiały puste ramy po obrazach.

Orbeli prowadził grupę, zatrzymując się w każdej sali, żeby objaśnić im, co zawierały nagie drewniane szkielety — Zostawiliśmy puste ramy w miejscu oryginałów, bo czas w Ermitażu zatrzymał się. Żyjemy teraz niczym we śnie, ale któregoś dnia wszystko będzie jak kiedyś i znów powiesimy każdy obraz na swoim miejscu. Proszę spojrzeć na tytuły dzieł, na nazwiska autorów. Proszę odtworzyć w wyobraźni ich obrazy. Muzeum nie umarło, po prostu śpi.

Tania tłumaczyła jego słowa na hiszpański.

— Są Czeczenami — szepnęła mu Olga na ucho, widząc zaskoczenie Orbelego na dźwięk tego dziwnego języka.

Wündermann czuł, że zaczyna właśnie niepowtarzalną magiczną podróż. Wszystkie cierpienia, wszystkie minione krzywdy odpływały z jego pamięci. Teraz nie było już zwątpienia, nie było złości. Był tam, gdzie powinien być. Może zawsze należał do tego miejsca.

Stary dyrektor nadal szedł przed nimi, a Jose Manuel rozumiał jego słowa, zanim Tania je przetłumaczyła, bo były to słowa pełne miłości do malarstwa, a on nie potrzebował tłumacza, żeby zrozumieć ten język.

— Chciałbym, żebyście zwrócili uwagę — ciągnął dyrektor — że weszliście do Nowego Ermitażu przez Bramę Atlantów. Po pożarze Pałacu Zimowego w tysiąc osiemset trzydziestym siódmym roku zdecydowano o wybudowaniu tego budynku, w którym udostępniono dla zwiedzających kolekcje malarstwa. Nowy Ermitaż został oficjalnie otwarty przez cara Mikołaja w tysiąc osiemset pięćdziesiątym drugim roku.

Tania zauważyła, że we wszystkich salach, przez które

przechodzili, piętrzyły się zwały piasku, wiader i łopat. Jej zainteresowanie nie umknęło uwagi Orbelego.

— Piasek służy do gaszenia pożarów. Niemcy mają zwyczaj bombardować nas średnio przez dziewięć godzin dziennie. Zrzucają sporo bomb zapalających. Piasek jest doskonały do gaszenia ognia, zwłaszcza jeśli nie ma wody. Leningrad jest pozbawiony wody bieżącej od trzech mie-

Weszli do sali Rembrandta. Wundermann nie mógł nie zatrzymać się na chwilę przed pustą ramą, w której wisiała kiedyś *Danae*. Zamknął oczy, jak radził Orbeli, i próbował przypomnieć sobie fragmenty dzieła, czy raczej dzieł, które znał na pamięć. W pustej ramie pojawił się nagle wspaniały obraz o tematyce mitologicznej, wielokrotnie przemalowywany przez holenderskiego mistrza. *Danae*, naga, zajmowała całą powierzchnię płótna, jak nigdy pełna światła i zmysłowości.

Dzieło zainspirowane obrazem Tycjana. Tycjan raz jeszcze, przypomniał sobie ojca, rozumiejąc, że przeznaczenie to nic więcej niż gra przypadków, które zawsze wracają do punktu wyjścia.

Zatrzymał wzrok na ramie po *Świętej Rodzinie z aniołami*. Szybko przywołał pełen uroku obraz. Z Dziewicą na pierwszym planie, czuwającą nad Dzieciątkiem i trzymającą w lewej ręce książkę. Święty Józef pracował w tle kompozycji, w cieniu, zawsze anonimowy, zawsze obecny. Grupa aniołów zdawała się zstępować z nieba, żeby stać na straży snu dziecka.

Pamiętał, że „święte rodziny” Rembrandta stanowiły sporą grupę w dorobku autora. Wszystkie były hołdem oddanym

jego synowi Tytusowi, którego matka umarła, gdy miał zaledwie dziewięć miesięcy. Trudno było więc utrzymać, że były wyrazem religijności autora, którego wiara, jeśli w ogóle wierzył, była raczej umiarkowana.

Wreszcie zatrzymał się przed ramą, w której kiedyś wisiał *Powrót syna marnotrawnego*. Obraz dużego formatu, gdyż artysta odtworzył postacie w naturalnych wymiarach.

Z ciemnego pustego tła zaczęli się wyłaniać bohaterowie dzieła.

Jose Manuel mógł odtworzyć w wyobraźni głęboko wzruszający gest ojca przyjmującego syna, ukazujący cały wachlarz uczuć do latorośli, którą uważał za na zawsze straconą. Ojciec obejmujący syna w sensie fizycznym i moralnym. Chroniący go przed światem, który nie potrafił zrozumieć sprawiedliwości wyrażonej w jego decyzji, powrotu, opuszczenia i czułości. Absolutna i bezgraniczna miłość ojca do syna.

W tym obrazie Rembrandt zawarł cały ból po stracie Tytusa, kilka miesięcy przed rozpoczęciem obrazu. Zakamarki jego rozdartej duszy zakłete na zawsze w płótnie.

Nadal miał zamknięte oczy, próbując zobaczyć wszystkie dzieła, które kiedyś wisiły w tej sali.

Kiedy je otworzył, poczuł, że wzruszenie ściska mu gardło.

Nagle zaczęły wyc syreny przeciwlotnicze, wydając ostre, drażniące dźwięki.

— Proszę się nie martwić. — Dyrektor zachował stoicki spokój. — Zawsze zaczynają od fabryki Kirowa, na południu miasta. Później bombardują to, co zostało ze stacji Warszawskiej, Witebskiej, Moskiewskiej i Fińskiej. Radzę nie spacerować wtedy Newskim Prospektem. Dla nas najgorszy jest

moment, kiedy samoloty wracają do bazy. Zrzucają wtedy ostatnie bomby na Studia Kinematografii Lenina. Przyznam, że nie robimy takich filmów jak Amerykanie, ale nie wiem, czy zasługujemy na aż tak miazdzącą krytykę. — Prawie pięćdziesiąt dni oblężenia nie pozbawiło Orbelego poczucia humoru. — Po pokazie filmowym naziści znęcają się jeszcze trochę nad Twierdzą Pietropawłowską na drugim brzegu Newy. Zawsze jednak są tak mili, że pamiętają o tym, żeby zachować jakiś smakołyk dla muzeum. Zwykle to bomby zapalające — spowaźniał. — Doradzam więc większą ostrożność.

Dało się słyszeć pierwsze wybuchy bomb w odległej południowej części miasta i echo strzałów obrony przeciwlotniczej.

Mimo wszystko kontynuowali spacer po wspaniałych salach, jak grupka turystów cieszących się możliwością zwiedzania w towarzystwie tak wyjątkowego przewodnika.

Zatrzymali się w sali malarstwa hiszpańskiego, gdzie wysłuchali w pełnej szacunku ciszy objaśnień Orbelego na temat pustych ram po *Świętych Piotrze i Pawle* El Greca, lub próbując zrozumieć, na czym polegała trudność wykonania tak skomplikowanego dzieła jak *Śniadanie* Velazqueza.

Przeszli też przez imponującą salę ze szklanym dachem. Tam stały, oparte o ściany, ramy obrazów o wielkim formacie.

W sali van Dycka Wundermannowi wydawało się, że Hotz specjalnie idzie wolniej, żeby przyjrzeć się ramom. Zatrzymał się przed jedną z nich, a kiedy wyszedł z sali, na jego twarzy malowała się satysfakcja.

Jose Manuela zachwyciła również wielka sala z dachem w kształcie piramidy, jedna z najobszerniejszych w muzeum. Znajdowało się w niej osiem wielkich paneli pełnych pustych ram. Pomieszczenie było skąpane w szarym i zimnym świetle leningradzkiej jesieni, które bez trudu przenikało przez wielkie okna, pozbawione ram i szyb już od pierwszych październikowych bombardowań.

Ściany były przesiąknięte ciągnącą od rzeki wilgocią, co powodowało, że w budynku było czasem zimniej niż na zewnątrz.

Grupa dotarła wreszcie do warsztatu, w którym pakowano zbiory.

— Dobrze, panie i panowie — powiedział dyrektor, zatrzymując się w drzwiach. — Tutaj kończy się wycieczka z przewodnikiem. Towarzyszenie wam w czasie pierwszego spaceru po Ermitażu było czystą przyjemnością. Mam szczerą nadzieję, że podobał się wam tak samo, jak mnie. Teraz wasza kolej. To nasze małe spotkanie z historią. Radzę, żebyście czerpali również przyjemność z waszej pracy. Bo nie tylko będziecie chowali dzieła sztuki do drewnianych skrzyń, które zrobicie własnymi rękami. Do tych skrzyń schowają państwo, zapewniam, fragmenty ludzkości, cząstki intelektu i wolności. A któregoś dnia, kiedy ktoś znów je otworzy, wszyscy będziemy trochę

Tania nie mogła się powstrzymać i zaczęła klaskać z taką siłą, że jej ręce poczerwieniały. Wszyscy poszli w jej ślady, a korytarze i sale Ermitażu wypełniły się echem ich oklasków. Kiedy owacja ucichła, Tania, z oczami pełnymi łez, uśmiechała się jeszcze do staruszka.

— Cóż, to pewnie znaczy, że nie dostanę od państwa napiwku. — Orbeli patrzył na nich z uśmiechem, z rękami założonymi na plecach. — Pracujcie ciężko. Dziękuję i do widzenia. — Puścił do nich oko, odwrócił się na pięcie i zniknął za rogiem długiego korytarza.

Kiedy Olga przestała słyszeć echo jego kroków, wyjęła z kieszeni płaszcz wielki pęk kluczy i otworzyła drzwi warsztatu.

— W jakiej części budynku jesteśmy? — zapytał Hotz.

— W zachodnim skrzydle Pałacu Zimowego — odparła przełożona ebenistów, pchając ciężkie drzwi. — Sekcja magazynowania znajduje się w rzeczywistości w dawnych salach sztuki wschodniej.

Weszli do warsztatu. Olga wskazała Nikołajowi, wśród góry drewnianych skrzyń, jedną średnich rozmiarów. Chłopak odsunął ją od pozostałych i otworzył ostrożnie za pomocą lewarka.

— Tutaj są obrazy, panie Hotz — powiedziała Olga, wśród skrzywienia podnoszonych przez Nikołaja drewnianych listew. — Ja wykonałam moją część umowy, teraz pana kolej.

Gauleiter przestał patrzeć na skrzynię i utkwiał wzrok w oczach Olgi. Na jego twarzy malował się jeden z jego najcieplejszych i najbardziej uwodzicielskich uśmiechów.

— Zapewniam panią, księżniczko Floro — odpowiedział, zwracając się do niej, jak robiono to przed dwudziestu czterema laty — że dziś opuści pani Związek Radziecki na zawsze!

— Spójrzcie, są tutaj! — krzyknął prawie wesoło Jaszczurka na widok zrolowanych płócien.

Wszyscy otoczyli skrzynię.

— No, dobrze, panowie, nie traćmy czasu. Mamy robotę do wykonania. — Hotz odzyskał panowanie nad sytuacją.

Jaszczurka i Jose Manuel zaczęli wyjmować oryginały Velazqueza, van Gogha, Rembrandta i Leonarda da Vinci, jeden po drugim, żeby rozwinąć je na stole przygotowanym do tego celu przez Olgę. Hotz wyjął z plecaka pojemnik na gaz.

— Czyń honory — powiedział, podając go Wundermannowi.

Jose Manuel nacisnął i przekręcił pokrywkę; podskoczył, przestraszony sykiem wypuszczanego sprężonego powietrza.

— No, to tylko powietrze, wspólniku — uspokoił go Hotz z enigmatycznym uśmiechem.

— Pierwszy strzelec powinien wziąć się do pracy — zauważył Sanchez, który do tej pory milczał.

— Racja — przyznał gauleiter. — Bonhomia, może przejdiesz się z „łopata” i upewnisz, że nikt nam nie będzie przeszkadzał?

Manolo z przyjemnością wyszedł z sali, nie znosił stania z założonymi rękoma.

Tymczasem w warsztacie Jaszczurka i Wundermann zajęci byli rozwijaniem, rozkładaniem i sprawdzaniem autentycznych płócien i przygotowywaniem kopii do zamiany.

Bonhomia zaczął się wślizgić po długich korytarzach ciągnących się wzdłuż ogromnego wewnętrznego patia budynku. Oparł się o wielkie okno, które również musiało stracić szyby podczas pierwszych bombardowań, i ukrył się za jedną z długich zasłon z granatowego jedwabiu, jakimś cudem wiszących jeszcze, zakurzonych i postrzępionych.

Uznał to miejsce za doskonały punkt obserwacyjny. Mógł z niego obserwować galerie i korytarze prowadzące do warsztatu, samemu nie będąc widzianym. Od strony patia widział z kolei jak na dłoni królewskie apartamenty. Wyliczył, że może być jakieś trzysta metrów od żaluzji zasłaniającej garderobę w sypialni pary carskiej. Zaczął

Jaszczurka i Wundermann zaakceptowali pierwszy obraz i zabrali się do wymiany.

Sanchez usłyszał jakby pomruk silników dobiegający spod budynku.

Podszedł ostrożnie do otworu okiennego i zobaczył dwie ciężarówki zajeżdżające pod wejście do zachodniego skrzydła Pałacu Zimowego, w którym właśnie się znajdowali.

Z pojazdów wysiadło pięćdziesięciu mężczyzn w nienaganych mundurach i długich płaszczach. Niektórzy od razu weszli do budynku, inni zajęli pozycje przy wejściu. Hotz również podszedł do okna. Mimo że znajdowali się na drugim piętrze, dostrzegł czerwone lamówki na lewych mankietach płaszczy nowo przybyłych. Tylko jedna jednostka Armii Czerwonej nosiła taki znak rozpoznawczy — przyboczna straż Stalina.

Co oni tu robią? Według ostatnich raportów wywiadu Stalin jest w Moskwie. Dyktator nie opuścił Kremla od początku inwazji.

Pod budynek podjechały dwa czarne samochody osobowe, zatrzymując się pod drzwiami z włączonymi silnikami. Z drugiego wysiadło trzech oficerów, którzy gorliwie otworzyli tylne drzwiczki pierwszego pojazdu. Wysiadło z niego dwóch mężczyzn w grubych wojskowych płaszczach. Jeden

z nich był wyjątkowo niski. Obaj weszli do pałacu. Z miejsca, w którym stał, daszki czapek nie pozwoliły Hotzowi dojrzeć twarzy przybyszów. Jednak sądząc po zamieszaniu, z jakim wiązał się ich przyjazd, założył, że muszą być grubymi rybami w partii lub wojsku. Miał nadzieję, że ta nieprzewidziana wizyta nie ściągnie na nich kłopotów.



Aktor Iwan Duganow chodził nerwowo po obszernej garderobie przylegającej do komnat królewskich. Było mu zimno. Szyby szerokiego balkonu wychodzącego na wewnętrzne patio Pałacu Zimowego rozpadły się w drobny mak już dawno temu.

Spojrzał na zegarek. Spóźniają się. Powiedzieli, że byli w Astorii i zjawią się tu zaraz. Cholera jasna, hotel nie był dalej niż dziesięć minut drogi od pałacu. Ten sztywny oficer, który wciągnął go w całą tę aferę, nie miał dla niego żadnych względów.

Humor pogarszał mu się z każdą chwilą. Kto może mieć dla niego względy? Dla skromnego komika z Tyflisu, aktorzyny trzeciej kategorii. Nie należą mu się żadne względy. Od miesięcy nie jest wart nawet oklasków tej nielicznej widowni, jaka przychodzi na pożałowania godne przedstawienia w teatrze, w którym pracuje. Jest przegrany.

W zimnym powiewie wpadającym przez pozbawione szyb okno zaczęły się poruszać drzwi jednej ze stojących w długim rzędzie szaf. Otwierają się jakieś drzwi, pomyślał. Próbował się pocieszyć. Wojna wszystko zmieniała. Dlaczego nie miałyby zmienić jego ponurego losu? To może być jego szansa, z tych, które według szczęściarzy zdarzają się

każdemu przynajmniej raz w życiu. Drzwi szafy otworzyły się na oścież, ukazując szerokie, sięgające ziemi lustro, porysowane, ale jakimś cudem całe. Zdumiał się po raz kolejny. Lustro nie odbijało postaci nieszczęsnego Iwana Duganowa. Z pękniętego lustra patrzył na niego Józef Wissarionowicz Dżugaszwili, znany rosyjskiemu ludowi i całemu światu jako Stalin.



Dyktator wchodził pospiesznie po schodach prowadzących na drugie piętro pałacu, do prywatnych apartamentów carskich.

— Jest idealny — przekonywał go Pauker, szef służby bezpieczeństwa, wspinający się po stopniach u jego boku. — Nigdy nie widziałem czegoś takiego. Odkryłem go w Tyflisie, w podrzędnym teatrze. Siedziałem w pierwszym rzędzie i kiedy ten typ, ten aktorzyzna, spojrział na mnie po raz pierwszy, poczułem się, jakbym stał obok was, towarzyszu.

Tamto spojrzenie wstrząsnęło Paukerem. Duganow miał ten sam zimny, twardy wzrok pozbawiony uczuć, jaki miał czasami szef państwa radzieckiego, dla którego teraz pracował.

Stalin spojrział na Paukera kątem oka. Lepiej, żeby sobowtór wart był tego zamieszania. Dzień zaczął się fatalnie. Lot do Leningradu był zdecydowanie kiepskim pomysłem. A wszystko przez tę cholerną kobietę, Anię Merkowną Czernikową, z którą miał córkę. Ania była zmienna i kapryśna, miała trudny charakter... Nienawidził jej. Ale żadna nie była od niej lepsza w łóżku.

Próbował się jej pozbyć, zapomnieć. Romansiki z sekre-

tarkami, z najpiękniejszymi aktorkami i tancerkami Baletu i Opery Moskiewskiej. Wszystko na próżno. Zawsze do niej wracał.

Przyleciał do Leningradu z Moskwy przed świtem, swoim nowoczesnym douglasem C-47, amerykańskim samolotem wyposażonym w najnowsze zdobycze techniki, otrzymanym od aliantów dzięki hojnej ustawie *Lend-Lease* jego przyjaciela Roosevelta. „Oby Bóg, w którego wierzy, zachował go przy życiu jeszcze wiele lat. Jest tak głupi i ufny, że uwierzył nawet, iż przyjaźń między kapitalistą i komunistą jest możliwa”, powiedział Paukerowi w jednym z nielicznych przyływów szczerości. „W takim razie niech ten sam Bóg trzyma go z daleka od Churchilla”, odpowiedział na to szef jego straży.

Tak, życie byłoby dużo prostsze, gdyby tego angielskiego buldoga trafił piorun, przyznał Stalin w duchu.

Teraz chciał tylko wspominać podróż. Przyjemny lot. Czuł pewność i władzę, siedząc w nowym samolocie w otoczeniu eskadry sześciu jaków-1 lecących na tej samej wysokości, wiedząc, że jeszcze dwie eskadry jaków znajdują się ponad nimi, na wysokości trzech tysięcy metrów, gotowe do posłania pocisków, na wypadek gdyby zaatakowano maszynę Stalina. W którymś momencie podróży nawet tego chciał. Pragnął wystawić na próbę asów sowieckiego lotnictwa z jego eskorty przeciw jakiejś eskadrze M-109, samolotów, z których Niemcy byli tacy dumni.

Bieg spraw miał się zmienić. Już niedługo. Znacznie szybciej, niż mógł się tego spodziewać ten zdrajca Hitler. Jak mógł mu zaufać?

Lot przebiegł bez zakłóceń. Wylądowali na zaimprovizowanym lotnisku w Pargolowie, na obrzeżach Leningradu,

niedaleko fińskiej granicy, na której panował względny spokój, mimo wysiłków Niemców, próbujących przekonać swoich sojuszników do konieczności zamknięcia oblężenia.

Na szczęście Finowie chcieli tylko odzyskać ziemie utracone w wyniku pierwszej rosyjskiej inwazji, ani kilometra więcej. Leningrad nie leżał w kręgu ich zainteresowań.

Dotarł wcześniej do apartamentu w Astorii. Czekala tam na niego Ania. Zaczęli się kochać, gdy tylko zamknął drzwi, jak zwykle. Robili to z niecierpliwością, niepohamowanie, prawie brutalnie. Wszystko tak między nimi wyglądało.

Później zjedli śniadanie. Ania zamówiła ulubione danie Koby, jak go nazywała, kiedy byli sami: zmrożoną wódkę, wędzone śledzie z surową cebulą, kiszone ogórki, ciemny chleb, krwisty stek ze smażonymi ziemniakami i herbatę z cytryną słodzoną syropem malinowym.

Zastanawiał się, czy nie zabrać jej ze sobą do Moskwy. Wyglądała wspaniale z potarganymi rudymi włosami i policzkami zaróżowionymi od rozkoszy, jaką przeżywała w łóżku. Jednak zaraz po śniadaniu zaczęli się kłócić. Talerze latały po pokoju. Krzyki, wyzwiska. Ania wyszła pierwsza, ubrana w cienki jedwabny szlafrok, trzaskając drzwiami tak mocno, że od framugi odpadły kawałki tynku.

Stalin spędził jeszcze pół godziny w apartamencie, próbując zapanować nad furją wstrząsającą jego ciałem.

W samochodzie, kiedy marzył już tylko o tym, żeby dojechać na lotnisko i wsiąść do samolotu, który zawiezie go z powrotem do Moskwy, Pauker przypomniał mu o wizycie w Pałacu Zimowym.

Następny sobowtór. Pauker miał na ich punkcie obsesję. „Wrogowie państwa mogą czaić się wszędzie, a bezpieczeń-

stwo przywódcy ma zasadnicze znaczenie dla przetrwania systemu”, powtarzał Stalin swoim najbliższym, ale nie spodziewał się, że Pauker wyryje sobie te słowa w mózgu z takim oddaniem i uporem.

Zawsze skuteczny Pauker. Musiał to przyznać, dzięki niemu w jego otoczeniu zmieniło się wiele rzeczy, zawsze na lepsze. Na początek udało mu się poprawić, pomimo początkowych sprzeciwów Stalina, jego wygląd. Dzięki radom Paukera dyktator zaczął używać brylantyny i teraz miał nienaganną fryzurę i starannie przycięte wąsy.

Ponadto Pauker zdobywał dla niego luksusowe towary z zagranicy, którymi zaskakiwał swoje kochanki. Nie mówiąc o fantastycznej kolekcji filmów pornograficznych, które dla niego zbierał i które później Stalin oglądał w zaciszu gabinetu.

Pamiętał o każdym szczególe, kazał nawet zamontować mały podest w mauzoleum Lenina, żeby Stalin wyglądał na wyższego w czasie defilad.

— Mam nadzieję, że to opóźnienie będzie czegoś warte — powiedział zimno Stalin.

W rzeczywistości był ciekaw tego typu, Iwana Duganowa. W czasie podróży przeczytał uważnie jego dossier.

Iwan Duganow urodził się 10 grudnia 1879 roku w Tyflisie, w tym samym miesiącu, tym samym roku i tylko dzień później niż Stalin. Przyszedł na świat z niesprawnym lewym ramieniem, co nie uniknęło uwagi dyktatora, którego osaczyły bolesne wspomnienia z dzieciństwa, kiedy jego ojciec, jak zwykle pijany, pobił go i uszkodził mu poważnie łokieć. Od tamtej pory lewe ramię było właściwie unieruchomione. Jego życie wydawało się biec równoległe do życia tamtego. Ojciec Iwana porzucił rodzinę, kiedy mały Duganow miał

niecałe cztery lata, a matka umarła na zapalenie płuc dwa lata później. Chłopak spędził dzieciństwo na tułaczce od jednego szpitala do drugiego.

W wieku czternastu lat zaczął pracować jako pomocnik szewca, kiedy skończył szesnaście, zaginął, żeby pojawić się sześć lat później w wędrownym cyrku, z którego trafił potem do teatru.

Nigdy nie udało mu się opuścić drugorzędnych scen i łączył swoją prawdziwą pasję, sztukę muzy Talii, z zajęciami, które pozwalały mu się utrzymać.

Stalin przyjrzał się jego zdjęciu. Nie miał wąsów, lecz to nie powinno być problemem, a broda wygląda na dość gęstą. Twarz miał upstrzoną bliznami po przewlekłym trądziku młodzieńczym. Jego szpecące skutki zdawały się mieć ten sam efekt co ślady, jakie na twarzy dyktatora zostawiła ospa. Zauważył, że brwi Duganowa są gęstsze niż jego własne: niemal łączyły się u nasady nosa, ale można je było wydepilować i nadać im odpowiedni kształt. Miał czarne włosy, dużo krótsze niż on sam, ale wyglądało na to, że są równie gęste, siwe kosmyki zawsze można ufarbować.

Wzrost też nie powinien być problemem: jest niewiele wyższy od niego, metr sześćdziesiąt osiem. Stalin ma metr sześćdziesiąt trzy, ale dzięki specjalnym butom z wkładką, jakie zamówił dla niego Pauker wyglądał na niemal metr siedemdziesiąt.

— Z jakiego okresu jest to zdjęcie? — zapytał szefa bezpieczeństwa.

— Zrobiłem je trzy miesiące temu.



Duganow przejrzał się w lustrze raz jeszcze. Musiał przyznać, że przez ostatnie trzy miesiące Pauker dokonał cudów. Teraz jest dokładną kopią Stalina.



Manuel Fernandez de Bonhomia ustawił celownik strzelby. To, co zobaczył, zaparło mu dech w piersi. Facet, który przechadza się po carskiej garderobie, po drugiej stronie patia, to Stalin!



Hotz podszedł do Olgi, która obserwowała nerwowo pracę mężczyzn, i szepnął jej coś na ucho. Wyszli z warsztatu, przemierzili długi korytarz i weszli do jednego z pokojów. Gauleiter zamknął za sobą drzwi.

— Dobrze, droga Olgo, czas najwyższy, żebym wywiązał się z mojej części umowy — powiedział, odpinając górne guziki płaszcza, żeby wyjąć z wewnętrznej kieszeni dokumenty, które podał jej z ciepłym uśmiechem.

Olga wzięła papiery. Rozpoznała natychmiast jeden z nich: francuski paszport. Otworzyła go i przeczytała nazwisko posiadacza: Flora Mathieu-Romanow. Zaczęły drżeć jej usta, nie mogła powstrzymać wielkich łez spływających po policzkach. Chciała krzyknąć z radości, ale z jej gardła nie wydobył się żaden dźwięk. Drugim dokumentem był certyfikat zaświadczący o francuskim obywatelstwie, wystawiony na jej nazwisko i przyznany przez rząd Vichy. Podniosła głowę, chcąc podziękować Hotzowi za wszystko, co dla niej zrobił. Za spełnienie marzeń, danie jej szansy na drugie życie.

Ale gauleitera nie było już przed nią. Nie mogła go zobaczyć, bo stał dokładnie za jej plecami, niemal opierając lufę pistoletu z tłumikiem o jej kark.

— *Bon voyage* — wyszeptał. I strzelił.

Kobieta upadła jak worek na zakurzoną posadzkę. Włosy na jej karku dymiły jeszcze, spalone siłą wystrzału.



Strzelec ustawił ostrość na celowniku. To był daleki strzał, ale był pewien, że uda mu się wpakować kulkę w głowę celu. „Nie strzelać, jeśli to nie będzie absolutnie konieczne”, pamiętał doskonale ostatnie instrukcje Hotza. Do diabła z Niemcem i jego rozkazami! Nie może pozwolić, żeby umknęła mu taka okazja. Stalin był główną nagrodą.

Zaczął uspokajać oddech i rytm serca, ustawiając krzyżyk celownika na głowie dyktatora. Wtedy drzwi garderoby otworzyły się i wszedł przez nie wysoki radziecki oficer. Uśmiechnął się do Stalina i wpuścił do środka trzeciego mężczyznę.

Bonhomia nie mógł uwierzyć własnym oczom. Człowiek, który właśnie się pojawił, również był Stalinem.



— Muszę iść do łazienki — powiedziała Tania, krzywiąc się boleśnie.

— Widziałem jakąś na końcu korytarza. Wracaj zaraz — odpowiedział Wundermann, prawie na nią nie patrząc, skupiony na wymianie trzeciego obrazu.

Kiedy wychodziła z pokoju, Sanchez spojrzął za nią z nieprzeniknioną miną.

— Hotz powiedział, że nie powinniśmy się rozdzielać — zauważył, kiedy echo jej kroków ucichło na korytarzu. — Nie powinniście byli posyłać Nikołaja po wodę.

— Kiedy mi się chce pić, piję wodę, Sanchez. Trzeba było samemu przynieść wiadro. Bo jakoś nie widać, żebyś się tu do czegoś przydawał — odparł sucho Jaszczurka.

Wrócił Hotz. Zmarszczył brwi, widząc, że nie wszyscy są.

— Rosjanie zaczęli aresztowania?

— Zaraz wrócą — wyjaśnienie Sancheza zabrzmiało przeproszająco. — Dziewczyna jest w łazience, a chłopak poszedł po wodę.

Jaszczurka zaczął wyjmować z drewnianej skrzyni ostatnie zwinięte płótno. Ale kiedy wyjął van Gogha, zauważył, że na dnie leży jeszcze jeden rulon.

— A to co takiego? — zdziwił się, odkładając *Wiejskie chałupy...* na stół i wyjmując piąte płótno ze skrzyni.

Jaszczurka rozwinął obraz. Wundermann rozpoznał go od razu: *Męczeństwo świętego Sebastiana* van Dycka. Przypomniał sobie zachowanie Hotza w sali flamandzkiego malarza, wyraz satysfakcji na jego twarzy, kiedy czytał podpis pod pustą ramą. Poczul, że serce zaczyna mu bić szybciej, a szósty zmysł ostrzegał przed zbliżającym się niebezpieczeństwem.

— Proszę, Hotz — powiedział, podnosząc wzrok znad ostatniego obrazu. — Tego nie było w planach.

— Nie. Prawdę mówiąc, nastąpiła zmiana planów — odpowiedział Hotz, uśmiechając się do niego spokojnie.

Nie skończył jeszcze zdania, kiedy Jose Miguel, najemnik, wyciągnął błyskawicznym i precyzyjnym ruchem z kieszeni zgrzebnego płaszcza waltera P-38 z tłumikiem, wycelował w głowę Jaszczurki i strzelił.

Jaszczurka poczuł tępe uderzenie w skroń, cofnął się kilka kroków i wydało mu się, że ktoś nałożył mu czarny worek na głowę. Nagle ogarnął go przesywający, zwierzęcy strach. Jak w oślepiającym błysku, zobaczył samego siebie usługującego do mszy don Tomasowi, proboszczowi z jego wsi. To go uspokoiło. Zresztą Jose Manuel na pewno coś wymyśli, zawsze tak było. „Gabrielu, chodź tutaj”. Głos don Tomasa, wołającego go z zakrystii. Ksiądz zawsze nazywał go jego prawdziwym imieniem. „Chodź, chcę ci kogoś przedstawić”. Zamknął oczy i rozluźnił się.

Jose Manuel spojrzął na ciało przyjaciela, nie wierząc własnym oczom. Z przerażeniem poczuł, jakby ktoś nagle wpełchnął go do koszmarnego snu. Usłyszał z oddali głos Sancheza mówiącego chyba: „a jednak się przydałem”. Jaszczurka, jego najbliższy przyjaciel, leżał na podłodze, z szeroko otwartymi oczami wpatrzonymi w sufit. I z otworem od kuli w czole, który prawie nie krwawił.

Kiedy rozejrzał się za Hotzem, zobaczył, że podobnie jak jego najemnik, celuje do niego z pistoletu. Jose Manuel otworzył usta, ale nie mógł wykrztusić słowa.

— Bardzo mi przykro, współniku. Takie rzeczy się zdarzają. Nie planowałem tego na początku — głos Hotza był spokojny.

Jose Manuel wykonał nadludzki wysiłek, żeby wrócić do rzeczywistości. Potrzebował wszystkich pięciu zmysłów pracujących na najwyższych obrotach, na wypadek gdyby wydarzył się w tym pokoju jakiś cud i mógł jeszcze uratować

— Jestem ci winny wyjaśnienie, jak sądzę — głos gauleitera był niewiarygodnie wręcz spokojny.

Jose Manuel przyglądał mu się. Nie tracąc z oczu Sancheza, który stał przed nim z okrutnym, cynicznym uśmiechem. Najgorsze podejrzenia, najczarniejsze obawy Wundermanna stały się nagle rzeczywistością, kiedy Jaszczurka upadł bez życia u jego stóp, przekreślając

— A Olga? — Próbował wyrwać sekundy swojej karze śmierci.

— Powiedzmy, że już zaczęła swoją podróż — odpowiedział Hotz i odwrócił się do Sancheza, nie przestając całować. — Chciałbym porozmawiać w cztery oczy z moim współnikiem. Może poszukasz Tani i Nikołaja? W ten sposób będziemy mogli spokojnie pogadać, bez żadnych przeszkód.

Płatny morderca zgodził się lekkim skinieniem głowy i wyszedł z warsztatu, zamykając za sobą drzwi.

— Jeśli skrzywdzisz dziewczynę, Hotz, zabiję cię.

— Och, daj spokój, Wundermann, w tej sytuacji nie możesz mi grozić. To ja trzymam pistolet. Ty jesteś po tej złej stronie lufy.

— Dlaczego to robisz? Jesteśmy zespołem.

— Nie próbuj teraz szantażu emocjonalnego. — Hotz ukazywał mu swój prawdziwy charakter. — To nie była łatwa decyzja, współniku. Ale pewne rzeczy się zmieniły, czy też, ściśle mówiąc, wkrótce się zmienią. Mimo to jestem ci winny wyjaśnienie.

— Co masz na myśli? — Czas, musi zyskać na czasie i czekać na błąd.

— Opóźniłem o miesiąc przyjazd do Leningradu, bo w Kancelarii sprawy się komplikowały. Teraz jestem osobistym doradcą Führera, wiesz? Bardzo stresująca praca, nawet nie wiesz jak bardzo.

— Zawsze wiedziałem, że wysoko zajdziesz. — Cynizm Hotza go wzruszał.

Błąd, dobry Boże, potrzebuje tylko jednego błędu.

— Dziękuję. W tym klimacie wzajemnego zaufania powierzę ci pewną tajemnicę. Jest coś, co wiedzą tylko cztery osoby w Niemczech, Führer, Goebbels, Göring i ja: siódmego grudnia Japonia zaatakuje Stany Zjednoczone.

— To tylko plotka. — Wundermann przypomniał sobie nagle rozmowę z Aloisem Miedlem na przyjęciu w Karinhallu.

— Nie. Niestety, nie. To tajemnica państwowa, ale nie jest już plotką. Celem będzie Pearl Harbor, amerykańska baza morska na Pacyfiku. Generałowie przekonali w końcu cesarza Hirohito, że dzięki błyskawicznemu atakowi zniszczą trzon armii amerykańskiej na Pacyfiku. I cesarz w to uwierzył.

— A co my mamy z tym wspólnego?

— Gry wojenne, pamiętasz? Nigdy nie opowiadałem ci o Mojżeszu Weissmannie, jednym z naszych najwybitniejszych matematyków. Przewodniczył jednemu z najlepszych zespołów zajmujących się symulacją wyników gier. Weissmann przepowiedział, trzy miesiące po rozpoczęciu waszej wojny, że Franco wygra. Powiedział mi też, że zdobędziemy Paryż na długo przed naszymi generałami, kiedy zaczęliśmy nasz *Blitzkrieg* przeciw Francji. Przewidział, że nigdy nie zajmiemy Wysp Brytyjskich. — Oczy Hotza błyszcząły, chodził po pokoju, nie przestając celować do Jose Manuela, gestykulując wolną ręką. — Japoński atak na Stany Zjednoczone był rozpatrywany przez jego zespół jako „niepożądana możliwość”. Wszystkie zespoły biorące udział w grach wojennych przeanalizowały ten scenariusz i zgodziły się, że atak będzie zwycięski i skróci działania wojenne.

— W takim razie?

— Niemcy wypowiedzą wojnę Stanom Zjednoczonym jedenastego grudnia. Weissmann zapewnił mnie, że jeśli Ameryka włączy się do wojny po stronie aliantów, Oś poniesie klęskę przed upływem trzech lat.

— Weissmann może się mylić.

— Weissmann i cały zespół zniknęli z Kancelarii dzień po przedstawieniu wyników analizy Goebbelsowi.

Nagle Jose Manuel uświadomił sobie, że nazwisko Weissmann jest przecież żydowskie. Byli jednak przechrzczeni Żydzi służący Rzeszy. I robili to, dopóki nie przestawali być użyteczni.

— Nie rozumiem.

— To czytaj mi z ust. Zabawa się skończyła — powiedział Hotz, artykułując przesadnie każde słowo. — Niemcy nie wygrają wojny. Za trzy lata naziści zostaną wyklęci na całym świecie. Ameryka podzieli się z Rosją Europą, a nasz doskonały świat zniknie. Tak więc w związku z zaistniałymi okolicznościami postanowiłem wycofać się z interesu.

Wündermann patrzył na niego z niedowierzaniem.

— Daj spokój, Jose Manuelu. Widziałeś na własne oczy, co się dzieje. Nie byliśmy w stanie zdobyć tej góry ruin. W Stalingradzie też siedzimy w okopach. A Stalin spokojnie obżera się kawiozem w Moskwie... Od września nasze postępy w tym przeklętym kraju były praktycznie żadne. Wpadliśmy w tę samą pułapkę co Napoleon. Jednym słowem *kaput*. Koniec pieśni. To początek końca. Różnica polega na tym — i tu jestem na lepszej pozycji, drogi przyjacielu — że ja mam informacje. Wiem, co się wydarzy, i jestem przygotowany na to, żeby skorzystać na zbliżającej się katastrofie.

— Co zrobisz z obrazami? — Jego czas się kończył.

— Sprzedam je zgodnie z planem w Nowym Jorku. W imieniu niemieckiego rządu, rzecz jasna. Nie chcę przez resztę życia oglądać się za siebie. Piąty obraz, van Dyck, to już moja rzecz. Mały diament, który zaokrągli moją fortunę. Kaprys kolekcjonera. Premia, którą jestem sam sobie winny. Uzgodniłem to z Olgą, kobietą wykształconą i dyskretną, powiedzmy, że równoległe do oficjalnych ustaleń. Teraz trzeba zniknąć. Mam już wszystko przygotowane. Pojawię się w Argentynie, pod innym nazwiskiem, z inną twarzą, innym życiem. Kto wie, może nawet z Carmen? Nie bądź zazdrosny, widziałem przecież, że znalazłeś zastępstwo. Naprawdę mi przykro, że tym razem nie mogę uwzględnić cię w moich planach. Ani ciebie, ani reszty zespołu. W końcu okazałem się niegrzecznym chłopcem, a kiedy wybierasz własną drogę, lepiej nie zostawiać za sobą zbyt wielu śladów. Mam nadzieję, że to zrozumiesz, nie ma w tym nic osobistego. I to już koniec wyjaśnienia, które ci się należało. — Hotz skończył zdanie, odbezpieczając broń i celując w głowę Wundermanna.



Stalin patrzył na Stalina, nie wierząc jeszcze w to, co widzi.

— To po prostu niesamowite — wyszeptał dyktator, patrząc na swojego sobowtóra. — Jaki ma głos?

— To świetny aktor. Może doskonale naśladować wasz tembr głosu. Przesłuchał setki waszych przemówień. Poza tym ma taki sam akcent — odparł Pauker.

— Spróbujmy — powiedział Stalin sucho i wyszedł do pokoju obok. Szef bezpieczeństwa nakazał Duganowowi gestem, żeby poszedł za nim.

Strzelec przeklął samego siebie, kiedy mężczyźni wyszli z garderoby. Trzeba było strzelać wcześniej. Tylko do kogo, do cholery?

— Tam na dworze stoi kapitan mojej ochrony, Aleksiej Łuknicki. Zawołaj go i wydaj mu jakiegokolwiek polecenie. — Stalin odwrócił się plecami do drzwi, przez które miał wejść oficer.

— Towarzyszu Łuknicki! — krzyknął Duganow głosem dyktatora.

Kapitan wszedł i wyprężył się przed nim, stukając obcasami.

— Na rozkaz, towarzyszu Stalin.

— Łuknicki, proszę o raport meteorologiczny na lot powrotny do Moskwy. Za pięć minut ma być w samochodzie. Przeczytam go w drodze na lotnisko.

— Tak jest, towarzyszu Stalin. — Oficer zaszutował bez mrugnięcia okiem i wyszedł.

Pauker uśmiechał się triumfalnie. Stalin odwrócił się do sobowtóra.

— Wyjdźmy. Chcę ci się przyjrzeć w świetle dnia.

Podeszli do okna w garderobie. Stalin przyglądał mu się uważnie.

— Byłbyś zdolny do zastąpienia mnie w czasie przemówienia, na placu pełnym tysięcy ludzi?

— Proszę mnie wypróbować, towarzyszu.

Stalin poczuł dreszcz, wydawało mu się, że słyszy samego siebie. Może się udać. Zaczął sobie wyobrażać, jak przydatny może być ten człowiek. Mógłby teraz podróżować do wiecznie sprawiających kłopoty republik kaukaskich albo przemieszczać się na fronty, żeby wojsko czuło jego obecność...

Najwyższy sowiecki dygnitarz wyjął powoli z kieszeni długiego płaszcza fajkę. Palenie fajki było jednym z jego tików. Robił to zawsze, kiedy chciał się odprężyć, żeby pomyśleć, żeby pogodzić się z samym sobą, żeby podjąć ważną decyzję.

Dwaj mężczyźni patrzyli na siebie długo, obserwując się, rozkoszując się swoją obecnością, jakby obaj przeszli na drugą stronę lustra, żeby odnaleźć samego siebie. Duganow nigdy nie potrafił powiedzieć, jak długo trwała ta chwila.

Trwała, aż nagle głowa Stalina dosłownie wybuchła. Ułamek sekundy później dało się słyszeć echo wystrzału, odbijające się od ścian wewnętrznego patia.



Sanchez przeszedł nad trupem Olgi. Zauważenie, że nie miała już na nogach butów, nie kosztowałoby go zbyt wiele wysiłku, ale koncentrował uwagę na korytarzach i kątach. Miejscach, z których mógłby wyskoczyć napastnik. Dotarł do toalet. Wszedł do damskiej łazienki, bardzo powoli, próbując nie nadepnąć na rozrzucone po podłodze fragmenty płytek i szkła, które chrzęstem mogłyby zdradzić jego obecność.

Schylił się i zaczął sprawdzać kabiny, zaglądając do nich przez szparę pod drzwiami. Wreszcie znalazł tę, która była zajęta. Widział doskonale buty dziewczyny. Podeszedł na palcach do drzwi, podniósł broń i opróżnił magazynek. Dziewięć kul przeszło z łatwością cienką deskę, rysując na niej dziewięć idealnych kółek.

Dziewczyna nie miała szans. Siedziała pewnie teraz bez życia na sedesie.

— Dorwałem cię ze spuszczonej majtkami, co, kurewko Wundermanna? — Zaniósł się świszczącym rechotem, wyj-

mując magazynek z pistoletu, który upadł na ziemię z metalicznym brzękiem. Wtedy drzwi sąsiedniej ubikacji otworzyły się z hukiem. Tania skoczyła na niego z łopata, których pełno było w kupach piachu, i zaczęła bić go na oślep w twarz.

Sanchez, zaskoczony szybkością i intensywnością ataku, cofnął się kilka kroków i upadł. Miał wrażenie, że sufit toalety zaczyna się kołysać, poczuł zawroty głowy i mdłości, jednocześnie jego twarz przeszył ostry ból.

Wydawało mu się, że widzi, jak dziewczyna skacze nad nim i znika za drzwiami prowadzącymi na korytarz.

Zapanował nad strasznym bólem i podniósł się powoli. Instynktownie dotknął twarzy, ale natychmiast odsunął ręce z krzykiem, który odbił się od ścian łazienki. Miał rozbity nos, pękniętą wargę, a czubkiem języka mógł wyczuć nagie dziąsła. Pewnie brakowało mu dwóch czy trzech zębów. Ta suka drogo mu za to zapłaci. Próbował zatamować krwawienie jednym z brudnych ręczników, które wisiały przy umywalkach.

Podziurawione kulami drzwi otworzyły się, ukazując parę butów Olgi. Dał się nabrać na uczniowską sztuczkę.

Nagle podskoczył na dźwięk echa wystrzału.

Hotz usłyszał strzał z warsztatu. Dźwięk dobiegał z pozabawionych szyb okien wychodzących na wewnętrzne patio Pałacu Zimowego. Instynktownie obejrzał się za siebie. Kiedy odwrócił się do Wundermanna, architekta już nie było w pokoju.



Najpierw do garderoby wszedł Pauker. Zobaczył z przerażeniem Stalina leżącego na podłodze. Miał zmasakrowaną twarz. W rogu pokoju pod ścianą kucał Stalin.

— Zabili sobowtóra! — krzyknął do Paukera, który patrzył na niego wytrzeszczonymi oczami, świadom, że znalazł się w samym środku koszmaru.

Łuknicki i jego ludzie wpadli gromadą do garderoby.

— Towarzyszu kapitanie, zabierzcie mnie stąd! — rozkazał Stalin, odzyskując panowanie nad sytuacją.

Oficer i jego żołnierze wyprowadzili go biegiem, osłaniając własnymi ciałami. Szef bezpieczeństwa wyszedł za nimi, a pozostali zaczęli strzelać w kierunku zamachowca, po drugiej stronie patia.

Stalin otrzepał spokojnie pył z długiego płaszcza. Pauker stanął przed nim. Patrzył na niego jak na zjawisko.

— Duganow? — odważył się wyszeptać.

Stalin spojrział na niego zimno, jak tylko on potrafił.

— Pauker, chcę, żeby nieboszczyka ogolono. Włosy, wąsy i brwi. Całkowicie. Rozumiecie mnie, towarzyszu? — Pauker przytaknął jak automat. Stalin wyjął fajkę z kieszeni płaszcza i włożył ją do ust. Ten tak znany mu gest wyraźnie uspokoił Paukera. — Chcę, żebyście potem rozebrali trupa i zawinęli go w jakieś prześcieradło, zasłonę czy co tam znajdziecie. A potem zostawicie ciało na pierwszym rogu jakiegokolwiek ulicy tego cholernego miasta. — Znów wbił w niego spojrzenie. — Zrozumieliście, towarzyszu Pauker?

— Tak! — przytaknął oficer.

— To na co jeszcze czekasz, do stu diabłów? — uciął sucho Stalin, bawiąc się trzymaną w ustach fajką.

Szef bezpieczeństwa zasalutował i odwrócił się, żeby wrócić do garderoby i wykonać rozkaz.

— Pauker! — Usłyszał za plecami krzyk. Odwrócił się. — I zdobądź mi tytoń do fajki, zgubiłem go w tym cholernym

zamieszaniu! — Odwrócił się z wściekłością, wkładając zaciśnięte pięści do kieszeni i zmierzając w eskorcie Łuknickiego i jego ludzi do wyjścia z carskich komnat.

Schodząc po wielkich pałacowych schodach, Stalin wydawał precyzyjne polecenia kapitanowi swojej ochrony.

— Pod żadnym pozorem, powtarzam, pod żadnym pozorem ten szpieg czy szpiedzy niemieccy nie mogą wydostać się żywi z Leningradu. Chcę, żebyście się tym zajęli osobiście. I pozbadźcie się ciał, kiedy będzie po wszystkim. Jesteście odpowiedzialni za dokładne wypełnienie moich poleceń. To wszystko nigdy nie miało miejsca. Przekażcie to swoim ludziom.

— Tak jest, będzie, jak sobie życzy, towarzyszu Stalin.

— Tego jestem absolutnie pewien, mój dobry Aleksieju. Przede wszystkim dlatego, że ręczysz za to głową.

Stalin i jego eskorta wyszli z pałacu. Dyktator odetchnął z satysfakcją mroźnym miejskim powietrzem. Uśmiechnął się na widok swojej czarnej limuzyny. Inaczej niż kilka godzin wcześniej, ogarniała go teraz radość, niemal euforia. Może długa podróż do Leningradu nie odbyła się całkiem na próżno.

Z jednego z pustych okien drugiego piętra Pauker patrzył na odjeżdżającą limuzynę. Jego twarz była poważna, prawie bez wyrazu. Spojrzał na torebkę z tytoniem do fajki, którą właśnie wyjął z kieszeni płaszcza martwego mężczyzny. Po kilku chwilach wahania rzucił ją na zakurzoną podłogę galerii*.



* Wiele miesięcy później Pauker został rozstrzelany z rozkazu Stalina, który oskarżył go o szpiegowanie dla Niemiec.

Strzelec nawet nie podniósł łuski. Garderoba po drugiej stronie patia wypełniła się żołnierzami, a jeden z nich wskazał prosto na jego pozycję.

Uciekł, zanim deszcz pocisków zniszczył doszczętnie to, co jeszcze zostało z jedwabnych zasłon w kolorze wina. Nie posiadał się z dumy, był rozemocjonowany. Właśnie ustrzelił cel swojego życia.



Hotz biegł za Wundermannem, kiedy usłyszał serie z karabinów maszynowych. Zatrzymał się gwałtownie i przerwał pościg. Za dużo strzałów. To może znaczyć tylko tyle, że ich nakryli. Miał ochotę udusić sierżanta Fernandez de Bonhomie własnymi rękoma. Wrócił czym prędzej po swoich śladach. Biegł, przeklinając pod nosem. Wszystko zaczynało się komplikować. Teraz najważniejsze to nie tracić głowy. Zabierze obrazy i wyjdzie z muzeum. Może jeszcze zapanować nad sytuacją. Jeszcze wszystko pójdzie po jego myśli. Wundermannem zajmie się później albo zajmą się nim Rosjanie.

Jednak kiedy wszedł do warsztatu, odkrył, że jego problemy dopiero się zaczęły. Dwa z trzech pojemników na gaz zniknęły. Hotz skoczył do trzeciego i podniósł pokrywę. Był pusty. Spojrzał kątem oka na dwie manierki stojące teraz na stole, jako dowód wymiany. Chłopak, który poszedł po wodę. Nikołaj, tak się nazywał ten bękart. Nigdy nie miał okazji z nim porozmawiać, ale wiedział, że chłopak nie jest idiotą. Poza tym gdziekolwiek teraz jest, właśnie został m. Dźwięk zbliżających się szybko kroków kazał Hotzowi

odwrócić się w stronę drzwi. Może chłopak wraca, by skończyć robotę, pomyślał, ładując na nowo broń. Jednak tym, który wbiegł do warsztatu, był Sanchez.



Do nosa i ust przyciskał zakrwawiony ręcznik. Hotz wołał nie zadawać pytań.

— Zwiń obraz i włóż go do pojemnika. Idziemy stąd. — Z trudem powstrzymywał ogarniającą go wściekłość. Sanchez też wołał o nic nie pytać.

Odległy warkot silników samolotowych zaczął się nasilać. Jak to przewidział stary dyrektor muzeum, niemieckie bombowce wracały do baz.



Z dużego salonu rozchodziły się cztery korytarze. Tania i Jose Manuel wbiegli do pokoju w tym samym momencie.

Spojrzeli na siebie jak zahipnotyzowani. Tania dyszała, miała spoconą twarz, a włosy przykleiły jej się do czoła i policzków. Wündermannowi wydała się piękniejsza niż kiedykolwiek. Od biegu bolały go płuca, nie mógł mówić, nie mógł też przestać na nią patrzeć. Dziewczyna podbiegła do niego, zarzuciła mu ramiona na szyję i pocałowała mocno w usta. Kiedy się od niego odsunęła, w jej oczach zobaczył zupełnie nowy blask.

— To się dzieje nagle. Mówiłam ci przecież — rzuciła tonem wyjaśnienia, uśmiechając się.



Hotz widział, jak się całują, z drugiej strony patia. Nawet nie musiał wydawać Sanchezowi polecenia. Najemnik też

ich zobaczył i pobiegł w ich stronę. Gauleiter zszedł powoli po schodach prowadzących na pierwsze piętro i przyłączył się do grupy robotników wychodzących z muzeum po skończonej pracy.

Minął żołnierzy wbiegających na wyższe piętra. Hotz widział, jak grupa rzemieślników kieruje się do wyjścia z budynku, rozpoznał przedsiónek Bramy Atlantów. Żołnierze krzykami kierowali ich w tę stronę. Hotz uśmiechnął się za wysokim kołnierzem płaszcza. Szczęście znów okazało się jego najlepszym sprzymierzeńcem. Wyszedł z budynku z pozostałymi pracownikami. Za jego plecami żołnierze zamknęli wielkie, okute żelazem drzwi portyku Atlantów. Dwa rosyjskie myśliwce przeleciały z hukiem na niskim pułapie wzdłuż Newy, żeby stawić czoło maszynom wroga. Hotz spojrział jeszcze raz na Ermitaż. Pułapka była już zamknięta. Poprawił plecak na ramionach, czując ciężar pojemnika po cyklonie. Znów się uśmiechnął. W końcu, co van Dyck, to van Dyck.



Bombowce były już nad nimi. Wundermann i Tania, którzy weszli na trzecie piętro, uciekając przed rosyjskimi żołnierzami, zobaczyli przez wychodzące na Newę okna, jak niemieckie samoloty zrzucają bomby na Twierdzę Pietropawłowską, na drugim brzegu rzeki. Teraz kolej na Ermitaż.

Pierwsza fala ciemnych dornierów przeleciała tuż nad ich głowami. Przez chwilę myśleli, że nic się nie wydarzy. Nagle usłyszeli huk bomb, a cały budynek zatrzęsł się pod ich stopami.

Biegli dalej, aż dotarli do skrzyżowania korytarzy. Jose Manuel wyjrzał ostrożnie za róg galerii, sprawdzając, czy w pobliżu nie ma wroga. Nad jego głową świsnęła kula

i wyrwała kawał tynku ze ściany, o którą się opierał. Odwrócił się, szukając strzelca, i na końcu korytarza, który zostawili za sobą, zobaczył biegnącego w ich stronę

Porzucił wszelką ostrożność i zaczął biec galerią po prawej, nie puszczać ręki Tani.

Pędzili przez sale sztuki rosyjskiej, aż znaleźli się w dużym pokoju z intarsjowanym drewnianym sufitem. Podłoga zniknęła na skutek uderzenia pocisku. Przez wielką dziurę widać było galerię na drugim piętrze, prawie pięć metrów pod nimi. Naprzeciwko nich, na skraju przepaści, znajdowało się duże łóżko z baldachimem. Jego bogato zdobiona narzuta była podarta na strzępy, spomiędzy których wystawały zniszczone satynowe prześcieradła i kawałki wełny z

Na łóżku leżała otwarta duża teczka z niebieskiego kartonu. Wypadły z niej setki kartek z partyturami i rozsypały się po całej podłodze.

Wündermann pomyślał, że to dziwne i barokowe tło dla ich śmierci.

Sanchez już nie biegł. Szedł powoli w ich stronę, z pistoletem w dłoni. Zdobycz nie mogła już się wymknąć.

— Zapłacisz mi za to, co mi zrobiłaś w łazience, bolszewicka suko! — wrzasnął, pokazując palcem wskazującym lewej ręki twarz ozdobioną krwawą masą, która była kiedyś nosem, pękniętą wargę i zaschniętą krew na ustach, szyi i koszuli.

Nagle usłyszeli gwizd bomby. Wszyscy troje przeżyli już bombardowania i wiedzieli, że pocisk leci prosto na nich. Instynktownie rzucili się na ziemię. Bomba wpadła przez

dach, niszcząc dachówki i strop, jakby były z papieru, złamała dębową belkę i wbiła się, nie wybuchnąwszy, na końcu galerii, za plecami Sancheza.

Najemnik podniósł się powoli, spojrzął do tyłu, przyglądając się zapalnikowi pocisku wystającego spomiędzy gruzu.

— Proszę, najwyraźniej diabeł chce, żebym to ja was posłał do piekła — powiedział, układając zmasakrowaną twarz w grymas mający przypominać uśmiech.

Wündermann był zbyt daleko, żeby usłyszeć syk zapalnika. Zobaczył za to, jak kartki z partyturami zsuwają się z łóżka i płyną po podłodze w kierunku Sancheza, jakby wessane przez prąd powietrza ciągnący je w stronę wylotu korytarza.

Wiedział już, co się stanie w galerii za kilka sekund.

Podniósł się jak na sprężynie i pociągnął Tanię na łóżko, a ona patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, nie rozumiejąc, co się dzieje. Jose Manuel zaczął z całej siły pchać łóżko w stronę krawędzi wielkiego krateru.

Sanchez również zrozumiał, że dzieje się coś niedobrego, gdy zobaczył kartki owijające się wokół jego stóp i poczuł dziwny prąd powietrza, jakby ktoś otworzył wielkie drzwi za jego plecami. Wtedy bomba wybuchła. Najpierw wielki płomień wypełnił wylot korytarza i nagle, jakby zaczął żyć własnym życiem, zamienił się w jezior ognia i zaczął przeć przez galerię, wyjąc jak olbrzymie zwierzę, wypalając i niszcząc wszystko na swojej drodze.

Jose Manuel spojrzął za siebie w chwili, kiedy ściana ognia połykała Sancheza. Poczuł nagle gwałtowne uderzenie masy powietrza pchanej przez ogromny płomień, który rzucił go jak lalkę na łóżko, wiszące na krawędzi dziury.

Kiedy łoże cara Wszechrosji rozpadało się na drobne kawałki, lądując na podłodze drugiego piętra, Wundermann widział, jak rzeka fosforu przechodzi nad ich głowami, prześlizguje się nad dziurą w suficie, w kierunku narzuconym jej przez kształt korytarza.

Materac zamortyzował upadek, ale siła uderzenia wyrzuciła ich z łóżka.

Przez kilka sekund leżeli oszołomieni na podłodze. Jakimś cudem byli cali. Podnieśli się i objęli, a drobiny żarzących się zwęglonych resztek spadały im na głowy. Uścisk był krótki. Dźwięk kroków zbliżających się żołnierzy uświadomił im, że ucieczka jeszcze się nie skończyła.

Zeszli na pierwsze piętro po majestatycznych Schodach Jordanu, tych samych, po których schodził car na dorocznych uroczystych spotkaniach z popami, w czasie Epifanii. Pomimo kurzu pokrywającego stiuki, złocenia i zniszczone przez pociski lustra Jose Manuel uznał, że sceneria jest wspaniała.

Za plecami usłyszał rozkazy, jakie oficerowie wykrzykiwali swoim podkomendnym. Miał wrażenie, że w ich kierunku zmierza kilka grup. Pułapka zaczynała się zamykać.

Biegiem skręcili za róg, w korytarz prowadzący do Wiszących Ogrodów, ekstrawaganckiej formy architektonicznej, która pokazywała, do jakiego stopnia sny rosyjskich carów podobne były marzeniom babilońskich królów. Wundermann biegł przed Tanią, kiedy nagle, mijając jedną z kolumn, poczuł uderzenie. Upadł na ziemię, zwijając się z bólu, próbując wpuścić powietrze do płuc przez tchawicę, która nie chciała się otworzyć na skutek uderzenia w żołądek.



Tania zobaczyła krępego mężczyznę wyłaniającego się nagle zza kolumny, który uderzył Jose Manuela w brzuch kolbą karabinu.

Zatrzymała się gwałtownie przed żołnierzem, a ten do niej celował. Rozpoznała sierżanta, który obmacywał ją przy wejściu do muzeum.

— Proszę, proszę — uśmiechnął się obleśnie, rozpoznając dziewczynę. — A więc przyjaciółka Czeczenów okazała się w rzeczywistości niemieckim szpiegiem. — Omiatał spojrzeniem każdy centymetr jej ciała. — Właśnie postanowiłem, że ty i ja zabawimy się trochę, zanim oddam cię moim kolegom — powiedział, rozpinając rozporek.

Popęłił błąd, przestając do niej mierzyć. Pierwszy kopniak trafił go w krocze. Kiedy sierżant skulił się z chrapliwym jękiem, dziewczyna obróciła się wokół własnej osi, opierając się na lewej nodze, i kopnęła go z całej siły prawą piętą w czoło.

Podoficer upadł na ziemię twarzą w dół. Tania uklękła obok niego i uderzeniem pięści zmiażdżyła mu tchawicę.

Pomogła Wundermannowi wstać. Powoli wracał mu oddech.

— Co się stało? — zapytał, widząc ciało radzieckiego sierżanta.

— Nic. Karabin wystrzelił temu idiocie w rękach — powiedziała, podnosząc z ziemi broń.



Chorążowie Gaspar Gonzalez Palenzuela i Alvaro Arenas de Valcarcel siedzieli od kilku godzin na swoich pozycjach, w jakimś punkcie między Uritskiem a Peterhofem. Z miejsca,

w którym się znajdowali, mogli podziwiać zamgloną linię Zatoki Fińskiej.

— Myślisz, że długo jeszcze, Alvarito? — zapytał Sele kolegę.

— Najważniejsze, żebyśmy byli gotowi, jak przyjdą — odpowiedział Alvaro niemal oschle.

Jego ton sprawił, że Palenzuela spojrział na niego spod oka. Wyglądał na zdenerwowanego i spiętego. Nic dziwnego, sprawy nie szły chyba za dobrze. „Może to tylko moja paranoja, ale jeśli Hotz wróci sam albo tylko z Sanchezem, skończcie z nimi, bo ja już nie będę miał okazji tego zrobić”. Sele pamiętał ostatnią prośbę Wundermanna, kiedy postawił mu następną kolejkę wódki zdolnej poruszyć ciężarówkę. Architekt nie ufał dygnitarzowi SS. Jakby załatwienie gauleitera było dokładnie tym samym co strzelenie w głowę byle szeregowcowi Armii Czerwonej, pędzącemu w twoją stronę i wrzeszczącemu: „hura, hura!”, pomyślał Sele gorzko.

Żeby dodać sobie animuszu, zaczął gwizdać hymn piechoty, próbując rozproszyć czarne myśli.

Valcarcel spojrział na niego oczyma bez wyrazu.

Wojna wszystko pieprzy, podsumował swoje przemyślenia Palenzuela, zamieniając gwizdanie w cichy śpiew.



Biegli bez tchu długim korytarzem, przemierzając puste pomieszczenia, aż dotarli do następnego skrzyżowania. Skulili się przy jednym z rogów, próbując oszukać zmęczenie pochłaniające resztki sił. Zobaczyli wtedy grupę uzbrojonych po zęby żołnierzy zbliżającą się do nich drugim korytarzem.

Spojrzeni na prawo i ujrzeli oddział wyłaniający się zza rogu i zmierzający w ich kierunku.

Nie mogli się już cofnąć, słyszeli za plecami głosy żołnierzy. Trzy grupy szły prosto na nich. Spojrzeli znowu na tę, która była najbliżej. Rosjanie szli teraz bardzo powoli, pochyleni, prawie na palcach, z pewnością siebie myśliwego, który wie, że zdobycz jest blisko, zamknięta w potrzasku.

Wündermann rozejrzał się po raz ostatni. Za kilka sekund te trzy grupy żołnierzy spotkają się w jednym punkcie i zostaną odkryci. Wszystko będzie skończone.

Nagle oślepiło go światło odbijające się od szyby. Rozejrzał się w poszukiwaniu źródła błysków. Była to przeszkłona szafa z kielichami. Jakimś cudem szyby były jeszcze całe. Przyjrzał się kielichom i odruchowo podniósł rękę do piersi, na wysokość serca. Nie zastanawiając się, wyjął różaniec ojca Albasa, z ciężkim żelaznym krzyżem, „mocny, jak mocni muszą być chrześcijanie wobec przeciwności losu”. Nie potrafił wyobrazić sobie większych przeciwności. Zacisnął różaniec w prawej ręce i cisnął nim z całej siły w witrynę.

Hałas pękającego szkła sprawił, że jedna z grup zmieniła kierunek marszu i ruszyła do sali, z której dobiegł dźwięk.

Uciekinierzy opuścili niepewną kryjówkę i zaczęli biec jedynym korytarzem, który był teraz pusty. Architekt myślał o księdzu z Paracuellos, który właśnie wyrównał z nim rachunki. Jego różaniec uratował im życie. Przynajmniej chwilowo.



Niemiecka łódź podwodna wynurzyła się na powierzchnię. Płynęła jeszcze kilka mil z szybkością około pięciu węzłów,

dopóki Harald Gross nie wydał rozkazu swojemu pilotowi Gusemu, żeby zgasił silniki. Gross otworzył właz na wieżycze i wyszedł odetchnąć mroźnym, ale czystym powietrzem Finlandii. Dzięki lornetce Kriegsmarine i dokładnej mapie upewnił się, że dopłynęli do umówionego miejsca.

Teraz musi czekać. Wprawnym ruchem sięgnął do kabury z lugerem i otworzył ją. Rozkazy Hotza były jasne. Tylko on miał wejść na pokład, nikt więcej. A Gross nie miał podstaw, żeby je kwestionować. Kiedy trzeba spłacić dług taki jak ten, nie stawia się warunków.

Z drugiej strony łódź i tak nie mogłaby pomieścić więcej pasażerów. Ta miniaturowa maszyna klasy Foca, najnowocześniejszy model niemieckiej marynarki, mogła pomieścić tylko dwóch pasażerów. Musieli wyjąć z niej działa z torpedami, żeby zrobić miejsce dla trzeciej osoby.

Założenia operacji były proste. Hotz miał dotrzeć do łodzi dzięki pontonowi ukrytemu między Uritskiem a Peterhofem. Gauleiter wejdzie na pokład i popłyną w zanurzeniu aż do ujścia z zatoki, około pięćdziesięciu mil stąd, gdzie czekała już na nich podwodna łódź transoceaniczna U-96. Mały przystanek w Norwegii na zaopatrzenie i jeśli nie będzie komplikacji, za tydzień będą z powrotem w Niemczech.

Zaczynał mu się podobać styl Hotza; dobrze wszystko planował, a przewidywał jeszcze lepiej.

Gross wyjął z paczki pogniecione go gauloise'a i zaczął go z upodobaniem palić, przyglądając się czarnym słupom dymu unoszącym się prawie pionowo ku niebu znad wywołanych bombardowaniami pożarów, ponad zarysem umęczzonego, ale jeszcze pięknego Leningradu.

Cholerni Ruscy. Wytrzymują więcej, niż powinni, pomyślał z mieszaniną niepokoju i wściekłości. Tak jak reszcie narodu niemieckiego myślał o tym, że chwalebny przebieg wojny może się odwrócić, bardzo psuła mu humor.



Tania i Wundermann sami zastawili na siebie pułapkę. Na końcu korytarza znaleźli salę, która okazała się ślepą uliczką: jedną z sypialni carycy. Nie mogli już wrócić po własnych śladach. Chowając się za framugą drzwi, Tania posłała serię z karabinu ich prześladowcom.

Mężczyźni z ochrony Stalina ukryli się za grubymi kolumnami szerokiej galerii. Kapitan Aleksiej Łuknicki, stojąc w pokoju na końcu korytarza, uśmiechnął się nad planem muzeum. Niemieccy szpiedzy sami odcięli sobie odwrót.

Gdyby Pauker nie kazał mu złapać któregoś żywcem, żeby go przesłuchać, mógłby skończyć z nimi w parę minut, wystarczyłoby kilka granatów.

— Poruczniku — zwrócił się do jednego z młodych oficerów — potrzebujemy granatów z gazem i masek dla wszystkich.

— Rozkaz, towarzyszu kapitanie.

Tania nadal odpowiadała na strzały radzieckich żołnierzy, choć z coraz mniejszym przekonaniem. Magazynek szybko się opróżniał.

— Przykro mi, że cię w to wmieszałem — powiedział Wundermann.

Mimo przejmującego zimna twarze obojga były zroszone potem.

— Cóż, byłeś moim paszportem do Hiszpanii.

— Naprawdę mi przykro, Taniu... Dlaczego mnie pocałowałaś?

— Bo się w tobie zakochałam — odrzekła spokojnie, posyłając krótką serię w odpowiedzi na strzały z drugiego końca korytarza.

— Zakochałaś się we mnie?

— No pewnie. Powiedziałam ci, że to się stanie nagle. — Uśmiechała się i patrzyła na niego z niezwykłą słodyczą.

Coś spadło do sali, tocząc się po podłodze, jakiś metalowy przedmiot o okrągłym kształcie, rozmiarów ananasa. Dwa, trzy, cztery... osiem. Wszystkie bomby z gazem zaczęły gwizdać, zapelniając pokój gęstym dymem w brudnym białym kolorze.

— Niech to szlag — powiedziała gorzko Tania, wciąż strzelając. — Chcą nas wziąć żywcem.

Spowijający wszystko dym stawał się nie do zniesienia. Zaczęły szczypać ich oczy, poczuli bolesne drapanie w gardle, nie pozwalające im normalnie oddychać. Objęli się. Wundermann zaczął tracić przytomność, przeklął swojego pecha. To się nie może tak skończyć. Przebył pięć tysięcy kilometrów, żeby przeżyć przygodę swojego życia, i poznał kobietę, której zawsze szukał. A teraz miał wpaść w ręce Rosjan, którzy będą go torturowali bez litości i jeśli to przeżyje, wyślą go na tamten świat strzałem w głowę. Nie chciał nawet myśleć o tym, co czeka Tanię. Płakał, płakał pod wpływem gazu i z wściekłości, która doprowadzała go niemal do szaleństwa. Co za straszna niesprawiedliwość. Poczul, jak ciało Tani wiotczeje w jego ramionach. Dziewczyna zemdląca. Pocałował ją z czułością w czoło. Kiedy i on stracił świadomość, już nigdy się nie zobaczą. Pochylił się nad nią, żeby jeszcze raz ją pocałować, gdy nagle coś

zwróciło jego uwagę. Wydawało mu się, że w kącie pokoju otworzyły się maleńkie drzwiczki. Do tej pory niewidoczne, były doskonale ukryte w wytapetowanej ścianie. Uznał, że to halucynacja wywołana przez gaz. Nagle poczuł zawroty głowy i upadł na ziemię, cały czas obejmując Tanię. Kiedy zapadał się w ciemność, poczuł jeszcze, jak ktoś ciągnie go po ziemi. Otworzył oczy po raz ostatni i wydało mu się, że jakieś duszki wloką ich oboje do magicznych drzwi otwartych w ścianie. Drzwi się zamknęły i wróciła ciemność.



Aleksiej Łuknicki kazał usunąć metalowe płyty zasłaniające okna, żeby przewietrzyć długi korytarz. Pomimo maski gazowej jemu też łzawiły oczy i czuł uporczywe pieczenie w gardle. Miał jednak nadzieję, że ten diabelski gaz nie udusił nazistowskich szpiegów.

Kiedy mroźne powietrze oczyściło korytarz z dymu, oficer kazał swoim ludziom wejść do sali, w której ukryli się wrogowie.

Pierwsi żołnierze posuwali się z najwyższą ostrożnością. Łuknicki również wszedł do środka. Rozejrzał się i zerwał maskę z twarzy. Ale to, że widział lepiej, nie poprawiało sytuacji ani na jotę. Szpiegdy wyparowali. Sypialnia carycy była pusta. Pomieszczenie bez okien i z jednymi drzwiami. Jego pragmatyczny żołnierski umysł wzdragał się przed zagadkami.

— Przyprawdźcie mi tutaj dyrektora muzeum — rozkazał porucznikowi oddziału przez zaciśnięte usta.



Tania, pomimo pulsującego bólu w skroniach i uporczywych mdłości, podążała za Wundermannem przez labirynt tuneli, biegnących w ścianach Ermitażu jak chodniki gigantycznych myszy.

Jose Manuel był bliski euforii. Nadal żyją. I są wolni. Mają jeszcze szansę. Przed nimi kołysała się latarka w ręce Nikołaja, ich wybawcy. Pochód zamykał Bonhomia, niosący plecak z drogocennym łupem i strzelbę.

— Panie chorąży, panie chorąży, niech się pan obudzi, to my — usłyszał głos strzelca, dobiegający z innego świata razem z uderzeniami w twarz, którymi żołnierz cucił go z ponownego omdlenia. Obok niego stała Tania zgięta wpół pod wpływem silnych torsji.

To nie były duszki ani magiczne drzwi. Zostali uratowani.

— Widać, że chłopak urodził się w muzeum — powiedział mu Manolo w czasie krótkiego odpoczynku, kiedy usłyszeli tupot żołnierskich butów po drugiej stronie ściany i zatrzymali się, bojąc się, że ich odkryją. — Budynek wygląda jak ser gruyer, jest pełen przejść i tajnych drzwi. Chłopak zna je wszystkie.

— A ty...?

— Rosjanie już prawie mnie mieli, kiedy nagle zobaczyłem, że w jednej ze ścian korytarza otworzyły się małe drzwi, których wcześniej nie zauważyłem, i wyszedł przez nie ten mały, dając mi znaki. Ale najlepsze z tego wszystkiego jest to, panie chorąży — pokazał triumfalnie plecak z dwoma pojemnikami po cyklonie zawierającymi cztery obrazy, które podmienili w warsztacie. — Ten chłopak to prawdziwy skarb, musiał je zwinąć Hotzowi sprzed nosa.

Biegli dalej bez odpoczynku, aż zaczęli schodzić pod ziemię, wciągając od kamiennych ścian wilgoć. Jose Manuel przypuszczał, że zostawili już Ermitaż za sobą. Dziesięć minut później wyszli na powierzchnię w kazamatach małej stacji wodnej na Polu Marsowym. Bonhomia musiał tam zostawić strzelbę — pakowacz z muzeum spacerujący po Leningradzie z niemiecką bronią mógł wzbudzić podejrzenia.

Tania i Wundermann poczuli się znacznie lepiej na świeżym powietrzu. Byli bardzo blisko Ogrodów Letnich.

Przeszli przez zaniedbane aleje parku, dawniej dumy miasta, i skierowali się do opuszczonego domku ogrodników, przez który weszli do Leningradu o świcie. Wundermann czuł się tak, jakby od tamtej pory minęły lata. Przed nimi znajdowały się drzwi do wolności. Przyspieszyli kroku, a Tania, szczęśliwa, wzięła Wundermanna pod ramię. Byli dwieście metrów przed domkiem, kiedy warkot wojskowej furgonetki zmusił ich do ukrycia się w pobliskich zaroślach.

Pojazd zatrzymał się przed drzwiami domku ogrodników. Wysiadło z niego około dwudziestu uzbrojonych po zęby żołnierzy, którzy bez wahania weszli do zrujnowanej chatki. Z szoferki ciężarówki wyskoczył oficer z planem w rękę. Pomógł wsiąść starszemu mężczyźnie. Wundermann rozpoznał go natychmiast, był to Josif Orbeli, dyrektor Ermitażu. Kapitan ochrony Stalina i dyrektor muzeum rozmawiali o czymś i gestykulowali nad planem. Kiedy skończyli, oficer schował mapę i zasalutował Orbelemu. Odwróciwszy się, Aleksiej Łuknicki wszedł do domku. Inny żołnierz pomógł dyrektorowi wsiąść do ciężarówki, która ruszyła w drogę powrotną do muzeum.

Orbeli nie znał zapewne tajnych przejść w Ermitażu.

Gdyby tak było, już dawno by ich złapali. Najwyraźniej wiedział za to, że przez sieć kanałów można opuścić miasto.

Wundermann wołał poczekać kilka minut, wystarczająco długo, żeby prześladowcy mogli ich wyprzedzić, zanim sami wejdą do domku i podejmą ucieczkę, zawsze utrzymując odpowiednią odległość od ludzi, którzy na nich polują.



Hotz sklął samego siebie w ciemnościach kanału. Jego latarka zaczynała świecić coraz słabiej. Poprzednim razem zaskoczyła go łatwość, z jaką Nikołaj poruszał się w tym labiryncie tuneli, później zdawało mu się, że odkrył klucz: stemple z brązu z symbolem imperium. A jednak teraz zdał sobie sprawę, że stracił zbyt wiele czasu na rozszyfrowanie ich kodu.

Zgubił się niezliczoną ilość razy, kończąc w ślepych zaułkach lub przechodząc dziesiątki razy przez miejsca, w których już był. Stracił kilka cennych godzin, żeby odkryć niewielką różnicę pomiędzy poszczególnymi stemplami.

Na symbolach wskazujących właściwą drogę orzeł miał prawą głowę nieco bardziej pochyloną niż lewą. Dziecinnie proste, ale wystarczająco wyszukane, jeżeli ktoś chciał zyskać na czasie, uciekając przed prześladowcami, którzy nie znali reguł gry.

Musiał być już blisko wyjścia, zaczynał czuć powiew świeżego powietrza. Skręciwszy w następny korytarz, zobaczył słaby promień światła mogącego pochodzić tylko z ze-

wnątrz. Uśmiechnął się. Jest uratowany. Wrzucił latarkę do strumienia brudnej, śmierdzącej wody płynącej środkowym kanałem w głównym tunelu i ruszył szybkim krokiem w stronę światła. Nagle zatrzymał się gwałtownie. Ogarnęła go panika. Usłyszał za plecami nawołujące się po rosyjsku głosy. Sowieci odkryli jego drogę ucieczki. Pobiegł co sił w nogach i ze ściśniętym sercem. Liczył na to, że ma jeszcze nad nimi wystarczającą przewagę. Przeklął carów i ich wszystkie dwugłowe imperialne orły.



— *Dawaj, dawaj!* — krzyczał Łuknicki, poganiając swoich ludzi, wyczuwając bliskość zdobyczy. Snopy światła latarek poruszały się we wszystkich kierunkach, oświetlając stare, pozieleniałe ściany tuneli.

Kiedy echa wojskowych butów ucichły w długim kanale, galerię znowu rozświetlił pojedynczy snop światła. Nikołaj, Tania i dwaj Hiszpanie szli tą samą drogą co ich prześladowcy, utrzymując bezpieczny dystans.



Choraży Valcarcel włożył blaszkę identyfikacyjną do buta; nie miał czasu, żeby znaleźć nowy łańcuszek w zaopatrzeniu, od kiedy jego ostatnia kochanka zerwała mu ją z szyi. Wtedy zobaczył jakiegoś mężczyznę wychodzącego z lasu naprzeciwko. Biegł, ale wyglądał na wyczerpanego. Zapadał się prawie po kolana w świeżo spadłym śniegu. Z ramienia zwisał mu plecak. W tym plecaku jest moja przyszłość, pomyślał Valcarcel.

Choraży opuścił swoją pozycję i zaczął iść ku kierującemu

się w jego stronę mężczyźnie. Obejrzał się szybko za siebie. Sele jeszcze nie wrócił. Tym lepiej dla niego. Szybkim ruchem odbezpieczył mauzera i włożył nabój do magazynka.



Hotz wyszedł z lasku, czując, że jego oszalałe serce za chwilę pęknie. Nogi ledwie go niosły, a ten cholerny śnieg wydawał się zapadać pod nim z każdym krokiem coraz bardziej. Biegł z trudem, czerpiąc siłę z desperacji. Rosjanie deptali mu po piętach. Musi wdrapać się na to wzniesienie, za nim znajdują się już niemieckie linie. Na pewno mu się uda, jest już tak blisko. Wszystko zaplanował, teraz nie może się nie powieść. Dotrze do swoich, odpocznie trochę. Potem spacer na plażę. Ponton i łódź podwodna w zatoce. Postanowił zostać w Norwegii. Stamtąd poleci do Nowego Jorku. W nordyckim kraju ma potężnych przyjaciół, którzy są mu winni parę przysług. Żaden problem. Z Nowego Jorku, po paru operacjach, pojedzie do Argentyny. Wyda polecenia przelewu szwajcarskim bankom. W Ameryce Południowej czeka na niego nowe życie. U boku Carmen. Kto wie, może zostaną jedną z tych nieznośnie nudnych, zwyczajnych par? Chociaż, o ile znał Carmen, domyślał się, że to wspaniale niemożliwe. A ma jeszcze przecież tego cudownego van Dycka! Znów poprawił mu się humor. Wszystko pójdzie jak po maśle. Skierował wzrok na wzgórze i nagle zobaczył żołnierza schodzącego powoli z pagórka. Najwyraźniej zmierzał w jego stronę. Rozpoznał natychmiast naszywkę z hiszpańską flagą na jego prawym ramieniu. Jest uratowany, to ochotnik z Błękitnej Dywizji!



Mężczyzna, który wyszedł z lasu, zatrzymał się. Był na skraju wyczerpania, ale miał jeszcze dość animuszu, żeby powitać go gestem dłoni. Wokół jego nosa i ust widać było ślady zaschniętej śliny. Wtedy przyjrzał się jego twarzy. Mimo że była wykrzywiona wysiłkiem, rozpoznał go ponad wszelką wątpliwość. Mechanicznym ruchem podniósł strzelbę do ramienia. Hotz również utkwiał wzrok w twarzy hiszpańskiego żołnierza. Jakaś część jego mózgu zapamiętała tę twarz i teraz wiedział już, kto to taki. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, kiedy zobaczył ze zdziwieniem, że żołnierz podnosi gotową do strzału broń. Huk karabinu sprawił, że podskoczył. Poczł twarde uderzenie w pierś. Ugięły się pod nim kolana i runął w śnieg. Jego głowa powoli odchyliła się do tyłu, po czym znieruchomiał wygięty, w nienaturalnej pozie, patrząc w niebo.

Alvaro podszedł do Hotza leżącego na ziemi. Zaczął zdejmować mu plecak.

— Nie byliśmy sobie przedstawieni, ale pociesz cię pewnie wiadomością, że ja też jestem miłośnikiem dobrego malarstwa. I dobrego życia — powiedział zimno.

Hotz zamrugał kilka razy. To jest jak zły sen. To nie może być prawda. Musi się obudzić.

— Ojej, traci pan powietrze jak stara opona — zauważył Valcarcel, zarzucając plecak na ramię i patrząc na dziurę w piersi Hotza, przez którą wydostawało się powietrze z wilgotnym bulgotem, opryskując kropelkami krwi jego zniszczony płaszcz. — Nie ma się czym martwić, za parę minut będzie po wszystkim.

Chorąży odwrócił się i zaczął wchodzić na pagórek. Kiedy dotarł na szczyt, zobaczył nadbiegającego Selego. Otworzył

magazynek strzelby, żeby zmienić naboje. Pech, kolego, lepiej by było dla ciebie, gdybyś nie włożył jeszcze gaci i dał mi zakopać spokojnie plecak, pomyślał, składając się do strzału.

Hotz poczuł nagłą wściekłość. Podniósł się, wyjął z kieszeni waltera, zdjął z niego tłumik i, trzymając oburącz, wystrzelił trzy razy w plecy Hiszpana stojącego już na szczycie pagórka, którego widział tylko od pasa w górę. Wydawało mu się, że tamten pada na ziemię jak worek.

Podniósł się i zasłonił ręką otwór po kuli, która przeszła mu przez pierś. Nikt nie może zabić Hotza jednym strzałem. Teraz musi odzyskać plecak, który ukradł mu ten sukinsyn. Wejdz tylko na wzgórze i wygra. Nagle usłyszał za sobą strzały. Świst kul przelatujących nad głową i jeden, dwa, trzy uderzenia w plecy. Upadł na ziemię. Musi tylko chwilę odpocząć. Odpocznie tylko chwilę i poczuje się lepiej. Zaniknął oczy. Ciemność zawsze pozwalała mu się odprężyć. Uśmiechnął się, bo miał wrażenie, że słyszy śpiew swojej matki. Jeszcze minuta, matka na pewno zaraz go obudzi, jak zawsze.



Wündermann rzucił się w śnieg, słysząc strzały Rosjan. Wyszli z tuneli za nimi i widzieli, jak biegną po śladach, które musiały należeć do Hotza.

Za pomocą wizjera strzelby — jedynej części broni, jaką Bonhomia zachował — zobaczył, jak Rosjanie zabili Hotza, który próbował z trudem wspiąć się na mały pagórek. Zobaczył też, nieco wyżej, ciało żołnierza, które drugi próbował podnieść i dokądś zabrać. Kiedy ustawił lepiej

ostrość, odkrył z bólem, że postrzelonym żołnierzem jest Valcarcel, a tym, który próbuje mu pomóc, nie kto inny jak Sele.

Radzieccy żołnierze biegli w stronę wzgórza, nie przestając strzelać. Palenzuela porzucił wreszcie próby zabrania ze sobą kolegi.

Wündermann schował wizjer do kieszeni. Zobaczył już wszystko, co powinien widzieć. Ogarnęło go nagle gorzkie uczucie pustki. Manolo podpełzł do niego po śniegu.

— Co teraz, panie chorąży?

Jose Manuel wrócił do rzeczywistości. Spojrzał na troje towarzyszy, którzy patrzyli na niego wyczekująco. Ucieczka jeszcze się nie skończyła. Miał nadzieję, że Diego wykonał swoją część roboty.



— Papierosa, Bayonas?

Jaime Garcia de las Bayonas, ochotnik z Murcji i jeden z najlepszych pilotów ochotniczej jednostki, Błękitnej Eskadry, spojrział na niego kątem oka. Jaime był małomównym typem, „na to, czego trzeba będzie wysłuchać, nie ma co odpowiadać”, zwykł mawiać. Ale od dwóch dni gadał już za dużo z tym typem, który właśnie proponował mu papierosa. I nic nie szło tak, jak powinno. Może nie trzeba było brać tego zlecenia, pomimo ceny.

— Nie tak to ustaliliśmy, Armario. Jak coś pójdzie źle, rozstrzelają nas obu. Pewnie zdajesz sobie z tego sprawę — odpowiedział, biorąc lucky strike'a bez filtra.

— Co ma źle pójść, na Boga! Z takim pilotem jak ty i z taką maszyną—powiedział, wskazując na imponującego

focke-wulfa fw 200 condor, jednego z najnowocześniejszych samolotów transportowych Luftwaffe, który stał w tej chwili obok na pasie startowym.

Armario poczuł na karku spojrzenie drugiego pilota Bayonasa, komendanta Ricarda Villara, znanego bardziej pod przydomkiem Titi. Villar też pochodził z Murcji i miał charakterek. W swoim oddziale uchodził za prawdziwego twardziela. Mówiono o nim, że w Badajoz zabił w czasie wojny trzech czerwonych kopniakami w jaja, bijąc się pod ścianą, kiedy wystrzelał wszystkie naboje, a bagnet złamał na głowie komisarza politycznego.

— Nie może się nie udać. Z taką załogą — powiedział, patrząc spod oka na Villara; zaproponował papierosa także jemu, radiowcowi Juutulainenowi i mechanikowi Windowi, dwóm fińskim wolontariuszom, prawie albinosom, którzy uśmiechnęli się do niego szeroko, nie rozumiejąc ani słowa, ale przyjmując amerykańskie papierosy.

— A twoi przyjaciele przyjdą w końcu czy nie? — Komendant spoglądał niespokojnie na zegarek. — Będziemy musieli wylecieć wcześniej, niż planowaliśmy. Kiedy poszedłem do wieży po mój rozkład lotów, powiedzieli mi, że wykryli jakieś ruchy ruskich jednostek w stronę lotniska. Przygotowują kontratak.

W tym momencie pojawiła się wojskowa ciężarówka wioząca worki z pocztą. Listy, które żołnierze ślali do domów. Condor był samolotem pocztowym.

— Jest nasz ładunek — powiedział Bayonas. — Wylatujemy, gdy tylko załadują worki. Z twoimi przyjaciółmi albo bez nich.

Nagle twarz Diega rozjaśnił szeroki uśmiech. Z szoferki wysiedli Wundermann i Tania. Z przyczepy wyłonił się Bonhomia i młody chłopak, którego nie znał.

Cała czwórka podbiegła do Diega. Armario i Wundermann uściskali się.

— A Jaszczurka? — zapytał Diego, nie wypuszczając Jose Manuela z objęć.

— Nie przyjdzie — odpowiedział Jose Manuel, a jego spojrzenie wyjaśniło resztę.

— To wy jesteście pasażerami? — zapytał sucho pilot.

— Tak. Panie chorąży, przedstawiam komendanta Garcię de las Bayonas. Jest komendantem pięćdziesiątego drugiego dywizjonu. Bohater wojenny, dwanaście potwierdzonych strąceń nad Stalingradem...

— Aż mnie strącili — przerwał mu Murcjanin. — Ruski wpakowali mi pocisk tutaj — powiedział, wskazując żołądek. — Pół trzustki *kaput*, cudem przeżyłem. Ale niemieccy lekarze powiedzieli, że mogę mieć nawroty. Że mój organizm może nie wytrzymać stresu bitwy. Dlatego latam teraz samolotami pocztowymi. — Spojrzał z urazą na condora, do którego ładowano już worki z pomocą kierowcy ciężarówki i fińskich załogantów.

— Najlepszy. As — zapewnił Armario. — Zawiezie nas do Berlina za rozsądną cenę.

— Zawiozę was do Berlina za kupę forsy — przerwał mu pilot. — I chcę ją zobaczyć teraz.

Jose Manuel dał znak Diegowi, który wyjął z kieszeni wojskowego płaszcza gruby plik marek związanych gumką recepturką. Wręczył je dowódcy condora.

— Przelicz je, przelicz — zachęcił go Armario, kiedy

Bayonas zaczął oglądać banknoty. — Jesteśmy poważnymi ludźmi — dodał z wyniosłą miną.

Nagle znajdująca się niecałe pięć kilometrów od lotniska plama lasu wybuchła serią wystrzałów, jakby rozszał się nad nią ogień.

Wszyscy byli weteranami rosyjskiego frontu i wiedzieli, co to oznacza. Rzucili się na ziemię. Rosjanom udało się umieścić w lesie kilka złowrogich „organów Stalina”: baterie dział ustawione na ciężarówkach, równie ruchliwe jak zabójcze.

Deszcz pocisków spadł na lotnisko, niszcząc hangary i maszyny.

Nad jednostką wojskową rozpętało się piekło. Będącego ich przepustką do wolności condora dosięgła cała salwa pocisków. Strzały trafiły także stojącą niedaleko ciężarówkę cysternę, którą wybuch wyrzucił kilka metrów w górę. Płomienie dosięgły również resztek samolotu.

Wszyscy patrzyli na te dantejskie sceny, leżąc na ziemi.

— To pewnie unieważnia naszą umowę — powiedział ponuro Armario, patrząc na Bayonasa.

— W żadnym razie. Poza tym nie mam zamiaru tu zostawać — odrzekł Bayonas, wstając. — Titi, na północny pas. Polecimy „gęsią”.

Wszyscy pobiegli za majorem. Na północnym pasie stała „gęś”, ju-52, na której burcie widniały wielkie czerwone krzyże w białych kwadratach. Junkers był w rzeczywistości samolotem szpitalnym. Armario przyjrzał się pozbawionemu pokrywy silnikowi na sterburcie, z całym osprzętem na wierzchu.

— Mamy lecieć tym czymś? — zdziwił się Armario, nie próbując ukryć niepokoju.

— „To coś” to świetny samolot — powiedział Jaime, kiedy wchodzili czym prędzej po schodkach, a radziecki ostrzał pustoszył bazę za ich plecami. — Właśnie naprawili mu silnik, który nawalał, wylatujemy natychmiast. A może wolicie tu zostać i poczekać, aż Ruskie skończą robić grilla?

Drugi pilot rozsadził pasażerów jak się dało w ciasnej kabynie maszyny, z której zniknęły wszystkie fotele dla pasażerów, zastąpione rzędem polowych łóżek.

— Trzymajcie się jak możecie pasów przy łóżkach. Używamy północnego pasa tylko do lądowań, nigdy do startów — wyjaśnił były legionista.

— Dlaczego tylko do lądowań? — zapytał Wundermann, przekrzykując huk silników, które włączył właśnie Bayonas.

— Cóż, na końcu pasa jest urwisko z ponad tysiącdwustometrową przepaścią. Ale nie martwcie się, Titi i Bayonas są najlepsi.

— Mogę siedzieć z wami z przodu?

— Jasne. Jeśli uda się panu nie zwymiotować, zapraszamy. I niech pan weźmie ze sobą dziewczynę, nie ma się co wstydzić.

Tania uśmiechnęła się do Jose Manuela. Nie mogło im się przydarzyć nic gorszego od tego, co już przeżyli.

— Silniki pełną parą — zarządził dowódca, podczas gdy Villar siadał na swoim miejscu.

— Pełną parą — potwierdził drugi oficer.

Samolot zaczął kołować po pasie, wśród huku silników i coraz silniejszego ostrzału.

Junkers nabierał prędkości i połykał kolejne metry pasa. Wundermann zobaczył widoczny na jego końcu brzeg kanionu.

— Punkt bez powrotu — stwierdził Villar.

— Dobra. Lecimy. — Bayonas pociągnął delikatnie za dźwignię steru i maszyna zaczęła podnosić dziób.

Płyta lotniska oddalała się pod jej skrzydłami. Przepaść zbliżała się z zawrotną prędkością. Jose Manuel poczuł, jak koła odrywają się od ziemi. Nagle przestraszył ich głuchy huk.

— Straciliśmy silnik numer trzy — oświadczył Titi. Junkers znów opadł na pas, a jego dziób zaczął pochyłać się ku ziemi.

— Nie martwcie się, te samoloty mogą latać na dwóch silnikach — powiedział dowódca, dodając mocy w pozostałych silnikach i ciągnąc zdecydowanie za ster, by podierać maszynę.

— Robił to pan już kiedyś? — zapytał Jose Manuel, kiedy betonowa płyta ostatecznie zniknęła im spod kół, a przed nimi otwierała się przepaść.

— Czytałem o tym w podręczniku — odpowiedział zimno pilot.

Samolot skoczył w pustkę. Wundermann miał wrażenie, że grawitacja przestała działać, i usłyszał dobiegający z daleka głos Bayonasa:

— Wysokościomierz.

— Osiemset metrów i spada.

Widział kanion w całej okazałości. Pejzaż był wspaniały. Złapał dłoń Tani, a ona ścisnęła mocno jego rękę.

— Czteryście i spada.

Słońce wyszło nagle zza chmur i snop światła padł na maszynę, która posłała w dolinę srebrne odblaski z kadłuba.

— Dwieście.

Wündermann popatrzył na Tanię. Odpowiedziała na jego spojrzenie z powagą i spokojem. Wydawało mu się, że się uś— Sto.

Samolot podniósł wreszcie dziób i ustabilizował się pięćdziesiąt metrów nad ziemią. Przelecieli nad czubkami stuletnich sosen rosnących na dnie doliny i wzięli kurs na wschód, wznosząc się powoli.

Światło słońca pobłykiwało wśród chmur wiszących nad ośnieżoną doliną. Wündermannowi wydawało się, że to najpiękniejszy krajobraz na ziemi.



Kapitan Łuknicki podniósł głowę, żeby zobaczyć przelatującego ju-52, w którym rozpoznał niemiecki samolot szpitalny, dzięki czerwonym krzyżom na kadłubie. Leciał tak nisko, że dostrzegał twarze pasażerów widoczne w oknach i przeszklonej kabinie pilotów. Nie mógł im nie zazdrościć. Dla wielu z nich, jeśli rany pozwolą im przeżyć, wojna już się skończyła. Odwrócił się, żeby skończyć pracę. Kopniakiem wrzucił do rowu plecak, który miał na plecach jeden z Niemców. Płócienny pakunek, z czymś ciężkim w środku, odbił się od ciała leżących na dnie zaimprovizowanego grobu.

Aleksieja nie kusiło wcale, żeby zajrzeć do plecaka. Pamiętał dokładnie instrukcje towarzysza Stalina. „Niech zniknie jakikolwiek ślad, to wszystko nigdy się nie wydarzyło”. Jeżeli Stalin chciał, żeby ślad zaginął po tych dziwnych wydarzeniach, on nie miał zamiaru komplikować sytuacji.

Uważał nawet, że nadużył zaufania, przeszukując trupy, by znaleźć jakiś dokument czy blaszkę, która pomogłaby ich zidentyfikować. Niczego nie znalazł.

Na dany znak żołnierze straży przybocznej zaczęli wsy-
pywać do dołu gaszone wapno. Od pyłu Łuknicki zaniósł się
silnym kaszlem i odszedł od rowu, zakrywając sobie chustką
usta i nos.

Rozejrzał się dookoła, popatrzył na opuszczony skrawek
ziemi w lesie pod Uritskiem, mając nadzieję, że już nigdy w
życiu nie będzie musiał tam wrócić.

*Sankt Petersburg, Wigilia Bożego Narodzenia,
rok 2006*

W Sankt Petersburgu padał śnieg. Białymi, dużymi płatami. Spadały lekko, jak kulki bawełny, pogrubiając biały płaszcz okrywający miasto.

Berta od kilku minut obserwowała ten śnieżny spektakl odgrywany nad newską stolicą. Robiła to rozparta w głębokim fotelu, wyglądając przez wielkie okno hotelowego pokoju.

Z Sheratona roztaczał się wspaniały widok na stojący na drugim brzegu rzeki Ermitaż, który przyciągał ją jak magnes i hipnotyzował. Pewnie nawet dla carów nie był nigdy tak wspaniały. Być może miała rację. Nowy rząd rosyjski starał się ze wszystkich sił poprawić wizerunek kraju. Cały kompleks budynków tworzących państwowe muzeum Ermitażu został całkowicie przebudowany. Wszystkie fasady odrestaurowano, wszystkie budynki pomalowano, z zachowaniem oryginalnych kolorów, wybranych przez włoskich architektów projektujących swoje dzieła

Teraz dawny Pałac Zimowy wyglądał jak wyjęty z bajki, błyszcząc niby gigantyczny diament dzięki oświetleniu zaprojektowanemu przez Ricky'ego Boswella, najlepszego specjalistę od światła z Hollywood.

Sylwetka Ermitażu odbijała się majestatycznie w czarnych, spokojnych wodach Newy.

Berta była bardzo szczęśliwa. Powodów miała aż nadto. Śnieg wciąż padał za podwójnymi szybami okna jej pokoju. Dwanaście stopni mrozu na zewnątrz, jak wskazywał termometr klimatyzacji, osiemnaście w środku.

Usłyszała ciche gaworzenie leżącej w kołysce Cristiny i kroki Jaimego na grubym dywanie.

— Kochanie, ja to zrobię.

Spojrzała na niego z miłością. Nigdy nie przypuszczała, że mężczyzna może być tak czuły dla swoich dzieci. I dla niej. Musiała wykonać wysiłek, żeby powstrzymać łzy. Czasem myślała, że nie zniesie tyle szczęścia naraz.

Jaime podszedł do okna z dzieckiem na ręku. Jego pozostałe dzieci, Laura i Jorge, były w pokoju obok z Niną, paragwajską opiekunką, która przyjechała z nimi. Berta nie chciała zostawić ich w Madrycie. „Chcę, żebyśmy byli zawsze razem, od pierwszego dnia”.

— Patrz, Cristino, tam byli twoi pradziadkowie ponad sześćdziesiąt lat temu — powiedział Jaime do córki, która po raz kolejny próbowała zdjąć mu okulary, kiedy pokazywał jej Ermitaż. — Twoi pradziadkowie byli carami Rosji.

— Głuptas. Nie okłamuj dziecka. — Berta zwróciła mu czule uwagę. — Nie byli carami Rosji. Twoi pradziadkowie byli najlepszymi złodziejami obrazów na świecie.

— Cholera, mogłaś jej to powiedzieć jakoś inaczej.
— Mogłam jej to powiedzieć wolniej — pocałowała go
— ale niczego by to nie zmieniło.
— Mamy jeszcze godzinę — Jaime odpowiedział jej pocałunkiem. — Może powinienem ci pomóc się ubierać? —
Wolną ręką próbował rozwiązać pasek jej szlafroka.
— O... żadnej pomocy — powiedziała, odsuwając jego dłoń. — Znam twoją pomoc. Rezultat ostatniej trzymasz właśnie na ręku. Dziś nie możemy się spóźnić.
Jaime uśmiechnął się. Spojrzał na wspaniale oświetloną fasadę Ermitażu.
— Jest piękny, prawda?
— Tak. Szkoda, że dziadek nigdy nie mógł go zobaczyć po przebudowie.
— Na pewno patrzy na nas teraz z jakiegoś miejsca. I od czasu do czasu spogląda też na Ermitaż.
— Na pewno. — Berta oparła się o ramię męża.
— Wiesz co? Odkąd przyjechaliśmy do Rosji, mam wrażenie, że jesteśmy tutaj, żeby zamknąć ostatni rozdział historii, do której nikt nie dopisał słowa „koniec”.
Berta czuła to samo. Kiedyś miała już podobne odczucie. Może 26 lipca 2005? W dniu, w którym zorientowała się, że jest ważnym elementem tej dziwnej układanki.



Kiedy babcia Tania skończyła opowiadać swoją niesamowitą historię, Berta siedziała przez kilka chwil bez ruchu, jak sparaliżowana, w dużym skórzanym fotelu, który należał kiedyś do dziadka.

Nico zapalił światło w salonie. Do tej pory siedzieli po

ciemku. Popołudnie przeszło w noc, w czasie gdy babcia odkrywała przed nią swoją przeszłość.

Tania spozrzała na wnuczkę. Zdawała sobie sprawę, jaki efekt wywołały jej słowa.

— To wszystko, kochanie. To historia, której twój dziadek nigdy ci nie opowiedział.

Berta wstała. Jak automat poszła do salonu z obrazami. Przyglądała się dziełom z Ermitażu, każdemu z osobna. Czuła, jak serce zaczyna jej szybciej bić, umysł pracował na pełnych obrotach, ukazując wir obrazów, fragmenty rozmów, przebłyski przeszłości.

— Kim jesteś, dziadku? — zapytała go kiedyś, gdy była mała. — Leonardem, Velazquezem, van Goghkiem czy Rubensem?

— Wszystkimi czterema — odpowiedział z uśmiechem.

Spoznrzała na portret babci. Teraz patrzyła na niego zupełnie inaczej. Dysponowała już wszystkimi kluczami. Pięć róż na kolanach babci to Jaszczurka, Hotz, Flora, Valcarcel i Sanchez. Wszyscy, którzy zostali na zawsze w Leningradzie. Wszyscy, którzy w ten czy inny sposób zginęli z powodu obrazów.

Był różaniec ojca Albasa, owinięty na przegubie babci, z dużymi koralikami z drewna i masywnym żelaznym krzyżem, który uratował im życie w muzeum.

Suche drzewo i urwana lina: celny strzał wuja Manola, który przerwał powróż. Uśmiechnęła się, a jej oczy wypełniły łzy, kiedy w lewym górnym rogu obrazu zobaczyła mały samolot uciekający ku wolności. Po raz pierwszy zauważyła, że śruba jednego z trzech silników jest nieruchoma. Dziadek zawsze był rzetelny.

Nie mogła powstrzymać łez, kiedy przyglądała się jaszczurce siedzącej u stóp babci. Jaszczurka, której nigdy się nie bała ani nie brzydziła, w przeciwieństwie do jej rodzeństwa i kuzynów. Może już wtedy przeczuwała tajemnicę? Dobry Jaszczurka, tak bardzo chciałaby go poznać... Teraz rozumiała też, jaki sekret krył napis na kartce, którą zwierzę trzymało w pysku, „3GZB”, trzy pojemniki po cyklonie B.

Na koniec przyjrzała się dziwnemu suchemu pniowi z wbitymi w niego strzałami. Ostatni żart dziadka, drzewo z męczeństwa świętego Sebastiana, przy którym brakowało świętego. Zagubiony obraz.

Wreszcie utkwiała wzrok w twarzy babci. Teraz rozumiała jej spojrzenie i porozumiewawczy uśmiech. I po raz pierwszy zrozumiała znaczenie pięciu odwróconych koron unoszących się nad jej głową. Aureola ukrywała wszystkie tajemnice. Pięć obrazów. Pięć liter każdej korony odpowiadało ostatniej literze nazwiska każdego malarza. Dlatego namalował je „do góry nogami”, bo imiona autorów należało czytać na odwrot. Było O od Leonarda, Z od Velazqueza, H od van Gogha, S od Rubensa... Zatrzymała spojrzenie na piątej koronie. K jak van Dyck. Wtedy zrozumiała, że w piątej koronie zakłete zostało ostatnie życzenie dziadka.

Nie mogła powstrzymać szlochu.

Babcia dotknęła delikatnie jej ramienia.

— Twój dziadek zostawił to dla ciebie. — Dała jej zalakowaną kopertę. — Powiedział, że mam ci ją dać, kiedy dowiesz się wszystkiego.

Berta nie mogła już dłużej powstrzymać emocji i objęła babcię, szlochając.

— Bardzo cię kocham, babciu — wykrztusiła.

— Ja ciebie też, kochanie. Twój dziadek także cię kochał. Muszę przyznać, że czasami byłam o ciebie zazdrosna. O tę małą blondyneczkę, której mój mąż poświęcał tyle uwagi. — Uśmiechnęła się czule, głaszcząc wnuczkę po włosach, a jej oczy również zwilgotniały. — To żart. Nigdy nie przestaliśmy się kochać. Od pierwszej chwili, kiedy go poznałam. Był najprzystojniejszym mężczyzną na świecie. I najdzielniejszym. W dodatku był dżentelmenem.

Dopiero kiedy Berta dotarła do domu i wzięła odprężającą kąpiel, zebrała dość sił, żeby otworzyć list. Usiadła na kanapie, w piżamie i szlafroku, z dużą filiżanką naparu z lipy. Stalin patrzył na nią wyczekująco.

— Chodź tu, stary kocie — zaprosiła go, uderzając lekko dłonią o swoje udo.

Stalin nie wahał się ani chwili, jednym susem wskoczył jej na kolana, po czym zwinął się w kłębek, mrucząc z zadowoleniem.

— Gdybyś wiedział, jakie wujek Manolo nadaje imiona swoim kotom, sierść stawałaby ci dęba za każdym razem, kiedy do nas przychodzi — powiedziała, pociągając nosem i łamiąc lak na kopercie.

Kochana dziewczyno,
jeśli czytasz ten list, to znaczy, że mnie już nie ma,
a twoja babcia poinformowała cię właśnie o rzeczach,
o których nigdy nie miałem odwagi ci opowiedzieć.
Przede wszystkim wiedz, że nigdy nie żałowałem tego,
co zrobiłem, i gdybym mógł przeżyć życie jeszcze raz,
postąpiłbym tak samo. A wiesz dlaczego? Bo nagrodą
była twoja babcia i za nic na świecie nie chciałbym
stracić okazji, żeby ją poznać. Modliłem się każdego

dnia za dobrego Jaszczurkę. Modliłem się nawet za Hotza, za Sancheza i za tę biedną kobietę, Olgę czy Florę. Być może to przez pamięć o nich zatrzymałem te obrazy. Oczywiście nigdy nie chciałem się ich pozbyć ani sprzedać. Raz popełniłem już ten błąd i nie starczyło mi dni życia,

Zachowałem te cztery obrazy, ponieważ ich zdobycie kosztowało wiele krwi, pięć róz z portretu twojej babci. Jednak, żeby być do końca szczerym, przyznam, że zachowałem je, bo próżność malarza, którym nie udało mi się zostać, była silniejsza ode mnie.

Przez te wszystkie lata setki tysięcy osób oglądało moje obrazy wiszące w Ermitażu, w które włożyłem część duszy. Ci ludzie cieszyli się nimi, jakby były oryginałami. I nikt niczego nie zauważył. To był mój mały żart z własnego losu.

Ktoś mi kiedyś powiedział, że to „najwspanialszy zawód świata”, i kto wie, może miał rację.

Teraz wszystko skończone. Ty znasz całą historię, mnie już nie ma, a twoja babcia zawsze chciała zwrócić obrazy.

Nigdy nie przestała czuć się Rosjanką. Zawsze mi powtarzała, że te obrazy należą przede wszystkim do narodu rosyjskiego, a w drugiej kolejności do całej ludzkości. Twoja babcia... Mam nadzieję, że po tych wszystkich latach przestała być komunistką. Moja Tania, moja słodka rosyjska partyzantka. Proszę tylko Boga, żebyś któregoś dnia spotkała mężczyznę, do którego będziesz czuła to, co ja czułem u boku twojej babci.

Nie będę cię dłużej zanudzał, najdroższa dziewczyno.

Przyjmij tylko ostatnie rady odchodzącego dziadka. Ciesz się życiem. Żyj intensywnie, twoja babcia i ja tak robiliśmy i nie poszło nam źle.

A przede wszystkim, nigdy nie przemilcz żadnego „kocham cię”.

Kocham cię. Twój dziadek.

Berta wydmuchała głośno nos w chustkę wyciągniętą z rękawa szlafroka.

— Przeplakałam całe popołudnie. Nie martw się, Stalinie — powiedziała do kota, głaszcząc go po grzbiecie.

Miała jeszcze dość siły, żeby przeczytać postscriptum. Kiedy skończyła, zaniknęła oczy i spróbowała oczyścić umysł, szukając wewnętrznego spokoju, którego nie udało jej się ostatnio odzyskać. Za dużo informacji, za dużo napięcia w ciągu kilku godzin, wszystko było zbyt intensywne. Stalin zeskoczył z jej kolan. Ewidentnie ten kot jest niezrównoważony. Patrzyła, jak przeszedł, przęząc grzbiet, między nogami stolika z telefonem, żeby się podrapać, i

Berta spojrzała na migającą czerwoną lampkę automatycznej sekretarki. Wysyłała sygnały jak boja ratunkowa w samym centrum sztormu na północnym Atlantyku. Berta tak właśnie się czuła. Jak zagubiona boja.

Nagle w jej mózgu zadźwięczał głos. Głos, który wyrzuciła z siebie sekretarka tego samego dnia rano: „Chciałbym porozmawiać z panią o eksponatach, które pani rodzina przekazała muzeum, dwa pojemniki po gazie...”. Jej serce znów zaczęło bić jak szalone, wybuchowa mieszanka krwi i adrenaliny w całym ciele.

Rzuciła się do aparatu, żeby przewinąć kasetę z wiadomościami, które przesłuchała rano. Jest! „Dzień dobry. Nazywam się Jaime Aguirre”, ten nieśmiały facet. Przygryzła dolną wargę do bólu, słuchając całej wiadomości. Przedostatnie koło zaczynało się zamykać.



Stara, jeszcze dzień wcześniej opuszczona stacja Canfranc przypominała kocioł. Zespoły firmy producenckiej — techniczny i artystyczny — przywróciły do życia dawną stację kolejową łączącą kiedyś Francję z Hiszpanią.

Cesar Macarrón, dyrektor artystyczny, osiągnął wspaniały efekt. Prawie stu statystów chodziło po peronach w kostiumach z lat pięćdziesiątych, szczęśliwych czasów dla pirenejskiego węzła kolejowego w Canfranc. Prawdziwa podróż w czasie.

Berta odetchnęła z przyjemnością świeżym góskim powietrzem. Dwadzieścia dwa stopnie, jak oznajmił termometr na placu pod ratuszem, przez który przejechała taksówką. Czy rzeczywiście jej podróż nie miała sensu? Jaime próbował wyperswadować jej ten pomysł.

— Za trzy dni będę z powrotem w Madrycie. Chciałbym się z panią spotkać jak najszybciej, ale to tak naprawdę nie pilnego. To, co chcę pani pokazać, przeleżało pół wieku pod ziemią, więc może poczekać jeszcze trzy dni. Nie chcę sprawiać kłopotu.

Był rzeczywiście dobrze wychowany. Ale przede wszystkim nie miał pojęcia, co właściwie „wykopał” w Rosji. Pojechałaby się z nim zobaczyć, choćby był na drugim końcu świata. Nie, nie mogła czekać trzy dni. Nie mogła czekać ani minuty.

— Proszę się nie martwić, przyjadę do pana. Nie znam

tej części Pirenejów, zrobię sobie wakacje. Wyjazd z Madrytu dobrze mi zrobi.

Nie tłumaczyła mu nic więcej. Jaime wyjaśnił jej wszystko, ale nie słuchała zbyt uważnie. Najwyraźniej jakiś inwestor, za namową Asesores de Bolsa, kupił starą stację Canfranc, żeby przerobić ją na duży hotel i luksusowe spa. Odwiedzał z klientem nowo nabytą nieruchomość, żeby ocenić wartość, kiedy pojawiła się okazja wynajęcia jej dla potrzeb reklamy. Czy coś w tym stylu.

— Była pani kiedyś na planie filmowym? — zapytał ją Jaime.

— Nie. Nigdy.

— Ja też nie. To ciekawe doświadczenie. A samo miejsce... Cóż, robi wrażenie.

Robiło wrażenie. To, co kiedyś było Głównym Dworcem Międzynarodowym w Canfranc, wynurzało się nagle w samym środku doliny, bardziej podobne do francuskiego zameczku niż steranego węzła kolejowego. Prawdziwy klejnot modernistycznej architektury oprawiony w niepowtarzalny pejzaż, otoczony górami i wspaniałymi lasami, w sercu Pirenejów.

Gdy tylko Berta weszła na dworzec, poczuła wpływ magii tego miejsca i po raz pierwszy od wielu dni zaczęła się odprężyć.



Jaime Aguirre przechadzał się po jednym z peronów, podziwiając luksusowe wagony Wagons Lits, świeżo sprowadzone dla potrzeb filmu z muzeum kolei w Paryżu. Towarzyszył mu Jaime Lamaison, dyrektor kreatywny agencji, który objaśniał techniczne szczegóły przedsięwzięcia.

Lamaison był jednym z najczęściej nagradzanych na arenie międzynarodowej hiszpańskich filmowców i miał już na koncie sporo reklamowych superprodukcji.

— Wtedy z tego wagonu — ciągnął — wyjdzie aktor grający faceta, który kupił szczęśliwy los. Pójdzie w tamtym kierunku, w stronę lokomotywy. W tym samym momencie maszyna wyrzuci obłok pary. Zobaczysz, to będzie bardzo filmowe. Facet od losu wejdzie w chmurę i wpadnie na łysiego ubranego na czarno, na Ducha Loterii. Patrzą na siebie, uśmiechają się, łysy dotyka jego ręki, delikatnie, przechodząc obok. W tej chwili dotknie go Szczęście. „Bo szczęście może spotkać też ciebie”, powiedział, parafrazując slogan kampanii.

Jaime poznał go dzień wcześniej, przedstawił swojemu klientowi i od razu się polubili.

Lamaison zaprosił go do helikoptera, kiedy kręcili zdjęcia z powietrza.

Wszystko okazało się ciekawym i zabawnym doświadczeniem.

Kiedy dyrektor kreatywny wydawał polecenia technikom od efektów specjalnych, Jaime spojrzął na zegarek. Gdzie się podziewa ta dziewczyna?

„Będę miała białą bluzkę na ramiączka i dzinsy. Zwiążę włosy w kucyk, OK?”. Podobał mu się dźwięk jej głosu. Ciepły i serdeczny. I była najwyraźniej bardzo zainteresowana wszystkimi szczegółami związanymi z pojemnikiem po gazie, który znalazł w Rosji. Wyglądało na to, że cylinder pasuje do kompletu, który jej rodzina ofiarowała muzeum Błękitnej Dywizji.

— Chciałbym zrobić próbę oświetlenia. Mamy teraz ge-

nialne światło. Zostaniesz moim modelem, dobrze, Jaime? — zaproponował mu nagle kreatywny, odrywając go od rozmyślań. — No, to zajmie tylko chwilę. Carlos! — zwrócił się do Carlosa Diaz del Rio, szefa produkcji. — Carlos, bądź tak dobry i znajdź mi kogoś, żeby stanął po drugiej stronie chmury. Chcę przeciwżyć tę scenę, kiedy bohaterowie się spotykają.

Diaz del Rio kazał ekipie od efektów specjalnych wyprodukować sztuczny dym mający udawać parę wyrzucaną przez napędzane węglem maszyny.

Rozejrzał się po peronach, szukając jakiegoś statysty, który już zjadł obiad i jest wolny. Wtedy zobaczył atrakcyjną kobietę przechodzącą przez drzwi starego punktu kontrolnego. Może się nadać.

— Przepraszam. Mogłabyś zrobić za dublerkę do próby ze światłem?

— Do próby? — zapytała Berta zaskoczona.

Carlos wyjaśnił jej pokrótce, o co chodzi. Pomyślała, że to może być zabawne. Poza tym nie miała nic lepszego do roboty, dopóki nie znajdzie Jaimego Aguirre.

Kiedy szef produkcji zaprowadził ją na miejsce zaznaczone taśmą przyklejoną na ziemi, peron był już spowity gęstą chmurą białego dymu wydobywającego się spomiędzy wielkich stalowych kół lokomotywy.

— Pięć i akcja! — Berta usłyszała rytualny okrzyk reżysera po drugiej stronie dymnej zasłony.

Nagle poczuła się, jakby wróciła do czasów dzieciństwa. Zawsze marzyła, że spotka księcia z bajki na starym dworcu, wśród kłębów pary z lokomotywy. Jak w starych czarno-białych filmach amerykańskich.

Chmura dymu zgęstniała i wyłonił się z niej mężczyzna. Był niewysoki, szczupły, miał grzywkę, która nadawała mu wygląd grzecznego dziecka w okularach. Nosił czerwone polo.

Serce zaczęło jej bić szybciej, jak podlotkowi, kiedy się do niej zbliżał. Podobał jej się jego uśmiech, szczery, otwarty, trochę nieśmiały.

Rozpoznał ją natychmiast. Biała bluzka na ramiączkach, dopasowane džinsy, włosy związane w kucyk. Prosił Boga z całych sił, żeby to była ona. Musiał się do niej uśmiechać jak idiota.

— Berta?

— Jaime?

Wysięgnik z kamerą przejechał bezszelestnie nad ich głowami.

— Dalej, gwiazdko, dotknij szczęśliwego faceta! — usłyszeli instrukcje Lamaisona, który śledził całą scenę na małym ekranie, po drugiej stronie zasłony z dymu.

— Teraz powinnam cię dotknąć... — powiedziała nieśmiało Berta, nie przestając patrzeć mu w oczy.

— Zrób to, przyniesiesz mi szczęście.

Kiedy zaczęli spacerować po lesie otaczającym Główny Dworzec Międzynarodowy w Canfranc, byli już zakochani po uszy.



Dwa dni później, już w Madrycie, kiedy siedzieli w jej mieszkaniu po kolacji, Berta pokazała mu postscriptum z listu dziadka. Do tego czasu zdążyli już sobie opowiedzieć swoje historie. Kiedy to zrobili, poczuli się tak, jakby

fragmenty niezwyklej układanki były bliskie wskoczenia na swoje miejsce. Jaime przeczytał ostatnie zdania listu.

Chciałbym, żebyś oddała wszystkie obrazy. Skontaktuj się z ojcem Basilem. Był moim spowiednikiem. Wie o wszystkim, ale obowiązuje go tajemnica spowiedzi. Ma doskonały plan, jak je oddać, unikając skandalu. Byłbym bardzo szczęśliwy, gdybyś oddała również van Dycka. Wiem dokładnie, gdzie jest zakopany. Widziałem to z samolotu.

Jaime przyjrzał się uważnie planowi załączonemu przez dziadka Berty. Wskazywał dokładnie miejsce, w którym znaleziono ciała pod Uritskiem. Oboje spojrzeli na sportową torbę leżącą na stole z drewna i szkła z La Granja. Torbę, którą Jaime przywiózł z Rosji.

Kiedy wyjął z niej metalowy pojemnik, pocięty i zardzewiały, Berta nabrała pewności, że ta niesamowita historia jest prawdziwa.

Jaime zaczął manipulować przy pojemniku z sercem bijącym znacznie szybciej, niż miało w zwyczaju. Kropla oleju pozwoliła, żeby mechanizm otwierający zadziałał idealnie, po ponad półwieczu. Wyrzutniki wysunęły automatycznie brzegi doskonale zakonserwowanego płótna.

Berta wyjęła je z pojemnika, wstrzymując oddech. Miała przed sobą *Męczeństwo świętego Sebastiana* van Dycka. Obraz, który Ermitaż uznał za zaginiony w 1941 roku.

Przez dłuższą chwilę podziwiali go w milczeniu.

— Obraz jest też twój — powiedziała Berta. — Co chcesz z nim zrobić?

— Obraz należy do twojego dziadka. I myślę, że powinniśmy spełnić jego wolę — odparł Jaime bez cienia wątpliwości.



Jaime i Berta pobrali się 15 listopada tego samego roku. Musieli począć dziecko w noc poślubną, bo Cristina urodziła się na początku sierpnia następnego roku.

Ślub był skromny, zaprosili niewielu gości. Jaime poznał rodzinę Berty, a babcia Tania wywarła na nim ogromne wrażenie. Chociaż, znając jej historię, nie mogło być inaczej. Berta nie mogła poznać Marii Luisy Tamayo, ciotki Jaimego. „Nie mogła przyjść — wyjaśnił jej siostrzeniec. — Zaczyna mieć problemy z poruszaniem się, a ostatnie miesiące były dla niej bardzo intensywne”. Szkoda, Berta chciała ją poznać, porozmawiać z nią. Maria Luisa Tamayo, kobieta, od której wszystko się zaczęło. Żałowała też, że nie poznała Carmen. „Jest na aukcji sztuki w Londynie, ale chce was poznać, kiedy wrócicie z podróży poślubnej — powiedziała jej babcia Tania. — Urządę podwieczorek u mnie w domu. Zobaczycie, Carmen zaskoczy was oboje”.

— A co się stało z przyjaciółmi twojego dziadka? — zapytał ją jej mąż. Jak dziwnie brzmiało to słowo na brzegu wielkiego basenu w hotelu Mamounia w Marrakeszu, gdzie spędzali miesiąc miodowy, otoczeni palmami.

— Armario został szanowanym antykwariuszem. Połowa mebli w domu babci pochodzi z jego sklepu przy placu Santa Ana. Wuj Manolo, po przygodzie w Rosji, pogodził się z ojcem i ożenił z tą pielęgniarką, którą poznał na froncie, Beatriz, „bo ciągnęło go do San Fermin”, i po tych wszystkich latach patrzy w nią jak w obraz. Palenzuela

początkowo zniknął dziadkowi z oczu, ale kiedy wreszcie go znalazł, w Stanach Zjednoczonych, wysłał mu pieniądze. Nigdy nie chciał, żeby się dowiedział, że to był on, dziadek już taki był. Wspólnicy dziadka, Gonzalez i Ayuso, umarli przed nim, ale zrobili spore pieniądze, osiągnęli sukces.

— Mnóstwo historii ze szczęśliwym finałem. — Jaime złapał Bertę za rękę, leżąc w hamaku. — A co się stało z Carmen, tajemniczą uwodzicielką?

— Carmen była znacznie ważniejsza dla Hotza, niż chciał przyznać, przynajmniej publicznie. To ona dopinała na ostatni guzik transakcje za granicą, zwykle w Londynie lub Stanach. Panienska z dobrego domu, doskonale wykształcona, mówiła po angielsku jak Angielka i pomimo młodego wieku potrafiła wodzić za nos mężczyzn dużo starszych od siebie. Kobięca intuicja mówi mi, że z Niemcem łączyło ją coś więcej niż interesy. Jako asystentka gauleitera zorganizowała sprzedaż obrazów z Ermitażu w Nowym Jorku. Znała plany swojego szefa. Wszystkie, oprócz ostatniej zdrady, którą dobrze przed nią ukrywał, i gdyby jego plan się powiódł, pewnie nigdy by się o niej nie dowiedziała. Skontaktowała się z dziadkiem, kiedy usłyszała, że wrócił do Hiszpanii. Bardzo cierpiała, dowiedziawszy się o śmierci Hotza i szczegółach historii. Mimo to zaproponowała, że załatwi sprzedaż obrazów. Dziadek jednak odmówił. Potrafiła to uszanować, nigdy nie doniosła o niczym Niemcom. Byli zawsze wielkimi przyjaciółmi.

— W takim razie tylko nam brakuje szczęśliwego finału. Mam nadzieję, że twój don Basilio skontaktuje się z nami jak najszybciej — oświadczył Jaime.



Nina, sekretarka Aleksieja Ilianowa, dyrektora muzeum Ermitażu, zawiadomiła go o telefonie od patriarchy Moskwy.

— Połącz mnie natychmiast. — Nie chciał pozwolić, by wysoki dygnitarz rosyjskiego Kościoła prawosławnego czekał. W nowej Rosji Putina wszystko zmieniało się z zawrotną prędkością. Stosunki państwa z Kościołem były teraz dobre, układały się w zgodzie i współpracy, jak w każdej zachodniej demokracji. Instrukcje rządu były jasne i precyzyjne: „takie samo traktowanie, jakie zapewniają większościowym religiom demokratyczne rządy wszystkich zachodnich krajów”.

— Dyrektor Ilianow? — Głos patriarchy brzmiał poważnie.

— Eminencjo, cieszę się, że słyszę eminencję. W czym mogę pomóc tym razem?

— Ilianow, musi pan natychmiast przyjechać do Moskwy. Chcę porozmawiać z panem o sprawie najwyższej wagi. Dziś rano miałem telefon z Watykanu dotyczący czegoś niezwykłego, co ma kluczowe znaczenie dla dziedzictwa narodowego. Nie mogę powiedzieć panu więcej przez telefon.

Dyrektor Ermitażu poleciał tej samej nocy do Moskwy. Nie dlatego, że dzwonił do niego najwyższy przedstawiciel rosyjskiego Kościoła prawosławnego, którego wymagający ton go zirytował, ale dlatego, że dwadzieścia minut później zadzwonił do niego wysoki urzędnik wszechwładnego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Polecenie było kategoryczne — miał się natychmiast spotkać z patriarchą i informować ich o przebiegu spotkania.

Tak czy inaczej podróż do Moskwy 22 grudnia 2005 nie cieszyła go ani trochę.

Z samego rana był w gabinecie Lwa Gruszenki, wielkiego popa Rosji.

Kiedy pasterz wszystkich rosyjskich dusz skończył przekazywać mu wiadomość, Ilianow potrzebował kilku sekund, żeby przetrwać te informacje.

— Jeśli dobrze zrozumiałem, chce mi ojciec powiedzieć, że od ponad pół wieku jeden obraz Velazqueza, jeden van Gogha, jeden Rubensa i jeden Leonarda da Vinci, wiszące w Ermitażu, są fałszywe. I że w dodatku jakiś katolicki ksiądz z Hiszpanii, który opowiedział ojcu tę historię, jest w posiadaniu van Dycka zaginionego w czasie drugiej wojny światowej.

— Zrozumiał pan doskonale, dyrektorze. I mogą pana zapewnić, że historia, którą mi opowiedziano — odparł z lekką urazą w głosie — jest już częścią historii.

— To sprawa państwa — stwierdził dyrektor, dochodząc do siebie i ignorując agresywny ton popa. — Powinniśmy poinformować o tym Ministerstwo Spraw Wewnętrznych — dodał, podnosząc głos w nadziei, że wyłapie go któryś z mikrofonów, którymi z pewnością był nafaszerowany gabinet patriarchy.

— Kościół zda sprawę ze wszystkiego, kiedy zostaną uzgodnione warunki wymiany.

— Wymiany? — Ilianow nie krył zaskoczenia.

— Hiszpański ksiądz zaznaczył, że warunkiem absolutnie koniecznym, żeby dobić interesu i przekazać oryginalne obrazy i zaginionego van Dycka, jest ich wymiana na cztery kopie wystawiane dotąd w Ermitażu. Takie są wymagania osoby, która wyjawiała mu szczegóły kradzieży pod tajemnicą spowiedzi. Nie będą w tej kwestii negocjowali — zaznaczył na koniec patriarchy.

Dyrektor muzeum patrzył na niego z niedowierzaniem.

— W każdym razie — zaczął niepewnie — przede wszystkim musimy mieć pewność, że to nie jest jakiś kiepski dowcip.

Cztery domniemane kopie zostały poddane w muzeum wyczerpującym analizom, przy zachowaniu jak najściślejszej tajemnicy. Piętnastego stycznia Aleksiej Ilianow miał na stole gruby dwustruonicowy raport, w którym opisywano krok po kroku wszystkie analizy, jakim poddano domniemane podróbki Velazqueza, Rubensa, van Gogha i Leonarda da Vinci.

Przeczytał uważnie dokument sporządzony przez doktor Werę Inber, jednego z najlepszych na świecie specjalistów od fałszerstw obrazów. Wera Inber była Rosjanką, naturalnie, a jej pracę nadzorowali urzędnicy ministerstwa, którzy informowali bezpośrednio władze centralne. Putin pamiętał czasy, kiedy pracował dla KGB, i wiedział o władzy, jaką daje posiadanie poufnych informacji.

Jednak Ilianowa interesował tylko ostatni akapit raportu, w którym doktor Inber zamieściła podsumowanie: „Wszystkie obrazy poddane badaniu są najdokładniejszymi replikami, z jakimi miałam do czynienia w czasie mojej długiej pracy zawodowej. Wykonanie i technika są mistrzowskie. Można się pokusić o stwierdzenie, iż są to cztery kopie niepowtarzalne i godne nieśmiertelnego mistrza pędzla. Cztery wyśmienite fałszyfikaty”.

Dyrektor wypalił powoli papierosa, zanim nacisnął guzik telefonu łączącego go z osobistą sekretarką, siedzącą po drugiej stronie drzwi obszernego gabinetu.

— Proszę mnie połączyć z prezydentem. A potem z patriarchą Moskwy.



Pierwszego marca 2006 roku cztery obrazy przyjechały z Hiszpanii do Sankt Petersburga. Wszystkie wysłano natychmiast do muzealnego laboratorium, gdzie zespół Wery Inber poddał je analizie. Piętnaście dni później Ilianow znów miał na biurku wyniki ekspertyzy. Wnioski pani doktor i tym razem były jednoznaczne: „Wszystkie badane obrazy są ponad wszelką wątpliwość oryginalne”.

Dwadzieścia cztery godziny po poznaniu wyników dyrektor muzeum przyjął w swoim gabinecie niespodziewanego gościa. Sekretarka poinformowała go o pojawieniu się Pawła Taransekowa, dyrektora generalnego Biura Bezpieczeństwa.

— To wszystko nigdy nie miało miejsca, dyrektorze Ilianow — oświadczył gość bez zbędnych wstępów, ściskając krótko dłoń dyrektora, siadając naprzeciw niego za biurkiem i zapalając cygaro dawnego kubańskiego sojusznika.

Niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniały.

— Co ma pan dokładnie na myśli? — zapytał nieufnie Aleksiej.

— Te cztery obrazy, które przysłali Hiszpanie, zawsze były w naszym muzeum. Rosja nie gubi obrazów i nie daje ich sobie ukraść, ani teraz, ani nigdy. W tej chwili nie możemy sobie pozwolić na taki skandal. „Tylko pozytywne wiadomości”, mówi szef. Mam na myśli Wielkiego Szefa. Brano nawet pod uwagę zniszczenie kopii. — Taransekow siedział w obrzydliwej chmurze dymu z cygara.

Ilianow poczuł się niezręcznie w swoim własnym gabinecie, co najwyraźniej bawiło gościa.

— Jeśli nie oddamy kopii, nie będzie van Dycka. Takie są warunki przedstawione patriarsze.

— Tak — przyznał urzędnik. — Wygląda na to, że ci

złodzieje trzymają nas za jaja, co, Ilianow? Szkoda, że nie możemy już działać poza granicami kraju... — powiedział złowieszczo, wydmuchując grube kółko z dymu. — Niech będzie, zrobimy, jak chcą księża. I lepiej niech ten van Dyck będzie prawdziwy.



Czternastego marca ze specjalnego samolotu Aeroftotu wyładowano na lotnisku w Barajas cztery kopie z Ermitażu. Specjaliści od elektroniki Ministerstwa Spraw Wewnętrznych przygotowali cztery ramy wyposażone w mikroskopijne urządzenia wysyłające sygnał GPS.

Obrazy Wündermanna zostały przewiezione opancerzoną furgonetką do Ambasady Federacji Rosyjskiej w Madrycie.

W gabinecie ambasadora czekali szef rosyjskiego przedstawicielstwa dyplomatycznego Kliment Zdenow, attache kulturalny Kirył Michajłowski, który ani się tak nie nazywał, ani nie był pracownikiem ambasady, i Alessandro Ghia. Włoch był największym światowym znawcą twórczości van Dycka i został zatrudniony przez rosyjski rząd do przeprowadzenia wstępnej ekspertyzy obrazu, który miał im właśnie przekazać katolicki ksiądz, don Basilio.

Sekretarz dyplomaty uchylił drzwi gabinetu.

— Obrazy już przyjechały, panie ambasadorze.

Zdenow skinął głową i czterech młodych mężczyzn w ciemnych garniturach wniósł obrazy.

Don Basilio rozpoznał natychmiast Velazqueza, van Gogha, Rubensa i Leonarda da Vinci.

— Jesteście pewni, że to nie są oryginały? — zapytał, siląc się na żart, Ghia, pod wrażeniem doskonałości kopii.

Spojrzenie Michajłowskiego kazało mu powstrzymać się od dalszych komentarzy.

Wtedy don Basilio przekazał im van Dycka, którego trzymał do tej pory całkowicie zakrytego.

Ghia odpakował ostrożnie dzieło flamandzkiego mistrza, ze skupieniem przeprowadzającego operację chirurga. Kiedy można go już było zobaczyć w pełnej krasie, włoski ekspert przyglądał mu się przez kilka sekund.

— To autentyk — orzekł głosem lekko drżącym z emocji.



Piątego listopada *Męczeństwo świętego Sebastiana* van Dycka znalazło się na pierwszych stronach wszystkich gazet świata. Niezwykłe odnalezienie zaginionego w czasie drugiej wojny światowej obrazu zajmowało tygodniami uprzywilejowane miejsce w dziennikach w telewizji, w radiu i prasie na całej planecie.

Zdjęcie prezydenta Putina i patriarchy Moskwy trzymających z uśmiechem obraz van Dycka obiegiło świat.

Według oficjalnego komunikatu wydanego przez rosyjski rząd i Kościół prawosławny „*Męczeństwo świętego Sebastiana* zostało przez przypadek znalezione w czasie prac restauratorskich prowadzonych w na wespół zrujnowanej kaplicy pod Uritskiem, w ramach rządowego programu restauracji historycznych budowli. Niespodziewający się niczego robotnicy pracujący nad odrestaurowaniem świątyni znaleźli obraz po zburzeniu fałszywej ściany”.



Posuwające się długim rzędem mercedesy zatrzymywały się jeden po drugim pod Portykiem Atlantów. Z jednego

z nich wysiedli Jaime i Berta. Oślepiły ich flesze aparatów i Berta o mało nie upadła na czerwony dywan.

Było to specjalne przyjęcie zorganizowane przez Ermitaż dla wszystkich oficjalnych reprezentantów najważniejszych muzeów sztuki na świecie.

Rosyjski rząd był uprzejmy zaprosić ich na prywatne zwiedzanie, w czasie którego mogli obejrzeć odzyskanego van Dycka, zanim udostępni się go publiczności z początkiem 2007 roku.

Aleksiej Ilianow przyjmował szacownych kolegów w holu głównym.

— Pani Berta Wundermann, wicedyrektorka muzeum Prado w Madrycie, i jej mąż, pan Jaime Aguirre — zapowiedział ich szef protokołu muzeum, dotykając delikatnie ramienia dyrektora zgodnie z tym, jak się umówili.

Aleksiej przyjrzał się Bercie. Hiszpanka wyglądała wspólnie w eleganckiej dopasowanej sukni koktajlowej z etolą z kun, którą Jaime podarował jej tego samego wieczoru, zakrywającą jej ramiona.

— To przyjemność gościć państwa w Ermitażu, pani Wundermann, panie Aguirre. — Dyrektor, który mówił poprawną angielszczyzną, pocałował Bertę w rękę i uściśnął dłoń Jaimego.

— To prawdziwy przywilej móc być tu dzisiaj — odpowiedziała uprzejmie Berta.

— Tak. Tej nocy wszyscy jesteśmy uprzywilejowani, nie mam co do tego wątpliwości — ciągnął Aleksiej z ujmującym uśmiechem. — Przepraszam, panie Aguirre, ale ktoś bardzo chciał się z panem przywitać, zanim zacznie się zwiedzanie. — Dyrektor wskazał wystudiowanym ruchem

prawej ręki grupę gości, z której wyłonił się, jak za sprawą magii, pułkownik Wasyliw, człowiek, który dał mu w Sankt Petersburgu pojemnik po cyklonie. Aguirre poczuł gwałtowny przyptyw adrenaliny.

Wojskowy, w galowym mundurze, z medalami błyszczącymi na nieskazitelnej bluzie, podszedł do niego, rozszczepiając najlepszy ze swoich uśmiechów.

— Mój drogi doktorze Aguirre — powiedział w swojej specyficznej hiszpańszczyźnie z akcentem i słownictwem słowiańsko-karaibskim, unieruchamiając go w niedźwiedzim uścisku. — Pani musi być jego piękną żoną — zwrócił się z uśmiechem do Berty, biorąc ją za rękę i salutując. — Pozwoli mi pani ukraść męża na pięć minut, zanim zaczniemy zwiedzanie? — ciągnął, nie dając jej czasu na odpowiedź. — Mała pogawędka starych znajomych.

Berta spojrzała na Jaimego, próbując ukryć zaniepokojenie. Znała byłego sowieckiego oficera z opowieści męża, ale nie wiedziała, do czego jest zdolny. Była za to pewna, że nie znalazł się tej nocy w muzeum przez przypadek. Podczas chwili niewygodnego milczenia, trwającej może kilka sekund, kelnerzy w eleganckich czarnych marynarkach zaczęli podawać powitalne drinki.

— Nie martw się, kochanie. — Jaime zakończył kłopotliwą sytuację, mrugając do żony uspokajająco. — Wszystkie gułagi są już zamknięte o tej porze. Poza tym, jak sama wiesz, można powiedzieć, że Wasyliw i ja jesteśmy starymi przyjaciółmi.

Oficer odciągnął go od grupy, biorąc poufale pod ramię.

— Chce mnie pan aresztować, pułkowniku? — zapytał, idąc pozornie bez celu przez zatłoczony hol muzeum. W rze-

czywistości stary żołnierz szukał kąta bez kamer monitorujących pomieszczenie.

— Och nie, doktorze Aguirre. Powinienem był to zrobić przy okazji pana poprzedniej wizyty w naszym mieście — odpowiedział przez zęby, nie przestając się uśmiechać i odpowiadając na wciąż kierowane do niego pozdrowienia. — Jak mógłbym pana teraz zatrzymać? Gdyby pańska historia wyszła na światło dzienne, zostałby pan automatycznie bohaterem Związku Ra... Federacji Rosyjskiej.

Jaime uśmiechnął się uspokojony. Weteran Wasyliw nie stracił starych przyzwyczajęń.

— Nie aresztuję pana, mój dobry przyjacielu Aguirre. Ale chcę, żeby mi pan wyświadczył trzy przysługi. To dla mnie bardzo ważne.

— Proszę strzelać — zachęcił go Jaime.

Pułkownik zatrzymał kelnera i wziął z tacy dwie szklanki zmrożonej wódki. Jedną podał Jaimemu. Swoją opróżnił jednym haustem.

— Wiedział pan, co było w tym cholernym pojemniku na gaz, kiedy go panu dałem? — zapytał go oficer bez dalszych wstępów, patrząc mu w oczy.

— Nie miałem zielonego pojęcia, pułkowniku — odpowiedział Jaime, nie odwracając wzroku.

— Wierzę panu — odetchnął Rosjanin z zadowoleniem. — Bałem się, że nie mam już nosa. Niech się pan napije. — Wskazał jego szklankę z wódką. — Bo się ogrzeje.

— Chcę mieć jasną głowę, kiedy będę panu odpowiadał.

— Dobrze. Druga prośba — ciągnął Wasyliw. — Jeśli to się nie wydarzyło, pewnie na tym etapie już się nie wydarzy, ale w nieprawdopodobnym wypadku, gdyby nasi

chłopcy z ministerstwa skontaktowali się z panem, żeby... jak by to ująć...

— Żeby pogadać sobie ze mną po przyjacielsku o niektórych aspektach sprawy. — Jaime pomógł mu dobrać słowa.

— Och, hiszpański to wspaniały język, pełen subtelnych niuansów. Nie mógłbym tego lepiej ująć.

— Jak się powinienem zachować, gdyby do tego doszło? Liczę na pańskie doświadczenie, pułkowniku.

— W takim nieprawdopodobnym wypadku byłoby niewątpliwym dowodem przyjaźni z pana strony, gdyby nie podawał im pan szczegółów na temat naszych transakcji handlowych.

— Przycisnęli pana, Wasyliw? — zapytał ubawiony Jaime, upijając łyk wódki.

— Próbowali. Ale przycisnąć takiego typa jak ja, który zarabiał na życie, przyciskając innych, nie jest wcale tak łatwo. Dlatego jestem tu dzisiaj i rozmawiam sobie z panem, drogi doktorze Aguirre. Wolny od wszelkich podejrzeń — jego ton był niemal triumfalny.

— A trzecia przysługa? — Jaime szukał wzrokiem Berty.

Rozmowy ze starym Wasyliwem były zawsze stymulujące jak pływanie nago wśród krokodyli. Ale miał już szczerą ochotę wyjść z wody.

— Pewnie najtrudniejsza. Jednak jest mi pan to winny i nie może mi pan tego odmówić. — Twarz pułkownika nabrała surowego wyrazu, wbił wzrok w Jaimego. — Tej nocy, po zwiedzaniu, będę na pana czekał w barze pańskiego hotelu z butelką stolicznej. Proszę mi obiecać, że zejdzie pan na dół i opowie mi całą historię. Umieram z ciekawości, niech to szlag. Zrobi pan to, prawda? — teraz jego ton był prawie błagalny.

— Nie wiem, jak przekonam żonę — odpowiedział Jaime, marszcząc czoło. Wasyliw nigdy nie przestanie go zadziwiać. — Może pan na mnie liczyć — nie chciał dłużej męczyć starego żołnierza.

— Wiedziałem, że mnie pan nie zawiedzie, Aguirre — rozpromienił się. — Jestem panu winny przysługę, a Wasyliw oddaje wszystkie długi, nawet jeśli nigdy się pan o tym nie dowie — powiedział, podnosząc szklankę w przesadnym geście.

Gest przesadny i umówiony nie umknął uwadze jednego z kelnerów. Nacisnął włącznik niewielkiego urządzenia, które miał w kieszeni marynarki. Sygnał dotarł do oficera bazy radarowej na obrzeżach Sankt Petersburga. Oficer, u którego Wasyliw miał spory dług wdzięczności, między innymi za swój stopień i wygodną służbę, wystukał serię instrukcji dla rosyjskiego satelity wojskowego, który przelatywał właśnie po orbicie tysiące kilometrów nad Koreą Północną. Czterdzieści osiem godzin później, kiedy państwo Aguirre będą wyjeżdżali z Rosji, satelita wysłał sygnał do Madrytu, do każdego z mikrochipów ukrytych w ramach kopii Wundermanna. Sygnał, który ma je dezaktywować na zawsze.

Kiedy Jaime próbował zrozumieć ostatnią uwagę pułkownika, asystent dyrektora muzeum klasnął głośno. Kiedy ucichł szmer rozmów, Aleksiej Ilianow zwrócił się do swoich gości:

— Panie i panowie, zaczynamy zwiedzanie.

Berta uspokoiła się, kiedy Jaime stanął u jej boku. Znała już znaczenie tego spojrzenia: „Wszystko w porządku”.



Może się myliła, ale, o ile Berta dobrze zapamiętała opowieść babci, przygotowana przez Ilianowa trasa zwiedzania była bardzo podobna do tej, którą musiał przejść jej dziadek z towarzyszami pod przewodnictwem dyrektora Orbelego ponad pół wieku temu.

Ermitaż, który teraz oglądali, bardzo się jednak różnił od budynku sprzed lat. Muzeum było wspaniałe: długie galerie o podłogach z lśniącego marmuru, z ogromnymi kolumnami, świeżo odnowione sale, odmalowane i doskonale oświetlone. Cudowne kasetony i freski na sufitach. Duże okna z eleganckimi ciężkimi zasłonami, wspaniale oszklone, osłaniające zwiedzających od burzy śnieżnej, która nadal szalała nad Sankt Petersburgiem.

Berta czuła się związana z tym budynkiem. Jakby już kiedyś w nim była, dawno temu.

Dotarli do sali ze sztuką sakralną. Ilianow zatrzymał się na chwilę, żeby zwrócić uwagę na niektóre ikony o wyjątkowej wartości artystycznej.

Wtedy go zobaczyła. Był tam, w małej szklanej urnie, owinięty wokół małej kolumnienki z zielonego aksamitu. Podeszła bliżej, żeby mu się przyjrzeć. Nie miała żadnych wątpliwości. To był różaniec dziadka: grube paciorki z drewna, żelazny krzyż. Ten sam, który trzymała babcia na obrazie. Nie mogła zapanować nad emocjami. Przeczytała objaśnienie na kartoniku leżącym obok eksponatu: „Różaniec z paciorkami z drewna i łacińskim żelaznym krzyżem. Początek XIV wieku”. Uśmiechnęła się, tłumacząc z angielskiego rzekome pochodzenie różańca jej dziadka.

Przeszli przez salę z malarstwem hiszpańskim. Berta

i Jaime nie mogli się powstrzymać i przystanęli na chwilę przed „ich” Velazquezem.

Ilianow prowadził ich przez sale, w których mogli podziwiać *Wiejskie chatupy* van Gogha, szkic Rubensa z *Koronacją Marii Medycejskiej* i filigranową *Madonnę* Leonarda da Vinci. Oglądanie tych obrazów w muzeum było wspaniałym przeżyciem. Berta widziała ciepły uśmiech dziadka.

Dotarli wreszcie do sali malarzy flamandzkich. Tam, w otoczeniu najlepszych dzieł jego krajanów, wisiał zaginiony van Dyck, ukryty przed wzrokiem zwiedzających za grubą zasłoną z niebieskiego jedwabiu. Kiedy goście zapełnili salę, przygaszono lampy, pozwalając, żeby pomieszczenie ogarnął półmrok. Wtedy snop światła z reflektora padł na bohatera wieczoru.

Stojąc przy niewielkim przygotowanym na tę okazję pulpicie, dyrektor Ermitażu, w towarzystwie Alessandra Ghii, zwrócił się do swoich gości, dziękując im za przybycie i wspominając o okolicznościach odnalezienia obrazu.

Po krótkim wystąpieniu dyrektora głos zabrał Ghia, ekspert w dziedzinie flamandzkiego malarstwa. Włoch, jak już wiedzieli, został wybrany przez rosyjski rząd, żeby ocenić autentyczność obrazu. Zrobił to po sześciu miesiącach drobiazgowych badań.

Wystąpienie *dottore* było płomienne i uczuciowe, bardzo włoskie.

Jednak Berta zapamiętała przede wszystkim ostatnie słowa specjalisty, kiedy wyjaśniał krótko, jak drobiazgowym badaniom poddawano dzieła, co do których autorstwa istniał choćby cień wątpliwości. „Lub które pojawiły się w niezwykłych okolicznościach, jak to miało miejsce w przypadku

tego wspaniałego van Dycka. Tak też musi być, drodzy przyjaciele, ciągnął doktor. Bo można spotkać fałszerzy tak dobrych jak mistrzowie. Niektórzy nie tylko kopiowali. Niektórzy odbierali duszę oryginałom. W wielu wielkich muzeach wiszą teraz kopie, które uważa się za oryginały. A zwiedzający nadal cieszą się i wzruszają, oglądając te wspaniałe dzieła. — Włoch zrobił wystudiowaną pauzę, a Bercie wydawało się, że patrzy tylko na nią. — Nie wiem — ciągnął — może to jest odkupienie grzechu, jaki popełnili ci niezwykli fałszerze, złodzieje ducha geniuszy”.

Sala rozbrzmiała entuzjastycznymi oklaskami.

Berta poczuła, że wilgotnieją jej oczy. Widzisz, dziadku? Wszyscy ci wybaczyli, pomyślała.



Carmen musnęła palcami, jak tyle razy przedtem, zdjęcie, które czas zabarwił na kolor sepia. Jej dłonie, kościste i pomarszczone, podniosły je do oczu. Postacie z portretu patrzyły na nią z uśmiechem. Z trudem rozpoznała samą siebie w tej atrakcyjnej dziewczynie, z uwodzicielskim uśmiechem i gęstymi czarnymi włosami.

Mężczyzna wyglądał tak, jak go zawsze pamiętała: przy stojny i męski. Prawie wyzywający. Wyglądał naprawdę świetnie tamtego dnia, naprzeciw Kybele, w garniturze z białego lnu i panamskim kapeluszu. Dla ciebie czas się zatrzymał, pomyślała z mieszanką goryczy i tęsknoty. I znów zadała sobie pytanie, które towarzyszyło jej przez ponad pół wieku: Jak wyglądałoby moje życie przy tobie?

Epilog

Było zimne, ale słoneczne i pełne blasków południe jednego z ostatnich dni madryckiego grudnia.

Dwie przyjaciółki wyszły z muzeum Prado przez Bramę Południową, naprzeciwko ogrodu botanicznego. Przeszły kilka metrów ulicą Espalter do Cafe del Sol, gdzie zwykle zachodziły po corocznej wizycie w muzeum.

Tego dnia świętowały i były szczęśliwe. W rzeczywistości z trudem powstrzymywały euforię.

Rozmawiały o głupstwach, czekając, aż kelner poda im herbatę bez cukru i kieliszek rioja.

— Prado jest jak zwykle cudownym miejscem — zauważyła jedna z nich, kiedy chłopak odszedł.

— To, co jak zwykle jest cudowne, to nasz obraz — odparła druga, patrząc porozumiewawczo.

Uśmiechnęły się i zaczęły wspominać minione czasy. Kiedy były młode, bardzo młode.

Najważniejsze momenty w ich życiu zostały naznaczone przez dwie straszliwe wojny, w apokaliptycznej scenerii. W bólu, nieszczęściu i zniszczeniu. Jedna z przyjaciółek przypomniała zdanie Hotza: „Świat przeżywa smutne i ciemne lata, ale dla kilku wybrańców, dla nas, to będą lata

Drużga pomyślała, że Hotz zawsze był cynikiem i ostatnim draniem. Ale uważała, żeby nie zdradzić się z tymi myślami. Musiała niechętnie przyznać, że jej życie byłoby zupełnie inne, gdyby Niemiec się w nim nie pojawił. Poza tym, jak mawiał jej mąż, „tylko idioci pielęgnują w sobie żal”. Jej zmarły mąż i ona mieli pewnie długą listę grzechów, ale głupota do nich nie należała.

Wzniosły toast herbatą i winem. To był plan idealny. Wypracowany, skomplikowany i rozłożony w czasie. Wreszcie wszystkie elementy układanki dopasowały się do siebie.

A obrazy wróciły do Ermitażu.

Ostatnia wola Jose Manuela, naprawienie jego błędu, została spełniona. Czuła, że teraz mogłaby umrzeć w spokoju. Choć szybko odegnęła tę myśl.

— Miałyśmy szczęście — powiedziała swojej przyjaciółce.

— Nie bądź banalna — odpowiedziała jej tamta szorstko. — Kobiety takie jak ty i ja nie mają szczęścia. Nasze szczęście to dziewięćdziesiąt dziewięć procent uporu i jeden procent poskromionego przypadku. Po prostu zrobiliśmy dobrą robotę. Jak zawsze.

Tania patrzyła zafascynowana na Carmen. Cieszyła się, że znów jest tak pełna entuzjazmu i życia. Co za niezwykła,

niepowtarzalna kobieta. Kochała ją jak siostrę. „Carmen”. Zawsze chciała zachować imię, które nadał jej Hotz. Co ich naprawdę łączyło? Cokolwiek to było, należało już do innej historii. W każdym razie zostawiło w niej głęboki ślad. Od kiedy Albert Hotz nazwał ją „Carmen”, nigdy nie pozwoliła ani mężowi, ani Tani nazywać się prawdziwym imieniem — Maria Luisa Tamayo.